JACEK
KARCZEWSKI

ZOBACZ PTAKA

Opowieści po drodze

WP

JACEK
KARCZEWSKI

ZOBACZ PTAKA

Opowieści po drodze

Ilustracje: Agnieszka CISZEWSKA

WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Copyright © Jacek Karczewski, 2021
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktorki prowadzące: Sylwia Smoluch, Weronika Jacak
Marketing i promocja: Agata Gać
Redakcja: Aleksandra Deskur
Redakcja: Konsultacja merytoryczna: dr Michał Polakowski
Korekta: Anna Nowak, Magdalena Owczarzak
Projekt okładki i stron tytułowych: Ula Pągowska
Ilustracje na okładce i we wnętrzu książki: Agnieszka Ciszewska

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67054-21-8

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@wydawnictwopoznanskie.pl
www.wydawnictwopoznanskie.pl

Spis treści

Na początek

W MIEŚCIE

Kos. Czarny jak sadza

Śpiewak, drozd śpiewak

Kwiczoł. Prawie kolorowy drozd

Pliszka siwa. Pasikonik wiercipiętka

Kulon, hanka, kręcidupka, czyli skąd się wzięły nazwy ptaków

Sroka. Czaka! Czaka! Cza!

Wrona. Siwa albo czarna

Kawka. Najlepiej dwie

Wróbel. Ptak, który udomowił świat

Bogatka. Królowa karmników

Odpowiedzialnie i rytmicznie

Początki

Modraszka. Księżniczka błękitów

Rudzik. Merry Christmas

Pamiętajmy o ogrodach

Jemiołuszka. Zima na rauszu

Szpak. Mistrz improwizacji

Jerzyk.Latam, więc jestem

Gołąb miejski. Latający szczur

Grzywacz. Wielki gołąb

Sokół wędrowny. Ptak, który zabija prędkością

Mandarynka. Karnawał w Łazienkach

Niebezpieczna dla Polski?

NAD WODĄ

Śmieszka. Czekoladowy kapturek

Bielik. Orzeł biały

Czy bielik może być orłem?

Łyska. Mała, czarna, z charakterem

Kormoran. Ptak, który śmie jeść ryby

Wszyscy siedzimy na tym samym drzewie

Perkoz dwuczuby. Nieróżowy kuzyn flamingów

Czapla siwa. Praptak na rybach

Zimorodek. Kolorem w zimę!

Bagna są dobre!

Łabędź niemy

Krzyżówka. Róbmy swoje

Gęgawa. Jej Wysokość Gęś

NA WSI

Dymówka. Jaskółka

Skowronek. Ach, skowronek!

Szczygieł. Żółty, który leczy

Gąsiorek. Kuba rozpruwacz z kolcem tarniny

Kruk. Rozum i pamięć

Osiem!

Dudek. Śmierdzący ptak

Żołna. Trzeba to zobaczyć!

Dzięcioł zielony. Naprawdę!

Myszołów. Drapol z autostrady

Kuropatwa. Dwadzieścia i cztery

Łabędzi śpiew gawronów?

Bażant. Kogut z opery

Bocian biały. Ptak, który powstał z człowieka

Drop. Szukaj wiatru w polu

Komu zależy na osobnikach juwenilnych żerujących w siedliskach ruderalnych?

Żuraw. Zatańczymy?

Czajka, czajka, czajka, ach to ty

Kto, jeśli nie my?

W LESIE

Kapturka. Całe życie w krzakach

Il Gardellino

Gil. Bombki na jesionie

Grubodziób. Pan Japa

Zięba. Jest gdzieś, lecz nie wiadomo gdzie…

Myślę, więc nie czuję?

Kowalik. Do góry nogami

Mysikrólik i strzyżyk. Kruszyna i troglodyta

Aaa, ptaszki dwa

Jastrząb. Gołębiarz, wroniarz, wiewiórkarz

Źródła i literatura

Jestem na pTAK!

Lepiej by było, gdyby wszystkie arcydzieła sztuki przepadły, niż gdyby ptaki przestały się gnieździć w gałęziach drzew.

John Ruskin[1]

---

[1] Angielski artysta, krytyk i mecenas sztuki, filozof, myśliciel, pisarz i publicysta, filantrop, społecznik, przyrodnik, naukowiec i wykładowca, ceniony znawca wielu dziedzin – słowem człowiek renesansu ery wiktoriańskiej. O ile nie podano inaczej, tłumaczenia cytatów pochodzą od autora.

Na początek

Zobacz ptaka to moja trzecia książka, ale pierwsza i jedyna, jaką kiedykolwiek chciałem napisać. Wyobrażałem ją sobie jako przyjazny przewodnik, który pomagałby identyfikować ptaki zaglądające do ogrodów lub mijane po drodze do pracy, szkoły czy na spacerze. Myśl o niej pojawiła się wraz z pierwszą kampanią społeczną Ptaków Polskich, i pamiętam, jak wydawało mi się wtedy, że każdy chętnie po nią sięgnie, bo każdy nosi w sobie pierwotną ciekawość życia i czuje łączność z Przyrodą, nawet jeśli nie zdaje sobie z tego sprawy. Przecież nie ma w kosmosie lepszego medium niż głośne, kolorowe i ekscentryczne ptaki. Istoty, w których spotykają się wszystkie żywioły Ziemi. Anioły i diabły. Chełmoński i Dali z ludowym grajkiem, Chopinem i Milesem Davisem. Brzydka fizjologia i tragiczna rutyna z olśniewającym pięknem i rzeką inspiracji. W międzyczasie ukazało się wiele przewodników oraz kilka niezłych aplikacji. Czy ludzie z nich korzystają? A może stali się bardziej świadomi i wrażliwi…? Ja na pewno jestem innym człowiekiem niż 15 lat temu, kiedy zaczynałem pracę w zawodowej ochronie przyrody, i nie będzie wielkiej przesady, jak napiszę, że kosztowało mnie to głowę, serce i dom.

Kiedy siadałem do pisania, wciąż towarzyszyły mi echa *tamtej* książki, szybko jednak się zorientowałem, że *wysiaduję* coś innego. Ostatecznie *wykluł się* przewodnik po ptakach, który ma nie tyle pomóc je rozpoznać, co… zobaczyć. Dostrzec, co kryje się za trelami kosa, czerwonym brzuszkiem gila, powagą bielika, a nawet niebem, pod którym zawisł szalony pieśniarz skowronek. Każdy ptak ma jakąś historię do opowiedzenia – swoją własną oraz tę, która ciągnie się za całym jego plemieniem. Jedna i druga są jak warkocz splecione z naszą. Nie mogło być inaczej, skoro od wieków rządzimy światem, a starsze od nas o miliony lat ptaki od samego początku były częścią naszych kultur, języków i obyczajów. Zanim zaczęliśmy je regularnie zabijać, w ogóle się nas nie bały i zawsze były tuż obok. Tak jak my chodziły na dwóch nogach, budziły się o świcie, a o zmierzchu kładły się spać. (Przeważnie, tak jak my). Stroiły się w odświętne piórka, tańczyły i śpiewały. Wkrótce sami zaczęliśmy się upiększać, tworzyć muzykę, tańczyć i śpiewać. To ptaki zainspirowały pierwsze piosenki z tekstem, a w ich wołaniach słyszeliśmy fantastyczne opowieści, wróżby i przepowiednie. Jeśli nie wiedziałeś(-aś), czy wybrać się do miasta za dwoma lasami i trzema wzgórzami, kogo poślubić albo kiedy wysiać zboże, wystarczyło wyjść przed dom i zobaczyć, jak zachowują się ptaki. W starożytności żadna wojna ani daleka wyprawa nie mogła się wydarzyć bez wcześniejszych konsultacji z ptakami. Były jak powszechnie dostępna *ornitomancja* albo biointernet. Pomagały zrozumieć świat. Nam trudno już nawet

sobie wyobrazić, jak ważne były dla nas ptaki. My, one i cała Przyroda byliśmy jednym. Dzisiaj potrzebujemy ich mocy jak nigdy przedtem, ale też w całej naszej historii nie byliśmy tak odizolowani, ślepi i głusi na to, co ptaki mają nam do powiedzenia. To stąd wzięły się niektóre z 15 opowieści *po drodze*, które przeplatają 50 opowieści o ptakach.

Każdy ze sportretowanych gatunków ma swoją *metryczkę*, garść informacji, które poza wyjątkami koncentrują się na pierwszych skojarzeniach – na tym, co typowe i najbardziej rzuca się w oczy. Nierzadko pomijam jakieś warianty upierzenia, a tym bardziej zachowania, bo – i nie mam co do tego wątpliwości – każdy ptak ma swój temperament i osobowość. Oprócz zachowań typowych dla swojego gatunku ma też zachowania typowe dla siebie, a przecież są jeszcze otoczenie i bieżąca sytuacja, które prowokują różne reakcje. Zaawansowana, fachowa wiedza jest ważna, ale nie musi i być może nie powinna być pierwsza. Najpierw patrz sercem, potem szkiełkiem. Zobacz ptaka, pozwól sobie się zachwycić, a zanim się obejrzysz, szczegóły i naukowe informacje same przyjdą. Nie łudźmy się jednak, że te zawsze będą wolne od subiektywizmu badaczy i wpływu kultury. Nawet ptakom by się to nie udało, a co dopiero nam. Co o ptakach może wiedzieć ten, kto całe życie był tylko człowiekiem?

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki, przede wszystkim prowadzącej cały proces wydawniczy

Sylwii Smoluch oraz Weronice Jacak, która z takim wdziękiem zastąpiła ją na ostatnim etapie. Dziękuję tak samo niezawodnej Oli Deskur i wspomagającej nas redakcyjnie Joannie Cyterskiej, Michałowi Polakowskiemu – naszemu merytorycznemu, Grzegorzowi Kalisiakowi oraz Agnieszce Ciszewskiej, którą wymieniam jako ostatnią tylko po to, żeby jeszcze większą uwagę zwrócić na zachwycające akwarele, które dopełniają nasze opowieści.

Książkę tę dedykuję moim Koleżankom i Kolegom ze stowarzyszenia Jestem na pTAK!, do niedawna Ptaki Polskie: Ani Lulkiewicz, Ani Pilarskiej-Cherek, Arkowi Glaasowi, Beacie i Romkowi Brzozom Brzezińskim, Darkowi Pawełkowskiemu, Dawidowi Kazimierczakowi, Emilii Sokołowskiej, Ewie Gutowskiej, Ewie Stróżniak, Filipowi Jarzombkowskiemu, Kasi Ramotowskiej, Krzyśkowi Jurczakowi, Krzyśkowi Kraszewskiemu, Justynie Różańskiej, Magdzie Puczko, Malwinie Godziemskiej, Marcie Hoffmeister, Marcinowi Siuchnie, Mariuszowi Orlikowskiemu, Marlenie Przybysz, Michałowi Matyskielowi, Monice Turło, Patrycji Chaci, Pawłowi Kąkolowi, Pawłowi Pstrokońskiemu, Pawłowi Sidle, Piotrowi Kamontowi, Tomkowi Oczkowskiemu, Tomkowi Szusterowi, Zuli Brzezińskiej oraz naszym Wolontariuszom i Przyjaciołom. Tym, co już odlecieli, a przede wszystkim tym, co trwają: serca, odwagi i siły. Niech się za Wami zieleni!

Zapraszam w podróż po meandrach czasów, dźwięków, głosów i kolorów oraz naszego i ptasiego rozumu. Głowy do góry i niech ptaki będą z nami!

W MIEŚCIE

Kos.
Czarny jak sadza

Kos to nasz jedyny naprawdę czarny ptak! Ale nie zawsze tak było. Jego przodkowie byli biali jak płatki lilii… Któregoś dnia jeden z nich zobaczył, jak sroka chowa w gnieździe garść klejnotów.

– Czy ja też mógłbym mieć takie cudeńka? – zapytał rozochocony.

– To wcale nie takie trudne – odskrzeczała jego czarno-biała sąsiadka. – Wystarczy, że udasz się na służbę do Księcia Skarbów, władcy Krainy Podziemi. Służba długo nie potrwa, a Książę na odchodne pozwoli ci zabrać tyle kosztowności, ile tylko udźwigniesz. Pod jednym warunkiem – ciągnęła sroka. – Po drodze będziesz musiał minąć siedem grot pełnych kosztowności, ale nie wolno ci niczego dotknąć, zanim nie zobaczysz się z samym Księciem.

Jeszcze tego samego dnia kos odnalazł prowadzące pod ziemię wrota i wleciał do pierwszej komnaty, po brzegi wypełnionej srebrem. Czego tam nie było! Kandelabry, misy, dzbany, fantazyjne brosze, a nawet migotliwe cekiny, leciutkie jak płatki śniegu. Pomny przestrogi przemierzał kolejne, coraz bardziej bajeczne wnętrza, aż w końcu znalazł się w grocie pełnej złota. Tam pokusa okazała się zbyt silna. Zatrzymał się oszołomiony i chwycił w dziób pierwszy z brzegu pierścień. W tej samej chwili wśród gromów i błyskawic ukazał się ziejący ogniem stwór. Przerażony ptak uszedł z życiem, ale bestia zdążyła obrzucić go lepką sadzą, a pierścień stopił żar. Od tamtej pory wszystkie kosy mają czarne jak sadza pióra oraz złoty dziób i takie same obrączki wokół oczu. W każdym razie tak wyglądają dorosłe samczyki. Im starsze i w im lepszej kondycji, tym bardziej jaskrawe są ich ozdoby. Samiczki i młodzież są brunatne. Za to w chwili strachu,

bez względu na płeć i wiek, wszyscy uciekają i krzyczą, jakby gonił je smolisty demon.

Kosy to czarodzieje. Gdy nikt inny jeszcze nie śpiewa, bo noce mroźne, a na skraju drogi zbity śnieg i lód, ich powłóczyste, miękkie jak aksamit nuty otulają zaspany jeszcze świat i przypominają, że wiosna niedaleko. W środku dnia kosy robią sobie przerwę, ale usłyszymy je znowu przed zachodem słońca, a czasami długo po. Soliści w zrelaksowanej pozycji – głowa do góry, skrzydła lekko opuszczone, rozluźnione pióra – sadowią się na wierzchołkach drzew, na szczytach dachów, na latarniach i antenach. Ostatnio poznałem takiego jednego, co regularnie śpiewał z leśnego traktu, ale on, nawet przelatując z miejsca na miejsce, nie mógł się powstrzymać. O najlepsze sceny niektórzy pewnie się pobili, ale warto było, bo im wyżej i im mniej przeszkód po drodze, tym dalej popłynie magiczna melodia. Być może to z jej powodu Szwedzi wybrali czarnego kosa, symbol budzącego się słońca i nadziei, na swojego ptaka narodowego. Kosy mają też swoje wsie i miasta, a nawet cały kraj – Kosowo. Podobno wojownicy, którzy 15 czerwca 1389 polegli w wielkiej bitwie na Kosowym Polu, powstali z martwych jako kosy, żeby ją opiewać. To musiały być kiedyś ważne ptaki w tej części świata, bo *kos* to jedno z prasłów, które znajdziemy w wielu, jeśli nie we wszystkich językach słowiańskich. U Celtów i Anglosasów czarne ptaki towarzyszyły najpierw druidzkim pustelnikom, a potem

chrześcijańskim mnichom. W złożonych do modlitwy dłoniach Świętego Kevina, tamtejszego odpowiednika Franciszka z Asyżu, kosy złożyły kiedyś jajko. Wzruszony, pozwolił im nie tylko je wysiedzieć, ale i wychować wyklute z niego pisklę, co zwykle zajmuje kosom około miesiąca. On sam przez cały ten czas nawet na chwilę nie przerwał pacierzy.

Zawodowcy twierdzą, że pod względem kompozycyjnym muzyka kosów jest najbliższa naszej. Niektóre z nich mają w repertuarze ponad 30 fraz[2] i dowolnie je miksują. Każdy ptak ma też kilka ulubionych motywów, które stają się jego wokalną wizytówką. Głosy kosów przekraczają pełną oktawę, a ich echa znajdziemy w wielu klasycznych dziełach, nawet jeśli ich kompozytorzy nie zawsze się do tego przyznawali. Byli jednak i tacy, którzy otwarcie mówili o swoim podziwie dla kosowych improwizacji. Richard Strauss (z tych drugich Straussów) otwiera swoją flagową operę, *Kawalera srebrnej róży*, klarnetem, który przez kilka minut naśladuje kosa. Olivier Messiaen napisał na flet i fortepian słynne *Le Merle noir*, *Kos*. Nawet Beatlesi nagrali zainspirowaną kosowymi trelami piosenkę i zatytułowali ją *Blackbird*, *Czarny ptak*, co po angielsku znaczy „kos". No bo i jak inaczej nazwać kosa…?

Ciekawe, że ptaki mieszkające w lasach, z których wiele odlatuje na zimę, śpiewają dużo bardziej urozmaicone melodie niż przeważnie osiadłe kosy miejskie. Prawdopodobnie dzieje się tak

dlatego, że wędrowcy wplatają do swoich pieśni motywy zasłyszane od kolegów z zachodniej i południowej Europy, gdzie nasze ptaki spędzają zimę, a dokąd zlatują się również te z północy i wschodu. Całoroczne mieszczuchy nie mają szansy na takie spotkania, a inspiracje czerpią od tak samo zasiedziałych ziomków. Oni za to dłużej trwają w swoich parach. Spośród kosów lęgnących się w północno-zachodniej Polsce po zakończonym sezonie rozpada się połowa związków, w zachodnich Niemczech około jedna trzecia, a w Anglii, gdzie ptaki te są całkowicie osiadłe, tylko jedna piąta.

Miejskie, wiejskie czy leśne – wszystkie kosy są bardzo czujne i zapewniają swoim sąsiadom system wczesnego ostrzegania. Zaniepokojone podrywają się z ziemi lub gałęzi, wybuchając serią szybkich, szeleszcząco-kwiczących okrzyków, które niejednemu gwałtownie podniosły poziom adrenaliny we krwi… W ciągu ostatnich 200 lat wiele kosów przeniosło się z lasów do miejskich parków i ogrodów. Strategiczne posunięcie na zurbanizowanym po brzegi kontynencie! Najpierw, w roku 1820, zaobserwowano je w bawarskich Bambergu i Erlangen. W Londynie, mieście, w którym być może jest ich dzisiaj najwięcej, kosy osiedliły się dopiero w latach 30. XX wieku. W dobrych, zielonych dzielnicach żyją tam w przeliczeniu na hektar co najmniej cztery pary, które wyprowadzają przynajmniej trzy lęgi w roku. Połączenie odsłoniętych trawników nafaszerowanych dżdżownicami z gęstymi

krzewami, w których można ukryć siebie i gniazdo, oraz wysokimi drzewami, z których można zaśpiewać, to dla kosów idealna kompozycja, bardzo już rzadka w tak zwanym naturalnym krajobrazie. Mimo podwyższonej śmiertelności w miastach i wysokich strat w lęgach, powodowanych przez koty i ludzi, kos to dzisiaj jeden z najliczniejszych europejskich ptaków, z populacją szacowaną na 40–82 milionów par, z czego u nas 2 786 000–3 865 000. Najstarszy, o jakim wiemy, przeżył 21 lat i 10 miesięcy[3].

Gdzie i kiedy patrzeć?

Przez cały rok na parkowe i ogrodowe trawniki, a wiosną również na wierzchołki drzew, szczyty dachów i anteny. Najlepiej o świcie, rano i pod wieczór.

Czego wyglądać?

Czujnego czarnego ptaka z pomarańczowożółtym dziobem i taką samą obwódką wokół oczu. To dorosłe samczyki. Samiczki i młodzież są w całości mniej lub bardziej brunatne z subtelnym

kreskowaniem, które fachowcy nazywają strychowaniem – u samiczek ciemniejszym, u młodzieży jaśniejszym, rudawym. Jeśli chcemy się upewnić, że ptak, który wylądował na trawniku, to kos, warto zwrócić uwagę na to, jak się porusza – to kombinacja truchtu, pauzowania i podskoków. Co rusz dumnie się prostuje, zadzierając wysoko ogon.

Czego nasłuchiwać?

Od lutego do lipca – eleganckich, melancholijnych, lekko jazzujących melodii na flet, przeplatanych dużo cichszymi smyczkami. Poza tym wybuchowych, trzeszczących i skrzypiących głosów alarmowych.

---

[2] Według *Ilustrowanego słownika muzycznego*: „Fraza jest to struktura muzyczna powstała w wyniku współdziałania takich elementów jak melika [składowa melodii], harmonika i rytmika. Struktura ta tworzy pewną zamkniętą muzyczną myśl i określoną całość wyrazową. Fraza składa się minimum z dwóch motywów muzycznych […]”.

[3] Wiek dzikich ptaków możemy określić dzięki zakładanym im obrączkom. Najstarsze daleko odbiegają od średniej lub oczekiwanej dla swojego gatunku długości życia. Za każdym razem, kiedy pada informacja o najstarszym ptaku, musimy jednak pamiętać, że jest to najstarszy ptak, o jakim wiemy, i nie możemy wykluczyć, że nie było gdzieś kosa czy modraszki, które doczekały jeszcze bardziej sędziwego wieku niż te zarejestrowane w międzynarodowych czy krajowych archiwach obrączkarskich.

Śpiewak,
drozd śpiewak

Wielkości szpaka, z wierzchu szarobrązowy, od spodu kremowobiały lub żółtawy, ciemno i gęsto nakrapiany – ale przeważnie i tak niewidoczny. To przez doskonale kryjące barwy, płochliwość i zwyczaj przesiadywania w koronach drzew lub pod nawisem gałęzi, dokąd daje nura przy najmniejszym

zaniepokojeniu. Śpiewaka, jeśli w ogóle, najczęściej zobaczymy na ziemi, gdzie na trawniku lub wśród opadłych liści w wielkim skupieniu poszukuje rozmaitych bezkręgowców – najchętniej dżdżownic. Najlepszym dowodem jego obecności w parku czy ogrodzie będzie nagromadzenie ślimaczych skorup w jakimś dobrze ukrytym miejscu. To tak zwana kuźnia – przeważnie ulubiony kamień, kowadło, na którym śpiewak otwiera swój obiad. Chwyta muszlę w dziób i zamaszystymi ruchami uderza nią aż do całkowitego pogruchotania. Pozostaje tylko obrać zszokowane, lepkie ciało z resztek wapiennego płaszcza i można połykać. Pycha! Spośród naszych ptaków robią to tylko śpiewaki i choć nie tylko one śpiewają, tylko one mają taki muzyczny przydomek. Chyba we wszystkich językach europejskich.

Zaczęło się od obyczajowego skandalu na greckim Olimpie. Otóż Tereus, wnuk samego Zeusa, najpierw uwiódł Filomelę – młodziutką siostrę swojej żony, Prokne – a potem obciął jej język, żeby nie mogła o tym nikomu powiedzieć. Dziewczyna utkała więc peplos (charakterystyczną szatę wkładaną przez starożytne Greczynki), w którego wzorach zaszyfrowała wiadomość dla swojej siostry. Kobiety zemściły się na Tereusie, zabijając jego syna, Itysa, i… podając mu go na obiad. Ten wpadł w szał, gdy dowiedział się o spisku (ale czy można mu się dziwić?!), a siostry uniknęły śmierci tylko dlatego, że litościwi bogowie całą trójkę zamienili w ptaki: Tereusa w dudka, jego żonę w słowika, a

Filomelę w jaskółkę. Ostatecznie jednak to śpiewaki otrzymały łacińską nazwę *Turdus philomelos*, upamiętniającą tamtą kochającą muzykę i śpiew dziewczynę. (*Philo* w grece znaczy „kochać", a *melos* – „śpiew"). Pierwszy człon, nazwa rodzajowa *Turdus*, oznacza po prostu drozda.

Wiosna to najlepszy czas, żeby usłyszeć, a może nawet wypatrzeć dyskretne kiedy indziej śpiewaki. Samczyki siadają wysoko w koronach nagich jeszcze drzew, dzięki czemu zapewniają sobie lepszą słyszalność. Ich piosenki są głośne, wyraźne, niemal stanowcze. Rozpoznamy je po tym, że niektóre frazy powtarzane są w seriach. Brzmi to trochę tak, jakby ktoś wołał: „Zosia, Zosia" albo „Filip, Filip, Filip…". Ci bardziej doświadczeni, a przede wszystkim utalentowani (śpiewak śpiewakowi bardzo nierówny!) pomiędzy imieninowe serie wplatają urokliwe pogwizdywania i szczebioty, a ich popisowe numery zaskakują bogactwem i muzyczną urodą. Najlepsi mają w repertuarze około stu fraz. Ich pierwsi nauczyciele to ojcowie i sąsiedzi, których starają się wiernie kopiować. Ale śpiewaki z upodobaniem naśladują też inne ptaki i dźwięki, podchodząc do wszelkich zapożyczeń w sposób bardzo twórczy, żeby nie powiedzieć: eksperymentatorski. Wybierają pojedyncze nuty lub całe fragmenty i wkomponowują je w swoje własne aranżacje. Anglosascy pionierzy tak bardzo tęsknili za charakterystycznymi trelami, że zabrali śpiewaki do Australii i Nowej Zelandii, gdzie te do dziś wołają wszystkich po

imieniu. Zawieźli je też do Ameryki, ale tam europejskie drozdy się nie zadomowiły. Najpewniej nie wytrzymały konkurencji ze strony licznych gatunków miejscowych[4].

Śpiewaki spotkamy w świetlistych lasach, zagajnikach, parkach i ogrodach, gdzie wiosną w gąszczu krzewów lub nisko na drzewach ukrywają swoje pracochłonne gniazda. Zaplatają je z traw, liści i korzonków, a od środka tynkują gliną. Na gładko! Samiczki składają w nich cztery lub pięć pięknie turkusowych, delikatnie nakrapianych jaj. Jak u większości drobnych ptaków śpiewających, jaja są wysiadywane przez około dwa tygodnie. Tyle samo czasu minie, zanim młode opuszczą gniazdo i rozproszą się w jego sąsiedztwie. Naiwne, bez pojęcia o świecie oraz wiedzy, kto wróg, a kto nie, jeszcze noszą resztki puchu na głowie i wielkie zajady w kącikach dziobów, przez co wyglądają na – delikatnie mówiąc – niezadowolone. Ich lotki i sterówki (odpowiednio pióra lotne na skrzydłach i w ogonie) są jeszcze nie do końca wyrośnięte, więc o lataniu nie ma mowy. Gapowate, pokraczne i brzydkie podloty! To teraz zginie ich najwięcej. Ale dłuższe pozostawanie w tłocznym, głośnym i coraz bardziej zabrudzonym gnieździe byłoby jeszcze bardziej ryzykowne. Dziuple są bezpieczniejsze, więc pisklęta, które w nich dorastają, wylatują później niż te z gniazd otwartych, dzięki czemu są trochę lepiej przygotowane do życia. Podobnie jak większość innych wróblowych, śpiewaki przeważnie mają dwa lęgi w roku.

Śpiewaki żyją średnio dwa lata i cztery miesiące – mniej więcej tyle, co inne drobne ptaki. Statystyki przeżywalności wszędzie zaniża wysoka śmiertelność młodzieży, która nawet u dużych zwierząt często przekracza 80 procent. Na tym tle zaskakująco dobrze wypadają drozdy brytyjskie. Według tamtejszych badań pierwszy rok przeżywa średnio 46 procent ptaków, podczas gdy wskaźnik przeżywalności dorosłych (rok i więcej) wynosi 56 procent. Najstarszy, o jakim wiemy, doczekał 17 lat i 8 miesięcy. Poza utratą i zatruciem przestrzeni życiowej szczególnym problemem śpiewaków są masowe polowania w południowej Europie (co prawdopodobnie tłumaczy ich dużą płochliwość) oraz koty. Nasza populacja szacowana jest na 1,2–1,8 miliona par, na całym kontynencie liczy ona 24–38 milionów.

Gdzie i kiedy patrzeć?

Najlepiej wiosną i latem, na parkowe i ogrodowe trawniki oraz wierzchołki drzew, z których śpiewaki śpiewają. Niektóre zimują na zachodzie kraju, ale większość we wrześniu i październiku odlatuje na zachód lub południe. Lecą po zmroku, niezbyt wysoko, dzięki czemu możemy usłyszeć, jak nawołują się miękkim „Sirrr”.

Podobnie kontaktują się ze sobą inne, migrujące w ciemnościach drozdy.

Czego wyglądać?

Niewidocznego ptaka z szaropłowym wierzchem i jasnym, czarno nakrapianym spodem.

Czego nasłuchiwać?

Imieninowych zawołań, z których każde powtarzane jest co najmniej dwa, trzy razy. Poza tym po drozdowemu wybuchowych, trzeszczących głosów alarmowych.

---

[4] Śpiewaki to w ogóle ptaki ważne dla brytyjskiej tradycji. Pełno ich w sztuce, anglojęzycznej literaturze, a przede wszystkim w poezji. Siedzący na gałązce głogu drozd stał się nawet symbolem pierwszoligowego klubu i drużyny

piłkarskiej West Bromwich Albion (WBA), której zawodnicy – a jakże – nazywani są drozdami, The Throstles. Współcześnie powszechnie używa się nazwy Song Trush, drozd śpiewak, ale Throstle wciąż ma silne konotacje literackie i, jak widać, sportowe.

Kwiczoł.
Prawie kolorowy drozd

Dość duży, z dużą głową i oczami, na które od dzioba zachodzą czarne sińce. Wyprostowana sylwetka, zaczepnie zadarty ogon, lekko opuszczone skrzydła oraz surowy, a może tylko skwaszony wyraz ptasiej *twarzy*… Wygląda jak zapięty pod szyję jegomość, który wypiął pierś do portretu. Wszystko to nie bardzo przystaje do tego, jak kwiczoł się porusza – na przemian trucht i ostre

hamowanie, przeplatane seriami podskoków. Jak jego kuzyni – kosy, śpiewaki, droździki, paszkoty – wszyscy drozdy pełną gębą! Dobrze widzą w ciemnościach (stąd te duże oczy), żyją w podobnych miejscach i mają podobne zwyczaje. Najłatwiej im się przyjrzeć, gdy polują na trawniku lub łące. Poważne i skupione, co jakiś czas zamierają w bezruchu, wypatrując i nasłuchując robaków żyjących w darni lub tuż pod jej powierzchnią. Pospiesznie przerzucają opadłe liście, kawałki kory i drobne gałązki – może i tam ukrywa się coś smakowitego? Tłuste dżdżownice to jest to, co drozdy lubią najbardziej. Nawet jeśli zapierając się, muszą wyciągać je spod ziemi, a te robią się coraz dłuższe i dłuższe. Kto wie, może wtedy lubią je jeszcze bardziej? Gdy jakąś złapią, pozostają na miejscu i wpatrują się w ziemię z jeszcze większą uwagą. Wiadomo: tam, gdzie był jeden *robak*, najpewniej będzie i drugi. W końcu nikt nie wie o *robakach* tyle, co drozdy. Gdy późnym latem ziemia wysycha, a zimą zamarza i dżdżownice schodzą głębiej, robakożercy przenoszą swoją uwagę na ślimaki, pająki, różne owady i ich larwy. Te większe schwytają czasami jakąś żabkę, myszkę lub ryjówkę. Kosy widziano nawet, jak łowiły małe rybki, a stadka migrujących kwiczołów lądują na odsłoniętych przez odpływ mieliznach, żeby raczyć się owocami morza. Lato i zima to też czas na prawdziwe owoce – choćby suszone albo mrożone.

Jak wszyscy w rodzinie, zdenerwowane i przestraszone kwiczoły wyrzucają z siebie kaskady ostrych, metalicznych, kwiczących dźwięków. Ich znak rozpoznawczy. Ale one pokwikują, nawet gdy zagadują jeden drugiego (to tak zwane głosy kontaktowe). Niektórymi zawołaniami przypominają szeleszczące sroki, brzmią jednak bardziej miękko i miaucząco. Ich chaotyczna piosenka nie miałaby szans podbić żadnej listy przebojów. Jakby wykonawcy nie mogli się zdecydować, w jakiej tonacji, w jakim tempie i stylu zaśpiewać, ani nawet czy głośno, czy tylko sobie pod nosem. Mogłoby się wydawać, że to jakaś rozgrzewka albo falstart, ale nie, to już wszystko. Są jeszcze dwie cechy, które odróżniają kwiczoły od ich bardziej wyrobionych muzycznie kuzynów: zaniepokojone nie chowają się w krzakach, tylko siadają wyżej, jakby chciały ocenić sytuację z bezpiecznego dystansu, przede wszystkim jednak lubią towarzystwo. Gdy tylko to możliwe (jest wystarczająco dużo jedzenia), zakładają nawet małe kolonie lęgowe. W naszych warunkach jest to zwykle kilka, kilkanaście rodzin. Gdzieś w nadrzecznym łęgu albo na drzewach w pasie zieleni ciągnącym się wzdłuż choćby najbardziej ruchliwej trasy w największym z miast. A może w jakimś parku, starym sadzie lub ogrodzie… Czujne ptaki ostrzegają się nawzajem i wspólnie bronią gniazd. Na wroga rzucają się z dzikim kwikiem, dziobami i pazurami. Albo podlatują wyżej i robią na niego kupę. Brzmi zabawnie, ale lepki, żrący kał zaskoczył już niejednego kota i uziemił niejedną wronę czy myszołowa. Ci, którzy uszli z życiem,

już nie zaryzykują polowania w kolonii kwiczołów. Nic dziwnego, że inne ptaki lubią mieć je za sąsiadów. Po zakończonych lęgach dorośli i młodzież łączą się w większe stada i zaczynają koczować bliżej lub dalej od swoich rodzinnych kolonii, nierzadko w towarzystwie szpaków albo czajek. Hałaśliwe i śmiało patrzące nam w oczy ptaki znikają, jakby zapadły się pod ziemię. Następnym razem okwiczą nas późną jesienią albo zimą, kiedy to za dnia odwiedzają wsie i miasta, a noce spędzają przytulone do ziemi na polach i łąkach.

Ciekawe jest pochodzenie kwiczołów. Podobnie jak dziki są potomkami pradrozdów, które wyewoluowały gdzieś w rejonie Karaibów i najpewniej przez Azję dotarły w końcu do Europy. Z kolei początek karaibskiej linii dały ptaki z Afryki, która jest kolebką całej (pod)rodziny drozdów i to stamtąd pochodzą nasze pozostałe cztery gatunki. Niezbadane są ścieżki życia na Ziemi[5].

Gdzie patrzeć?

Na trawniki, wilgotne łąki i pola oraz drzewa oblepione późnojesiennymi lub zimowymi owocami. Wiosną i wczesnym latem – w świetlistych, najlepiej nadrzecznych lasach, parkach i sadach.

Czego wyglądać?

Postawnego ptaka w typie drozda, z szaroniebieską głową, lekko zaznaczoną białawą brwią, ciemnym okiem i żółtym dziobem – szczególnie wyraźnym u samczyków w szacie wiosennej. Po okresie lęgowym dziób ciemnieje i wygląda jak u samiczek i młodzieży, u których żółta lub żółtawa jest tylko nasada. Do tego brązowe barki, grafitowoczarny ogon i ochrowożółta pierś, której prążkowanie przechodzi na bokach w ładny, łuskowany wzór. Wiosną kwiczoły jaśnieją, a ich barwy nabierają głębi i kontrastów. Warto zwrócić uwagę na lot prawie kolorowych drozdów – łopoczący, dynamiczny, przeplatany momentami szybowania. Jeśli jakieś stadko ptaków opada na wierzchołki drzew i wszystkie ustawiają się w tym samym kierunku, to na pewno będą to kwiczoły (albo dróździki).

Czego nasłuchiwać?

Mniej lub bardziej wybuchowego kwiczenia, skrzeczenia, szeleszczenia…

Kiedy?

Przez cały rok. Niektóre z naszych kwiczołów późną jesienią odlatują na zachód i południe, coraz liczniej jednak zostają i dołączają do nich ptaki z północnego wschodu.

---

[5] Tak zwane drozdy właściwe – łącznie około 84 gatunki – żyją dzisiaj na wielu wyspach i wszystkich kontynentach z wyjątkiem Antarktydy. Wystarczy spojrzeć na któregokolwiek z nich i od razu wiadomo, że to jeden z drozdów!

Pliszka siwa.
Pasikonik wiercipiętka

Łacińskie *Motacilla* jest zdrobnieniem od kogoś, kto się ciągle rusza (*-illa* to przyrostek zdrabniający) – wiercipiętka – i bardzo

dobrze oddaje charakter zarówno pliszki siwej, jak i jej kuzynek. Z gracją i wdziękiem, których nie sposób podrobić, pliszka siwa rusza się cały czas. Najbardziej ruchliwy jest jej długi ogonek. Pierwsza teoria na jego temat zakładała, że pliszki w ten sposób wypłaszają z trawy owady, które potem łowią. Ale żadne badania tego nie potwierdziły. Kiedy już pozwoliliśmy ptakom odczuwać emocje, testowaliśmy hipotezę, że ów ogonek to przekaźnik nastrojów oraz pantomimiczny sposób na zdalną komunikację z ziomkami. Tego też nie udało się dowieść. Dzisiaj uważa się, że w pliszkowym ruchliwym ogonku nie chodzi ani o muchy, ani o emocje, tylko o zamanifestowanie czujności. To wiadomość dla potencjalnych drapieżników: mam cię na oku, więc nawet nie próbuj!

Pliszkę widziano jako „hożą" i „wesołą", czasami „pustą". Stąd zapewne powiedzenie „każda pliszka swój ogonek chwali", choć jeszcze w XVII wieku była to liszka, lisica. Nawet najwięksi ponuracy nie mogli jednak odmówić pliszkom uroku osobistego. Taneczna lekkość oraz niemożność usiedzenia na miejscu spowodowały, że tym razem to ich imieniem nazywano frywolne dziewczyny i lekkoduchych chłopaków. Mało który ptak doczekał się też tak wielu różnych nazw ludowych, co właśnie pliszka siwa. Zamiłowanie do rzek i potoków oraz pokazywanie się na ich brzegach albo wystających z wody gałęziach i kamieniach przydało jej miano praczki. (Tak całkiem na serio nazywają swoje

pliszki Hiszpanie, *lavandera*, przy czym siwa jest u nich biała, *la lavandera blanca*). Moje ulubione to krówka, kopytko i pasikonik. Wzięły się od zwyczaju uganiania się wśród koni i krów, które nie tylko skutecznie płoszą ukrywające się w trawie owady (na pewno skuteczniej niż choćby najbardziej niespokojny ogonek), ale jeszcze przyciągają ich całe chmary. Czegóż więcej mogłaby chcieć głodna pliszka? (Te pasterskie nazwy mogły się też odnosić do jeszcze bardziej związanej z łąkami pliszki żółtej, która zimą z takim samym wdziękiem kręci piruety między kopytami afrykańskich bawołów, zebr, antylop i słoni).

Gdyby filuterny ptaszek jakimś cudem umknął naszej uwadze, jest jeden dobry, choć przeważnie przypadkowy sposób na potwierdzenie jego obecności. Jeśli w jakimś absurdalnie nieptasim i ryzykownym miejscu wpadniemy na nisko posadowione gniazdko (z bardzo głębokim wnętrzem, starannie zaplecionym z traw i korzonków, wyłożonym włosiem i sierścią, a czasami pojedynczymi piórami), to najpewniej będzie to gniazdko pliszki siwej. Ma ona szczególną słabość m.in. do złomowisk, placów budowy, cegielni, bocznic kolejowych, składów maszyn, drewna i materiałów wszelkich, a nawet zaparkowanych na dłużej pojazdów. Żeby tylko… Pewna para zbudowała gniazdo pod siedzeniem kierowcy samochodu pracującego na dużym wyrobisku. Miała szczęście! Kierowca wiedział o tym fakcie i *dogadał się* z ptakami, że do wylotu piskląt będzie używać swojego

pick-upa tylko raz dziennie, zawsze o tej samej porze, przez około 15 minut. Pliszki chętnie osiedlają się na bobrowych tamach i żeremiach, w gniazdach bocianów, a nawet orłów, zyskując przy okazji niezłą ochronę. Na arktycznych plażach zakładają gniazda nie tylko we wrakach porzuconych maszyn lub statków, ale i w pobielałych czaszkach wyrzuconych na brzeg wielorybów czy morsów. Tak, nasze wiercipiętki pod postacią około 10 podgatunków zamieszkują kawał świata. Od północnych krańców Maroka i wschodniej Grenlandii, przez całą Europę i dalej, aż po krańce Chin, Japonii, Kamczatki i Czukotki, skąd tanecznym krokiem przedostały się na pobliskie wybrzeża Alaski. Łącznie jakieś 130–230 milionów ptaków na powierzchni 10 milionów kilometrów kwadratowych. U nas pliszki żyją w parach lub rodzinach, a samczyki bronią swoich terytoriów przed konkurentami, za to na zimowiskach skupiają się czasami w kilkutysięczne stada. (Co i tak jest niczym przy 750 tysiącach pliszek żółtych, które jeszcze w latach 90. zlatywały się na nocleg w trzcinowiska Parku Narodowego im. Królowej Elżbiety w Ugandzie)[6].

Gdzie patrzeć?

Na parkingach, stacjach paliw, placach budów, wyrobiskach, składowiskach, złomowiskach, po wsiach, miastach i przedmieściach. W dolinach rzecznych, nad strumieniami, na łąkach i pastwiskach. A także na narodowe emblematy Łotyszy, którzy wybrali pliszkę siwą na swojego ptaka herbowego.

Czego wyglądać?

Smukłego ptaszka, który porusza się jak miniaturowa primabalerina, ciągając za sobą długi, niespokojny ogonek. Ogonek jest czarny, biało obrzeżony. Białe są też brzuszek, wielkie poliki i czoło kontrastujące z czarnym kapturem i żabotem oraz dziobem i oczami. Plecy i pokrywy skrzydłowe są stalowoszare. Samiczki wyglądają jak samczyki, choć czerń na głowie i piersi jest mniej wyrazista, przetykana bielą i szarością.

Czego nasłuchiwać?

Dźwięcznego, lekko metalicznego „Pli(sz)!, Pli(sz)!”.

Kiedy?

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni, na zachodnich krańcach przeważnie cały rok.

---

[6] Od tamtego czasu liczebność pliszek żółtych znacznie spadła i takie kongregacje już się nie zdarzają.

Kulon,
hanka, kręcidupka, czyli skąd się wzięły nazwy ptaków

Choć w nazwach ptaków nie ma tyle literackiej fantazji, co w nazwach owadów[7], one też mogłyby ucieszyć niejednego językoznawcę: nur, podgorzałka, ogorzałka, uhla, markaczka, edredon, turkan, birginiak, mandarynka, karolinka, kłochtun, rożeniec, szlachar, ohar, kazarka, szczudłak, kulon, ostrygojad, batalion, stalugwa, szlamnik, słonka, maskonur, baba, jarząbek, grzywacz, orzechówka, kopciuszek, pokląskwa, kląskawka, wąsatka, wójcik, zniczek, mysikrólik, strzyżyk, rzepołuch, śnieżka, śnieguła, poświerka, piecuszek, pluszcz, podróżniczek, gadożer, kobczyk, kurhannik. Wiele naszych nazw ma wspólny źródłosłów z nazwami w innych językach słowiańskich – na przykład gołąb, jastrząb, łabędź, sójka, wilga. Często brzmią podobnie, czasami identycznie – na przykład kos. Są też i takie, których pochodzenie dzielimy ze wszystkimi językami indoeuropejskimi – a może i szerzej? – na przykład gęś, drozd, sowa. Takim słowem jest też jajko. Możemy się jedynie domyślać, że należą one do najstarszych i najważniejszych słów w naszej

kulturze – razem z mamą, tatą i mlekiem. Nazwy ptaków to często solidna lekcja geografii, kulturoznawstwa i mitologii. Niektóre, szczególnie te odnoszące się do gatunków egzotycznych, zapożyczyliśmy z ich rodzinnych stron, a także z greki i łaciny, które są podstawą nazewnictwa naukowego.

Imiona, które nadaliśmy ptakom, najczęściej mają praktyczny wydźwięk i w różnych językach nawiązują do tego, jak dany gatunek się odzywa, jak wygląda, jak się zachowuje, co je, gdzie żyje lub kto go odkrył. (Ta ostatnia to jedna z moich ulubionych kategorii. Za każdym razem, gdy trafiam na taką nazwę, ciekawi mnie, jaka historia się za nią kryje, co z kolei popycha mnie do dalszych poszukiwań. No bo kto, czytając o trznadlu Godlewskiego albo koniu Przewalskiego, nie chciałby się dowiedzieć, kto to był Godlewski albo co łączyło Przewalskiego z dzikim koniem z azjatyckich stepów?) Często nazwy dużo mówią nam o konkretnych ptakach, a nawet pomagają rozpoznać je w terenie. Bądźmy jednak czujni – niektóre mocno zniekształcają rzeczywistość i mogą okazać się zwodnicze. Weźmy taką mewę białogłową… Owszem, ma białą głowę. Kłopot w tym, że taką samą głowę ma 10 innych gatunków mew, które możemy u nas zobaczyć. Do tego z wierzchu wszystkie są siwe jak mewa siwa albo srebrzyste jak mewa srebrzysta i niektóre z nich wyglądają niemal identycznie. Ślepowron wbrew nazwie nie jest ślepą odmianą wrony, lecz czaplą, która budzi się nocą, a w ciągu dnia

woli spać. A że ma czerwone oczy, które mogły się kojarzyć z krwawiącymi oczodołami (idę o zakład, że widok takowych wcale nie był kiedyś czymś wyjątkowym), oraz kracze jak wrona, to nazwa gotowa. Pliszka siwa ma w swoim upierzeniu tyle samo szarości co pliszka górska i cytrynowa, a to, co być może najbardziej rzuca się w oczy, to biało-czarny rysunek na jej głowie. W innych językach bywa więc nazywana pliszką srokatą lub po prostu czarno-białą. Łabędź niemy może się taki wydawać jedynie w towarzystwie swoich kuzynów, łabędzi Bewicka, nazwanych tak na cześć angielskiego przyrodnika i artysty, Thomasa Bewicka, albo być może jeszcze głośniejszych łabędzi krzykliwych[8]. Makolągwa w makach się nie lęgnie – raczej w krzakach, najchętniej w jałowcach, ale wiadomo, że krzakolągwa by nie przeszła. W ogóle lepiej nie przywiązywać się zbytnio do nazw, które łączą dany gatunek z takim czy innym krajobrazem – na przykład puszczyk, sosnówka, zaroślówka, strumieniówka, wodniczka, gajówka, pokrzewka, górniczek. Idąc kluczem siedliskowym, taka czy inna pokrzewka równie dobrze mogłaby nazywać się zaroślówką, a pełzacz leśny ogrodowym. Z drugiej strony trzcinniczek, a tym bardziej trzciniak brzmią naprawdę pomocnie i ustawiają nas na dobrej ścieżce.

Takich trafnych, bardziej jednoznacznych nazw jest więcej. Rybołów na przykład normalnie żywi się wyłącznie rybami. Trzmielojad częściej niż trzmielom łupi gniazda osom i zajada się

ich larwami, ale też możemy zaliczyć. Drzemlik, mały sokół, który pojawia się u nas na przelotach i zimowiskach, całymi godzinami przesiaduje w jednym miejscu, zachowując się, jakby… drzemał. Długoszpony, tropikalni kuzyni naszych siewek, rzeczywiście mają długie palce, prawdopodobnie najdłuższe spośród wszystkich ptaków. Ale uwaga – palce, nie szpony! Dziób płaskonosa faktycznie wygląda jak wielki, spłaszczony nos. Grubodziób, szablodziób, warzęcha albo egzotyczni trzewikodziób, brzytwodziób, kapodziób – to kolejne ptaki, które swoje wiele mówiące nazwy zawdzięczają charakterystycznym dziobom. Najwięcej ptaków po prostu woła swoje imię. U nas są to między innymi bąk, gęgawa, krakwa, kulik, rycyk, kszyk, derkacz, puchacz, pójdźka, turkawka, kania, kukułka, dudek, jerzyk, kwiczoł, brzęczka, czeczotka, czyżyk, dzwoniec, szczygieł, a nawet mewa, przy czym jej nazwa przyszła do nas z niemieckiego – *die Möwe*. Jest jeszcze niemała grupa, która dzieli swoje nazwy z roślinami, porostami i grzybami, i trudno już dojść, kto był pierwszy: głowienka, orlik, orlica, pierwiosnek, pomurnik, wroniec, kiwi, kamusznik, pustułka, gąska, kurka, gołąbek. W przypadku kani i kukułki możemy bezpiecznie założyć, że to ptaki zapoczątkowały nazwy swoimi zawołaniami.

Naukowcy i ptasiarze sztywno trzymają się dzisiaj oficjalnych nazw, ale jeszcze nie tak dawno wiele gatunków nazywano zamiennie na kilka sposobów i nikogo to nie raziło. Szczególnie

bogate i oryginalne było przeważnie już zapomniane nazewnictwo ludowe. Te same ptaki różnie nazywano w różnych częściach kraju, a czasami odwrotnie – w różnych rejonach różne ptaki nosiły takie same imiona, szczególnie jeśli były niebieskie, jak modrak, modrzyk, modraszka, modraczek… Z czasem jedne nazwy się utrwalały, a inne zanikały – na przykład:

Nurek, rybak, pirnykoza, perdykoza – perkoz dwuczuby.

Czapla zdrobniała, czapla maleńka, huczek – bączek.

Iwanko, staś, ksiądz wojciech, wojtek, klekot, bociun, bocan, boćko, busiek, buśko, busion, klebocon, wosio – bocian biały.

Trulak, żór – żuraw.

Orzołek, koziołek, kiwitka, kiwita, kniga, knichuta, pichytka – czajka.

Baranek, koza, bekas – kszyk.

Łamignat, birkut, bielec, białogłów, białogon – bielik.

Szulak, kurzaj, gołębiarz – jastrząb.

Murzynek – jerzyk.

Rąbacz, cieśla, kowal, doktor – dzięcioł.

Mrówczarz, szadopiór, długojęcyk – krętogłów.

Zofija, żofija, fijółka, wywiołga, wywielga, wywilga, żółtaczek, boguwola, złotnia – wilga.

Gapa, haweren – gawron.

Gałka, hanka (prawda, że ładnie?) – kawka.

Węgielnik, mlaskacz, gazda szałaśny, szałaśnik, paliogon, rudogon, czerwonogon, pleszka domowa, gwizdek połoninka, kominiarczyk – kopciuszek.

Saławiej, bekwarek (od znanego renesansowego lutnisty Valentina Bakfarka) – słowik.

Pastuszka, młynarz, trzęsiogonek, kręcidupka, trzęsidupka, pasterka, pastuszek, wołosiejka, pasikonik, podpólka, pieńka, młynarka, bachsztelka, latopierz, wosiecznik, łysy maciek – pliszka siwa.

Piegża malinówka, gajówka rudopierś, czerwienka, ludarka, włodarka, raszka, gil – rudzik.

Ludarka, popek, wole oczko, czerwonobrzuszek – gil.

Drozd jemiołowy, czubak, jedwabniczka, anielucha, jemiołucha, jemielucha – jemiołuszka.

Jaskółka domowa, domaszka, kominówka, gżegżelanka – jaskółka dymówka.

Na koniec gżegżółka za kukułkę. Niby jedno tylko imię na zmianę, za to takie, które ma na sumieniu niejedno oblane dyktando…

Jeśli któreś z tych starych imion Was rozbawiło, to zapraszam na wycieczkę po angielskich, całkowicie aktualnych. W internecie krążą nawet listy, na których można głosować na najbardziej zabawną lub absurdalną nazwę ptaka. *Andean Cock-of-the-rock*, andyjski kur skalny, po polsku skalikurek andyjski, wygrywa większość takich plebiscytów w przedbiegach. Nic nadzwyczajnego? Tylko że *cock*, tak samo pisane i mówione, we współczesnym, w szczególności amerykańskim angielskim znaczy tyle, co męski członek wyrażony dosadnie. I tak oto mamy dumnego zwycięzcę: andyjskiego kutasa ze skały. Nietuzinkową nazwę herbowego ptaka Peru malowniczo dopełniają jego wyzywający wygląd i godowa choreografia. Do pierwszej dziesiątki zwykle trafiają himalajski kutas śnieżny, *Himalayan Snowcock*, ułar himalajski, oraz poczciwa słonka, która po angielsku nazywa się *Woodcock* – kur leśny, ewentualnie drewniany, albo sami wiecie co… Na wysokich pozycjach przeważnie lądują różne gatunki morskich kormoranów, które Anglosasi nazywają *shag*, co dla współczesnych i niezorientowanych w ornitologicznej nomenklaturze oznacza jedno: bzykanie lub bzykającego. I wcale nie chodzi tu o unoszące się w powietrzu owady… (Dodam, że na potrzeby naszej prozy zdecydowałem się na chyba trochę mniej akuratne, za to grzeczniejsze tłumaczenie). To, że w języku

angielskim to samo słowo w zależności od kontekstu gramatycznego może być czasownikiem albo wieloznacznym rzeczownikiem, czego *shag* jest najlepszym przykładem, stwarza nieograniczony potencjał do twórczej zabawy językiem i skojarzeniami. Zwykle najwięcej uwagi, co nie powinno nas dziwić, skupiają na sobie bzykacz z zakazaną gębą, kropkowany, pospolity oraz nie mniej intrygujący cesarski. Odpowiednio *Rough-faced*, *Spotted*, *Common* oraz *Imperial Shag*, po polsku kormoran szorstkodzioby, nakrapiany, czubaty, niebieskooki.

Ja mam szczególną słabość do angielskich sikorek – nazywają się *tits*. Cycki. Gdy obserwuje się więcej niż jedną – a tak przeważnie widuje się sikorki – to robi się naprawdę zabawnie: wielkie, niebieskie, węgielne, czubate, zwisające, ogoniaste. *Great*, *Blue*, *Coal*, *Crested*, *Penduline*, *Long-tailled* – bogatki, modraszki, sosnówki, czubatki, remizy, raniuszki. Gdybyśmy się wybrali z anglojęzycznym ptasiarzem do Grecji, to moglibyśmy tam wpaść na cycki posępne, a za oceanem na krzaczaste albo – usiądźcie wygodnie – cycate myszy. Odpowiednio *Sombre Tit*, *Bushtit* i *Titmouse* – sikora żałobna, raniuszek amerykański oraz pięć różnych gatunków sikor, które mają *titmouse* w podstawie nazwy, np. sikora kalifornijska lub mysia. W podobnej konwencji pojawiają się też niektóre południowe gatunki głuptaków, które mistrzowie dowcipu nazywają *boobies*. I owszem, jeszcze jedno słowo na cycki, które tym razem mogą być na przykład modro- lub

krasnonogie, brunatne, peruwiańskie, zamaskowane oraz – moje ulubione – cycki Abbota, nazwane tak na cześć swojego odkrywcy. *Blue-* oraz *Red footed*, *Brown*, *Peruvian*, *Masked* i *Abbott's Boobies* – głuptaki niebieskonogie, czerwononogie, białobrzuche, peruwiańskie, maskowe i czarnoskrzydłe. Językowej mocy nie można odmówić angielskim dropiom, wołanym sukinsynami. Zapis subtelnie się różni – *bustard* versus *bastard* – ale brzmienie jest identyczne. Mają tam między innymi sukinsyna małego, wielkiego oraz wielkiego indyjskiego. *Little*, *Great* oraz *Great Indian Bustard* – strepet, drop i drop indyjski.

I garść pojedynczych przykładów, które bynajmniej nie wyczerpują potencjału anglosaskich indeksów: *Noisy Pitta* – hałaśliwa pita, kurtaczek hałaśliwy, *Ruddy Pigeon* – gołąb, który w zależności od nastawienia lub humoru obserwującego może być rumiany albo wkurzający, choć zapewne będą i tacy, co przetłumaczą go bardziej dosadnie, po polsku gołąb lub gołąbczak brązowy. Angielscy ptasiarze mają jeszcze nudnego zjadacza nasion – *Drab Seedeater*, ziarnojadek Taczanowskiego (też nieźle!), monotonnego skowronka – *Monotonous Lark*, skowroniec białogardły, smutną muchołówkę – *Sad Flycatcher*, muchołap jamajski, wąsatego nakłuwacza kwiatów – *Moustached Flowerpiercer*, haczykodziobek rudowąsy (nic nie mówię), satanistycznego lelka – *Satanic Nightjarm*, rogatnik diaboliczny (ha!), rogatego wrzeszcza – *Horned Screamer*, skrzydłoszpon

rogaty, maleńkiego tyrana nieba –*Tiny Sky-tyrant*, skoczek karłowaty, bożą błyskotliwość – *Godwit*, rycyk oraz kłopotliwego strzyżyka pilingowego – *Perplexing Scrubwren*, solnik oliwkowy. Czyż można mu się dziwić…?

Nie ma to jak angielski dystans i poczucie humoru. Może to dobrze, że większość ptaków *don't speak English*, ale jak podpowiada Madonna, która na słowach zna się jak mało kto, nieważne, co mówią, najważniejsze, żeby mówili.

---

[7] Na przykład: psotnik zakamarnik, pilniczek włochatek, turkuć podjadek, niezdarka dziewica (gatunek pasikonika), bzyg brzęk i nieżłop nakwietny (rodzina bzygowatych), zgrzypik twardziel (rodzina kózkowatych), przekrasek mróweczka, pokątnik złowieszczek, tutkarz bachusek (chrząszcze), odorek zieleniak i wtyk straszyk (pluskwiaki) oraz niezawodne ćmy i motyle: zmierzchnica trupia główka, garbatka wielbłądka, tantniś krzyżowiaczek, czerwończyk dukacik, rusałka pawik, mieniak tęczowiec, paź żeglarz, paź królowej, niepylak apollo… Nazwom pająków, jak na przykład rozciągnik mchuś albo zyzuś tłuścioch, też nie sposób odmówić charakteru. Ani grzybom – ot, choćby takiemu sromotnikowi bezwstydnemu, według ostatnich zmian sromotnikowi smrodliwemu.

[8] Łabędzie Bewicka, popularnie nazywane bewikami, zostały u nas niedawno przemianowane na łabędzie czarnodziobe. Więcej na ten temat w

rozdziale *Czy bielik może być orłem?*

Sroka.
Czaka! Czaka! Cza!

Kiedy sroka przegląda się w słońcu, to tak, jakby weszła w strefę czarów. Pojawia mi się wtedy myśl, że za chwilę pyskaty ptak założy cylinder oraz wysadzaną brylantami kolię, chwyci czarną laseczkę i… zacznie tańczyć i stepować! Przez to połączenie

mieniącej się tęczowo czerni i bieli ludzie wierzyli, że sroka to omen dobrego i złego. Przesądni Anglicy do dziś na jej widok uchylają kapelusza (jeśli go mają) i mówią: „Dzień dobry, Pani Sroko". Ot, na wypadek gdyby zło miało wziąć górę nad dobrem. Szkoci wierzyli, że sroki już dawno przeszły na ciemną stronę mocy, że zadały się z czartem i nosiły kroplę ludzkiej krwi na języku, dzięki czemu mogły namawiać bogobojnych do grzechu. Dmuchając na zimne, wycinali znak krzyża na drzewach, na których osiedlały się gadające ptaki, aby w ten sposób pozbyć się złego za miedzą. Sroki od samego początku miały sporo za uszami. Mówiło się, że odmówiły Noemu wejścia na arkę – wolały zostać na zewnątrz i patrzeć, jak świat tonie. Po śmierci Jezusa porzuciły żałobę wcześniej, niż pozwalał dobry obyczaj, za co zresztą zostały przykładnie ukarane: żeby znieść jajo, najpierw muszą zwisnąć z gałęzi głową w dół, i to dziewięć razy z rzędu! W srokach przeważnie widziano psotnice i nicponki skłonne do kleptomanii, plotkarstwa i czczego gadania. Jeden z wielu dowodów w tej sprawie przeprowadził Jan Brzechwa w wierszu pod wiele mówiącym tytułem *Sroka*:

Siedzi sroka na żerdzi
I twierdzi,
Że cukier jest słony,
Że mrówka jest większa od wrony,
Że woda w morzu jest sucha,

Że wół jest lżejszy niż mucha,
Że mleko jest czerwone,
Że żmija gryzie ogonem,
Że raki rosną na dębie,
Że kowal ogień ma w gębie,
Że najlepiej fruwają krowy,
Że najładniej śpiewają sowy,
Że bocian ma dziób zamiast głowy,
Że lód jest gorący,
Że ryby się pasą na łące,
Że trawa jest blaszana,
Że noc zaczyna się z rana,
Ale nikt tego wszystkiego nie słucha,
Bo wiadomo, że sroka jest kłamczucha.

Dopełnieniem śmiałej sroczej sylwetki i charakteru jest długi, żywy ogon. Jeśli on nie wystarcza, w ruch idą skrzydła, które ptaki mogą otworzyć na bieli lub na czerni. Szybko składane i rozkładane działają jak widoczne z daleka światła odblaskowe, a znaki te, jak niemal wszystko, co robią sroki, służą komunikacji. Już ich czarno-białe mundurki są bardzo wyraźnym komunikatem. Efekty wizualne wzmacnia ochrypłe i donośne „Czaka! Czaka! Cza!". Charakterystyczny *rechot*, o którym Herbert pisał „śpiew grzechotnika", zapowiadał gości lub niespodziewane zdarzenia. Coś w tym może być, bo trudno sobie

wyobrazić, żeby sroki przegapiły cokolwiek nowego, co dzieje się w ich rewirze lub w najbliższej okolicy. Ich samych też nie da się nie zauważyć ani nie usłyszeć. Ale jeszcze 30–40 lat temu większość z nich ukrywała się w zakrzaczonych dolinach rzek, po skrajach lasów, w śródpolnych zagajnikach, czasami na obrzeżach wsi, co i tak nie chroniło ich przed niechęcią i prześladowaniami. Na coraz bardziej zatrutych polach trudniej było też o pokarm. Nie mając wiele do stracenia, sroki podjęły niezwykłą, ale dobrze znaną strategom wojskowym decyzję: przed ostrzałem artyleryjskim najlepiej uciekać w kierunku wroga. Gromadnie opuściły leniwe sioła, aby zamieszkać w miastach i miasteczkach. Ludzie zajęci swoimi sprawami są tutaj jakby mniej wrodzy, nie zabijają, nie niszczą gniazd i przede wszystkim wyrzucają ogromne ilości jedzenia, które można znaleźć na ulicy czy w śmietniku. W Przyrodzie nic się nie marnuje, co sroki każdego dnia udowadniają na wiele sposobów. Na przykład chętnie osiedlają się w sąsiedztwie dróg. Hałas tam i śmierdzi, ale codziennie są wypadki, w których ginie mnóstwo owadów i wiele drobnych zwierząt. Przedsiębiorcze ptaki nauczyły się korzystać z cudzego nieszczęścia, a czego nie zdążą zjeść na miejscu, chowają na potem.

Tempo miejskiego życia też jakby bardziej srokom pasuje. Czasu nie tracą, nudy nie znoszą. W mieście zawsze jest jakiś problem do rozwiązania albo coś nowego do nauczenia się. Na przykład jak

rozłupać orzechy włoskie za pomocą samochodu albo jak dobrać się do zamkniętego śmietnika z jedzeniem. Gdy sroki się najedzą i wypełnią codzienne rytuały, a godzina jeszcze młoda, to może się zabawią. Kilka z nich usiądzie gdzieś na drzewie i zacznie śpiewać. Tak, śpiewać! Może nie tak głośno i stylowo jak tradycyjne ptasie chóry, ale to stamtąd czerpią inspirację i trzeba im przyznać, że potrafią wyszczebiotać całkiem słodkie nuty. Mogą się tak bawić całymi godzinami. Warto też sprawdzić, co robią inni. Takie wrony na przykład. W końcu wrona sroce spod ogona nie wypadła. „Może zaprowadzi nas do jakiegoś fajnego jedzonka? A nawet jeśli nie, to zwyczajnie podokuczajmy jej! Wrony czasami próbują porwać nasze jaja lub pisklęta. Rzadko im się to udaje, bo nasze gniazda trudno sforsować, a my, sroki, w kaszę dmuchać sobie nie damy. Nawet jeśli w pobliżu nie ma naszego partnera lub partnerki (chociaż to bardzo mało prawdopodobne!), to zaczniemy tak krzyczeć, że za chwilę zlecą się wszyscy sąsiedzi. Razem popędzimy wronie kota! I każdemu, kto będzie na tyle nierozsądny, żeby z nami zadzierać. A skoro już o kocie mowa… Wrona, szczególnie jedna, to żadne wyzwanie. Ale taki kot to jest dopiero coś! W sam raz dla ptaków, co lubią adrenalinę. A gdyby tak jeszcze pociągnąć kota za ogon… Oczywiście w momencie, gdy moja partnerka lub kumple grają mu na nosie… Co za emocje! A do tego poprawi mi się status i wzrośnie uznanie wśród sąsiadów (i sąsiadek!). Żaden kot nam nie da rady, gdy jest nas więcej, bo koty w przeciwieństwie do nas

nie mają pojęcia o grze zespołowej. Kota, wronę oraz innych prześladowców warto podręczyć choćby profilaktycznie. Wystarczy potem, że któraś z nas krzyknie «Cza!» i od razu dają nam spokój. Ot, taki odruch Pawłowa, który warto wzmacniać…" I tak srokatym ptakom upływa życie w mieście. Mają więcej czasu na rozrywki, bo nie muszą go tyle poświęcać na szukanie jedzenia i oglądanie się na wrogów. A ponieważ miejskie pary osiedlają się bliżej siebie, kwitnie życie towarzyskie. Czaka!

Para srok jest jak para butów – zawsze razem. Z bliska okazuje się jednak, że panowie często zachowują się jak zazdrośni *macho*, a ich partnerki to tolerują. Do czasu, bo rozwody nie należą do rzadkości. Srokate dziewczyny są praktyczne – może je skusić lepsze, bardziej zasobne terytorium lub po prostu atrakcyjniejszy partner. Niektórzy są obsesyjnie zazdrośni i w sezonie lęgowym nie spuszczają swoich wybranek z oczu. Oczywiście poza momentami, gdy pojawia się okazja, żeby samemu zrobić skok w bok… Warto mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Może sąsiad na chwilę odleci, bo za rogiem jakiś hałas i – jak przystało na prawdziwą srokę – musi zobaczyć, co się tam dzieje. A może jest bardzo zajęty, bo znalazł nową zabawkę i główkuje, do czego ludziom potrzebny jest taki klocek Lego na przykład. Albo znużony pilnowaniem żony zwyczajnie zasnął na chwilę. Wówczas ten drugi przelatuje cichutko z gałęzi na gałąź, ostatnie metry na pieszo (!) – bez tradycyjnej gry wstępnej oraz typowego

szeleszczenia zmierza prosto do celu. Sekundy! Lepiej, żeby nikt nie widział, bo awantura będzie straszna. I tak, gdy oni zdradzają, one najwyraźniej też się nie nudzą. Co zaskakujące, sroki rzadko kochają się we własnej parze – niektóre zaledwie trzy razy w ciągu sezonu. Za to gdy któreś z pary ginie, drugie będzie go szukało, wołało i tęskniło. Gdy owdowiała sroka odnajdzie ciało swojego partnera albo gdy ptak umarł na jej oczach, będzie próbowała go podnieść, ocucić, obudzić… Razem z najbliższymi sąsiadami lub rodziną wyprawią mu pogrzeb (oczywiście bez pochówku), ale smutek i żałoba nie mogą trwać wiecznie. *The show must go on*: Czaka! Czaka! Cza!

Znane ze swojej inteligencji sroki jako jedne z zaledwie kilku gatunków zdały tzw. test lustra, który zdaniem naukowców dowodzi świadomości siebie i swojego wyglądu. Ciekawe, że wygadane i wszędobylskie czacza-ptaki są tyleż odważne, co czujne i płochliwe. Ale gdyby to nas prześladowano przez całe wieki, też byśmy nikomu nie ufali. Tym bardziej że ostatnio znowu dużo się mówi o „złej naturze" srok i znowu oficjalnie się ich nie lubi. Spekuluje się, że podbiły kraj, i oskarża, że to przez nie ubywa wróbli w miastach. Albo o to, że rabują jaja i pisklęta tzw. ptaków łownych i myśliwym zostaje mniej kuropatw do zabicia. Do listy zbrodni i podejrzeń dorzuca się nawet wykradanie karmy miejskim kotom… Nikt nie mówi, że sroki nigdy nie dopuściły się żadnego z zarzucanych im czynów,

stanowczy sprzeciw musi jednak budzić skala przypisywanych im występków. Badania dowodzą, że sroki najczęściej żywią się różnymi bezkręgowcami, lubią też owoce i nasiona, a populacje rzekomo prześladowanych przez nie gatunków kurczą się tak samo szybko tam, gdzie srok jest dużo, jak tam, gdzie ich nie ma. Dotyczy to w takim samym stopniu ptaków, które lęgną się w otwartych gniazdach, jak i dziuplaków, do których nawet przebiegłe sroki nie są w stanie się dobrać. Co więcej, w miastach zaczęło przybywać różnych gatunków drobnych ptaków w tym samym czasie, w którym rosła w nich liczebność srok. Wygląda na to, że znowu znaleźliśmy sobie kozła ofiarnego i chcielibyśmy spać spokojnie. Czas przestać powielać mity o tym, że sroki są winne kryzysowi demograficznemu ptaków śpiewających. To nie sroki, ale my odpowiadamy za dewastację miejskich i wiejskich terenów zielonych oraz przydomowych ogrodów. Za hekatombę drzew i krzewów jak Polska długa i szeroka, za nadużywanie pestycydów tak w miastach, jak i na polach. Za ciągłe strzelanie do ginących na naszych oczach kuropatw czy za wałęsające się koty. W Polsce żyje dzisiaj 390–441 tysięcy par srok. Niewiele więcej niż w przeszłości, za to w innych miejscach – bliżej nas. Zamiast przypisywać srokom nasze winy, zacznijmy się do nich uśmiechać. „Dzień dobry, Pani/Panie Sroko” rzucone mijanemu biało-czarnemu ptakowi z charakterem nikomu nie zaszkodzi, a niektórym pomoże. Czaka-Cza!

Gdzie patrzeć?

Na wierzchołki drzew i krzewów, na dachy, trawniki, chodniki, pobocza dróg, w sąsiedztwo koszy na śmieci i śmietników.

Czego wypatrywać?

Długiego, czarnego ogona, przyczepionego do krągłego, wyraziście biało-czarnego ptaka, najczęściej w towarzystwie co najmniej jeszcze jednego takiego samego. Solidnej, kulistej konstrukcji z patyków, wysoko na drzewie albo w gęstych krzakach – to srocze gniazdo. (Nikt inny z naszych ptaków takiego nie buduje, ale wielu chętnie w nich zamieszkuje).

Czego nasłuchiwać?

Wybuchowego, chropowatego szelestu: „Czaka! Czaka! Cza!”.

Kiedy?

Przez cały rok.

Wrona.
Siwa albo czarna

W berżeretkach, balladach, canzonach
Bardzo rzadko jest mowa o wronach,
A ja mam taki gust wypaczony,
Że lubię wrony…

Los im dolę zgotował nieletką:
Cienką gałąź i marne poletko,
Czarne toto i w ziemi się dłubie –
A ja je lubię…
Gdy na polu ze śniegiem wiatr wyje,
Żadna wrona przez chwilę nie kryje,
Że dlatego na zimę zostają,
Że źle fruwają…
Ale wrona, czy młoda, czy stara,
Się do tego dorabiać nie stara
Manifestów ni ideologii –
I to ją zdobi…
Gdy rozdziawią dziób – wiedzą dokładnie,
Że ich głosy brzmią raczej niełądnie,
Lecz nie wstydzą się i nie tłumaczą,
Że brzydko kraczą…
I myśl w głowach nie świta im dzika,
By krakaniem udawać słowika,
By krakaniem nieść sobie pociechę –
I to jest w dechę!
Żadna wrona się także nie łudzi,
Że postawi ktoś stracha na ludzi,
Co na wrony i we dnie, i nocą
Czyhają z procą…
Wrony fruną z godnością nad rżyskiem,

Jakby dobrze im było z tym wszystkim,
I w tym właśnie zaznacza się wronia
Autoironia.
Nie udają słodyczy nieszczerze,
Mężnie trwają w swym szwarccharakterze,
Nie składają w komorę zasobną,
Jak więcej dziobną.
Wiedzą, że – mimo wszelkie przemiany –
Nie wyrosną na rżysku banany,
Nie zamienią się w kawior pędraki,
Bo układ taki… […]

Tak śpiewał o wronach Wojciech Młynarski w piosence *Lubię wrony* (1971). Nie są to moje ulubione ptaki, ale pan Wojciech jest jednym z moich ulubionych tekściarzy i bardzo mi się podoba, jak uchwycił ich asertywność i surową bezpretensjonalność. Wronie tu i teraz. Nie doszukuję się w tym tekście drugiego dna ani politycznych metafor, bo trudno mi sobie wyobrazić, żeby mistrz Młynarski dopatrzył się którejś z tych cech w naszym narodowym charakterze. To piosenka o wronach. I tylko jedno mi się nie zgadza – „Że źle fruwają…".

Niewiele naszych ptaków porusza się w powietrzu tak dystyngowanie jak wrony. Te siwe i te czarne. Bo wrony są dwie. Tak samo się zachowują, ale inaczej wyglądają. Jedna jest siwo-czarna i każdego dnia mijamy ją w parkach, na skwerach i

miejskich przystankach. Druga jest cała czarna. Czarnowron. Długi czas nie było zgody co do tego, czy to dwa podgatunki tego samego gatunku, czy jednak dwa niezależne gatunki. Obecnie systematycy skłaniają się ku tej drugiej możliwości, mimo że obydwa genotypy różni zaledwie 0,28 procent! Tym razem decyzję podjęto nie na podstawie informacji zawartych w garniturze DNA, ale podążając za wronim obyczajem, który nawet tam, gdzie stale stykają się obydwa plemiona, każe siwym wiązać się z siwymi, a czarnym z czarnymi. (Tak zwany dobór selektywny, równie mocno utrwalony w naszych kulturach). Wyjątków jest bardzo mało, a dzieci z mieszanych par podobno odznaczają się mniejszym wigorem i gorzej radzą sobie w życiu. To, co zawsze najbardziej intrygowało mnie w tej historii, to geografia. Wschodnie granice państwa wron siwych ciągną się od zachodniej Syberii przez Kazachstan do Mezopotamii i Azji Mniejszej, a zachodnie od Italii przez Austrię, Czechy i pogranicze polsko-niemieckie aż po wybrzeża Skandynawii, plus bonus w postaci Szkocji i Irlandii. I teraz robi się naprawdę ciekawie: Anglia i Walia, podobnie jak reszta Europy oraz wyspowo cały Daleki Wschód aż po Japonię i Koreę, należą do wron czarnych. (Być może nie mniej interesujące jest to, że wrony, tak jak wszystkie krukowate, najpewniej pochodzą z Australii, a wykluły się w niej jakieś 17 milionów lat temu, kiedy jeszcze nie była tak daleko).

Wrony wiążą się w pary na życie, ale dziewczyny nie mają w tych parach tak dobrze jak ich kuzynki kruczyce, gawronice czy kawczyce. Co prawda partnerzy wron też przynoszą jedzenie, gdy one siedzą na jajach, ale gdyby liczyły tylko na nich, toby pewnie z głodu odleciały. On we wszystkim musi być pierwszy – również przy stole, a gdyby jego partnerka się zapomniała, siłą jej o tym przypomni. Typowy macho. Kiedy na świat przyjdą nagie, ślepe i brzydkie jak uśmiech czarta pisklęta, to ona będzie główną żywicielką rodziny. Co najmniej dwa miesiące ciężkiej pracy. Przez pierwszy z okładem dzieciaki rosną w gnieździe, a w kolejnym uczą się życia pod okiem rodziców, którzy wciąż zapewniają im większość cateringu. Na szczęście dla nich i nieszczęście wszystkich dookoła wrony zjedzą wszystko i każdego, kto im sprzed dzioba nie ucieknie. Nieważne, żywy czy martwy, zwierzę czy owoce, nasiona czy orzechy. Nawet gdyby miały po nie wejść do czyjejś nory lub dziupli. Wrony sprawdzają nawet zarzucane w lodowych przeręblach wędki. Jeśli wyczują jakieś obciążenie na końcu żyłki, ryba jest ich! Wielu z nas na pewno obserwowało już wrony otwierające orzechy włoskie za pomocą jeżdżących po ulicy samochodów. Najchętniej robią to tuż przy przejściach dla pieszych, bo tam jest najbezpieczniej. Nadwyżki jedzenia chowają na potem. Jeśli któregoś dnia w doniczce na balkonie znajdziecie coś nietypowego, np. czyjeś jajko, martwą mysz lub kotlet, prawdopodobnie podrzuciła je tam wasza sąsiadka wrona. Ale nie martwcie się, na pewno o tym pamięta!

Wrony poza sezonem lęgowym, szczególnie te stanu wolnego, chętnie trzymają się w mniejszych lub większych grupach. Dzięki temu są jeszcze bardziej przekonujące, gdy prześladują słabszych lub szukają jedzenia – na przykład napadając na inne ptaki, koty lub ludzi. I lepiej z nimi nie zadzierać, bo mają świetną pamięć, potrafią planować, liczyć i rozpoznają nas po twarzach – a także po sylwetce czy sposobie poruszania się. Siebie nawzajem też. Oraz po imionach, które sobie nadają. Wronie gangi jeszcze lepiej się sprawdzają, gdy bronią się przed silniejszymi od siebie, szczególnie że w potrzebie przylecą zaalarmowane koleżanki z sąsiedztwa. Dobrze zorganizowane wrony mają niewielu wrogów naturalnych, a ci nieliczni to nie byle kto: jastrzębie, sokoły wędrowne, orły przednie i puchacze, które czasami się we wronach rozsmakowują. Najstarsza, o jakiej wiemy, przeżyła 16 lat i 9 miesięcy.

Gdzie patrzeć?

W miejskich parkach, na skwerach i blokowiskach oraz bardziej tradycyjnie, w dolinach dużych rzek. Wrony najczęściej zobaczymy na ziemi, gdzie szukają jedzenia, albo na wierzchołkach drzew, skąd monitorują okolicę.

Czego wyglądać?

Dość dużego, pewnego siebie i czujnego szarego ptaka z wyraźnie odcinającym się czarnym kapturem i żabotem. Czarne są też skrzydła, ogon i wielki dziób. (Uwaga, za Odrą i za Uralem ten ptak będzie cały czarny). Przechadza się zdecydowanym krokiem, a w pośpiechu podskakuje. W wolnym, orlim locie zaznaczają się palczasto zakończone skrzydła.

Czego nasłuchiwać?

No ba! „Kra! Kra!" Głośne, ostre i gardłowe.

Kiedy?

Cały rok.

Kawka.
Najlepiej dwie

Kawka z Linz. Mało kto dzisiaj pamięta, że tak nazywano Hitlera (oprócz wielu innych epitetów, którymi go określano). *Die Dohle aus Linz*. Wszystko dlatego, że psychopatyczny dyktator cenił sztukę i rękoma swoich żołnierzy wyciągał ją z okupowanych muzeów, pałaców i domów. Swoje rodzinne Linz zamierzał uczynić kulturalnym centrum Europy. Planował tam wybudować gigantyczną galerię z zagrabionymi dziełami. Słabość do błyskotek miała go upodabniać do kawki, która po łacinie nazywa się *Corvus monedula*, wrona monetarna albo taka, która połyka monety. Ja wolę myśleć, że pieniężny epitet w imieniu kawki wziął się z mocnego spojrzenia jej srebrnych oczu. Szczególnie że jak do tej pory nie udało się potwierdzić, że kawki (czy sroki) lubią błyskotki. To nasza słabość, nie ich. Ot, zwyczajna, trochę wstydliwa projekcja[9].

W przedrolniczej Europie kawek musiało być bardzo dużo. Miały tutaj idealne warunki – mnóstwo dojrzałych, dziuplastych drzew rosnących w pierwotnych, świetlistych puszczach oraz nieprzebrane stada pasących się między nimi kopytnych, które przyciągały i odsłaniały chmary dużych owadów, ich tłuste larwy i pędraki, różne owoce i nasiona. Współczesne kawki żyją w znacznie mniejszych koloniach, a w poszukiwaniu nisz lęgowych przeniosły się do wsi i miast. Zasiedlają kominy, otwory wentylacyjne, wyłomy w murach, porzucone budowle i ruiny. Kiedyś mawiano nawet, że w zamku, w którym nie ma kawek,

straszy. O dobre miejsce na gniazdo jest tak trudno, że rezydenci często przez cały rok bronią go przed konkurencją.

Para kawek łączy się na całe życie, a partnerzy są nierozłączni. Nawet w przelatującym stadzie można ich rozpoznać, bo lecą blisko siebie. Przez cały rok, również poza sezonem lęgowym, okazują sobie wiele uwagi i czułości. Do rozwodów, jeśli w ogóle, dochodzi tylko w okresie pierwszych sześciu miesięcy bycia razem. Potem nawet kilkukrotna utrata gniazda lub lęgu to za mało, żeby doprowadzić do rozpadu związku. Kawcze społeczności mają charakter klasowy, a pozycja może być dziedziczona, wystarana lub przynależna. Najniżej w hierarchii są młode singielki. Każdy może je dziobnąć, a one nie mają nawet prawa się bronić. Są ostatnie w kolejce do jedzenia i schronienia, co oznacza, że mogą spać tylko na peryferiach noclegowiska, gdzie najbardziej wieje i gdzie najczęściej uderzają drapieżniki i złoczyńcy. Nie ma to większego znaczenia w czasach dostatku i w bezpiecznej okolicy, ale jak możemy się domyślać, ani jedno, ani drugie nie jest normą. Być może najlepszym sposobem na to, żeby poprawić sobie status, jest dobrze wyjść za mąż, a to dlatego, że dziewczyny przyjmują pozycję partnera. Wyżej wykluci częściej szukają partnerki z własnej klasy, ale kawki są romantyczne i historie jak z *Kopciuszka* są u nich na porządku dziennym. Nikt się nie dziwi, wszyscy to akceptują. Jeśli któregoś dnia usłyszycie śpiewane z komina *Pretty woman*, to już wiecie dlaczego. Nie musi to być

związek tradycyjny, bo u kawek jest dość wysoki odsetek par jednopłciowych (w różnych koloniach może sięgać kilkunastu procent), niczym niezwykłym nie są też trójkąty. To nie wszystko! Kawki są sobie wierne i należą do tych wyjątkowych ptaków, u których nie ma zdrad. Mają też bardzo silne poczucie wspólnoty. Wspierają sąsiadów w potrzebie, adoptują osierocone pisklęta, dzielą się jedzeniem (nie pierwszym lepszym, tylko tym lubianym i wysoko cenionym), przynoszą sobie prezenty. Może to ich, skądinąd dobrze znany i nam, sposób na unikanie konfliktów, budowanie relacji i zacieśnianie więzi? Może dlatego w kawczych koloniach jest tak mało przemocy, a tak dużo etykiety. W tarapatach mogą za to znaleźć się ranne lub wyraźnie chore ptaki, które bywają prześladowane, odpędzane, a nawet zadziobywane. Podarunki są oczywiście ważnym elementem ich (i naszych) rytuałów godowych. Oswojone kawki z taką samą atencją obdarowują bliskich im ludzi. Łatwo się z nimi zaprzyjaźnić i w ogóle porozumieć, bo jak wiele krukowatych świetnie odczytują nasze emocje – z wyrazu twarzy, postury, gestów i tonu głosu. Kawki szczególnie lubią kontakt wzrokowy i wystarczy im widzieć oczy, żeby wiedzieć, co nam w duszy gra, albo śledzić spojrzenie eksperymentatorów, żeby trafić do ukrytych smakołyków. W ten sam sposób potrafią odnaleźć zapasy swoich sąsiadów – np. srok, sójek, wron, wiewiórek. Płaty czołowe kawek (podobnie jak u większości pozostałych krukowatych i papug) są bardziej rozwinięte niż u innych ptaków. Odpowiadają między innymi za

uczenie się i obróbkę nowych doświadczeń. Stosunek wagi mózgowej do ciała jest u nich taki jak u szympansów, ciut mniejszy niż u człowieka. I jak się z nimi nie dogadać…?

Kawki to prawie wegetarianki. Rośliny wypełniają ponad 80 procent typowej diety dorosłych, które połykają nawet gastrolity – maleńkie kamyki zastępujące ptakom zęby i pomagające im rozetrzeć pokarm w żołądku. Poza nasionami, orzechami, owocami, kłączami i bulwami kawki zjadają sporo bezkręgowców – czasami trafi im się jakaś myszka, okazjonalne pisklę, jajo lub padlina. Jesienią i zimą łączą się w duże stada, które najchętniej nocują wśród miejskich zadrzewień – cieplej tam i mniej drapieżników. Za dnia lecą na okoliczne pola i łąki, gdzie świetnie dogadują się z kwiczołami, szpakami, śmieszkami i czajkami – oczywiście pod warunkiem, że te jeszcze nie odleciały. Wielkie kongregacje są dla ptaków jak centra informacji. Kto wie, czego się dowiadują i o czym sobie kraczą kawki, które z różnych stron zlatują się na te same zimowiska? Starożytni mieli powiedzenie, że łabędź zaśpiewa, gdy kawka zamilknie, co miało oznaczać, że mądrzy ludzie przemawiają dopiero, gdy głupcy przestają gadać. Ale to kawkę można nauczyć mówić, nie łabędzia.

Dawno temu, kiedy wszystkie kawki były białe, jedna z nich (a może był to kruk albo wrona?) powiedziała Apollowi, że Coronis (Koronis), jego dopiero co brzemienna kochanka, zdradziła go z Ischysem, zwykłym śmiertelnikiem. Dumny bóg tak się rozzłościł,

że za dziewczyną posłał swoją bliźniaczą siostrę Artemidę, która zabiła z łuku nie tylko Coronis, ale i całą jej rodzinę, a ptaka obrzucił wieczną czernią. Dzisiaj całe jego plemię jest czarne i nazywa się *Corvus*. Kawki, kruki i wrony. Ischys zginął od ognistej kuli samego Zeusa. Jaki z tego morał? Trzeba uważać, z kim się idzie do łóżka. Z drugiej strony może i dobrze się stało, bo wyobrażacie sobie białe stada kraczących ptaków, które wraz ze zmrokiem opadają na zimowy miejski park? Nie miałoby to żadnego sensu! Ja na przykład bardzo lubię te czarne chmury nad Sopotem. Ich gotyckie piękno i tajemnicę. Jesienią i zimą są największą ozdobą miasta. Przynoszą życie, nie śmierć. Szacuje się, że w całej Polsce mamy dzisiaj 286–352 tysięcy par lęgowych kawek. Dla porównania, na Wyspach Brytyjskich, gdzie jest o wiele więcej dojrzałych drzew z dziuplami (przeważnie dębów) – aż 1,6 miliona. W całej Europie około 30 milionów. Najstarsza kawka przeżyła 20 lat i 4 miesiące.

Gdzie patrzeć?

W miejskich parkach, na skwerach i pośród blokowisk. Na chodnikach, krawężnikach, przydrożach, na przylegających do wsi i przedmieść pastwiskach, na świeżo zaoranych polach i otwartych

śmietniskach – tam kawki szukają jedzenia. Przesiadują w koronach drzew, na szczytach dachów, anten i kominów. W niektórych miejscach Europy ich wieczorne, późnojesienne i zimowe sejmiki, przeważnie do spółki z gawronami, mogą liczyć dziesiątki tysięcy ptaków. U nas w przeważnie dużo mniejszych liczbach gromadzą się w niektórych miejskich parkach. Dobrym miejscem, żeby doświadczyć ich mocy, jest sopocki park Północny i Południowy.

Czego wyglądać?

Pozornie czarnego ptaka wielkości gołębia, który z godnością kroczy po trawniku, kręcąc kuprem z lewej na prawą i z powrotem. Gdy przyjrzymy się uważnie, jego czerń zamieni się w subtelny miraż szarości i grafitów z purpurowo-turkusowym blaskiem. Kawka to najmniejszy i obok gawronów najbardziej towarzyski z naszch krukowatych. W locie rozpoznamy ją po zwartych grupach, krótkim dziobie oraz głębokim, szybkim biciu stosunkowo małych skrzydeł. Z bliska – po wnikliwym spojrzeniu białych oczu.

Czego nasłuchiwać?

„Kaw! Kaw!” albo „Kaw-ka!”.

Kiedy?

Przez cały rok.

---

[9] Mechanizm obronny opisany przez Freuda, który polega na przypisywaniu innym własnych stanów, emocji, motywacji itp.

Wróbel.
Ptak, który udomowił świat

Wróble po lewej, mazurki po prawej

Się ma! – Się ma! – Ćwir! – Się ma! – Co mu? – Komu? – Komu? – Jemu! – Komu? – A, jemu! – Jąka się! – Ćwir! – Jąka się! – Słabo! – Czasem błąka się! – Się ma! – Jąka się! – Błąka się? – Ćwir! – Lało dwa dni, jak miał pięć! – Dwa dni lało! – Lało! – Lało dwa! – Jak z cebra! – Ćwir! – On miał pięć! – Zimno było. – Z cebra! Brrr! – Ćwir! – Wszystkie mszyce zmyło! – Gąsienice zmyło! – Ćwir! – Na Łokietka piwnice zalało. – Nic nie było! – Na Reymonta też! – Też! – Też! – Ćwir! – Wszystko zalało! – Zmyło! – Sąsiedzi, co

dzieci nie mieli, pomagali. – Ćwir! Ćwir! – Nasze małe trzy godziny głodowały. – Nic nie miały! – Na Reymonta też! – Igorowi syrinks zajął PIEŻ! – PIEŻ! – Ćwir! – Igorowi zajął PIEŻ! – Na Lipowej też! – Ćwir! – I jak on z tym lata? – Jak pustułka! – Ha-ha! – Jak pustułka! – Ma dziewczynę? – Śmiesznie ćwierka! – Może znajdzie się poświerka?! – Ha, ha! – Śniadania w ogródkach zaczęli! Lecimy, bo się nie załapiemy! – Ćwir! – Ćwir! – Ćwir!…

PIEŻ? Pogłodowe Implikacje Życiowe. Przypadkowo brzmią jak francuskie *piège* – sidła albo pułapka. Syndrom stworzony jedynie na potrzeby naszej opowieści, ale sprawa jest poważna. Otóż bycie dzieckiem lub nastolatkiem to wyjątkowo niebezpieczny okres w życiu każdego zwierzęcia. Rodzice, a nierzadko też dalsi krewni i sąsiedzi, chronią je i ukrywają, ale większość i tak skończy jako czyjś obiad lub zginie w jakimś nieszczęśliwym wypadku. Nie ma znaczenia, czy urodziłeś się w wilczej norze, otwartym gnieździe skowronków czy zajętej przez wróble dziurze w murze. W Przyrodzie twoje szanse na przeżycie rosną razem z tobą, więc na wszelki wypadek wszystkie dzieci rosną szybko, jak najszybciej![10] I chyba nigdzie nie rzuca się to w oczy tak bardzo, jak u małych i bezbronnych ptaków, wróblowatych. Często niespełna dwa tygodnie wysiadywania i mniej więcej tyle samo, zanim pisklęta opuszczą gniazdo. Jeszcze daleko im do samodzielności, o wiedzy i doświadczeniu, które przesądzą o ich przeżyciu, nawet nie wspominając, ale są już prawie tak duże jak ich rodzice. Ma to

swoje konsekwencje rozwojowe. Jak wiemy, różne organy i narządy, w tym ośrodki mózgowe, przechodzą fazy krytyczne, kiedy to większość energii wzrostowej (czy to w okresie płodowym, czy we wczesnej młodości) koncentruje się kolejno w takim, a nie innym miejscu. Tylko że to, co u nas zajmuje kilka tygodni, miesięcy lub lat, u ptaków może trwać niewiele więcej niż kilka godzin. Te same narządy wieczorem mogą wyglądać inaczej, niż wyglądały rano. Taki skokowy wzrost oznacza niewyobrażalne tempo przemiany materii i wymaga ogromnej ilości najlepszego paliwa. Doświadczeni rodzice wiedzą, że lepiej, aby ich dzieci siedziały w gniazdach wypełnione po uszy (dosłownie!) robakami, niż żeby głodowały przez pół godziny. Wiedzą też, co, kiedy i w jakich proporcjach podawać pisklętom, żeby zapewnić im prawidłowy rozwój. Jeśli dwudniowe załamanie pogody nałożyło się na krytyczny moment w rozwoju *ośrodka ćwierkania* albo wcześniej nad miastem przeleciał samolot z owadobójczym preparatem, Igor może być naznaczony tym wydarzeniem do końca życia. Nie musi to upośledzać wszystkich funkcji, ale lokalne wróble już zawsze będą słyszały jego kłopotliwe ćwierkanie, co może utrudnić mu awans społeczny lub znalezienie partnerki. Na to ostatnie szczególnie narażone są ptaki z bardziej wyrafinowaną piosenką.

Wróble żadnej piosenki nie mają, a już na pewno nie takiej, którą warto byłoby zanucić, ale mają bujne życie towarzyskie. Razem

śpią, kąpią się w piasku, a czasami w wodzie, latają na mrówki albo na lebiodę, jak się wykłosi za płotem, ostrzegają się przed niebezpieczeństwem, bronią kolonii… Tam, gdzie to możliwe, nawet gniazda budują w komunalnych klastrach. Coś jak afrykańskie wikłacze, ich bliscy krewni. Ale i tak najważniejsze, co wróble robią razem, to sejmikowanie. Każdego dnia cała kolonia spotyka się w ulubionych krzakach (ostatecznie na jakimś niskim, gęstym drzewie), żeby wspólnie poćwierkać. W typowych kiedyś dużych osadach poza sezonem lęgowym i przy dobrej pogodzie sejmiki nie milkły przez cały dzień, ale największe i najgłośniejsze odbywały się wczesnym rankiem i późnym popołudniem. Być może ptaki wymieniają bieżące informacje, rozprawiają o wcześniejszych wydarzeniach i planują kolejne. Cokolwiek to jest, sejmik polega na ćwierkaniu i jest najważniejszym wróblowym rytuałem społecznym. Wróbel bez swojej grupy nie istnieje, ale żeby w grupie się liczyć, musi ćwierkać głośno i wyraźnie. Sejmiki to też jedna z niewielu okazji, gdy przewodzenie obejmują chłopaki. A może tylko im (i nam) się tak wydaje…? W gniazdach, w rodzinach, w karmnikach i na trawnikach, gdzie wróble zbierają obiad, rządzą dziewczyny. Subtelnie i bez agresji. Przeważnie.

To najprawdopodobniej stan pól i trawników jest jedną z głównych przyczyn światowego kryzysu demograficznego wróbli. Normalnie 90 procent tego, co *elemelki* jedzą, to nasiona traw, ziół i kwiatów,

ale o te we współczesnych miastach bardzo trudno. Ogrodowe bukiety zastąpiliśmy wymyślnymi iglakami, a łąki i ziołorośla zalaliśmy betonem albo zmieniliśmy w jałowe trawniki. Na tych co tydzień koszonych nie ma szans, żeby jakieś zioła zakwitły i wydały nasiona. Nie uchowają się tam żadne łąkowe owady, które są podstawą zdrowego żywienia piskląt. Wiejskie obejścia wyglądają podobnie, a dookoła morze zatrutych monokultur. Rodzice rabują czasami zdobycz innym ptakom, żeby nakarmić swoje pisklęta, ale wiadomo, że to tylko akt desperacji, który nie rozwiązuje problemu. Dorosłe, szczególnie mieszczuchy, są bardzo pomysłowe, jeśli chodzi o zaprowiantowanie, i mogą całymi tygodniami żyć na śmieciowej diecie, jaka spada im z kawiarnianych stolików, ale ich dzieci karmione w ten sposób prawdopodobnie nigdy nie opuszczą gniazda. Kolejne utrapienia, z którymi zmagają się wróble, to drapieżnictwo kotów oraz ściśle z nim powiązany brak miejsc na gniazda i noclegi w naszych coraz bardziej uszczelnionych wsiach i miastach. Wróble pochodzą z ciepłych rejonów Azji i jakkolwiek zaskakująco to brzmi, bez dachu nad głową zimy nie przeżyją. Gdzie indziej znajdą schronienie w dziuplach, ale u nas to niemożliwe, bo wycięliśmy już chyba wszystkie dojrzałe drzewa. Jakby tego było mało, wycinamy też krzewy, a razem z nimi miejsca sejmikowania. To tak, jakby powiedzieć wróblom: możecie tutaj żyć, ale nie możecie być sobą… Na liście głównych podejrzanych, choć nie do końca zbadanych, są jeszcze: pełzająca epidemia ptasiej malarii oraz

szybko rosnące stężenie toksyn pochodzenia paliwowego i promieniowanie elektromagnetyczne związane z telefonią komórkową. Tymczasem nawet w bezpiecznych i dostatnich miejscach najwyżej jedna czwarta wróblowej młodzieży świętuje swoje pierwsze urodziny. Roczna przeżywalność dorosłych sięga tam 65 procent. W złych miejscach – wygasają całe kolonie. Najstarszy dziki wróbel, o jakim wiemy, doczekał 19 lat i 9 miesięcy, a pewien ptak w niewoli – 23 lat. Jeden i drugi to samczyki, które, jak się to często zdarza, statystycznie żyją dłużej niż samiczki i liczebnie nad nimi przeważają. Te ostatnie, pomimo że tak jak u wróbli mogą liczyć na pomoc swoich partnerów, ponoszą większe koszty związane z reprodukcją – doglądaniem i ogrzewaniem piskląt, wysiadywaniem jaj i rzecz jasna ich wytwarzaniem. Spędzają więcej czasu w gniazdach i częściej na nich giną, zaskakiwane przez drapieżniki.

Mimo tych wszystkich przeciwności i ostatnich strat wróble w statystykach bezwzględnych (bez odniesień do przeszłości) wciąż dobrze się trzymają. Według Monitoringu Pospolitych Ptaków Lęgowych ich krajowa populacja liczy 6 264 000–6 856 000 par lęgowych, co daje im trzecie miejsce po skowronkach i ziębach. Wróble są też jednymi z najliczniejszych ptaków na Ziemi, 448–655 milionów par, i mają jedne z największych zasięgów – ponad 75 milionów kilometrów kwadratowych. Trochę więcej niż połowa wszystkich lądów. Na razie. Bo chociaż ich liczebność ostatnio się

zmniejsza, to pionierski duch nie gaśnie. Wróble rozpoczęły właśnie kolonizację japońskiej wyspy Hokkaido, a wcześniej Islandii, i z tego, co wiemy, dostały się tam na własną rękę. Broń Boże nie znaczy to, że same przeprawiły się przez morze. W locie rozpędzają się do 45 kilometrów na godzinę, ale machają skrzydłami 15 razy na sekundę i trzy kwadranse w powietrzu mogą je zabić. Widziano już, jak ratując życie, nurkowały, a nawet pływały pod wodą, ale żaden z nich nie jest na tyle szalony, żeby rzucić się wpław na widok migoczących z odległego brzegu świateł wielkiego miasta… Wróble cały czas robią to, co ich przodkowie, którzy jakieś 10 tysięcy lat temu postanowili przyłączyć się do nas. Tyle że tamci w najlepszym razie wskakiwali na ciągnięte przez woły wozy, a ich potomkowie kolonizują świat, wsiadając na statki, do pociągów, tirów i samolotów. Często sami je ze sobą zabieraliśmy, żeby w nowych miejscach poczuć się jak w domu. W końcu żaden inny dziki ptak – no dobrze, „dziki" – nie nosi w tak wielu językach przydomku *domowy*. W naszym jeszcze niedawno też tak było. Wróbel jest jednym z zaledwie kilku, które uhonorowano międzynarodowym świętem. Nazywa się Światowy Dzień Wróbla i obchodzone jest 20 marca[11]. To, że z krajobrazu znika najbardziej ludzki z ptaków, to w gruncie rzeczy większy powód do zmartwienia dla nas niż dla niego. Wróbel sobie poradzi. Kto jak nie on?

Gdzie patrzeć?

Na trawniki, na chodniki, na krzaki i na niskie drzewa. Po wsiach i miastach, w uczęszczanych parkach i na podwórkach. Na dworcach, w dostępnych budynkach magazynów i hurtowni, wokół supermarketów i w przylegających do nich halach. W kawiarnianych ogródkach, na placach, skwerach i zieleńcach. Zawsze blisko ludzi.

Czego wyglądać?

Wróbel, jaki jest, każdy widzi, ale na wszelki wypadek przypomnę: dziewczyny są od spodu ciemnoszare, z wierzchu brązowe, okraszone czarnym lub czarnobrązowym, kreskowanym wzorem. Chłopaki mają podobnie, przy czym ich barwy są głębsze, do tego wiosną i latem noszą stalowoniebieskie berety, a na piersiach czarne proporce. Uwaga, oprócz wróbla domowego mamy jeszcze wróbla polnego, mazurka, który również postanowił się przenieść do miasta. To taka słodsza wersja wróbla, a odróżnimy go po cynamonowoczekoladowej czapeczce i kontrastujących z nią,

ozdobionych czarną plamką, białych polikach. Mazurki obu płci wyglądają tak samo i tak jak ich kuzyni kochają sejmiki.

Czego nasłuchiwać?

„Ćwir! Ćwir! Ćwir!”

Kiedy?

Cały rok.

---

[10] Wyjątkiem od tej reguły są owady. One zamiast dzieciństwa przechodzą stadium larwy, która zwykle żyje dużo dłużej niż tzw. forma dojrzała. Na przykład pędraki niektórych cykad spędzają pod ziemią kilkanaście lat, żeby wyjść stamtąd na kilkanaście godzin dorosłego życia.

[11] Począwszy od 2010 roku, a na pomysł wpadł indyjski przyrodnik aktywista Mohammed Dilawar, założyciel The Nature Forever Society.

Pozostałe międzynarodowe święta ustanowione na cześć ptaków to: Światowy Dzień Ptaków – 1 kwietnia, Dzień Pingwina – 25 kwietnia, Dzień Flamingów – 26 kwietnia (obchodzony od roku 2021), Międzynarodowy Dzień Ptaków Wędrownych – druga sobota maja oraz października, Dzień Papug i Dzień Bociana Białego – 31 maja, Dzień Sępa – pierwsza sobota września oraz Dzień Szacunku dla Kur – 4 maja.

Bogatka.
Królowa karmników

To ten śmiały ptaszek z białymi polikami i mocnym, czarnym krawatem na neonowo żółtej piersi. Gdyby nie bez powodu tak nazywane bogatki były rzadsze, stałyby się jednymi z ptaków

najbardziej pożądanych tak przez fotografów, jak i ptasiarzy i estetów. Na szczęście są całkiem pospolite – od 4,5 do 5,1 miliona par. To najliczniejsze, największe i najbardziej rozpoznawalne z naszych sikor. Najłatwiej zobaczyć je zimą, gdy w parach lub małych grupach przeczesują parki i ogrody, szukając czegoś do zjedzenia – i zawsze można na nie liczyć przy karmnikach. Sikorki to główni beneficjenci zimowego dokarmiania. Wiosną i latem też możemy się cieszyć ich kolorową obecnością. Normalnie gnieżdżą się w dziuplach, ale że o te coraz trudniej, zajmują budki lęgowe oraz wszelkie zakamarki, które mogą dziuple zastąpić. Trudno chyba o bardziej pomysłowego ptaka w tym zakresie, ale i większego ryzykanta. Gniazda bogatek znajdziemy w szczelinach murów i ścian, pod dachówkami, w wywietrznikach, wentylatorach, w słupkach ogrodzeniowych oraz słupach sygnalizacji świetlnej, w budkach telefonicznych, lampach ulicznych, hydrantach, długo zaparkowanych lub porzuconych maszynach i samochodach, czajnikach, kaloszach i gdzie tylko znajdą odpowiednio dużą szczelinę, pęknięcie, dziurę, a nawet norę. Każde miejsce i każdą okazję warto sprawdzić! Pionierskie, kreatywne podejście do otaczającej rzeczywistości to chyba kluczowe cechy bogatkowego charakteru. Ale nie wszystkie sikorki są tak samo skore do tego, żeby eksperymentować. Tak jak my, one też różnią się osobowością i temperamentem. Jedne są ekstrawertywne i otwarte na nowe doświadczenia, inne mniej lub bardziej powściągliwe, nieśmiałe i wysoko reaktywne – unikają

wyzwań, nieznanych sytuacji, nadmiaru bodźców[12]. To te pierwsze najczęściej odkrywają alternatywne miejsca na gniazda i rozpoznają nieznane wcześniej źródła jedzenia. Gdzie diabeł nie może, tam sikorkę pośle. Przez ich ciekawską i proaktywną naturę w XVII i XVIII wieku bogatki i modraszki trzymano w domach i uczono różnych sztuczek. W końcu zaczęto budować dla nich specjalne labirynty z wymyślnymi zasadzkami, gdzie ptaki mogły za swój błąd zapłacić głową. Gilotynki stały się szczególnie popularne w czasach rewolucji francuskiej. Jedno szczęście, że sikorki szybko się uczą i od metody prób i błędów wolą uczenie się przez wgląd[13]. Co więcej, uczą się od siebie nawzajem, a przydatne informacje i umiejętności przekazują swoim ziomkom. Widziano też, jak używały narzędzi (do wyciągania owadów z inaczej niedostępnych zakamarków kory). Brytyjskie sikorki zdążyły już nawet wyewoluować dłuższe dzioby, żeby było im łatwiej korzystać z bardzo tam popularnych tubowych i siatkowych karmników.

Bogatka to prawdziwa pogromczyni owadów. Są okresy, kiedy w ciągu dnia zjada tyle, ile sama waży, czyli około 20 gramów, co przekłada się na 130–200 owadów. Jedna rodzina, mama, tata i kilkoro lub nawet kilkanaścioro rodzeństwa, zjada w sezonie około 75 kilogramów owadów – jakieś 3 miliony sztuk. (Jak wszystkie dziuplaki, sikorki znoszą wiele jaj – nierzadko tuzin, a nawet mendel, czyli 12 albo 15!) Młode ptaki karmione są przede

wszystkim gąsienicami. Ich rodzice też je lubią i potrafią w ciągu dnia przeszukać nawet tysiąc drzew, pokonując łącznie sto kilometrów. W jednym z badań sikorki zjadły połowę wszystkich gąsienic, które pojawiły się w monitorowanym sadzie jabłkowym. Mogą nawet przeciągać składanie jaj oraz ich inkubację, byleby tylko zsynchronizować przyjście na świat piskląt z wysypem gąsienic. Te przed podaniem są pozbawiane wnętrzności. Prawdopodobnie ptaki chcą w ten sposób usunąć taninę – cierpki, trudno strawny, a w większych ilościach nawet lekko trujący garbnik, którego pełno jest w liściach, łodygach i łyku, a który odkłada się w ciele pałaszujących je *robaków*. (Pisklęta przechodzą też krótką fazę, kiedy z jakiegoś powodu są karmione głównie pajęczakami). Silny dziób pozwala bogatkom nie tylko chwytać i filetować gąsienice, ale też dobierać się do owadów ukrywających się pod korą, w szyszkach, próchnie lub w ziemi, podobnie jak rozłupywać twarde nasiona, a nawet orzechy, które bogatki klinują w zagłębieniach kory lub rozwidleniach gałęzi i rozłupują jak dzięcioły. Z tą różnicą, że sikorce otwarcie orzecha laskowego może zająć blisko 20 minut. Czy ją to zniechęca? Nie.

Co jednak, gdy nadchodzi zima i orzechy się kończą, a owady chowają? Bogatki robią to, co wszystkie prawdziwe drapieżniki – szukają padliny albo… ruszają na polowanie. Głodne i zdesperowane dobierają się do schowanych w dziuplach i piwnicach oraz pogrążonych w zimowym śnie nietoperzy, np.

karlików malutkich. Zdarzają się i takie, co zabijają małe wróblaki. Kilka lat temu do internetu trafił krótki film z Finlandii, gdzie bogatka rzuciła się na niczego niepodejrzewającego czyża, który zatrzymał się w tym samym karmniku. W komentarzu podano, że kolorowy bandyta otworzył czaszkę swojej ofierze i wyjadł jej mózg. Brutalna scena wywołała wielkie poruszenie, ale bardzo możliwe, że w przeszłości, kiedy zimy były sroższe i dłuższe, a drobnych ptaków dużo więcej, podobne dramaty były na porządku dziennym. Tak w 1882 roku w *Ptakach krajowych* pisał o bogatkach Władysław Taczanowski, nasz pierwszy oficjalny ornitolog: „W ogóle nieostrożne, mało bojące, odważne i złośliwe; niektóre z nich w niewoli większe od siebie pokonywają ptaszki, i całkowicie je pożerają, zacząwszy od mózgu, do którego dobierają się otworem przebitym w czaszce, następnie wykuwają w grzbiecie dziurę, przez którą wnętrzności wyjadają, nakoniec całe mięso spożywają. W żarłoczności tej własnym nawet gatunkom nie przepuszczają, a szczególniej rzucają się na każdą inną sikorę, skoro tylko osłabnie”. Współczesne bogatki wydają się bardziej cywilizowane. Zamiast żerować na słabszych i mniejszych, łączą się z nimi w zimowe stadka i wspólnie koczują po okolicy, ostrzegają się przed niebezpieczeństwem, szukają czegoś do zjedzenia, a na koniec dnia zacisznego noclegu. (Chyba że o czymś nie wiemy…)

Naprawdę niebezpieczne robią się wiosną, kiedy zabiegają o deficytowe miejsca lęgowe. Niejedna modraszka zginęła na gnieździe od uderzenia dziobem w głowę. W walkach o dziuple giną też muchołówki żałobne – tym razem samczyki. I owszem, ich mózgi też się nie zmarnują… Rywalizujące ze sobą na śmierć i życie mniejsze i większe dziuplaki to jeszcze jeden powód, żeby zachować stare drzewa w lasach, parkach i ogrodach. Jeśli jednak już się ich pozbyliśmy, szybko posadźmy nowe. Dziupli w nich za naszego życia raczej się nie doczekamy, ale za kilkanaście lat mogą się stać dobrym łowiskiem dla bogatek i nie tylko.

Gdy role się odwracają i sikorka staje się celem, będzie walczyć do samego końca. Jeśli to możliwe, zaczyna od małej maskarady. Na przykład zaskoczona w dziupli samiczka wie, że ma tylko jedną drogę ucieczki, i gdy się zorientuje, że zbliża się do niej wróg, zaczyna syczeć jak żmija. (Dając przy okazji dobry przykład tzw. mimikry batesowskiej[14]). Większość ptaków i ssaków reaguje lękiem na węże i nie zaryzykuje wejścia do ciemnej dziupli (rozpadliny czy nory), z której dochodzi syczenie. Sikorki w swoim repertuarze mają jeszcze kłapanie dziobem, strzelanie z ogona i skrzydeł, przyjmowanie dziwnych póz, wytrzeszczanie oczu i konwulsyjne kręcenie głową. Szokują. To często wystarczy, żeby zniechęcić napastnika. Podobnych technik używają opierzone już, podrośnięte pisklęta. I jak mówią obrączkarze i badacze ptaków, którzy regularnie łapią sikorki, nikt nie dziobie tak jak one! Jeśli

na palcach jest jakieś zadrapanie albo skaleczenie, sikorka na pewno to wykorzysta. Ale im też nie jest łatwo. W niektórych rejonach nawet połowa dorosłych może nie doczekać kolejnego sezonu.

Gdzie patrzeć?

Sikorki trzymają się żywych parków i ogrodów, starych alei, sadów, zadrzewień i lasów, najlepiej dojrzałych i z solidnym podszytem. Zimą na pewno przylecą do karmnika.

Czego wyglądać?

Odważnego, pewnego siebie ptaszka z czarną, zachodzącą na oczy czapeczką, wyrazistymi, białymi, czarno obrzeżonymi polikami i mocnym, czarnym krawatem, który ciągnie się przez środek soczyście żółtej piersi i brzuszek aż pod ogon. U samiczek ów krawat jest nieco węższy, i to jest najlepszy sposób, żeby odróżnić je od samczyków. Grzbiet bogatki jest pięknie zielonoszaroniebieski.

Ptaki młode, do pierwszego, jesiennego pierzenia, wyglądają jak mocno spłowiałe wersje swoich rodziców.

Czego nasłuchiwać?

Dwusylabowego, trochę monotonnego, za to dźwięcznego, metalicznego pogwizdywania, które przypomina sygnał karetki albo angielskie Tea-cher! Tea-cher! Tea-cher!. Taka prosta melodia, a każda bogatka, a właściwie bogatek, śpiewa ją po swojemu. Do tej pory udało się zarejestrować 240 różnych jej wariacji. Terytorialne wołania sikorek to jeden ze zwiastunów wiosny, który w miastach zaczyna się nieść już pod koniec lutego. Przez cały rok usłyszymy przypominające miniaturową srokę albo grzechotkę „Czeki-Czeki-Czek!", którym bogatki zaznaczają swoją obecność albo okazują zaciekawienie. Zdenerwowane wołają głośno: „Pink! Pink!". To tylko kilka najczęstszych ich głosów, bo z natury bardzo wokalne i kontaktowe bogatki odzywają się cały czas, na wiele sposobów.

Kiedy?

Cały rok.

---

[12] Wysoka lub niska reaktywność to termin psychologiczny odnoszący się do wrodzonych predyspozycji temperamentnych i osobowościowych. Różne osoby (i jak się okazuje, ptaki) znajdują się w różnych miejscach na skali reaktywności. Osoby i sikorki wysoko reaktywne mają niski próg stresu i dyskomfortu, dlatego będą m.in. unikały nagłych zmian, potrzebują czasu, żeby zaadaptować się do nowości, mogą źle reagować na niespodzianki, nie lubią przeciążenia sensorycznego (dużej liczby bodźców). To ci, którzy na spotkania i na pociąg zawsze przychodzą przed czasem. Typowa osoba nisko reaktywna ma dużo wyższy próg stresu, więc wpada na dworzec razem z pociągiem i przeważnie nie odczuwa z tego powodu większego dyskomfortu. Przy okazji: zrozumienie tych różnic i uszanowanie odmiennych potrzeb często przesądza o jakości naszych związków i przyjaźni.

[13] Polega ono na analizie takiego czy innego zjawiska oraz zrozumieniu (przeważnie przez wyobrażenie sobie) możliwych konsekwencji podjętych działań.

[14] Albo batezjańskiej. Określenie pochodzi od nazwiska brytyjskiego biologa Henry'ego Waltera Batesa. Jest to mechanizm obronny, który polega na tym, że bezbronne gatunki zwierząt upodabniają się pewnymi cechami zachowania lub wyglądem do gatunków niebezpiecznych lub uzbrojonych w jad, żądła itp. Na

przykład dość popularne na naszych łąkach trzmielówki na pierwszy rzut oka wyglądają jak osy, więc mało kto je rusza, jeśli ktoś w ogóle.

Odpowiedzialnie i rytmicznie

Dokarmiać czy nie dokarmiać? Oto jest pytanie! Ale zanim na nie odpowiemy, posłuchajmy pewnej historii. Historii, jakich wiele… Nie tak dawno, kilkanaście, może dwadzieścia kilka lat temu, była sobie wieś, nazywała się Całapolska. Do najbliższego miasta było stamtąd 10 kilometrów. Domy w Całejpolsce otulały kwietne ogrody, a tu i ówdzie niewielkie sady. Ludzie nie mogli się zdecydować, czy piękniej wyglądały obsypane majowymi kwiatami, czy wtedy, gdy uginały się od rumianych owoców. W sadach, w parku i w przydrożnych alejach uwijały się ptaki. Potężne drzewa latem dawały cień, a kiedy indziej osłonę przed wiatrem i mrozem, tlen i spokój. Całąpolskę otaczała mozaika pastwisk, łąk i pól pociętych miedzami i piaszczystymi drogami, przy których rosły wiśnie, jabłonie i grusze. Sielski krajobraz zdobiły śródpolne drzewa i zagajniki, kilka strumieni, niewielkie oczka wodne i mokradła, które wiosną i latem kipiały rechotem żab. Oczy cieszyły kobierce wonnych ziół i kwiatów przyciągające owady, które przyciągały ptaki. Jesienią i zimą mazurki, szczygły, trznadle, gile i całe ich kolorowe plemię zajadały się nasionami przyczepionymi do suchych łodyg i nagich gałęzi drzew i krzewów. Kosy, śpiewaki, kwiczoły i rudziki zawsze mogły znaleźć jakieś

tłuste robaki ukrywające się pod opadłymi liśćmi, a gdy przysypał je śnieg, przerzucały się na głóg, jarzębinę, berberys czy pozostałe w sadach jabłka. Przez cały rok każdy mógł tam znaleźć dla siebie coś dobrego. Całopolanie mogli być dumni, że mieszkają w tak pięknym miejscu, i cieszyć się życiodajną różnorodnością, która nie tylko chroniła miejscowy klimat i powietrze, ale też poprawiała nastrój i wzmacniała odporność.

Dzisiaj trudno rozpoznać Całąpolskę. Zniknęły rosochate wierzby i tarniny, które rosły wzdłuż drogi prowadzącej do wsi. Oszczędzono kilka młodych dębów, ale i one już powoli umierają, bo jacyś szaleńcy przycięli im korony. Zrąbano lipową aleję biegnącą przez środek zabudowań. To samo spotkało kasztanowce, dęby, lipy i czereśnie przy bocznych drogach odchodzących w pola. Pod pretekstem tak zwanej rewitalizacji wycięto wszystkie stare drzewa w parku. Jeziorko, przy którym kiedyś śpiewały słowiki, zasypano, a trawniki wyłożono kostką. Kwietne ogrody ludzie zamienili na wzorzyste, betonowe klepiska, które w upalne dni nagrzewają się jak kamienne piece, a gdy pada, nie zatrzymują nawet kropli deszczu. Zamiast kolorowych kwiatów, bzów czy jaśminów są tam nasycone chemią trawniki albo obłożone lastrykiem tuje. Zniknęły przydomowe sady. Nie widać nawet, gdzie kończy się miasto, a zaczyna wieś. Przestrzeń, która kiedyś je oddzielała, w większości została zabudowana osiedlami, centrami przemysłowo-handlowymi i gęstą siecią dróg.

Zaorano prawie wszystkie łąki i pastwiska. Po dawnych miedzach, przydrożach, strumieniach i oczkach wodnych nie został nawet ślad. Mało kto pamięta malinowe chruśniaki, czereśniowe gaje, polne jabłonie czy oklejone słodkimi gruszeczkami grusze. Pola zlały się w wielką przemysłową monokulturę, która przez większą część roku jest zatruwana nawozami i opryskami. Nie ma już owadów, nie ma ziół, nasion ani owoców – niczego, co nadawałoby się do jedzenia. Nie ma gdzie ukryć gniazda, wychować dzieci, schronić się przed deszczem, chłodem czy wszędobylskimi kotami. Ostatniej wiosny odzywały się jeszcze dwa skowronki, ale czajek i kuropatw już dawno nikt nie widział. Zniknęły tak samo jak dudki, przepiórki i derkacze, które przecież miały tutaj swoje domy na długo przed nami. Równie trudno jest przetrwać ptakom, które pojawiają się w Całejpolsce na przelotach lub zimą… Różnorodny kiedyś krajobraz przypomina gigantyczną instalację złożoną z wielkich, równo przyciętych płyt.

Przeciwnicy dokarmiania mówią, że naraża ono ptaki na choroby, a nawet częstsze ataki drapieżników, że faworyzuje gatunki pospolite i synantropijne (czyli takie, które mieszkają po sąsiedzku z nami), że zaburza instynkt wędrowny oraz procesy naturalnej selekcji, zgodnie z którymi przetrwają najlepiej przystosowani, i że w ogóle uzależnia dzikie ptaki od ludzi. Myślę, że jeszcze sto lat temu niektóre z tych tez mogłyby mieć sens, ale nie dzisiaj, nie w erze rozpędzonego antropocenu i całkowitego

podporządkowania Ziemi naszym kaprysom. Argumenty te brzmią szczególnie słabo w Polsce, w jednym z najgęściej zaludnionych krajów na najgęściej zaludnionym kontynencie, w którym urbanizacja i dewastacja naturalnych lub półnaturalnych krajobrazów oraz zanik bioróżnorodności postępują w nieznanym dotąd tempie. Choć bilans dotychczasowych badań nie jest jednoznaczny, warto z pokorą podejść do zastrzeżeń tych, którzy twierdzą, że karmniki zwiększają ryzyko rozprzestrzeniania się chorób i infekcji. Tylko czy odpowiednią reakcją powinno być zaprzestanie dokarmiania, czy może jednak większa dbałość o higienę karmnika? Wiele ptaków w okresie zimowym i tak łączy się w większe lub mniejsze stadka i żyje w dużych zagęszczeniach. Syte i wolne od konieczności ciągłego poszukiwania pokarmu z całą pewnością będą bardziej odporne niż zestresowane, głodne i osłabione. Będą też czujniejsze i sprawniejsze w konfrontacji z drapieżnikami. Tymczasem żeby przeżyć mroźny zimowy dzień, maluchy takie jak modraszki muszą zjeść od jednej czwartej do jednej trzeciej tego, ile same ważą. Dokarmianie ptaków w szczególnych sytuacjach może pomóc przetrwać całym populacjom, o ile nie gatunkom. A gdyby nawet miało wspierać tylko te pospolite i synantropijne, to co złego w tym, że w naszych miastach i wsiach będzie więcej bogatek, kosów czy mazurków? I już na koniec: obawa, że dokarmianie mogłoby zakłócić naturalne cykle ptaków wędrownych, gdy te niemal każdego dnia muszą zmagać się ze skutkami narastającego kryzysu klimatycznego,

który demoluje ich utrwalane przez tysiąclecia zwyczaje, brzmi niemal jak żart. Tak samo nietrafiony wydaje się argument o uzależnianiu dzikich zwierząt od człowieka. Pokażcie mi jeden gatunek, który nie jest dzisiaj od nas zależny…

Czy dokarmiać ptaki? Odkąd pozbawiliśmy je naturalnej przestrzeni i siedlisk, które zaspokajały ich wszystkie potrzeby życiowe, jesteśmy im to winni! Poza tym ptaki łagodzą obyczaje. Obserwowanie ich i kontakt z nimi koją nerwy, poprawiają nastrój i odporność, uczą kreatywności i empatii. To tylko niektóre z długiej listy *usług* i wartości, które zapewniają nam ptaki. Karmnik za oknem jest lepszy od komputera i telewizora. Potwierdzi to każdy, kto go ma. Zamiast hamletyzować, przejdźmy więc do naprawdę ważnych pytań…

Czym dokarmiać? Najbardziej uniwersalne i dobre niemal na każdą okazję jest tłuste, wysokokaloryczne ziarno słonecznika. Zaspokoi głód tak samo wegetarian, jak i tych, którzy na co dzień wolą białko zwierzęce. Przekonują się do niego nawet ptaki, które normalnie nigdy po słonecznik nie sięgają – na przykład szczygły. Między innymi ze względu na nie najlepsze będzie ziarno łuskane. Delikatne szczygły albo czyże nie poradziłyby sobie z twardymi, zamkniętymi na trzy spusty łupinami. Nawet jeśli nasi goście mają odpowiednie narzędzia przy sobie (słuszny dziób i silne stopy), obróbka niełuskanych nasion zajmuje dużo czasu, a w krótki zimowy dzień czas to życie. Poza tym niektórzy lubią

zostawiać po sobie, delikatnie mówiąc, bałagan, a słonecznikowe łupiny mogą być prawdziwym utrapieniem.

Co jeszcze? Wszystko zależy od tego, kogo chcemy u siebie widzieć. Im bardziej urozmaicone będzie karmnikowe menu, tym większy ruch i tym bardziej kolorowo będzie w naszym ogrodzie. Rozłupane jabłko lub gruszka z pewnością ucieszą kosy, kwiczoły, droździki oraz śpiewaki i rudziki, jeśli nie odleciały. Bogatki (inne sikory), gile czy dzięcioły też się nie obrażą. Mogą być ćwiartki pomarańczy, winogrona, różne suszone jagody, a nawet rodzynki, które przed podaniem najlepiej namoczyć w wodzie, co ułatwia ich trawienie. Gotowane bez soli lub jeszcze lepiej parowane ziemniaki, buraki, marchew, seler czy pietruszka też się przydadzą – oczywiście w kawałkach. Na pewno uszczęśliwią kosy i inne drozdy, a także sierpówki, jemiołuszki i oczywiście miejskie (i nie tylko) kaczki, łyski i łabędzie. Z warzyw chętnie skorzystają kuropatwy i bażanty. Dla nich, dla sierpówek i grzywaczy, które coraz liczniej zimują w naszych miastach, oraz dla małych ziarnojadów, takich jak wróble, mazurki, trznadle, dzwońce, gile, grubodzioby, jery czy ociągające się z odlotem zięby, warto sypać zboża – pszenicę, jęczmień, żyto, proso. Kukurydza najlepsza będzie podgotowana. Tak samo podajemy ciecierzycę, soczewicę, groch, fasolę i ryż – ze wskazaniem na pełnoziarnisty. W karmniku możemy rozkruszyć trochę naturalnego białego sera. Kosy, kwiczoły, dzięcioły, sikory, pozostające na zimę rudziki,

strzyżyki i pokrzywnice oraz przygodne kawki, sroki, sójki czy gawrony zrobią z niego dobry użytek. Nigdy jednak nie podawajmy ptakom mleka, którego nie trawią – może je doprowadzić do rozstroju żołądka, a nawet poważnego zatrucia!

Wielu amatorów przyciągną orzechy – najlepiej włoskie, ale mogą być laskowe lub nawet egzotyczne, w tym ziemne, oczywiście nieprażone, nieprzyprawiane i w żadnym wypadku solone! Orzechy powinny być rozdrobnione – tłuczone lub tarte. Duże kawałki niosą ryzyko zadławienia, co może się zdarzyć, gdy wygłodniałe ptaki na oślep rzucają się na jedzenie. Szczygły, czyże, dzwońce, gile, coraz częściej zimujące w kraju kulczyki albo zaglądające do karmników czeczotki chętnie pochylą się nad siemieniem lnianym oraz innymi drobnymi nasionami, przy czym te zawsze oznaczają częstsze sprzątanie!

Pamiętajmy też o mięsożercach. Z rozwieszonych kawałków słoniny albo jeszcze lepiej chudego boczku lub mięsa, pożywniejszych i łatwiejszych w trawieniu, skorzystają nie tylko sikory, kowaliki czy dzięcioły. Ci, którzy mają dużo wolnego czasu, mogą się pobawić, zatykając drobiny mielonego w zakamarkach kory lub na końcach gałązek – raniuszki i pełzacze na pewno ich nie przeoczą, a kto wie, może i maleńkie mysikróliki się o nich dowiedzą. Można samemu wytapiać kule tłuszczowe (pod warunkiem, że mamy dobrze wentylowaną kuchnię) z nasionami i rodzynkami albo poeksperymentować z żywą karmą –

mącznikami i innymi robakami, które można kupić w sklepach zoologicznych i wędkarskich.

I tak dotarliśmy do sakramentalnego „Co z tym chlebem?". Odpowiedź brzmi: chlebem nie karmimy. Z punktu widzenia ptaków właściwości odżywcze chleba są żadne. Na domiar złego większość dostępnego dzisiaj pieczywa produkowana jest z mocno przetworzonej mąki, z dużą ilością soli, konserwantów i różnych ulepszaczy. Wszystkie te substancje są zaprzeczeniem zarówno zdrowej diety własnej, jak i odpowiedzialnego dokarmiania ptaków. Odrobina chleba im nie zaszkodzi, a w szczególnych przypadkach może nawet uratować życie, ale stała chlebowa dieta będzie dla nich zgubna.

Gdzie i jak dokarmiać? Szukając dobrego miejsca na karmnik, pamiętajmy, aby i sobie, i ptakom zapewnić łatwy dostęp do niego. Postawmy go w miejscu możliwie osłoniętym od wiatru i śniegu (deszczu), ale tylko tam, gdzie odwiedzających nie zaskoczy kot ani któryś z naturalnych drapieżników, a żadna z dróg ewakuacji (panicznego odlotu) nie prowadzi na duże okna, ściany czy ruchliwą drogę. Zaskoczone ptaki (tak jak ludzie) rzucają się do ucieczki odruchowo, ale na krótkim dystansie i przy prędkości ponad 40 kilometrów na godzinę mają małe szanse na bezpieczne wykonanie nagłych manewrów. Efekt jest taki, że ci, którym udało się uniknąć zębów kota lub szponów krogulca, łamią sobie kręgosłup w zderzeniu z szybą albo giną na masce toyoty corolli…

Dobrze jest zlokalizować karmnik obok lub choćby i w środku rozłożystego krzewu lub niskiego drzewa. Ale uwaga, nie mogą to być zbite, zimozielone iglaki, w których łatwo zaczai się wróg. Jeśli nie mamy w ogrodzie nic innego poza ścianą tui (tu słychać cmokanie rozczarowanego autora połączone z kręceniem głową, przy czym nie jest on pewien, jak owo cmokanie zliterować), odległość między nimi a karmnikiem powinna przekraczać dwa metry. Najlepsza byłaby plątanina bezlistnych lub jeszcze lepiej rzadko ulistnionych gałęzi – idealnie z kolcami! Zapewniają one pełną widoczność w obydwu kierunkach. Na zewnątrz, gdy taka sikorka na przykład poszukuje *grzędy*, na której mogłaby spokojnie skonsumować przyniesione z karmnika słonecznikowe ziarno albo pilnować swojej kolejki[15], oraz do wewnątrz, gdy umyka przed zagrożeniem. I jeszcze coś – ustawiając karmnik w ogrodzie, zróbmy to tak, abyśmy i my mogli go wygodnie obserwować z domu, najlepiej z ulubionego fotela.

Wybierając karmnik, unikajmy skomplikowanych konstrukcji, które utrudniają napełnianie czy sprzątanie. Im prostszy, tym lepszy. Coraz większą i w pełni zasłużoną popularnością cieszą się metalowe koszyki na kule tłuszczowe oraz pionowe karmniki tubowe na ziarno i orzechy. Robione z przezroczystej pleksi, są bardzo łatwe w obsłudze. Te duże możemy zawieszać na gałęziach lub specjalnych stojakach, mniejsze choćby na oknach i balkonach. Starajmy się też nie mieszać ze sobą różnych typów pokarmu.

Jeśli dysponujemy większą powierzchnią, dobrze jest utrzymywać kilka oddalonych od siebie (o co najmniej 10 metrów) punktów dokarmiania, z różnym lub choćby identycznym pokarmem. Ułatwia to utrzymanie czystości, rozprasza konkurencję i zmniejsza ryzyko konfliktów, dając przy tym większe szanse tym nieśmiałym. Wiele ptaków poszukuje jedzenia na ziemi, dlatego ziarna zbóż, owoce i warzywa możemy wysypywać gdzieś bezpośrednio pod drzewem, dużym krzewem lub na specjalną platformę umiejscowioną tuż nad ziemią. Taką platformę łatwo zrobić samemu, musimy tylko pamiętać, żeby była stabilna, odpowiednio duża (co najmniej metr na metr) i miała brzegi obramowane w taki sposób, żeby ramki nie stykały się na rogach, co pozwoli odpłynąć wodom opadowym, a nam ułatwi sprzątanie.

Gdyby ktoś martwił się o stan swojego trawnika, zapewniam, że ten na wiosnę świetnie sobie poradzi, a nawet skorzysta z dobrodziejstw ptasiej kupy. Kto wie, może zakwitną na nim urokliwe lny albo jakieś inne kwiaty, których nasiona przegapili nasi goście? Wątpiący, zabiegani i dmuchający na zimne mogą ograniczyć asortyment albo/i często przestawiać lub przewieszać karmnik z miejsca na miejsce.

Kiedy dokarmiać? Z całą pewnością zimą, żeby pomóc ptakom przetrwać czas, kiedy z definicji trudno o coś do zjedzenia, a niskie temperatury przyspieszają ich i tak błyskawiczną przemianę materii i powodują jeszcze większe zapotrzebowanie na

kalorie. Akcję karmnik najlepiej rozpocząć późną jesienią – może to być październik lub najlepiej listopad. Nie zrażajmy się, gdy nie od razu przyleci do niego dużo ptaków. Początkowo mogą traktować go z dystansem. Obserwują. Chcą się upewnić, czy jest bezpieczny, szczególnie jeśli nigdy wcześniej go tam nie było. Jeśli jednak po kilku tygodniach nasz karmnik wciąż świeci pustkami, to albo jest to problem lokalizacji i bezpieczeństwa, albo karmy, albo… wyjątkowo atrakcyjnej konkurencji po sąsiedzku. A może jest jeszcze na tyle ciepło, że ptaki znajdują dostatecznie dużo naturalnego pokarmu. Dokarmianie najlepiej zakończyć wiosną. Kiedy dokładnie? Same nam podpowiedzą.

A może, jeśli mamy czas i ochotę, w ogóle go nie przerywajmy…? Duże światowe organizacje zajmujące się ochroną ptaków – Audubon, RSPB, BTO, WWT, NABU (odpowiednio the Royal Society for the Protection of Birds, the British Trust for Ornithology, the Wildfowl & Wetlands Trust, der Naturschutzbund Deutschland) – zachęcają do dokarmiania całorocznego. O ile to zimowe jest należną rekompensatą i nierzadko ostatnią deską ratunku, o tyle dokarmianie wiosną, latem i jesienią może być miłym ułatwieniem. Wiosną ptaki pochłonięte są patrolowaniem swoich rewirów, śpiewaniem, budową gniazd, a samice dodatkowo składaniem i wysiadywaniem jaj (w czym pomagają im niektóre samce). Cały ten wysiłek wymaga czasu, uwagi oraz solidnej porcji ekstrakalorii.

Zeszłoroczne nasiona, którymi żywią się ziarnojady, właśnie kiełkują, a świeżych jeszcze nie ma. Małe drapieżniki, takie jak sikorki, też dwoją się i troją, żeby dobrać się do zdziesiątkowanych przez zimę (i opryski) owadów. Ogrodowy karmnik pod skrzydłem może okazać się praktycznym rozwiązaniem. My, przytłoczeni codziennymi obowiązkami, też chętnie wychodzimy do pobliskiej restauracji albo dzwonimy po pizzę. Kiedy w gniazdach pojawią się pisklęta, rodzice są jeszcze bardziej zapracowani i mają jeszcze mniej czasu dla siebie. Okazuje się, że ci, którzy mają dostęp do karmników, chętnie zaspokajają w nich własny głód, a dla swoich dzieci poszukują pokarmu tradycyjnego. Późne lato i wczesna jesień to dla większości czas odpoczynku i regeneracji – nie trzeba już pilnować partnerki (żeby przypadkiem nie zaprzyjaźniła się zanadto z sąsiadem) ani karmić dzieci. Ale trzeba wymienić pióra, co oznacza nie tylko przejściowe utrudnienia w swobodnym przemieszczaniu się, ale przede wszystkim wzmożone zapotrzebowanie energetyczne. I tu znowu z pomocą może przyjść ogrodowy karmnik. Badania pokazują, że tam, gdzie karmniki działają przez cały rok, gniazda zakłada znacznie więcej ptaków i wylatuje z nich więcej młodych. Trzeba jednak pamiętać, że nie każdy pokarm nadaje się do wykładania wiosną i latem, każdy za to szybko się psuje. Najbezpieczniejsze są suche ziarna i nasiona oraz owoce. Jeśli zdecydujemy się na wiosenno-letnie dokarmianie, serwujmy mniej, ale tak często, jak potrzeba. Ile dokładnie? Jak zwykle podpowiedzą nam nasi goście.

Na co szczególnie uważać? Najważniejsze są systematyczne dokarmianie, jakość karmy, higiena stołówki i bezpieczeństwo jej lokalizacji. Nigdy nie wykładajmy ptakom starego i zepsutego jedzenia. Ani solonego, ani dosmaczanego, ani wysoko przetworzonego! Karma musi być świeża, najlepiej wysokoenergetyczna. Jeśli nie jesteśmy w stanie zagwarantować, że każdego dnia w karmniku znajdzie się dostateczna ilość dobrej jakości pokarmu, lepiej w ogóle nie zaczynać. Nasze sumienie możemy uspokoić podczas niedzielnego spaceru w parku. Dobrym rozwiązaniem dla zabieganych są wspomniane już niezawodne karmniki tubowe. W zależności od wielkości mogą pomieścić nawet kilka kilogramów ziarna, które uwalnia się stopniowo, w miarę zjadania. Generalna zasada to: lepiej mniej i często niż dużo i rzadko! To prawda, że miejskie mewy, gawrony czy gołębie nie padają jak kawki po kolejnej wizycie na śmietniku, ale kosy, gile czy mazurki to nie to samo co ich więksi i z natury wszystkożerni koledzy[16]. W normalnych warunkach ptaki potrafią odróżnić dobre jedzenie od złego, ale zdesperowane i wygłodzone rzucają się na wszystko, co jedzenie przypomina, a ich nadzwyczajna przemiana materii sprawia, że są szczególnie podatne na zatrucia. To dlatego między innymi musimy regularnie sprzątać nasze stołówki. Karmniki metalowe i plastikowe wystarczy co jakiś czas umyć wodą z płynem do naczyń. Te tradycyjne, drewniane, warto porządnie wyszczotkować, a i dezynfekcja płomieniem albo gorącą wodą z

płynem lub octem nie zaszkodzi. Uwaga na gotowe kule tłuszczowe lub ziarno sprzedawane w plastikowych siatkach z drobnymi okami! Te siatki oprócz tego, że razem z innymi trwałymi śmieciami duszą naszą planetę, mogą okazać się śmiertelną pułapką dla ptaków, które niechcący zaplączą w nie stopy. Niejednemu pechowemu dzięciołowi zdarzało się uwięzić w nich długi, zakończony ostrymi wyrostkami język. Jeśli zrobiliśmy już zakupy, lepiej wypakować zawartość siatek i podać ją ptakom w bezpieczny sposób. Nie serwujmy też dzikim swojakom mieszanek przeznaczonych dla domowych ptaków egzotycznych ani – co bardzo ważne! – żadnych tłuszczów w płynie. Te ostatnie oprócz tego, że nie są przez ptaki trawione, mogą je zatruć, a do tego oblepić pióra i pozbawić tak ważnych zimą izolacji i ciepła. Gdyby była taka potrzeba, zabezpieczmy ogrodowy karmnik przed szczurami. Jeśli mogą się do niego dostać, wspinając się po słupku lub drzewie, załóżmy gładką obejmę, która im to uniemożliwi, na przykład kawałek plastikowej rurki, a nawet butelkę po wodzie.

Obserwujmy nasz karmnik. Upewnijmy się, czy jest bezpieczny oraz co i jak szybko w nim schodzi. To najlepsze źródło informacji o tym, czym, jak często i jakim gestem ugościć odwiedzające go ptaki. Gdy tylko to możliwe, zapewnijmy im świeżą wodę do picia, a latem do kąpieli. Jeśli w ogrodzie nie ma oczka wodnego z choćby jednym łagodnym brzegiem albo kamiennymi wysepkami, na ptasie fontanny świetnie nadadzą się duże, ceramiczne

podstawki pod donice. Pod żadnym pozorem nie dodawajmy do wody substancji bakteriobójczych ani rozmrażających!

---

[15] Sikorki znane są z tego, że w bardziej uczęszczanych miejscach wpadają do karmnika jedna po drugiej, chwytają w dziób, co tam znajdą ciekawego, np. wspomniane ziarno słonecznika, odlatują na bok, żeby je zjeść, po czym wracają po następne. Oczywiście w przypadku płata boczku zachowują się inaczej – zatrzymują się na nim na dłużej.

[16] I mewy, i gawrony, i gołębie szukają jedzenia na śmietnikach nie dlatego, że tak bardzo je lubią, ale dlatego, że nie mają innego wyjścia. Badania potwierdzają, że śmietnikowa dieta nie jest dla nich dobra, z czego one chyba też zdają sobie sprawę, bo swoje pisklęta karmią pokarmem naturalnym.

POCZĄTKI

Ludzie od bardzo dawna dokarmiali dzikie ptaki, ale tylko okazjonalnie, dla przyjemności obcowania z nimi. Prawdziwe, zorganizowane dokarmianie zaczęło się w wiktoriańskiej Anglii, z dwiema z sześciu największych rewolucji naszej cywilizacji w tle – przemysłową i darwinowską[17]. Najpierw, w roku 1864, w górniczym miasteczku Newcastle na północy Anglii powołano do życia stowarzyszenie skupione wokół dziecięcego pisemka „Dicky Bird Society". Oficjalnie miało ono zachęcić do zimowego dokarmiania ptaków w parkach i ogrodach, ale tak naprawdę chodziło o to, żeby uczyć młodych ludzi odpowiedzialności, rozwijać zainteresowania, a przede wszystkim chronić przed demoralizującą nudą. Były to czasy boomu technologiczno-gospodarczego i szybkich przemian społecznych. Ludzie się bogacili, ale dorośli spędzali coraz więcej czasu w pracy, podczas gdy ich dzieci siedziały w domach lub co gorsza snuły się poza nimi. Karmnikowa pedagogika okazała się zaskakująco skuteczna, a gęstniejąca w całym kraju sieć klubów zjednoczyła wkrótce ponad milion młodych ludzi! Wtedy dopiero zrozumiano, że dokarmianie może być punktem wyjścia do prawdziwej przyrodniczej edukacji i rozwijania wrażliwości na Przyrodę. W

roku 1876 opiekę nad ruchem objęło The Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals, Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt, wtedy zaledwie początkująca i pierwsza na świecie, a dzisiaj potężna, międzynarodowa organizacja ochrony praw zwierząt. Kampanie „Dicky Bird Society" zyskały nowego ducha. Ich wizytówką były przemarsze młodzieżowych orkiestr dętych, a rytmiczne melodie mało kogo pozostawiały obojętnym. Okazało się, że ucząc się odpowiedzialności oraz szacunku dla zwierząt, można się też nieźle bawić. Przysięga składana przez dzieci i młodzież wstępującą w szeregi stowarzyszenia brzmiała: „Niniejszym solennie obiecuję być dobry dla wszystkich istot żywych, ochraniać je z całej mocy, zimą dokarmiać ptaki i nigdy nie zabierać ani nie niszczyć ich gniazd. Obiecuję także zachęcać do przyłączania się do «Dicky Bird Society» tyle chłopców i dziewcząt, ile się da"[18].

Dzisiaj w całej Wielkiej Brytanii funkcjonują łącznie ponad trzy tysiące różnych organizacji ochrony przyrody, których działalność wspierają setki tysięcy wolontariuszy. Dwie największe – RSPB oraz WWT – zrzeszają łącznie około 1,3 miliona członków i dają pracę grubo ponad trzem tysiącom osób. Przychody WWT za rok obrachunkowy 2020 osiągnęły 25,7 milionów funtów, z czego składki członkowskie i darowizny stanowiły 9,2, a spadki 2,2 miliona funtów. Przychód RSPB za ten sam okres to 147 milionów funtów, z czego składki członkowskie i darowizny to 51,9 miliona,

a spadki 37,6. W tym drugim bilansie uwagę zwraca też 1 026 218 godzin albo 509 lat (!) prac wolontariackich podarowanych przez członków i przyjaciół[19]. Parki narodowe obejmują w Zjednoczonym Królestwie blisko 10 procent powierzchni kraju, do czego należałoby dodać kilkadziesiąt procent objętych ochroną krajobrazową oraz liczne rezerwaty. Tylko RSPB i WWT mają razem ponad 160 tysięcy hektarów w ochronie rezerwatowej. Wielka Brytania była nie tylko pierwszym krajem na świecie, w którym powołano ministerstwo ochrony środowiska, ale też pierwszym, który opracował i przyjął narodową strategię bioróżnorodności. Treści przyrodnicze są ważnym i stałym elementem brytyjskiej kultury. Największe stacje telewizyjne i radiowe regularnie nadają je w pasmach najwyższej oglądalności/słuchalności (*prime time*), a specjalizujący się w nich dziennikarze i prezenterzy robią szybkie kariery. Każdego roku na półki księgarń trafia tam co najmniej kilkadziesiąt nowych tytułów popularyzujących Przyrodę. A widzieliście brytyjski paszport? Warto mu się przyjrzeć, bo to małe dzieło sztuki. Być może jednak to, co najbardziej (nas) zaskoczy, to piękne grafiki dębów, motyli czy kulików – integralnych elementów brytyjskiego krajobrazu i dziedzictwa narodowego, nie mniej ważnych dla budowania tożsamości i patriotyzmu niż kolejni monarchowie, Big Ben czy James Bond. Wizerunku Bonda oczywiście w paszporcie nie ma, ale David Craig czyta filmy przyrodnicze dla BBC. Tak jak m.in. Judy Dench, Kate Winslet, Jeremy Irons czy David

Tennant. Wiele znanych osób to zapaleni ptasiarze – m.in. Sean Bean, Bill Bailey, Jeremy Clarkson, Mick Jagger, książę Karol, Joanna Lumley, Van Morrison, Bill Oddie, Alison Steadman czy nieżyjący, ale ciągle obecni w popkulturze Agatha Christie i Ian Fleming, który swojego sztandarowego bohatera, Jamesa Bonda, nazwał na cześć autentycznego badacza i popularyzatora ptaków.

Branża przyrodnicza, w szczególności ptasia turystyka i obserwowanie ptaków (*birdwatching*), a także ich dokarmianie to w Wielkiej Brytanii poważny biznes. Brytyjczycy tylko na karmę i karmniki wydają 200 milionów funtów rocznie, wystawiając swoim ptakom 50–60 tysięcy ton jedzenia. Dużo, ale jeszcze większe cyfry padają po drugiej stronie oceanu, gdzie w roku 2006 (ostanie pełne badanie) ptasiarze wydali na swoje hobby 36 miliardów dolarów, z czego na karmę ponad dwa[20].

---

[17] Trzecią, a chronologicznie rzecz biorąc pierwszą była rewolucja rolnicza, która z nomadów i zbieraczy uczyniła nas osiadłymi rolnikami. Za tym przyszło bogacenie się, dziedziczenie, rozwój mentalności plemiennej i ojczyźnianej, religie oraz wszystko, co dziś mamy i znamy, a co wydaje nam się tak oczywiste, że już dawno przestaliśmy się nad tym zastanawiać, a co niektórzy nazywają prawami naturalnymi. Pozostałe rewolucje to kolejno freudowska, kobieca albo chanelowska (od Coco Chanel, która po wiekach całych zdjęła kobietom gorsety

i wielowarstwowe halki, skróciła suknie i włosy, ubrała je w spodnie – i nasza cywilizacja nigdy już nie była taka sama) oraz cyfrowa.

[18] A tak to brzmiało w oryginale: “I hereby promise to be kind to all living this, to protect them to the utmost of my power, to feed the birds in the winter time, and never to take or destroy a nest. I also promise to get as many boys and girls as possible to join the Dicky Bird Society” (o ile nie podano inaczej, tłumaczenia cytatów anglojęzycznych pochodzą ode mnie). Słowa o niewybieraniu jaj i nieniszczeniu ptasich gniazd miały dużo większą wagę, niż może się nam dzisiaj wydawać. Były to czasy powszechnego wykorzystywania jaj dzikich ptaków w przemyśle z jednej strony oraz lawinowo rosnącego zainteresowania kolekcjonerów z drugiej. Oczywiście im rzadsze ptaki, tym większym wzięciem cieszyły się ich jaja i tym więcej można było zarobić na okradaniu ich gniazd. Dla młodych chłopaków była to okazja do zdobycia łatwego kieszonkowego.

[19] Przy założeniu, że każdy miesiąc to 21 dni, a każdy dzień to 8 godzin roboczych.

[20] Oni też mają swoich sławnych ambasadorów, m.in. Jimmy’ego Cartera, Cameron Diaz, Daryl Hannah, Iana Hardinga, Steve’a Martina, Lili Taylor, a po sąsiedzku, w Kanadzie, Margaret Atwood. Być może warto w tym miejscu wspomnieć też nieżyjącego prezydenta Theodore’a Roosevelta, a także… Fidela Castro.

Modraszka.
Księżniczka błękitów

Za każdym razem kiedy widzę modraszkę, a tym bardziej dwie, najpierw słyszę „Si-Si”, a zaraz potem to:

Więc chodź, pomaluj mój świat
Na żółto i na niebiesko,
Niech na niebie stanie tęcza
Malowana twoją kredką.
Więc chodź, pomaluj mi życie,
Niech świat mój się zarumieni,
Niech mi zalśni w pełnym słońcu,
Kolorami całej ziemi.
Chodź, pomaluj mój świat,
Dwa Plus Jeden, tekst Marek Dutkiewicz, 1971

Dla nas wszystkie modraszki wyglądają tak samo, ale dla nich każda jest wyraziście inna. Definiują je żółty i niebieski, który u chłopaków świeci, a u dziewczyn nie. Prawdopodobnie dużo więcej, a już na pewno dużo bardziej intymnych informacji sikorki mogą wyczytać ze swojego żółtego. Jak na przykład ta o jakości materiału genetycznego starającego się samczyka. Im bardziej soczysty jest kolor jego brzuszka, tym lepsze geny. Barwiące go karotenoidy pochodzą z jedzenia, więc można wnioskować, że właściciel pięknie żółtych piórek jest też zdrowy, zaradny i dobrze zorientowany w lokalnych warunkach, bo wie, gdzie są najlepsze jagody i gąsienice, których wkrótce będą potrzebowały wspólne pisklęta. Przyglądając się kolorom, ptaki dowiadują się o kondycji

i wigorze swoich partnerów, dzieci i konkurentów. Wiedzą, czy się dobrze odżywiali, a nawet co jedli. Z daleka widzą też, które owoce są bardziej dojrzałe, które warto jeść, bo mają więcej mikroelementów i witamin, albo czym ostatnio napychały się ich ulubione gąsienice i czy teraz można bezpiecznie napychać się nimi. Tak jak my, ptaki są przede wszystkim wzrokowcami – być może dlatego reagujemy na nie silniej niż na ewolucyjnie bliższe nam ssaki, które najczęściej idą przez świat, obwąchując go oraz znacząc własnym kałem, moczem lub w najlepszym razie piżmem. I ptaki, i my jesteśmy dziećmi słońca (z wyjątkiem sów i lelków oraz tych z nas, którzy udają się na dziki weekend do wielkiego miasta, najczęściej w okresie młodzieńczym i poza lockdownem). I one, i my mamy bardzo dobry wzrok, tyle że one widzą jeszcze dalej, w lepszej rozdzielczości i trochę inaczej, intensywniej. Być może najważniejsze różnice to ogromne pole widzenia ptaków (poza dziennymi i nocnymi drapieżnikami, których oczy, tak jak nasze, skierowane są do przodu), zapewniające im doskonałe widzenie głębi 3D, dzięki któremu takie modraszki na przykład mogą poruszać się w koronach drzew czy krzewów z zegarmistrzowską dokładnością, oraz dodatkowe, niedostępne dla nas pasmo barwne – ultrafiolet. To ostatnie powoduje, że ptaki, które my uważamy za bardzo kolorowe, w ich oczach muszą dosłownie wibrować, a te, które my widzimy jako czarne, zaledwie połyskujące, jak kruki czy gawrony, dla nich są jak roztańczona

tęcza. Świat odbierany przez ptaki jest prawdopodobnie taki jak nasz na silnym wspomaganiu.

Modraszka to jedna z tych, co nigdy się nie zatrzymują. Ale wyobraź sobie przez chwilę, że to Ty jesteś małym ptakiem, taką sikorką na przykład. Niewiele większą od piłeczki pingpongowej – razem z ogonkiem masz najwyżej 12 centymetrów długości i ważysz mniej więcej tyle co łyżka cukru pudru. Oczywiście bez łyżki, jakieś 10–12 gramów. Z miejsca na miejsce przemieszczasz się z prędkością 30 kilometrów na godzinę, i to w bardzo gęstym otoczeniu. Są tam gałęzie, liście, kolce, konary, złudne światła i cienie oraz inni użytkownicy przestrzeni. Jedni tacy jak ty, inni mniejsi albo kilkadziesiąt czy kilkaset razy więksi. Wielu z nich chciałoby cię zjeść. (Statystycznie najczęściej giniesz w długich szponach krogulców oraz paszczach kotów domowych). Temperatura twojego ciała to 42 stopnie. Żeby ją utrzymać, musisz ciągle jeść – zimą nawet połowę tego, co ważysz! Twoje jedzenie biega, lata lub pełza i na pierwszy rzut oka nie różni się od łusek kory czy porostów, w których się ukrywa, a skąd z precyzją chirurgicznej mikropincety wyciągasz je swoim dziobem. Sztuka polega na tym, żeby je odnaleźć i samemu nie zostać zjedzonym. W słoneczny zimowy dzień niby więcej widać (uważaj – ciebie też!), ale zmrok zapada już wczesnym popołudniem, a twoje ofiary hibernują gdzieś głęboko i jeszcze trudniej się do nich dostać. Z kolei w roztańczonych na wietrze wiosennych i letnich

światłocieniach liści łatwo się pogubić. Irytująco zielone (!) gąsienice są podstawowym pokarmem twoich dzieci, a ich niedobór może doprowadzić je do niedorozwoju lub śmierci. Od świtu do zmroku uwijasz się więc z twoim partnerem albo partnerką, żeby waszej dziesiątce czy trzynastce niczego nie brakowało. W krytycznym okresie będziecie wracać do nich z jedzeniem co półtorej minuty!

Czy to wiosna, czy zima, świątek, piątek czy niedziela, twoje wyostrzone zmysły pracują na najwyższych obrotach. W końcu przychodzi wieczór i możesz pójść spać. Jeśli skrzypi mróz, a dzień był kiepski i ciągle dokucza ci głód, obniżysz sobie temperaturę o kilka, a nawet 10 stopni, co poważnie zwalnia twoje szalone tempo przemiany materii. Naukowcy nazywają to nocną hipotermią. (Nasza temperatura w czasie snu i relaksu też się obniża, ale tylko minimalnie, i dzieje się to poza naszą kontrolą). Starasz się jednak nie przesadzać, bo z jednej strony to duża oszczędność energii (10–30 procent), ale z drugiej im większy spadek temperatury, tym wyższe koszty ponownego *włączenia silników*. Poza tym po zmroku na scenę wchodzą nocne drapieżniki. W stanie pogłębionej hipotermii nie jesteś nieprzytomny(-na), ale na pewno spowolniony(-na). Z tego powodu oraz dla osłony przed zimnem kładziesz się spać w dziuplach, budkach lęgowych, w gęstym igliwiu lub liściach, w ulicznych lampach, pod dachowymi gąsiorami i gdzie tylko znajdziesz

odpowiednie lokum – choćby w norach w głębokim śniegu lub ziemi. Sam(a), częściej z partnerem lub partnerką (wiele z was łączy się w pary na dłużej niż tylko jeden sezon lęgowy, czasami na całe życie) albo i całą rodziną lub grupą sąsiedzką, w której szczególnie zimą mogą znaleźć się też ptaki innych gatunków.

Żyjesz w skomplikowanym świecie pełnym wyzwań, barw, dźwięków i bodźców. I jak tu nie zwariować?! Tak się przyzwyczaiłeś(-aś), że pewnie nie odczuwasz tego obciążenia (tak jak ludzie na wojnie albo w pracy po 12 godzin na dobę), ale gdy jakiś życzliwy przyrodnik eksperymentator umieści cię na urokliwej leśnej wysepce, dbając o to, żeby nie było tam żadnych drapieżników, wtedy dopiero zaczynasz poznawać, co to prawdziwy relaks. Śpisz całą noc, a nawet w środku dnia – ot, choćby na pełnym widoku, na pierwszej lepszej gałęzi, wygłupiasz się z kumpelkami i nawet gniazda budujesz wprost na ziemi, bo po co się spinać… I pomyśleć, że ludzie mówią o was, że jesteście głupie i macie ptasi móżdżek. Ciekawe, jak oni poradziliby sobie na waszym miejscu albo nawet własnym, ale w prawdziwym lesie, a nie w podmiejskiej plantacji sosny. Bez goretexu, odzieży termicznej, termosów, GPS-ów, zasięgu i social mediów? Ile czasu im damy?

Modraszka to nasza druga co do liczebności sikora, z populacją od 1,5 do 1,9 miliona par. Tak jak ich większe kuzynki bogatki, modraszki również znane są ze swojej zaradnej i przedsiębiorczej

natury. Zasłynęły m.in. z tego, że wykombinowały sobie, jak dobrać się do tłustej i pożywnej śmietany zbierającej się na butelkowanym mleku, które do późnych lat 90. było regularnie dostarczane na progi angielskich domów. Wystarczyło otworzyć kapsel z folii aluminiowej. Jako pierwsze zrobiły to sikorki ze środkowej Anglii w latach 20. ubiegłego wieku. Wkrótce cenna umiejętność rozprzestrzeniła się po całych Wyspach. Udowodniono już, że sikorki przekazują sobie nawzajem własną wiedzę i różne użyteczne informacje. Jak? Telepatycznie? Może za pomocą tańca, jak pszczoły? A może tak jak my, używając kodu dźwiękowego – języka? Jedno jest pewne – one cały czas gadają. Pewna modraszka, Czeszka, wpadła w ręce obrączkarzy dwa razy. Pierwszy raz jako podlot, a drugi 11 lat i 7 miesięcy później. Ciekawe, czy doczekała kolejnych urodzin, ale gdy ją wypuszczali, wciąż była w bardzo dobrej kondycji.

Gdzie patrzeć?

W przyjaznych wsiach i miastach, w parkach, sadach i ogrodach, w starych alejach, śródpolnych zadrzewieniach, lasach liściastych i mieszanych. Zimą modraszki chętnie zaglądają do karmników.

Czego wyglądać?

Lazurowo-żółtych ptaszków z wyrazistymi, białymi polikami i granatowoczarną nitką biegnącą przez oczy. Małe dzieła sztuki, które w wielkim skupieniu przeskakują z gałęzi na gałąź, trzymając się obrzeży koron drzew i zawisając na najcieńszych gałązkach, dostępnych tylko dla takich drobin jak one. Modraszki nigdy się nie zatrzymują i nigdy nie milkną.

Czego nasłuchiwać?

Najbardziej charakterystyczne jest słyszalne przez cały rok „Trrra-Ta-Ta-Ta-Raz-Dwa-Trzy!". Terkoczące, mocne i głośne – na zaznaczenie swojej obecności lub wyrażenie zaciekawienia. Takie samo otwarcie, ale bardziej rozbudowana i chaotyczna wyliczanka zwykle oznaczają zdenerwowanie i niepokój. Piosenka ma podobną strukturę, ale zaczyna się gwizdem, nie terkotem. Cichutka, metaliczna, w bardzo wysokiej tonacji, za to każdy samczyk ma co najmniej od trzech do siedmiu piosenek różniących się liczbą tonów i nut (od 1 do 10) W towarzystwie modraszek zawsze niesie

się kontaktowe „Si-Si”, a poza tym wiele innych zawołań, których do tej pory naliczono 40.

Kiedy?

Przez cały rok.

Rudzik.
Merry Christmas

Biegniesz rano do pracy albo szkoły, a może późnym popołudniem wracasz do domu (no chyba że z powodu lockdownu w ogóle nie wychodzisz) – wtedy z poplątanego wnętrza mijanego krzewu dobiega cię słodka piosenka. Sączy się jak źródlany strumyczek. Trudno o większy kontrast z betonowym zgiełkiem, który przeważnie nas otacza… To rudzik śpiewa. Od wczesnej wiosny do lata, coraz częściej jesienią i zimą. Nie tak szeroko jak marcowy kos ani tak spektakularnie jak majowy słowik – bo oni śpiewają dla świata, rudzik bardziej dla siebie. A może jego świat jest po prostu mniejszy. Do życia wystarczy mu przydomowy ogródek, mało uczęszczany kącik w parku albo skraj leśnej polany. Najważniejsze, żeby było tam jakieś, daj Boże, stare drzewo lub dwa, trochę opadłych liści, kilka gęstych krzaków i tyle samo kryjówek. Tutaj ustanowi swoje miniaturowe królestwo i stąd będzie komunikować innym rudzikom, że to jego ziemia. Właściwie to może być także jej ziemia, bo one też utrzymują terytoria i śpiewają równie ochoczo co oni. Przestają tylko na czas budowania gniazda, wysiadywania jaj i opieki nad pisklętami. Śpiew w tym czasie byłby głupotą, jeśli nie samobójstwem.

Rudziki to pomimo niewielkich rozmiarów (są ciut mniejsze od wróbla) zadzierżyste ptaszki i nie samobójstwa są ich problemem. W ich świecie częściej dochodzi do zabójstw i w niektórych okolicach co dziesiąty nosi ślady krwi na dziobie lub pazurkach. Wielcy indywidualiści, swoich pobratymców trzymają na dystans.

W pary łączą się tylko na tyle, na ile to konieczne, żeby wspólnie wychować pisklęta, ale nawet wtedy ich wzajemne relacje są bardziej praktyczne niż romantyczne. Zwykle wystarczy zaśpiewać z ulubionego krzaka lub wychynąć stamtąd z dumnie wypiętą rudą piersią i spazmatycznie zadartym ogonem, pokrzykując: „Tik! Tik! Tik!", aby przypomnieć intruzom o obowiązujących zasadach. Zawsze jednak znajdą się tacy, co za nic mają zasady, wówczas w małym rudziku budzi się lew… Jeśli krótki sparing nie rozstrzygnie terytorialnego sporu i żadna ze stron nie ustąpi, dochodzi do prawdziwej walki. Rywalki, a przede wszystkim rywale, bo to oni mają skłonność do angażowania się w mordercze pojedynki, celują w oczy i kruche jak patyczki nóżki. Im dłuższe starcie, tym większe ryzyko, bo ślepy albo beznogi rudzik ma nikłe szanse, bez względu na to, w jak kolczastym krzewie się ukryje. To, co doprowadza rudziki do szewskiej pasji, to obca zuchwale czerwona pierś na ich ścieżce. Jak płachta na by(cz)ka! Jeden z nich tak się zapomniał, że rzucił się na rudą brodę właściciela ogrodu, w którym mieszkał[21]. W Naturze dobrze jest być asertywnym. Opłaca się być pewnym siebie, a nawet agresywnym, ale tylko do pewnych granic. Ci najbardziej zapalczywi przeważnie źle kończą. Gdy inni zajmują się życiem – jedzeniem, przyjemnościami jak kąpiel w rosie lub słońcu, budowaniem relacji (choćby na odległość) i przekazywaniem genów – oni rozglądają się za kolejną awanturą. Prędzej czy później trafia swój na swego… I tak działa nieskończony w swej

mądrości dobór naturalny. Ostatecznie przetrwają nie najbardziej agresywne, ale najbardziej konstruktywne geny. Najwyraźniej rudziki o tym wiedzą, bo to wciąż jedne z naszych najliczniejszych ptaków. Każdej wiosny około pięć milionów decyduje się na chłodny związek, aby wychować kolejne (przeważnie) dwa pokolenia małych żołnierzy i żołnierek. Wykluwające się z jaj rudziki nawet jak na tak małe ptaki mają wyjątkowo krótką oczekiwaną długość życia – zaledwie jeden rok i jeden miesiąc. Dopiero ci z nich, którzy szczęśliwie miną ten krytyczny punkt, mogą zacząć na serio planować swoje życie. Najstarszy, o jakim wiemy, miał 19 lat!

Rudzik to niezły iluzjonista. Wygląda jak postać wyjęta z dobranocki w stylu vintage, w której trochę naiwni, ale sympatyczni bohaterowie mieszkają w kolorowych domkach, dużo mówią i przeżywają śmiałe przygody z happy endem i morałem. Tymczasem u wikingów ten braciszek łata był ptakiem Thora, potężnego boga burz, piorunów, ognia i światła. I to rudzika posłał Thor do ludzi, żeby zaniósł im ogień i światło. Rudzik opiekował się zmarłymi, a to okrywając ich ciała liśćmi i mchem, a to śpiewając im aż do pochówku. Nie powinno nas dziwić, że każdy, kto skrzywdził małego ptaszka, musiał się liczyć z tym, że zostanie ugodzony piorunem lub zginie w płomieniach. Przekonanie o karze czekającej tych, którzy podniosą rękę na rudzika, było żywe w całej Europie. Rudzik umiał znaleźć drogę

do serca wielu ludzi i różnych bogów. Z Jezusem się zaprzyjaźnił, kiedy ten był jeszcze chłopcem. Pewnego dnia do spółki z jaskółką wyciągnął nawet dokuczliwy paproch, który wpadł do oka jego matce. Kiedy po latach Jezus umierał na krzyżu, wierny rudzik był jednym z pierwszych, którzy przybyli nieść mu ukojenie. Przysiadł na świętym drzewcu i najczulej, jak potrafił, śpiewał do ucha konającego przyjaciela, aż ten wydał ostatnie tchnienie. To wtedy rudzik zbroczył się Boską krwią. Inni mówili, że stało się to, gdy próbował wyciągnąć cierń tkwiący w czole Jezusa i sam się nim przekłuł. W każdym razie nijakie kiedyś rudziki na pamiątkę tamtych wydarzeń do dziś noszą na piersi czerwoną plamę w kształcie serca, a ich jajeczka są błękitne jak niebo. Taki mały, a taki ważny! Wyśpiewał to sobie. Choć jego liryczna uroda i skromność (dzisiaj wiemy, że nierzadko udawana) na pewno też odegrały niemałą rolę. I oczywiście odwaga. Rudziki od zawsze towarzyszyły dużym kopiąco-ryjącym zwierzętom – turom, żubrom, tarpanom, dzikom – a potem rolnikom i ogrodnikom. Wyprostowane, ani trochę zakłopotane swoją maleńkością, spoglądały gigantom w oczy i czekały na okazję: nie ma to jak spulchniona lub odsłonięta ziemia, kiedy lubi się żyjące w niej robaki. Wszystko zaczęło się zmieniać, gdy poza wyjątkami takimi jak Skandynawia i Wyspy Brytyjskie przestaliśmy się bać uderzeń piorunów i zamiast rudziki błogosławić, zaczęliśmy je zjadać, co wciąż praktykują liczne południowoeuropejskie plemiona. Rudzik był rzadkim przykładem ptaka, którego wszyscy lubili, tak samo

chrześcijanie, jak i ci przed nimi. Rozweselał i troszczył się o nas, przynosił dobre nowiny oraz dary od bogów, w tym ziarno do siewu i ogień, wokół którego zbierali się nasi pradziadowie, żeby porozmawiać, ogrzać się i poczuć bezpiecznie.

W tej kwestii niewiele się zmieniło. Rudzik wciąż przynosi dobrą nowinę i życzenia – na Boże Narodzenie. Do niedawna tylko Brytyjczykom, dzisiaj w całej Europie, z typowym dla siebie stanowczym urokiem, coraz częściej zastępuje renifery, elfy i śnieżynki. Zaczęło się w XIX wieku w wiktoriańskiej Anglii, gdzie poczta działała prawie tak sprawnie jak współczesny internet i nawet do najbardziej odludnych zakątków docierała cztery razy dziennie (a w Londynie co godzinę). Roznosili ją listonosze ubrani w czerwone jak pierś rudzika surduty. Skojarzenie z jedynym o tej porze roku podśpiewującym przy furtce ptakiem było nieuniknione. Wkrótce ów ptak zaczął pojawiać się na kartkach ze świątecznymi życzeniami (które wciąż są bardzo ważną częścią anglosaskiej bożonarodzeniowej tradycji), a listonoszy zaczęto nazywać jego imieniem. *Robin* to dzisiaj oficjalnie ulubiony ptak Brytyjczyków[22], popularne nazwisko, czułe zdrobnienie od Roberta oraz niezależne imię dla ludzi z charakterem, obojga płci.

Gdzie patrzeć?

W przyjaznych parkach i ogrodach oraz w liściastych lub mieszanych lasach z gęstym podszyciem, wykrotami i martwym drewnem. Najczęściej dostrzeżemy go na ziemi lub w gałęziach tuż nad nią. W miejscach, gdzie jest mniej bezpiecznie, oraz na czas wieczornego i tym bardziej nocnego piosenkowania przezorne rudziki sadowią się w koronach drzew… Tam oraz na kartkach z napisem Merry Christmas!.

Czego wyglądać?

Małego, wyprostowanego ptaszka z dużą głową, lśniącymi, czarnymi oczkami i wielkim czerwonorudym proporcem w kształcie odwróconego serca na piersi. Równie wyzywająco rude są czoło i policzki rudzika. Wierzch jest oliwkowobrązowy, a spód jasny, białawy. Rudzik nerwowo dyga, zadziera krótki ogon, zastyga, znowu dyga i odlatuje kawałek dalej – i przez cały czas jakby nie spuszczał z nas oczu! To pewnie efekt jego własnych, nieproporcjonalnie wielkich[23].

Czego nasłuchiwać?

Słodkiej, perlistej piosenki o zmiennym rytmie i głośności. Rudzik ciągle improwizuje i chyba nigdy nie powtarza tej samej zwrotki. Zdenerwowany wybucha pojedynczym lub seryjnym „Tik!”.

Kiedy?

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni. W miastach i w regionach z łagodnymi zimami coraz częściej przez cały rok.

---

[21] Zaskoczonym brodaczem był Christopher Mead, znany brytyjski badacz i popularyzator ptaków.

[22] Wygrał w wyborach przeprowadzonych przez „Timesa” w latach 60. i powtórzonych w roku 2015, kiedy to zdobył 34 procent głosów.

[23] Z powodu swojego wyglądu, zachowania, upodobań, a nawet piosenki rudziki do niedawna były umieszczane w jednej rodzinie z drozdami. Ich drozdowatość to jednak kolejny przejaw konwergencji ewolucyjnej, a prawdziwymi, genetycznymi krewnymi rudzików są muchołówki, z którymi należą do rodziny muchołówkowatych.

Pamiętajmy o ogrodach

Czy ktoś z Was ma w swoim ogrodzie jakąś ptasią rodzinę? Takie rudziki na przykład… Muszą karmić swoje pisklęta co kilka minut. Zaczynają przed wschodem słońca, a kończą o zachodzie i nie mogą oddalić się od gniazda na więcej niż dwadzieścia kilka metrów. Rudziki poszukują jedzenia na ziemi, ich sąsiedzi, tacy jak pokrzewki, na wysokości krzewów, a sikorki w gałęziach drzew. W ten sposób różne gatunki mogą żyć w jednym ogrodzie bez napięć i destrukcyjnej konkurencji. Mogą, pod warunkiem że znajdą tam (i ewentualnie tuż za płotem) wszystko, czego do życia potrzebują. Obliczono, że przeciętny angielski ogród jest domem dla 2673 gatunków najróżniejszych stworzeń. Od tak zwanych roślin wyższych (drzew, krzewów, ziół i kwiatów), przez owady, pająki, ślimaki oraz inne bezkręgowce, po płazy, ssaki i ptaki. (W badaniach nie brano pod uwagę kosmicznej liczby grzybów, glonów, porostów ani mikroorganizmów). Ogrody są tylko siedliskiem zastępczym – zastępują naturalne układy parkowe lub ekotony, czyli siedliska półotwarte i przejściowe, jakie tworzą się na leśnych łąkach albo na styku lasów i pastwisk, a które dominowały w krajobrazie pierwotnej Europy – świetliste puszcze oraz rozległe mokradła i bagienne doliny. Tak jak ciągle jeszcze w

kilku miejscach w Afryce, tak i tutaj pasły się kiedyś wielogatunkowe stada trawożerców, którzy dbali o to, żeby las nie zarastał. W gęstym i zacienionym łatwiej było zaczaić się drapieżnikom i trudniej się przed nimi uciekało, szczególnie z rozłożystymi rogami na głowie i w stadzie liczącym setki zwierząt – na przykład turów. Do tego nie rosły tam soczyste trawy ani zioła, które gęstym kobiercem pokrywały leśne łąki. Pradawne puszcze przypominały stare, naturalistyczne parki lub afrykańską sawannę, tyle że zamiast rozłożystych akacji rosły tam potężne dęby, graby i lipy. Nie obawiajmy się, tabun żubrów ani nawet saren w naszym ekotonowym ogrodzie się nie zadomowi, za to rodzina rudzików, kosów lub śpiewaków mogłaby. Dzisiaj, gdy większość naszych pastwisk jest zaorana, a pola zatrute i ogołocone z drzew, krzewów i ziołorośli, ogrody stają się dla wielu ptaków ostatnią deską ratunku.

Wszystkie nasze parki narodowe i rezerwaty razem wzięte zajmują 1,54 procent powierzchni kraju – 474 tysiące hektarów. Ogrody łącznie z miejskimi i wiejskimi parkami oraz przydomowymi sadami – wielokrotnie więcej. Z punktu widzenia ochrony tak zwanych ptaków pospolitych (a także pszczół, motyli, klimatu, gleby, powietrza, wody) nasze prywatne i publiczne tereny zielone są od parków i rezerwatów dużo ważniejsze. To znaczy mogłyby być… Jak myślicie, ile życia ma w sobie współczesny polski ogród albo „zrewitalizowany” miejski park –

przeważnie kompozycja gresu, betonu, martwych trawników, tui, łabędzi z opon i krasnali? Odcięte od głębszych warstw gleby nie przepuszczają ani nie magazynują wody. Zatrute nie utrzymują żadnego życia. Karłowate, często pozbawione liści nasadzenia nie zapewniają nikomu schronienia, produkują minimalne ilości tlenu, nie oczyszczają powietrza, nie magazynują wody, nie chłoną hałasu, nie osłaniają przed chłodem ani wiatrem…

Czy ktoś jeszcze pamięta, jak wyglądały tradycyjne polskie ogrody? Obok gęstych i kolorowych, dzisiaj powiedzielibyśmy: sensorycznych ogrodów wiejskich mieliśmy jeszcze szlacheckie. Bardziej stonowane, swoim stylem przypominały ogrody angielskie, których główne założenia to naśladowanie natury i harmonia z otaczającym krajobrazem. To w takich ogrodach zamieszkują rudziki, pokrzewki i sikory (motyle, trzmiele, świerszcze…). Mają w nich co jeść, gdzie odpocząć, ukryć siebie i gniazdo, przeczekać zimę. Kluczem do nich jest różnorodność, przede wszystkim roślin. Po pierwsze ich funkcji, bo niektóre trzymamy dla pięknych kwiatów, inne dla dekoracyjnych liści, a jeszcze inne dla zapachu, nektaru lub owoców albo dlatego, że odstraszają ogrodowe łobuzy. Po drugie struktury, czyli piętrowości nasadzeń, kompozycji barw, czasów kwitnienia lub owocowania. Rośliny są fundamentem każdego dobrego ogrodu i przyciągają do niego całą tęczę życia. Z czasem nasz ogród nabiera ciała i charakteru, staje się coraz bardziej bioróżnorodny, a przez

to zdrowszy i bardziej samowystarczalny, odporny na choroby, ataki tak zwanych szkodników lub chwastów, a nawet przesuszenie. Jest tańszy i mniej pracochłonny w utrzymaniu. Przez 12 miesięcy w roku i 24 godziny na dobę coś się w nim dzieje. Coś nowego kwitnie lub owocuje, pojawiają się inni goście, nocna zmiana zastępuje dzienną… Jak w wielkim, żywym zegarze. Albo w kinie. Nic dziwnego, że prawdziwe ogrody mają terapeutyczną moc.

Żeby tak było, warto pamiętać o kilku prostych zasadach – oprócz *oberzasady* o bioróżnorodności! Po pierwsze, ogród potrzebuje naszej opieki, ale nie lubi stałej ingerencji – ciągłego kopania, grabienia, przesadzania, przycinania, palenia i broń Boże trucia. Najwięcej pracy poświęcajmy mu wiosną, a potem z każdym kolejnym miesiącem coraz mniej. Szczególnie z punktu widzenia zimowego dokarmiania ptaków dużo ważniejsze jest to, czego w naszym ogrodzie nie robimy, od tego, co tam robimy. Przede wszystkim jesienią! Dlatego też, po drugie, nie zrywajmy wszystkich jabłek i darujmy jagodom. Jarzębina, ligustr, berberys, irga, głóg, róże – wszystko się przyda! Jeśli jeszcze nie rosną – posadźmy je. Zostawmy przynajmniej część suchych kwiatostanów. Nie dość, że ładnie wyglądają w pustym, zimowym krajobrazie i zapewniają najlepsze nasiona do samosiewu (od nich często pochodzą najsilniejsze i najpiękniejsze okazy w naszym ogrodzie), to jeszcze są schronieniem dla owadów i naturalną

stołówką dla ptaków, które zjadają i nasiona, i ukrywające się w nich owady. Po trzecie, zostawmy liście na ziemi. Pomagają ogrodowym roślinom przezimować, osłaniając ich kłącza i korzenie przed mrozem, a do tego chronią glebę przed wysychaniem i wietrzeniem. To naturalna ściółka pełna dobrych grzybów i bakterii, które zamieniają ją w próchnicę. Drzewa i inne rośliny oddają w ten sposób ziemi to, co pożyczyły wiosną, żeby urosnąć. Więcej! Dywan z martwych liści to cały mikroekosystem i często jedyne miejsce do życia albo zimowania dla różnych małych stworzeń: od biedronek i chrząszczy, przez ćmy i motyle, po żaby, jaszczurki i przede wszystkim dżdżownice – ich wielkie amatorki i niezastąpione sprzymierzeńczynie każdego ogrodnika. One z kolei oraz inne ukrywające się w liściach i darni robaki to najlepszy pokarm dla ptaków. W ogrodzie, tak jak w całej Przyrodzie, martwe jest nie tylko dobre, ale i potrzebne. To baza życia! Jeśli z jakiegoś powodu musimy usunąć część liści z ogrodu, zamiast wywozić lub palić, odłóżmy je na kompost. Jeśli nie mamy kompostownika, wystarczy zgrabić niechciane liście na jedną lub kilka kupek, najlepiej na jakieś gałęzie, które zostały po jesiennych porządkach, a które nadadzą całości przestrzennej struktury. Kto wie, może gdzieś tam obok śpiącej ropuchy przezimuje jeż lub dwa. Kompostownik (po czwarte), wiązka chrustu, martwy pień lub kłoda (po piąte), kilka kamieni (po szóste) i wreszcie (po siódme) oczko wodne lub choćby mała ptasia

fontanna to ważne elementy wyposażenia każdego przyjaznego ogrodu.

Taki ogród to najlepszy karmnik, a także budka lęgowa i prywatny rezerwat w jednym. Idealne miejsce na odpoczynek oraz kontakt i z Przyrodą, i z ludźmi. Twórczo stymuluje zmysły, koi nerwy, wzmacnia ciekawość świata, a nawet odporność. Wystarczy w nim bywać, przyglądać się, podziwiać i chłonąć jego dobrą, kolorową energię. W naszym czarodziejskim ogrodzie nie może więc zabraknąć hamaka, wygodnej ławeczki albo foteli – dla siebie, dla rodziny, dla gości[24]. Cyceron już ponad dwa tysiące lat temu mawiał, że człowiek do życia potrzebuje ogrodów i bibliotek. A tak w 1965 roku proroczo śpiewał o ogrodach nasz własny bard i poeta, Jonasz Kofta:

Pamiętajcie o ogrodach
Przecież stamtąd przyszliście
W żar epoki użyczą wam chłodu
Tylko drzewa
Tylko liście
Pamiętajcie o ogrodach
Czy tak trudno być poetą?
W żar epoki nie użyczy wam chłodu
Żaden schron
Żaden beton.

I jeszcze jedno: kot zostaje w domu! Jeśli wychodzi, to pod nadzorem. Szczególnie w okresie lęgowym (od kwietnia do lipca) nie powinno być od tej zasady wyjątków. Bez względu na porę roku zawsze powinien być wyposażony w dyskotekową obróżkę. Połyskujące cekiny? Czemu nie! Ptaki są wzrokowcami i powinny ją zauważyć. Koty w odróżnieniu od nich większości barw nie widzą i krzykliwe ozdoby nie są dla nich żadnym obciążeniem ani ujmą na honorze. Okazują się przy tym bardziej skuteczne w informowaniu ptaków o zbliżającym się niebezpieczeństwie niż przypinane do szyi dzwonki, bo koty uczą się poruszać w taki sposób, żeby dzwonek… nie zadzwonił (O wpływie kotów na ptaki i nie tylko w rozdziale *Niebezpieczna dla Polski?*).

---

[24] Włącz Ogród na pTAK! – jak to zrobić, podpowiada stowarzyszenie Jestem na pTAK!, wystarczy, że wpiszesz to zdanie do wyszukiwarki.

Jemiołuszka.
Zima na rauszu

Jarzębina, kalina, tarnina, głóg, śnieguliczka, berberys, dzika róża, ligustr, irga, kruszyna, jałowiec, cis, jabłka – i oczywiście jemioła. Stąd i jemiołuszka. Jemiołuszki potrafią w ciągu dnia zjeść dwa razy tyle, ile same ważą. Owoce mają mnóstwo cukru, ale mało innych składników odżywczych, dlatego żeby się nimi nasycić, trzeba je jeść w dużych ilościach. (Coś o tym wiem). Rekordzistka zjadła między 600 a 1000 jagód irgi w ciągu sześciu godzin i robiła kupę co cztery minuty. (Ach, ci naukowcy). Trudno, żeby taka ilość słodyczy nie uderzyła małym jemiołuszkom do głowy. Szczególnie że te przylatują do nas dopiero zimą i wiele z połykanych przez nie owoców jest już mocno sfermentowanych. Co prawda jemiołuszki trawią alkohol o wiele lepiej niż my, ale jak już zasiądą na jakiejś winnej jarzębinie, to nie mają umiaru. Ptasie bachanalia. Potem ledwo trzymają się na gałęziach – spadają z drzew, zataczają się pod nimi albo zasypiają. Kłopot w tym, że w mieście grasują koty, a gdzie indziej jastrzębie. Zdarza się też, że któraś upija się na śmierć. Jemiołuszki piją (też) bardzo dużo wody, a przy braku płynącej zjadają śnieg. Mówi się, że to przez zagęszczony w wysuszonych, zimowych owocach cukier i że to on wzmaga pragnienie, ale może to zwyczajny kac…?

Mniejsze owoce połykane są w całości, a ukryte w nich nasiona już po chwili wychodzą z drugiego końca jemiołuszek nie tylko nieuszkodzone, ale i oblepione cennym nawozem – w prezencie na dobry początek przyszłym siewkom. Przelatujące z miejsca na

miejsce stadka zazieleniają krajobraz i delikatnie nawożą całą okolicę, a rozsiewając drzewa i krzewy, na których ucztowały, dbają o przyszłość i własną, i całych zwierzęcych oraz roślinnych społeczności, łącznie z nami. Fachowcy nazywają to całkiem stylowo zoochorią – zwierzęcosiewnością.

Kiedy dokładnie, w jak dużych stadach i czy w ogóle jemiołuszki do nas przylecą, tego początkowo nawet one nie wiedzą. Wszystko zależy od pogody oraz od tego, czy po drodze ze skandynawskiej i rosyjskiej tajgi nie trafią gdzieś na wysyp jemioły albo las jabłoni z pozostawionymi na nich jabłkami. Pewna jemiołuszka jedną zimę spędziła w Polsce, a drugą na Syberii, ponad cztery tysiące kilometrów na wschód. Jeszcze więcej, bo sześć tysięcy kilometrów, dzieliło dwa kolejne zimowiska jej zaobrączkowanej na Ukrainie koleżanki. W jaki sposób ci łowcy owocowych okazji podejmują decyzję, dokąd lecieć? Może kierują się błogim zapachem nalewek, który wiatr niesie na odległość tysięcy kilometrów…? Gdziekolwiek to będzie, na pewno nie polecą tam same. Jemiołuszki mają w sobie mało rywalizacji i agresji. Na suto zastawionych drzewach podają sobie nawet jagódki z dzióbka do dzióbka – i ani jedna, ani dziesięć nie miałoby szans z takim paszkotem na przykład, który zajął cały krzak głogu i nikogo do niego nie dopuszcza. Co innego setka ptaków. Z nikim nie walczą, po prostu nadlatują i siadają na drzewie, jak gdyby nigdy nic.

Nawet najbardziej wojowniczy paszkot rozumie, że bicie się z setką uśmiechniętych ptaków na lekkim rauszu nie ma sensu.

Nie podobały nam się jemiołuszkowe zwyczaje. To, że wiecznie się przenosiły, nigdzie nie zagrzewając miejsca, że nie miały swoich rewirów lęgowych, o czym donieśli podróżujący na Daleką Północ odkrywcy, a nawet to, że zawsze trzymały się razem i były dla siebie takie miłe… Mówiliśmy o nich „cygańskie ptaki". Co gorsza, ich przybycie często nakładało się na regionalne epidemie cholery i tyfusu, które jeszcze w pierwszej połowie XX wieku nie były w Europie niczym wyjątkowym. Wybuchały późną zimą i na przednówku, kiedy ludzie nie mieli już dostępu ani do warzyw, ani do owoców i kiedy nadciągały stada wędrownych jemiołuszek, w wielu językach nazywane po prostu zarazą.

Po powrocie na lęgowiska, gdy w tajdze nie ma już nawet mrożonych owoców, jemiołuszki zrywają pierwsze listki, pączki i kwiatki, spijają sok z drzew, łapią owady – głównie komary i meszki. Ale idę o zakład, że i tak cały czas myślą o pierwszych jagodach, i gdy tylko te się pojawią, wracają do frutariańskiej diety. Swoje pisklęta też przy pierwszej sposobności przestawiają na owoce. Dzięki temu mają z głowy kukułki, które nie podrzucają im jajeczek, bo owocami się brzydzą.

Gdzie patrzeć?

Na oblepione jemiołą topole, jarzęby, jabłonie oraz inne drzewa i krzewy z zamrożonymi na nich jagodami.

Czego wyglądać?

Eskadry szybko lecących albo siedzących na drzewie ptaków, które na pierwszy rzut oka wyglądają jak szpaki, ale zimą albo mroźnym przedwiośniem i w środku miasta to na pewno jemiołuszki! Zwykle usłyszymy je, zanim zobaczymy. Gdybyśmy mieli okazję przyjrzeć się im z bliska, co nie jest takie trudne, bo jemiołuszki nawet na trzeźwo nie są szczególnie płochliwe, zobaczymy pękate ptaki z rozwianymi czubami, w czarnych maskach na oczach i tak samo czarnych żabotach. Odziane w ciepłe brązy i szarości, ozdobione mocną żółcią na lotkach i krawędzi ogona oraz odrobiną czerwieni – jemiołuszki wyglądają jak maleńkie, mięciutkie poduszki-przytulanki. To przez ich jedwabiste, delikatnie połyskujące pióra, skąd i łacińskie Bombycilla garrulus – rozgadany jedwabisty ogon. Nic dodać, nic ująć.

Czego nasłuchiwać?

Wibrującego „Sirrr! Sirrr! Sirrr!”, które wołane przez kilkadziesiąt ptaków brzmi jak wesoła, dzwonkowa orkiestra. Jingle bells, jingle bells, jingle all the way! – choćby i w marcu.

Kiedy?

Zimą.

Szpak.
Mistrz improwizacji

To był maj!

Babcia stała na balkonie.

Pachniała Saska Kępa!

Drogą dziadek defilował

Szampan wylewa się

Niech żyje bal

I rym cym cym!

Nie chcę iść pod wiatr, gdy wieje w dobrą stronę.

Rumor has it!

Nie chcę biec do gwiazd, gdy gwiazdy biegną do mnie.

Rumor has it!

Mam nowy lot i dźwięk,

Moje oczy błyszczą też.

Take a chance on me!

Małgośka!

Tyle słońca w całym mieście

Małgośka!

Nie widziałeś tego jeszcze

Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy

I hopsasa!

Non rien de rien

La cucaracha!

Non rien de rien

La cucaracha!

Jolka, Jolka – chłoporobotnik – Józek – i boa grzechotnik

Non je ne regrette rien

I was born this way

I rym cym cym

Szabadabada!

I rach ciach ciach

Szabadabada!

Jeszcze bliżej

Ramię w ramię

Lecimy, bo żyje się raz![25]

Zanim pierwszy DJ stanął za konsoletą i zaczął miksować ze sobą różne kawałki, kolejne pokolenia szpaków robiły to pasjami od kilkuset tysięcy lat. Ich najstarsze znalezione szczątki datowane są na środkowy plejstocen i możemy zakładać, że około tego czasu wyewoluował cały gatunek. Słowo *disc jockey* z kolei po raz pierwszy zostało użyte na antenie amerykańskiego radia w 1935 roku, ale prawdziwy rozkwit nowej sztuki nastąpił wraz z dojściem do głosu subkultury jamajskiej w latach 70. Jeszcze większy skok przyniosły lata 90. oraz hip-hop, co dało początek skreczerom albo turntablistom. Ci zaczęli traktować istniejące utwory i ich nośniki (głównie płyty winylowe) jak instrumenty, na których tworzyli własne kompozycje. I to właśnie robią szpaki. Nieposkromieni łowcy dźwięków i skreczerzy. Potrafią grać (imitując dźwięki) i śpiewać różne melodie i tonacje jednocześnie, zmieniać nuty w setnych ułamkach sekundy, na wydechu i na wdechu. Wszystko dzięki syrinksowi, superpłucom i ptasiemu móżdżkowi. Wystarczy, że szpak raz usłyszy jakiś głos, odgłos lub

słowo, żeby odtwarzał je potem w swoich wokalizach. Pod warunkiem oczywiście, że mu się spodobały albo zauważył, że powodują jakąś reakcję wśród jego kompanów, w tym ludzi, jeśli to z nimi żyje. To między innymi dlatego w poprzednich wiekach szpaki były często trzymane w domach. Mało kto mógł sobie wtedy pozwolić na psa, ale prawie każdego było stać na szpaka. Bystre, figlarne, skore do nauki i zabawy, kolorowe z pióra i charakteru. Niejeden z nich potrafił zapewnić więcej rozrywki niż cała sfora. Jan Krzysztof Kluk (1739–1796), znany w swoim czasie ksiądz i przyrodnik, w czterotomowym dziele *Zwierząt domowych i dzikich, osobliwie krajowych, Historyi naturalnej początki i gospodarstwo. Potrzebnych i pożytecznych domowych chowanie, rozmnożenie, chorób leczenie, dzikich łowienie, oswojenie, zażycie, szkodliwych zaś wygubienie* pisał (wybrane frazy): „Do chowania z ptaków krajowych szpak jest najrozkoszniejszy", „Wypieścić się łatwo daje", „Wymawia słowa, śpiewa różne nuty, szczeka, pieje, […] jedno porzuci, a co nowego przedsiębierze", „Jest to ptak w swoim względzie rozumny, stąd się mówi o kim, że szpakami karmiony". Czyli błyskotliwy, kreatywny i zaradny. Kogoś takiego nazywano wprost szpakiem, szpaczkiem, szpasiem. „Szpaczkować" znaczyło żartować i dokazywać – z humorem i polotem. I to nie starego wróbla, ale szpaka nie dało się złapać na plewy.

Szpaki miksują przez cały rok, z wyjątkiem krótkiego okresu wymiany piór, co ma miejsce późnym latem. Dziewczyny, głównie jednak chłopaki, najwięcej wiosną, na otwarcie sezonu lęgowego. Trudno przy tym oprzeć się wrażeniu, jakby wibrujące energią ptaki chciały go mieć jak najszybciej za sobą. Ot, coś, co trzeba odhaczyć, ale nie ma powodu tego celebrować. Szpaki bardziej niż dla jaj i ciasnych budek lęgowych żyją dla muzyki, towarzystwa, szalonych powietrznych ewolucji, robaków i czereśni. Mogą być też inne owoce, również te sfermentowane. I chociaż dzięki dehydrogenazie alkoholowej, enzymowi, którego mają we krwi 14 razy więcej niż my, nie mają kaca ani się nie upijają – mogą być najwyżej na lekkim rauszu – nieźle narozrabiały za oceanem. Trafiły tam dzięki staraniom Eugene'a Schieffelina, prezesa Amerykańskiego Stowarzyszenia Aklimatyzacyjnego (American Acclimatization Society), założonego w 1871 roku w Nowym Jorku w celu osiedlania w Stanach różnych egzotycznych gatunków roślin i zwierząt. Motywacje najczęściej miały charakter ekonomiczny, łowiecki lub estetyczny. Schieffelin, zamożny farmaceuta, prywatnie entuzjasta Szekspira i ptaków, miał postawić sobie za cel sprowadzenie do Ameryki wszystkich tych, które pojawiły się w dziełach angielskiego klasyka – łącznie z domowymi około 55 gatunków, wśród nich szpaki. Pierwszych 60 wypuszczono w Central Parku 6 marca 1890 roku, a w kolejnym roku jeszcze 40[26]. Początkowo wydawało się, że szpaki podzielą los swoich poprzedników – gilów, słowików, śpiewaków, rudzików

czy szczygłów, które nie potrafiły się odnaleźć w Nowym Świecie i szybko bezpotomnie wymarły albo, tak jak skowronki, balansowały na granicy przetrwania. Po kilku latach ze 100 szpaków zostały 32, najwyraźniej jednak przetrwały te o największych ambicjach pionierskich. Dzisiaj ich potomkowie żyją od północnego Meksyku po Alaskę i borealną Kanadę, a ich liczbę szacuje się na 200 milionów (łącznie na całym świecie jakieś 310). Straty, jakie powodują – na 800 milionów dolarów rocznie. Dużo mówi się też o ich destrukcyjnym wpływie na rodzime gatunki, tylko że żadne szczegółowe badania tego nie potwierdzają. Z jednym być może wyjątkiem – oskomika czerwonogłowego *Sphyrapicus ruber*, któremu *najeźdźcy* odbierają czasem dziuple.

Amerykanie oficjalnie napiętnowali swoje szpaki jako gatunek obcy i inwazyjny (myślałby kto!), a to wystarczy, żeby każdy mógł mówić lub pisać o nich, co mu ślina na język przyniesie, opierać się na niesprawdzonych źródłach i nierzetelnych danych, sięgać do fałszywych statystyk lub sensacyjnych doniesień dotyczących innych gatunków i innych ekosystemów. Taki standard. Nikt nie będzie protestować. Nikt też nie policzy korzyści i wartości usług ekosystemowych, które zapewnia armia szpaków – m.in. przez trzymanie pod kontrolą tzw. szkodników, zapylanie roślin i roznoszenie nasion. Na tzw. gatunkach obcych i inwazyjnych można za to nieźle zarobić i szpaki nie są tutaj wyjątkiem. Wielkie pieniądze idą na ich zwalczanie – od promowania

szpaków z rożna do ich masowego trucia, co, jak łatwo się domyślić, zawsze pociąga za sobą wielką i najczęściej pomijaną liczbę przypadkowych ofiar, które miały pecha. Co na to amerykańskie szpaki? Robią to, co szpaki potrafią najlepiej – swoje, a wszystkie straty wyrównują z nawiązką. Może warto, żeby ktoś znów sięgnął do Mistrza, który jeszcze bardziej niż literackimi ptakami zasłynął uniwersalną mądrością i ponadczasowymi bon motami. „Co się stało, to się nie odstanie" („What's done cannot be undone") – podpowiada ustami Lady Makbet.

Szpaki poza swoim pierwotnym zasięgiem (Europa i zachodnia Azja) żyją dzisiaj w Australii, w Nowej Zelandii, na Fidżi, w Republice Południowej Afryki, w Argentynie, Urugwaju i na Karaibach. Nigdzie jednak tak licznie i tak mocno jak w Kanadzie, a przede wszystkim w Stanach. Może sprzyjają im Duchy Ameryki? Indianie od początku traktowali przybyszów jako ptaki totemiczne. Ich moce duchowe to współpraca, synergia, komunikacja, asertywność, życie tu i teraz.

Gdzie patrzeć?

Po wsiach i zazielenionych miastach. Wiosną szpaki ekstatycznie śpiewają z dachów, anten, wierzchołków drzew albo budek lęgowych. Połyskujące i zmierzwione na piersiach pióra, wycelowany w niebo dziób i machanie skrzydłami? – to musi być szpak. Ze skupioną miną uwijają się potem wśród niskiej trawy łąk i trawników w poszukiwaniu robaków i owadów. Z tego samego powodu, najchętniej pospołu z ziomkami, towarzyszą pasącym się krowom, koniom, owcom, jeleniom i żubrom, co jakiś czas korzystając z darmowej przejażdżki. Latem przyciągają je dojrzałe wiśnie i czereśnie, jesienią miękka gleba pól i łąk, a także trudno dostępne trzcinowiska, idealne na nocleg.

Czego wyglądać?

Niewielkich, pozornie czarnych, tęczowo mieniących się ptaków. Jesienią i zimą obsypują się białymi perełkami, wiosną złotawym brokatem. Jesienią i zimą ich dzioby są ciemne, wiosną żółte. Nogi zawsze ciemnoczerwone. Ptaki młode, do pierwszej jesieni, są w kolorze mocnej kawy z mlekiem, z ciemnymi dziobami i jeszcze nie czerwonymi nogami. Poza okresem lęgowym szpaki trzymają się razem – zobaczymy je, jak przelatują w gęstych chmarkach i chmarach, a każdy z osobna wygląda jak wpisany w romb. Wtedy

też wydają się najczarniejsze. Pojedynczo, a tym bardziej w grupie szpaki robią wrażenie, jakby dobrze wiedziały, dokąd, po co i na którą lecą. A że latają szybko – nawet 80 kilometrów na godzinę – na pewno będą tam przed czasem…

Czego nasłuchiwać?

Jak wyżej. Albo dynamicznej kompilacji różnych ptasich melodii i zawołań, odgłosów miasta, wsi lub podwórka, przetykanych szczebiotem, trelami i gwizdami.

Kiedy?

Od wiosny do jesieni. Coraz wcześniej przylatują i coraz później odlatują, a niewielkie grupy, szczególnie na zachodniej ścianie kraju, zostają przez cały rok.

[25] Kompilacja słów (i nut) zaczerpniętych z następujących utworów (w kolejności, w jakiej się pojawiają): Maryla Rodowicz, *Małgośka*; Halina Kunicka, *Orkiestry dęte*; Sanah, *Szampan*; Maryla Rodowicz, *Niech żyje bal*; Kabaret Olgi Lipińskiej, *I rym cym cym…*; Kortez, Dawid Podsiadło, Krzysztof Zalewski, *Początek*; Adele, *Rumor has it*; Sanah, *Ale jazz*; Abba, *Take a Chance on Me*; Anna Jantar, *Tyle słońca w całym mieście*; Marek Grechuta, *Dni, których nie znamy*; Édith Piaf, *Je ne regrette rien*; *La cucaracha*; Felicjan Andrzejczak, *Jolka, Jolka pamiętasz*; Beata Kozidrak, *Józek, nie daruję ci tej nocy*; Lady Gaga, *I Was Born This Way*; Alicja Majewska, *Odkryjemy miłość nieznaną*; Piasek, *Jeszcze bliżej*; Kayah i Viki Gabor, *Ramię w ramię*.

[26] Policzono, że różne ptaki pojawiają się u Szekspira łącznie ponad 600 razy – dużo częściej niż jakiekolwiek inne zwierzęta. Może mistrz był birdwatcherem, na długo zanim słowo to weszło do użycia…? (Po raz pierwszy odnotowano je w 1891 roku). Niektóre źródła podają, że wątku Szekspira w działalności Towarzystwa Aklimatyzacyjnego nigdy nie udało się w pełni potwierdzić, faktem jednak jest, że prezes Schieffelin osobiście nosił i otwierał klatki ze szpakami w słynnym nowojorskim parku.

Jerzyk.
Latam, więc jestem

Pewnego letniego poranka w niedbałym, ale czystym gnieździe ukrytym wysoko pod dachem, w wyłomie muru, albo, co się ostatnio zdarza, w specjalnej skrzynce lęgowej przychodzi na

świat maleńki jerzyk. Po trzech, czterech tygodniach wymyka się stamtąd jako nastolatek i… zaczyna spadać. Ale już po sekundzie po raz pierwszy w życiu robi użytek ze swoich skrzydeł. Nieproporcjonalnie długie i właściwie nieskładalne, do tej pory raczej mu przeszkadzały. Pewnie nieraz myślał sobie, że zamiast tych skrzydeł wolałby normalne stopy. Takie, które pozwoliłyby mu swobodnie poruszać się po gnieździe. (Maleńkie, niewidoczne nogi jerzyków na drodze ewolucji zmieniły się w twarde jak stal haczyki do wspinaczki, dzięki którym ptaki te bez trudu utrzymują się na pionowych ścianach jaskiń czy budynków, ale nie mogą chodzić. Stąd też ich łacińska nazwa *Apus apus* – Beznogi beznogi)[27]. Ptasie skrzydła zbudowane są mniej więcej tak jak nasze ręce – dłoń (w ich przypadku o zrośniętych palcach), przedramię i ramię, które stawem barkowym połączone jest z resztą ciała. Wszystkie te części mają zwykle podobne długości, ale nie u jerzyków. Tutaj prawie całe skrzydło to absurdalnie długa dłoń, która wygląda, jakby wyrastała od razu z barku! Jeszcze tylko jaskółki i przede wszystkim kolibry (ewolucyjni kuzyni jerzyków, z którymi należą do rzędu krótkonogich, *Apodiformes*) mają takie skrzydła.

Nasz młodziak już od jakiegoś czasu przyglądał się prującym niebo rodzicom i sąsiadom, więc ma teoretyczne pojęcie o lataniu. O rozpostarciu skrzydeł w ciasnym gnieździe nie było mowy, ale od jakiegoś czasu ćwiczył je, podnosząc się na nich (takie

jerzykowe pompki), i wie, że to one są kluczem do sukcesu. Wyobrażam sobie, że jego skrzydła same rwą się do lotu. Jakby kierowane jakąś własną, niezależną energią. Większość ptaków uczy się latać i odpowiednio poruszać skrzydłami, co wymaga czasu i obarczone jest sporym ryzykiem. (Nasza nauka chodzenia też okupiona jest siniakami i płaczem, ale ponieważ chodzenie jest o wiele mniej wyrafinowanym sposobem przemieszczania się, zaczynamy na znacznie wcześniejszym etapie rozwojowym). W przypadku jerzyków wygląda to tak, jakby to one musiały opanować skrzydła, które już same latają. Przy średniej wadze niespełna 40 gramów (tyle co dorodna truskawka) rozpiętość skrzydeł tych powietrznych akrobatów wynosi ponad 40 centymetrów! W locie są jak rozpędzone bumerangi z małymi uchwytami pośrodku. W rzadkiej i nietypowej dla siebie pozycji spoczynkowej wyglądają jak para skrzydeł połączonych głową, z której lśnią wielkie, ciekawskie oczy. My mówimy „wolny jak ptak", a ptaki pewnie mówią „wolny jak jerzyk"[28].

Z chwilą, kiedy młody jerzyk opuszcza rodzinne gniazdo, jego domem staje się powietrze. Żadnego lądowania, żadnego przysiadania – tylko wiatr, słońce (albo księżyc) i inne jerzyki. Szalone prędkości i dzikie wrzaski „Jerzrzyk! Jerzrzyk!". Dlaczego eskadry jerzyków tak krzyczą? Wyobraź sobie, że całą zgrają pędzisz na złamanie karku – a to nad dachami rozgrzanego słońcem miasta, a to zygzakujesz wśród wystających z nich anten

i kominów, aż tu nagle twoje koleżanki i koledzy kręcą beczkę, biorą ostry zakręt w prawo i w kolejnej sekundzie ścigacie się na krętych uliczkach starego miasta. Po lewej i po prawej pną się kolorowe kamienice. Tuż pod tobą roztopione upałem tłumy z lodami, smartfonami i najnowszymi wakacyjnymi zbędnikami. Gdybyś zniżył lot o metr, to wiatr spod twoich skrzydeł rozwiałby ich nażelowane grzywki. Rozpędzony do stu kilkunastu kilometrów na godzinę (zarejestrowany rekord w locie poziomym to 31 metrów na sekundę, czyli prawie 112 kilometrów na godzinę, w locie pionowym – 166), pędzisz wprost na ścianę na końcu uliczki! Już nawet widzisz przez otwarte okna, co leci w telewizji, gdy w ostatnim ułamku sekundy wznosisz się pionowo do góry, żeby zaraz zawinąć w dół, bo reszta towarzystwa pod kątem ostrym skręciła w uliczkę w lewo… I spróbuj nie krzyczeć. Być może te okrzyki to też takie jerzykowe klaksony. „Uwaga z prawej!" „Nie, już z lewej!" „Nie hamuj – jestem 10 centymetrów za tobą!" „Berek! (Jerzyk?!)" Wątpię, żeby jerzyki trąbiły po to, żeby kogoś zwyzywać lub poniżyć. One używają swoich klaksonów, żeby podzielić się chwilą: świeci słońce, życie jest szybkie, jesteśmy razem!

Tak mijają naszemu jerzykowi co najmniej pierwsze trzy, cztery lata i kilkaset tysięcy kilometrów. W tym czasie będzie latać do Afryki i z powrotem – a może i nie…? Powróci do nas dopiero, gdy postanowi założyć własną rodzinę, najchętniej pod adresem, pod

którym sam przyszedł na świat. I tak przez kolejnych kilkanaście albo i dwadzieścia kilka sezonów, bo jerzyki długo żyją. W tym czasie przeleci kilka milionów kilometrów, a w jednym miejscu i w kontakcie ze stałym podłożem pozostanie łącznie najwyżej kilkanaście miesięcy – głównie wysiadując jaja i opiekując się dziećmi.

Gdy jerzyki chcą iść spać, wzbijają się jeszcze wyżej. Unoszą się w sennych, ptasich chmurach hen poza wzrokiem tych, których siła grawitacji przykuła do ziemi[29]. Czasem tylko ucinają sobie drzemkę na jakiejś wysokiej, pionowej ścianie. Jerzyki nawet kochają się w powietrzu, oczywiście krzycząc przy tym jak opętane! W powietrzu piją, jedzą, odpoczywają, kąpią się i załatwiają. Tam też zbierają materiał na gniazdo – porwane przez wiatr suche trawy, liście i pióra, które na miejscu spajają własną śliną. Zdarzają się kolekcjonerzy, którzy dekorują swoje wnętrza kolorowymi skrzydłami motyli. Gdy wakacyjna pogoda nad zwykle rozgrzanymi o tej porze roku Warszawą czy Poznaniem się załamuje, a deszcze spłukują unoszący się w powietrzu owadzi plankton, głodne lub karmiące jerzyki zawsze mogą wyskoczyć za burzowy front. Może w Pradze albo w Wilnie będzie więcej słońca… „Kochanie, nie martw się o kolację, przyniosę coś z Paryża. Zobaczymy się wieczorem”[30]. Kilkaset czy choćby tysiąc kilometrów to dla jerzyków żaden problem. Gdy zimna i mokra aura utrzymuje się przez tydzień lub więcej, ptaki zostają dłużej

na wakacjach od pogody albo wracają pod swój dach i zapadają w… deszczowy sen, rodzaj odrętwienia, który z fizjologicznego punktu widzenia przypomina sen zimowy, w jakim trwają susły czy niedźwiedzie. Zwalnia im serce, obniża się temperatura ciała, spada tempo przemiany materii, a z nim zapotrzebowanie na kalorie. Szczególnie wrażliwe na skutki niedożywienia pisklęta mogą w takim stanie przeżyć nawet trzy tygodnie (albo i więcej, ale dłuższa śpiączka może trwale odbić się na ich rozwoju). Gdy załamania pogody są krótkotrwałe, pozostałe na miejscu wychłodzone i spragnione ciepła jerzyki gromadzą się gdzieś pod jakimś dachem i przytulają do siebie, czekając, aż wyjrzy słońce i znowu będzie lato.

Jerzyki najprawdopodobniej zaczęły się osiedlać już w pierwszych, sumeryjskich miastach, jakieś siedem tysięcy lat temu. Starożytni Persowie mówili o nich *Bad Khorak* – te, co żywią się wiatrem. Dzisiaj równie chętnie zamieszkują antyczne budowle i zabytkowe katedry, jak i eklektyczne blokowiska. Ich niemiecką nazwę gatunkową, *Mauersegler*, można przetłumaczyć jako „żeglujący wśród murów". (Nasza nazwa najprawdopodobniej ma pochodzenie dźwiękonaśladowcze i wzięła się od jerzrzrzykowych okrzyków). Poza wyjątkami takimi jak kilkaset par z Puszczy Białowieskiej, które zakładają gniazda w dziuplach, albo niewielkimi koloniami górskimi jerzyki żyją tam, gdzie my, często w tych samych budynkach, a jednocześnie całkowicie poza naszym

zasięgiem. Dzikie i nieuchwytne, a przy tym całkowicie zurbanizowane. Ich żywioł to ruch, pęd, wiatr i słońce. Nasz to rozgrzany asfalt, korki, zatłoczone kafejki i latte. Być może jaskółki przynoszą wiosnę – oczywiście nie jedna, lecz wiele – za to jerzyki przynoszą lato. I to w jakim stylu!

Gdzie patrzeć?

W niebo nad miastami.

Czego wyglądać?

Niebezpiecznie rozpędzonego, ciemnego obiektu w kształcie bumeranga, najczęściej w towarzystwie innych bumerangów.

Czego nasłuchiwać?

Pełnych ekscytacji krzyków i pisków: „Jerzrzrzyk! Jerzrzrzyk!”.

Kiedy?

U nas jerzyki najczęściej pojawiają się w maju, choć w południowej części kraju często już pod koniec kwietnia. Odlatują w sierpniu, zaraz po tym, jak dzień skurczy się do 17 godzin. Nieba nad naszymi miastami wówczas cichną i pustoszeją równie nagle, jak się zapełniły. Najpierw lecą młodzież, single oraz ptaki, które straciły lęgi. Po nich ojcowie i wreszcie mamy, które zanim ruszą w daleką drogę, muszą odbudować formę po wyczerpującym sezonie lęgowym. Ze swoimi partnerami spotkają się najdalej kolejnej wiosny, w tym samym miejscu.

---

[27] Dodatkowo wszystkie cztery palce są u jerzyków zwrócone do przodu, rozchodzą się lekko na boki w dwóch parach. Układ taki nazywany jest pamprodaktylią. Najczęstsze u ptaków trzy palce do przodu i jeden do tyłu to anisodaktylia.

[28] Każda wąska specjalizacja ma jednak swoją cenę: jeśli jakiemuś jerzykowi przytrafi się awaryjne lądowanie, to może zostać uziemiony. O ile

doświadczone ptaki normalnie wzbijają się z powrotem, o tyle życzliwe podrzucenie w górę lotnej młodzieży lub posadzenie na odpowiednio wysokim parapecie może uratować im życie. Upewnijmy się tylko, że ptaki będą mieć dobrą drogę startu – bez niebezpiecznych konstrukcji, gałęzi i kotów. I jeszcze jedno, schwytane jerzyki zwykle robią wrażenie, jakby się nas nie bały, ale zdarzą się i takie, które ze strachu udają martwe.

[29] Pierwszy raz zobaczył to francuski pilot dwupłatowca, który po wzbiciu się tak wysoko, jak to było możliwe, wyłączył silniki, żeby niezauważonym ześlizgnąć się ponad linią wroga i na wysokości nieco ponad trzech tysięcy metrów wpadł w chmurę zastygłych w bezruchu ptaków. Jednego z nich znaleziono potem martwego w konstrukcji samolotu. Działo się to w czasach I wojny światowej.

[30] Jerzyki chwytają unoszące się na wietrze owady szeroko rozdziawionymi dziobami, stając się malutkimi siatkami na motyle. Nawet 20 tysięcy meszek, mszyc, komarów i innych owadów dziennie w przeliczeniu na jednego ptaka. Owady przeznaczone dla piskląt lub partnerów zbijają się w kulkowaty granulat i w takiej postaci transportowane są w specjalnej kieszeni w gardzieli rodziców. Niektóre jerzyki mają ulubione smaki, wszystkie za to uczą się, jak odróżnić nieżądlące od tak samo wyglądających żądlących, niebezpiecznych owadów. To, co robi największe wrażenie, to czas, w jakim szybkie jak światło ptaki muszą podejmować decyzję: złapać czy zostawić…?!

Gołąb miejski.
Latający szczur

Albo ptak, który sra. Chyba żadna kupa nie oburza nas tak bardzo jak ta, którą robią miejskie gołębie. Żeby lepiej oddać skalę zjawiska, powinienem napisać „kupeczka”, choć – trzeba to przyznać – na osłoniętych od deszczu i używanych przez wiele pokoleń półkach i gzymsach odkłada się w końcu mniejsza lub większa warstwa gołębiego guanka. Mimo to i tak dziwi mnie, że o wiele mniej przeszkadzają nam lodówki w jeziorach, opony w lesie, spuszczane do rzek ścieki, zatknięte w krzakach pampersy czy zalegające wzdłuż dróg puszki, butelki, pozłotka, sreberka… O foliówkach, rękawiczkach i maseczkach nawet nie wspominając!

Może dlatego, że sami je tam podrzucamy…? O ile więcej urzędnicy, miasta i gminy robią, żeby zabezpieczyć się przed gołębiami niż przed zaśmiecającymi krajobraz przestępcami. Z jakichś powodów kupa miejskich gołębi rani nasze uczucia i potrzebę piękna jak nic na świecie. Chyba tylko dlatego, że nie jest nasza, święta. Oczywiście nie zapominamy też o chorobach i pasożytach, których roznosicielami mają być miejskie gołębie. Tymczasem o ile takie ryzyko istnieje, ewolucyjnie jesteśmy od siebie na tyle oddaleni, że na co dzień szkoda czasu na zamartwianie się odptasimi chorobami. (Po doświadczeniach roku 2020 nikt już chyba nie ma wątpliwości, że największym zagrożeniem epidemicznym dla ludzi są inni ludzie. I jako roznosiciele, i jako świadomi lub przypadkowi *animatorzy* niebezpiecznych bakterii i wirusów). Blisko 20 lat temu mieszkające po sąsiedzku z nami stada gołębi miejskich budziły wielką nerwowość w związku z niesławną tzw. ptasią grypą H5N1. Dla porządku przypomnę, że wyhodowaną w hongkońskich kurnikach. Nie inaczej, nie gdzie indziej! W jednym z badań próbowano zarazić gołębie śmiertelnym wirusem, wtryskując im w gardła (!) zawiesinę, w której stężenie patogenów w zależności od próby stu- lub tysiąckrotnie przewyższało to, na jakie mogły być narażone dzikie ptaki. Nie udało się zarazić ani jednego gołębia. „To dobra wiadomość", powiedział potem dyrektor instytutu prowadzącego badania[31]. Warszawski sanepid zapytano, ile stwierdzono przypadków chorób rozniesionych przez

gołębie. Odpowiedź odnosiła się do ostatnich 20 lat i musiała bardzo rozczarować pytających – żadnego.

Gołębie miejskie nie są ptakami dzikimi, lecz domowymi, które od gołębników wolały życie w wielkim mieście. I tak już zostało. Dworcowe place, stare rynki, wielkie skwery – to im się podoba. Szacuje się, że mamy w Polsce 200–500 tysięcy gołębi miejskich, w całej Europie 18–27 milionów, a na całym świecie 400, co czyni je trzecim co do liczebności wolno żyjącym, choć nie dzikim gatunkiem ptaków[32]. Z natury praktyczne i zaradne, są jedynymi, których stale przybywa, bo i miast jest coraz więcej i są coraz większe. Gołębie najpewniej udomowili babilońscy Sumerowie jako ptaki do towarzystwa i *podręczne* zwierzęta ofiarne[33]. Wkrótce wyszło na jaw, że gołębie mają doskonałą orientację w przestrzeni oraz silne pragnienie powrotu na rodzinny dach. Tak zwany *homing instinct*, który u nas tłumaczy się jako instynkt naprowadzania, ściąga je z odległości choćby 1800 kilometrów. Tyle wynosi zarejestrowany do tej pory rekord. W jaki dokładnie sposób gołębie odnajdują drogę do domu, tego ciągle nie wiemy. Niedawne przekonanie, jakoby kierowały się polem magnetycznym, ostatecznie podważyły wyniki badań z 2012 roku. Eksperymentalnie zablokowany tzw. zmysł magnetyczny czy manipulowanie polem nie wpływały na ich wyniki. Dzisiaj większą wagę przywiązuje się do polegającej na bodźcach węchowych orientacji olfaktorycznej oraz do infradźwięków.

Naturalnych, jak na przykład charakterystyczny dla danego miejsca poszum lasu czy fal morskich, albo sztucznych, typu zgiełk miasta czy huk uczęszczanej drogi. Wiatry roznoszą ich wibracje równie łatwo i daleko co cząstki zapachowe. Zapewne gołębie świetnie też odczytują widoki z lotu ptaka – tak jak my mapy Google Earth – w czym pomaga im pamięć, którą chyba bez przesady można nazwać absolutną. Na mnie jednak i tak największe wrażenie robiły gołębie podróżujące metrem. Widziałem to w Londynie: ptaki przylatywały na podziemne perony (i słusznie, bo każdy, kto poruszał się po brytyjskiej stolicy metrem, wie, jak tłoczno może tam być na schodach), gdzie razem z innymi pasażerami czekały na pociąg, a gdy ten nadjeżdżał, grzecznie do niego wsiadały. Wchodziły, nie wlatywały! Okazało się, że planowały swoją podróż i dobrze wiedziały, na którym przystanku wysiąść. Dlaczego metrem, a nie drogą powietrzną? Może chciały w ten sposób ominąć strefy wzmożonej aktywności sokołów wędrownych? Tego się już nie dowiemy, bo nie wszystkim podobali się skrzydlaci współpasażerowie na gapę i gołębiom trudniej dzisiaj wsiąść do pociągu.

Już panujący w szóstym wieku przed naszą erą perski władca Cyrus II Wielki, a także starożytni Egipcjanie używali gołębi do przesyłania informacji na duże odległości – przywiązywali im zakodowane lub zapisane informacje do nóg. To gołębie roznosiły po antycznym świecie imiona mistrzów olimpijskich. Z

powodzeniem używali ich Juliusz Cezar oraz Czyngis-chan – najpierw planując kolejne podboje, a potem zarządzając swoimi imperiami. Paul Reuter, założyciel słynnej Agencji Reutera, jeszcze w latach 60. XIX wieku trzymał flotę 45 gołębi pocztowych. Na gołębiach opierała się pierwsza na świecie regularna poczta lotnicza (*air mail*), która w 1897 roku połączyła główne wyspy Nowej Zelandii. Początkowo ptaki latały tylko w jedną stronę. Przewożono je, dajmy na to, z agencyjnego gołębnika do nadawcy, skąd powracały z wiadomościami. Z czasem pocztowcy wpadli na pomysł, żeby w przypadku stałych połączeń do 160 kilometrów (taki ustanowiono limit) wykładać im karmę nie w miejscu, w którym normalnie sypiają, ale pod adresem nadawcy. Dzięki temu gołębie zaczęły samodzielnie pokonywać całą trasę tam i z powrotem, co uprościło logistykę i przyspieszyło przepływ informacji. Niektóre angielskie szpitale jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku zatrudniały rącze ptaki m.in. do transportu ratujących życie lekarstw, inne gołębie służyły w policji w amerykańskim stanie Indiana jeszcze na początku XXI wieku.

Gołębie pocztowe nigdy nie narzekały na brak zajęcia, a najwięcej miały go w czasach wojen i wzmożonych operacji zwiadowczych. Czyli cały czas. Nawet gdy wymyślono już radio i telegraf, gołębie uważano za pewniejsze i bezpieczniejsze, bo w przeciwieństwie do sygnałów radiowych nie można ich było przechwycić (choć próbowano), złamać ani tym bardziej sfałszować. Oczywiście

można było strzelać do każdego gołębia na niebie, co jednak w zamęcie wojny nie było takie proste. Jeśli w ogóle, wojskowi woleli posyłać na nie jastrzębie. W jednym i drugim przypadku istniało jednak ryzyko zlikwidowania posłańca własnego wywiadu. Częściej więc dla ochrony pracujących ptaków (lub raczej powierzanych im misji) zabijano gołębich wrogów, przede wszystkim sokoły wędrowne. Jak ważne z militarnego punktu widzenia były pocztowce, niech świadczy wydany przez Niemców na początku okupacji rozkaz zajęcia wszystkich gołębników na terenie tzw. Kraju Warty. Tylko Brytyjczycy utrzymywali w czasie II wojny światowej około 250 tysięcy ptaków nadzorowanych przez specjalną komórkę powołaną w ówczesnym Ministerstwie Sił Powietrznych (*Air Ministry*). W 1943 roku ustanowili nawet Dickin Medal – zwierzęcy odpowiednik Krzyża Wiktorii, najwyższego odznaczenia wojskowego w Brytyjskiej Wspólnocie Narodów. Przyznawano go za szczególne zasługi i poświęcenie w służbie sił zbrojnych oraz na rzecz cywilnych korpusów ratunkowych. Spośród 54 bohaterów odznaczonych do 1949 roku aż 32 to gołębie! Jednym z nich był służący w amerykańskiej armii G.I. Joe (1943–1961). Uratował życie ponad tysiąca ludzi, przerzucając ponad linią frontu informacje o zajęciu przez Brytyjczyków włoskiego miasteczka Calvi Vecchia, które za kilka chwil miało być zbombardowane przez aliantów. Inni skrzydlaci żołnierze z życiorysem jak scenariusz filmu akcji to Commando, Paddy, Gustav, Mary of Exeter (Maria z Exeter), William of

Orange (Wilhelm Orański) oraz służąca w czasie I wojny światowej i odznaczona francuskim Krzyżem Wojennym gołębica Cher Ami, która zainspirowała twórców trzech filmów i kilku książek[34]. Wojskowe gołębie odegrały kluczową rolę w przygotowaniu lądowania w Normandii, jednej z przełomowych dla losów II wojny światowej operacji. To między innymi na ich cześć ufundowano kilka płyt, obelisków i pomników, spośród których największy i najbardziej znany jest ten z londyńskiego Hyde Parku. Odsłonięty w 2004 roku, nosi napis: „Ten pomnik poświęcony jest wszystkim zwierzętom, które na przestrzeni wieków służyły i ginęły u boku sił brytyjskich oraz ich sprzymierzeńców w różnych wojnach i działaniach wojskowych. Nie miały wyboru".

Gdy w 2009 roku sprawdzano, kto szybciej dostarczy pokaźną na tamten czas ilość danych – gołąb pocztowy czy łącza internetowe – wygrał gołąb Winston![35] Dla współczesnych światłowodów gołębie nie są żadną konkurencją, nie oznacza to jednak, że z ich usług nikt już nie korzysta. Po prostu wolą o tym nie mówić, a gołębie wciąż przenoszą poufne informacje, wrażliwe dane, karty SIM albo i całe telefony komórkowe, a także narkotyki, trucizny oraz inne zakazane substancje, w tym ładunki wybuchowe i wyzwalacze ognia, w którym same później giną. Przenoszą je ponad liniami frontów, granicami krajów lub tylko ponad murami zakładów karnych. Gołębie pocztowe szczególne emocje budzą na

Bliskim Wschodzie. Talibowie na wszelki wypadek w ogóle zakazali trzymania ich w Afganistanie oraz w kontrolowanych przez siebie rejonach. Na szczęście pocztowce wciąż mogą wykazywać się na różnych krajowych, międzynarodowych i przede wszystkim legalnych zawodach. Najlepsze z nich latają tam ze średnią prędkością ponad 90 kilometrów na godzinę, a na krótkich odcinkach rozpędzają się do 160. Ciekawe, jak szybko lata i co przenosi Armando, najdroższy ptak świata, za którego 18 marca 2019 roku pewien chiński biznesmen zapłacił 1,42 miliona dolarów amerykańskich (słownie: jeden milion czterysta dwadzieścia tysięcy). Zainteresowanych musiało być więcej, bo brukselska licytacja zaczęła się od kwoty 600 tysięcy. Gdyby pięcioletni wtedy Armando wylądował pośród gołębi siedzących na kolumnie Zygmunta albo kręcących się pod krakowskimi Sukiennicami, nawet nie odróżnilibyśmy go od jego gruchających tam koleżanek i kolegów.

Gdzie patrzeć?

W dużych i średnich miastach, po placach i skwerach, na dachy, gzymsy i pomniki.

Czego wyglądać?

Mniejszych lub większych grup ptaków wielkości i postury… gołębia. W jednym stadzie zobaczymy wiele opcji barwnych, zwykle jednak przeważają ptaki w kolorze gołębim, czyli jednolicie szaroniebieskie z dwoma ciemnymi, grafitowoczarnymi pasami. Uwagę zwracają opalizujące purpurą i zielenią pióra na piersi i szyi. Chłopaki i dziewczyny wyglądają mniej więcej tak samo, ale można ich rozróżnić po tym, że ci pierwsi, ciut bardziej opalizujący, często i uparcie podążają za swoimi wybrankami, nadymając szyje, gruchając i kręcąc piruety.

Czego nasłuchiwać?

Gruchania! Oprócz tego łoskotu skrzydeł zrywających się do lotu ptaków.

Kiedy?

Cały rok.

---

[31] Chodzi o U.S. National Poultry Research Center w Atenach, w amerykańskim stanie Georgia. Cytowanym dyrektorem był David Swayne.

[32] Najliczniejszym obecnie dzikim gatunkiem są afrykańskie wikłacze czerwonodziobe, których populacja w szczytowych momentach, tj. bezpośrednio po okresie lęgowym, może sięgać półtora miliarda. Na kolejnych miejscach są wróbel – od 900 milionów do 1,3 miliarda, amerykański gołębiak (gołąbek) długosterny – około 475 milionów, oraz drozd wędrowny, również z Ameryki – 310 milionów. Populacje większości gatunków w najlepszym razie liczone są dzisiaj w dziesiątkach lub setkach tysięcy. Dla porównania nas, ludzi, jest już prawie 8 miliardów, a hodowanych przez nas kur i kurczaków około 23 miliardy.

[33] Gołębie domowe pochodzą od gołębi skalnych, które zamieszkują w szerokim pasie od północnej Afryki i Półwyspu Iberyjskiego po Indie i centralną Azję oraz północno-zachodnie wybrzeża Irlandii i Szkocji. Gołębie skalne na pierwszy rzut oka nie różnią się wyglądem od typowych gołębi miejskich – w kolorze gołębim, z charakterystycznymi grafitowoczarnymi pręgami na skrzydłach.

[34] Poza gołębiami Orderem Dickin udekorowano 18 psów, 3 konie i jednego kota. W roku 2000 odznaczenie reaktywowano, a ostatnim, 72. uhonorowanym był służący w Afganistanie owczarek Kuno – 28 sierpnia 2020. Kuno uratował

życie wielu żołnierzy i odblokował pewną operację, obezwładniając bojownika Al-Kaidy z gniazdem broni maszynowej i granatników. Dokonał tego z przestrzelonymi tylnymi nogami, które ostatecznie trzeba było amputować.

35 Przeprowadzane 11 września w RPA testy polegały na przesłaniu czterech gigabajtów danych na odległość 96,5 kilometra. Naprzeciwko Winstona z przymocowanym do nogi pendrive'em stanął Telkom, największa tamtejsza firma teleinformatyczna. Winstonowi dotarcie na miejsce zajęło 68 minut, do czego trzeba było dodać godzinę potrzebną na zgranie danych. W tym samym czasie łączami ADSL udało się przesłać zaledwie cztery procenty danych.

Grzywacz.
Wielki gołąb

Największy z europejskich gołębi. Dużo większy i masywniejszy od gołębi miejskich, z rozpiętością skrzydeł prawie 80 centymetrów i wagą, która nierzadko przekracza pół kilograma. Nic dziwnego, że do lotu zrywa się z głośnym łoskotem i po tym

między innymi go poznamy. Gdy zobaczymy któregoś na trawniku lub drzewie, uwagę zwraca nieproporcjonalnie mała głowa. Przyjrzyjmy mu się… Z bliska i w dobrym świetle może się okazać, że grzywacz nie jest szary, tylko niebieski. Tak wygląda w świetle porannym. W promieniach chylącego się ku zachodowi słońca staje się niemal hiacyntowy. Mnie zawsze od nowa zachwycają różowe cienie na jego atletycznej piersi i aksamitna głębia barw. Przydaje jej puder, którym gołębie pielęgnują swoje pióra. Skąd puder? Z ich własnych piór pudrowych[36]. Duży, opalizujący, biało-zielony kołnierz to jeszcze jedna cecha dowodowa grzywaczy, a gdy zajrzymy im w oczy, może zaskoczyć nas nieregularna, czarna źrenica rozlana w bladożółtej tęczówce.

Wielkie gołębie najłatwiej zobaczyć, gdy drobią po ziemi, zajadając się kiełkami, soczystymi pączkami i młodymi listkami. Dodają do tego nasiona i jagody, które zrywają również z drzew i krzewów. Wegetariańską dietę łamią czasami małym ślimakiem, jakąś mrówką, gąsienicą lub dżdżownicą. Jesienią opychają się buczyną i żołędziami, które połykają w całości (!), i zaglądają na pola, gdzie zbierają rozsypane ziarno. Ale zatrzymanie się na polu, nie daj Boże w większym stadzie, to wyrok dla każdego, bez względu na to, co tam robi. Nieważne, że to my zaoraliśmy i zabudowaliśmy dzikie łąki, lasy i rzeczne doliny, pozbawiając wiele zwierząt przestrzeni życiowej… Postrzegane jako szkodniki grzywacze przez co najmniej trzy wieki były masowo prześladowane w całej

Europie. Umęczone życiem w ukryciu, z natury leśne i gajowe ptaki zaczęły przenosić się do miast. Niczym wielka fala proces ten wzbierał i przesuwał się z zachodu na wschód, a pod koniec ubiegłego wieku dotarł do nas. Zobaczyć grzywacza w lesie to dzisiaj sztuka – również dlatego, że przeważnie ucieka, zanim w ogóle go tam dostrzeżemy. Te miejskie na wszelki wypadek też pozostają czujne i w żadnym razie nie spoufalają się z nami tak jak ich kuzyni, placowe pocztowce czy sierpówki. Ale trudno im się dziwić, bo pomijając pamięć poprzednich pokoleń, grzywacz ciągle jest gatunkiem łownym.

Przeprowadzka do miasta to była dobra decyzja[37]. Populacja wielkich gołębi w porównaniu z początkiem XX wieku co najmniej się podwoiła i szacowana jest na 1–1,3 miliona par. To nasz najliczniejszy tak duży ptak i jeden z kilku wyjątków, których liczebność wzrasta. Jeśli mieszkamy w jakiejś zadrzewionej dzielnicy, wystarczy otworzyć okno (albo nawet nie), żeby usłyszeć stłumione: „Weź dooo mnie chodź! Weź przyyy mnie usiądź! Weź dooo mnie chodź! Weź!”. Tak wołają chłopaki grzywacze w romantycznym lub tylko reprodukcyjnym nastroju. Od wczesnej wiosny do jesieni. Co jakiś czas, najczęściej jednak na początku sezonu, wzbijają się w powietrze i albo okrążają swoje terytorium, albo przecinają je w charakterystycznym, głęboko falującym locie, głośno klaszcząc przy schodzeniu do kolejnej doliny. Zdobycie serca dużej gołębicy to niełatwe zadanie. Zdesperowani

adoratorzy całymi dniami podążają za nimi z gałęzi na dach, z dachu na ławkę, z ławki na lampę, z lampy na kolejną gałąź… Z napompowaną szyją i ciąganym po ziemi (gałęzi czy dachu) rozłożonym w wachlarz ogonem. Za to kiedy decyzje zapadną, to przeważnie na całe życie. Dobre pary są nierozłączne. Przytulają się, iskają, jedzą sobie z dzióbków (zwykle to on karmi ją) – słowem, gruchają jak dwa gołąbki… Przepraszam, GOŁĘBIE. Ich gniazdo wygląda jak garść patyków przypadkiem rzucona gdzieś w koronie drzewa, rzadziej na wysokim krzewie, jakiejś belce, gzymsie czy skalnej półce. Materiał może być tak luźno ułożony, że patrząc od dołu, zobaczymy prześwitujące białe jaja. Ale grzywacze, jak na gołębie przystało, są bardzo troskliwymi rodzicami, a ich dzieciom nie brakuje nawet ptasiego mleczka…

Superskondensowane, jest jak śmietana. Ma podobny skład i właściwości jak mleko ludzkie czy krowie, tyle że wszystkiego jest w nim nieporównywalnie więcej – tłuszczów, protein, ciał odpornościowych. Do tego przeciwutleniacze, kultury dobrych bakterii i kto wie, co jeszcze. Tak jak u ssaków, mlekiem karmione są nowo narodzone lub małe jeszcze dzieci, a jego produkcją steruje ten sam hormon – prolaktyna. Na tym podobieństwa się kończą. Gołębie mleko powstaje nie w piersiach, a w wolu, do którego sięgają pisklęta. I – uwaga! – mleko wytwarzają nie tylko matki, ale i ojcowie[38]. Produkcja zaczyna się na kilka dni przed kluciem. Niektórzy rodzice przestają wówczas

jeść, żeby nie narazić swoich osesków na niestrawność. Inne, na wzór naszych mam, będą uważnie wybierać tylko najdelikatniejsze kąski, ale już po tygodniu mogą wracać do tradycyjnej, wieloziarnistej diety, bo ich dzieci rosną jak na drożdżach. Są przecież karmione ptasim mleczkiem!

Według danych brytyjskich pierwsze urodziny świętuje 52 procent młodych grzywaczy, co nie jest złym wynikiem. Za to roczna przeżywalność dorosłych i oczekiwana długość życia to odpowiednio tylko 61 procent i niewiele ponad trzy lata. Najstarszy grzywacz, o jakim wiemy, doczekał 17 lat i 8 miesięcy.

Gdzie patrzeć?

W zadrzewionych i zazielenionych miastach i wsiach, w parkach oraz na polach – szczególnie po żniwach i jesienią.

Czego wyglądać?

Dużego niebieskoszarego gołębia z ciemnoróżową piersią i szerokim, delikatnie karbowanym, białym kołnierzem, ozdobionym opalizującą zielenią. W locie uwagę zwracają masywna sylwetka, białe, półksiężycowe naramienniki w połowie skrzydeł oraz szerokie, czarnografitowe zakończenie ogona. Stopy grzywacz ma różowofioletowe, dziób różowożółty, z białawą lub białożółtą nasadą pod kolor oczu.

Czego nasłuchiwać?

„Weź dooo mnie chodź! Weź przyyy mnie usiądź! Weź dooo mnie chodź! Weź!" (Nie mylić z trąbką sierpówki, która postanowiła być na bieżąco z językiem i dmie coś jakby „Masaaakra! Masaaakra Masaaakra!". A może powinniśmy to słyszeć jako „Zapraaaszam! Zapraaaszam!"?) Kilku głośnych klaśnięć, gdy ciężkie grzywacze wzbijają się do lotu lub gdy tokują w powietrzu.

Kiedy?

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni, w miastach oraz po wsiach szczególnie na zachodzie kraju, coraz częściej przez cały rok.

---

[36] Stale rosnące pióra puchowe, których końcówki kruszą się, tworząc keratynowy, lekko oleisty i chłonny puder o właściwościach antyseptycznych, używany przez ptaki do czyszczenia i pielęgnacji piór i skóry. Pióra pudrowe porastają ptaki strefowo (pierś, boki i brzuch, jak u czapli i bąków) albo bardziej równomiernie, jak u gołębi. To dlatego gdy któryś z nich wpada na szybę, zostaje po nim charakterystyczny *anielski* ślad odbitych skrzydeł, ogona lub całego ciała. Poza gołębiami i wspomnianymi czaplami pióra pudrowe mają głównie papugi, dropie i kusacze.

[37] Zjawisko to – zasiedlanie miast przez gatunki wcześniej z nimi niezwiązane – nazywa się synurbizacją.

[38] Tak jest jeszcze u flamingów. U pingwinów cesarskich mleko produkują tylko ojcowie. U jednych i drugich powstaje ono w przełyku, a nie w wolu jak u gołębi. Z tego, co na razie wiemy, inne ptaki ptasiego mleczka nie wytwarzają.

Sokół wędrowny. Ptak, który zabija prędkością

Najszybsza istota na Ziemi. Gdy namierzy swoją ofiarę, wzlatuje wysoko ponad nią i spada z prędkością 180 kilometrów na godzinę. Przeważnie. Jeśli trzeba, pikuje dużo szybciej. Zdarza się to na polowaniach, a także przy okazji pokazów godowych oraz różnych eksperymentów. Udokumentowany przez Kena Franklina rekord z 2005 roku to 389,46 kilometra na godzinę. Na razie. Z ptakami jest jak z dobrymi samochodami. One też rzadko kiedy jeżdżą z wbudowaną prędkością. Gdy aerofizycy wzięli pod lupę parametry sokołów wędrownych, wyszło im, że maksymalne dla nich prędkości to 400 kilometrów w locie poziomym i 625 w locie pionowym.

Oczy sokołów pędzących z prędkością pocisku chroni trzecia, transparentna powieka[39] i jak przystało na szybkich łowców

szybko poruszających się celów, mają one nadzwyczajnie wysoki próg tzw. efektu stroboskopowego, dzięki czemu nigdy nie tracą ostrości obrazu – np. gołębia, którego chcą strącić z nieba. Ciśnienie, z jakim powietrze wdziera się w nozdrza pikującego ptaka, rozbijają specjalne wyrostki kostne. Bez nich oddychanie byłoby niemożliwe – szybko doszłoby do uszkodzenia superpłuc, a nawet wielkiego serca[40]. To tylko niektóre z zaawansowanych biotechnologii, z jakich korzystają turbosokoły.

Wędrowne latają tak szybko i tak zwrotnie, bo ci, którymi się żywią, to najwyższej klasy specjaliści od latania – ptaki. Żeby je dostać, sokoły muszą być szybsze i działać z zaskoczenia. Jeśli potencjalna ofiara w ostatniej chwili zrobi unik, niewiarygodna prędkość może okazać się dla nich śmiertelną pułapką. To dlatego wędrowne normalnie nie uderzają nisko nad ziemią ani z krótkiego dystansu. Zanim ruszą do ataku, zwykle czekają, aż ich cel odleci na co najmniej 600 metrów. I dlatego rodzice tyle czasu poświęcają na uczenie dorosłych już dzieci trudnej sztuki polowania przy użyciu prędkości, która przy frontalnym zderzeniu zabiłaby również myśliwego. (Śmiertelność młodzieży w pierwszym roku życia może sięgać 70 procent, w kolejnych latach niespełna 20, przy czym najczęstszym powodem upadków są zderzenia z naszą infrastrukturą. Najstarszy znany nam sokół wędrowny przeżył 21 lat 10 miesięcy i 24 dni). W czasie typowych łowów pędzący z wielkiej wysokości ptak w sekundzie przed

osiągnięciem celu wyciąga przed siebie nogi, a giętkie, zakończone cienkimi szponami palce zaledwie muskają ofiarę. To wystarczy, żeby przenieść całą energię spadania na jej ciało, powodując wewnętrzną eksplozję, często złamanie kręgosłupa. Jakby została trafiona kulą rewolwerową, tyle że nie ma po niej śladu. Ofiary sokoła najczęściej umierają w chwili uderzenia. Sokół leci dalej, aby bezpiecznie wyhamować i wrócić po zdobycz. Wszystko dzieje się tak szybko i tak wysoko, że ptak podejmuje ją, zanim ta spadnie na ziemię. No chyba że upolował coś znacznie większego, wówczas ląduje za obiadem. Jeśli atak się nie udał, myśliwy rusza w pościg. Jego długie palce i szpony pomogą mu pochwycić ofiarę i sperforować jej narządy wewnętrzne.

Wędrowne przeważnie polują na ptaki dorównujące im wielkością lub niewiele mniejsze – gołębie, kaczki, mewy, szpaki. Ale lista gatunków, które zdarzyło im się złowić, sięga dwóch tysięcy. Od wielokrotnie od nich większych żurawi kanadyjskich (co najmniej jeden przypadek) po kolibry. Wbrew utrwalonym przekonaniom wędrowne nie polują wyłącznie na ptaki i nie tylko w powietrzu. Jeśli trzeba, potrafią się ukryć i cierpliwie czekać na odpowiedni moment. Widziano je, jak łowiły węże, jaszczurki, a nawet duże owady. Mięsem, którego same nie upolowały, też się nie brzydzą – i naprawdę nieźle radzą sobie z królikami oraz nietoperzami. (Tego ostatniego można było się domyślić). Same sokoły też muszą uważać, bo zawsze znajdą się tacy, którzy chcąc się pozbyć

konkurencji lub zagrożenia, splądrują ich gniazdo, stłuką jaja lub zabiją pisklęta. Większe sowy, orły czy muskularne jastrzębie potrafią też śmiertelnie zaskoczyć dorosłe.

Sokół wędrowny w większości języków nazywany jest wędrownym lub pielgrzymującym, co jednak bardziej oddaje zwyczaje podróżników, którzy widywali go na różnych kontynentach, niż samych ptaków. Te, poza parami, które lęgną się w strefie tundry i tajgi, wolą trzymać się swoich rewirów przez cały rok, szczególnie samce. Ale sokoły wędrowne to ptaki o największym pierwotnym zasięgu, więc spotykanie ich w najbardziej oddalonych od siebie zakątkach świata było czymś zupełnie normalnym[41]. Ostatecznie jednak ani to, ani legendarna szybkość nie uchroniły ich przed eksterminacją z trzeciej części dawnych terytoriów. Jak wszystkie drapieżniki, przez co najmniej dwa wieki wędrowne były systematycznie tępione jako konkurencja, a za ich głowy wypłacano nagrody[42]. (W wielu miejscach i umysłach problem przetrwał do dziś). Coraz rzadsze ptaki stawały się z kolei obiektem pożądania sokolników i kolekcjonerów. Ci ostatni przyjmowali też martwe, wypchane lub jaja. A że coraz więcej za nie płacili, potencjalnych dostawców nie brakowało. Jakby tego było mało, Bogu ducha winne sokoły co i rusz wpadały w środek jakiejś zawieruchy wojennej. Najgorsze były dwie wojny światowe, kiedy to zastrzelono ich wiele tysięcy. Prewencyjnie. Żeby chronić

gołębie pocztowe, a raczej wiadomości, które te przenosiły ponad linią wroga.

W latach 70. XX wieku świat stanął na skraju kolejnej katastrofy. Jej przyczyną były pestycydy, a konkretnie cieszące się szczególnie złą sławą DDT. Synonim nowoczesnego rolnictwa i postępu, u nas znane było jako Azotox. Trucizna najpierw zabijała tzw. szkodniki, w które była wymierzona (głównie owady i gryzonie, ale też grzyby oraz różne mikroorganizmy), po czym razem z nimi przenosiła się na zamykające łańcuchy pokarmowe drapieżniki i padlinożerców, kumulując się w ich ciałach. Były to czasy, gdy owado- lub roślinożerne szczygły, trznadle i turkawki spadały z drzew jak ulęgałki. Łatwym posiłkiem raczyły się padlinożerne kruki, lisy czy borsuki, których całe rodziny znajdywano martwe chociażby pod tym samym drzewem lub najczęściej w ich norze albo gnieździe. Zginąć mógł każdy, kto zjadł coś, co wcześniej zjadło coś zatrutego. Smutny dowód na to, że w Przyrodzie wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni. Ptaki drapieżne, takie jak sokoły wędrowne, albo umierały, albo znosiły jaja w zbyt cienkich skorupach, albo w ogóle żadnych jaj nie znosiły. Jeszcze długo nic by się nie zmieniło, gdyby nie zauważalny wzrost liczby dzieci z najróżniejszymi wadami rozwojowymi. Ślady prowadziły do DDT, które było już wszędzie, nawet w mleku karmiących matek. W USA dopuszczalne normy zostały przekroczone średnio sześć razy, a w Australii ponad trzydzieści! Nic dziwnego, przecież zjadając

to, co rośnie na polach, lub, tak jak w wypadku sokołów, tych, co zjadają to, co rośnie lub żyje na polach, my też zamykamy łańcuchy pokarmowe. Wkrótce się okazało, że węglowodory chlorowane takie jak DDT najszybciej odkładają się w gruczołach i narządach rozrodczych, prowadząc m.in. do uszkodzeń kodu genetycznego oraz bezpłodności. Kolejne kraje zaczęły pospiesznie zakazywać DDT oraz jego pochodnych w produkcji tzw. środków ochrony roślin. W Polsce zakaz wszedł w życie w 1976, a na całym świecie obowiązuje od 2001 roku[43].

Populacje sokołów wędrownych nigdy nie pozbierały się z tamtych traum, ale mimo to – a może właśnie dlatego? – od co najmniej trzech dekad coraz więcej ptaków osiedla się w miastach zachodniej Europy i Ameryki Północnej. W tłumie ludzi nie sposób zastrzelić sokoła i trudniej okraść jego gniazdo, prawie zawsze położone w co najmniej ryzykownej lokalizacji. Ale tym, co najbardziej przyciąga rącze drapieżniki do miast, jest zapewne dużo wolnego jedzenia – miejskie gołębie. Widząc to, zapaleńcy z różnych aglomeracji zaczęli wsiedlać sokoły u siebie. U nas program reintrodukcji ruszył w roku 1990. Po kilkudziesięciu latach nieobecności sokoły wędrowne, symbol szlacheckiej przeszłości i bezkresnej puszczy, zamieszkały w zakorkowanej Warszawie, w skrzynce zainstalowanej dla nich na szczycie Pałacu Kultury i Nauki, gdzie lęgną się od 1998 roku. Wędrowne kochają duże wysokości i na swój dom wybierają wystające ponad

krajobraz giganty – czy to biurowce, czy kominy wielkich fabryk i elektrociepłowni. Mieszkańcy Warszawy, Krakowa, Włocławka, Szczecina, Torunia, Płocka, Lublina, Gdańska czy Głogowa (Chicago, Nowego Jorku, Londynu, Berlina…) – spójrzcie czasami w górę. Jeśli dostrzeżecie tam coś jakby szybujący wysoko bumerang albo mknące z zabójczą prędkością ostrze – będzie to sokół wędrowny. Wiosną 2012, po bardzo długiej przerwie, znaleziono gniazdo wędrownych na drzewie. (Technicznie rzecz biorąc, sokoły same gniazd nie budują, lecz zajmują te po innych ptakach). W sezonie 2019 było w Polsce co najmniej dziewięć takich gniazd (prawie wszystkie w pasie gór i pogórza) oraz trzydzieści kilka miejskich[44].

Wędrowne, ulubione ptaki sokolników, najprawdopodobniej zaczęto układać do polowań w Mezopotamii co najmniej cztery tysiące lat temu. W nieustępliwych i szybkich jak światło drapieżnikach, które potrafiły ukryć się pośród bezchmurnego nieba, żeby po chwili uderzyć ze śmiertelną precyzją[45], ludzie widzieli moc bogów oraz ucieleśnienie własnych pragnień. Przecież od zawsze marzyliśmy o tym, żeby latać, i od dawna mieliśmy słabość do zabijania, szczególnie męska połowa naszego gatunku. Wciąż lubimy patrzeć na śmierć i nią sterować. Szczególnie gdy podana jest w teatralnej, udrapowanej rytuałem oprawie. Zabójcze ptaki siedzące na naszym ramieniu i słuchające naszych komend przybliżały nas do decydujących o życiu i śmierci

bogów. Wędrowne stały się ptakami męskimi, symbolem wojny i zwycięstwa. (Te największe i najodważniejsze to dominujące nad swoimi partnerami o jakąś jedną trzecią samice, ale mniejsza o szczegóły. Nie będziemy drażnić supremacyjnego ego). Zapewniały i rozrywkę, i chwałę, i mięso. Dopóki nie upowszechniły się strzelby, bogaci polowali z sokołami na inaczej trudno osiągalne dzikie ptaki. Do wędrownych prawo mieli tylko książęta, a niekiedy najbardziej wpływowi arystokraci i ziemianie. Dla królów zarezerwowane były dużo rzadsze białozory – nie tak szybkie, ale większe i silniejsze, więc wypuszczane na większą zdobycz. Słynące z brawury wędrowne oprócz tego, że zapewniały widowiskowe łowy, są po prostu łatwe we współżyciu, a do tego bez większych oporów rozmnażają się w niewoli. To dlatego pracują dzisiaj m.in. na lotniskach i w reprezentacyjnych dzielnicach dużych miast, gdzie płoszą zlatujące tam, z jakichś powodów niepożądane gołębie, szpaki czy mewy.

Gdzie patrzeć?

W niebo nad miastem oraz w centrach ptasich migracji, takich jak ujście Warty, Bagna Biebrzańskie, dolina dolnej Odry czy Zalew Szczeciński, a także na staroegipskie malowidła i mozaiki, gdzie

Ra, stwórca świata, bóg słońca i władca ludzi, ma głowę sokoła wędrownego, przeważnie ozdobioną złotą tarczą słońca.

Czego wyglądać?

Prującego niebo grotu lub bumeranga (znacznie większego od gromadnych bumerangów jerzyków). Z bliska – smukłego drapieżnika o mocnej, białej, ciemno prążkowanej piersi. Wierzch, skrzydła i ogon są łupkowoszare w niebieskim odcieniu, a ciemniejszy, prawie czarny kaptur na głowie i szeroki, wyrazisty wąs kontrastują ze śnieżnobiałymi piórami na szyi. Woskówki wokół oczu i u nasady dzioba oraz stopy – intensywnie żółte.

Czego nasłuchiwać?

Wędrowny rzadko się odzywa – jeśli już, to w okresie godowym i w pobliżu gniazda. W pierwszym przypadku będzie to piskliwe, wielokrotnie powtarzane „Iiiip” (podobne do wołania innych sokołów), w drugim szorstkie gdakanie: „Rek! Rek! Rek!”.

Kiedy?

Przez cały rok. W miejscach koncentracji migrujących ptaków głównie od jesieni do wiosny.

---

[39] Albo błona (powieka) migawkowa zamykającą się od środka na zewnątrz. My też takie mamy, ale inaczej niż u ptaków, nieczynne i w mocno zredukowanej wersji. Ich echa wciąż widać w wewnętrznych kącikach oczu.

[40] Rozwiązanie to zostało skopiowane i zastosowane między innymi przy produkcji samolotów odrzutowych.

[41] Sokoły wędrowne, w liczbie 17–19 rozpoznanych gatunków, zasiedlały kiedyś wiele wysp i wszystkie kontynenty z wyjątkiem Antarktydy.

[42] Albo nogi, bo na dowód zabicia premiowanego ptaka wystarczyło okazać oderwaną głowę lub parę stóp.

[43] Oficjalnie, bo DDT (dichlorodifenylotrichloroetan) jest tanie w produkcji i dlatego w bardziej lub mniej legalnym obrocie wciąż jest używane m.in. w Afryce, Azji i Ameryce Południowej. Jest przy tym wyjątkowo trwałe. Z gleby znika w najlepszym razie po kilkunastu latach i ma zdolność kumulowania się we wszystkich organizmach, przy czym największe stężenia notuje się w narządach zwierząt drapieżnych oraz innych zamykających łańcuchy pokarmowe, w tym ludzi.

[44] Dla porównania: na Wyspach Brytyjskich według ostatniego liczenia żyły 1402 pary lęgowe.

[45] Niezwykła umiejętność wszystkich dobrze latających ptaków, a drapieżnych w szczególności. Jakby wbrew prawom fizyki wypłaszczona i rozciągnięta sylwetka oraz, jak u wędrownych czy jastrzębi, niebieskografitowe tonacje upierzenia czynią je niewidocznymi do ostatniego momentu.

Mandarynka.
Karnawał w Łazienkach

U nas zakochani gruchają sobie jak gołąbki, a na Dalekim Wschodzie baraszkują jak mandarynki na wodzie. Mandarynki mają długi okres zalotów i dobierania się w pary, kiedy to okazują sobie wiele czułości, zaglądają w oczy, gmerają w piórach, przytulają się i słodko pokwakują. W swojej ojczyźnie stały się symbolem miłości i wierności. Chińczycy mówili, że kiedy jedno z pary ginęło, drugie umierało z tęsknoty. Nazywali je kaczkami

ślubnymi, które stały się tradycyjnym podarunkiem weselnym dla dobrze urodzonych. Stąd ich nazwa w być może wszystkich językach europejskich – nie od mandarynek, lecz od mandarynów. I chociaż wiemy już, że pary mandarynek wcale nie są takie wierne i najczęściej łączą się tylko na jeden sezon, kaczki te mimo oficjalnych zakazów ciągle są chwytane i sprzedawane, co zdziesiątkowało ich populację, szacowaną na około 30 tysięcy par. Przyszłość mandarynek zależy dzisiaj bardziej od potomków ptaków introdukowanych w Europie niż od tych, które przetrwały w starej ojczyźnie. A wszystkiemu winien karnawałowy wygląd kaczorów[46].

W ich godowych płaszczach (od listopada do maja) są podbite czerwienią rudości, lśniące fiolety, granaty i zielenie. Wszystko zdobione świetlistą bielą i aksamitną czernią, wykończone czerwonoróżowym dziobem i mandarynkowymi stopami. Rzadką w naszym kosmosie ekstrawagancję dopełniają dwa płomienne żagle na plecach oraz puszysty kaptur z kołnierzem, którego nie powstydziłby się Alexander McQuinn[47]. Oliwkowo-szara kaczka jest pozbawiona ozdób i kontrastów, ale ani trochę mniej urocza. To przez dużą głowę i takie same, biało obwiedzione oczy, które bez względu na płeć przydają mandarynkom niewinności pluszowego misia. Kaczki opiekują się pisklętami i krzykliwe kolory byłyby dla nich ryzykownym obciążeniem. Poza tym muszą wyprodukować jakiś tuzin jaj i to w nie wolą zainwestować swoją

energię. Wyścig zdobień zostawiają swoim partnerom i tam, gdzie jest ich więcej, potrafią być bardzo wybredne. Chłopaki wybuchają kolorami, dwoją się i troją, ale one nie spieszą się z decyzją. Jakby chciały wziąć odwet za swoje szare piórka.

Mandarynki świetnie sobie radzą w powietrzu, co przydaje się podczas manewrów w koronach drzew, gdzie te skryte i skromne z usposobienia kaczki spędzają wiele czasu. W dziuplach najchętniej też zakładają gniazda, a puchate i tyle co puch ważące kaczęta skaczą do wołającej pod drzewem mamy kilka lub kilkanaście godzin po tym, jak przyszły na świat. Kaczka prowadzi je na wodę – mały śródleśny (parkowy) staw, jakieś jeziorko lub wolno płynącą rzeczkę. Najważniejsze, żeby brzegi porastał gęsty szuwar, w którym można szybko się schować, a dookoła rosło dużo dojrzałych drzew. Najlepiej buków i dębów, bo mandarynki uwielbiają ich pożywne nasiona. Jesienią strojne stadka kręcą się pod dębami i kiedy tylko usłyszą charakterystyczne „bęc", biegną na wyścigi – mógłbym przysiąc, że śmiejąc się od ucha do ucha. Ale ten, kto pierwszy chwyci żołędzia, wcale nie musi go zjeść, bo koleżanki i koledzy gotowi są wyrwać mu go z dzioba. Takie kolorowe sceny możemy obserwować w Łazienkach Królewskich, krajowej stolicy mandarynek.

Wyobrażam sobie, jak musieli zareagować na widok mandarynki Marco Polo i pierwsi Europejczycy, którzy jego śladami

podróżowali na Daleki Wschód. Bajkowe ptaki, które były tam traktowane jak skarb narodowy, przez co prawo do nich mieli tylko możnowładcy, trafiły do Europy w XVIII wieku i początkowo warte były fortunę. W Polsce pierwszą wolną mandarynkę widziano zimą 1963 roku, w Łazienkach właśnie, gdzie wzbudziła niemałą sensację. W 1999 roku w stołecznym parku celowo wypuszczono małą grupę kaczek, a ich pierwsze lęgi zaobserwowano w roku 2001. Dzisiaj w Warszawie żyje 250–270 mandarynek, z czego około 90 par mniej lub bardziej regularnie przystępuje do lęgów – głównie w Łazienkach i w parku Skaryszewskim. Pojedyncze ptaki, a czasami pary spotyka się też w innych dużych miastach. To najczęściej uciekinierzy z prywatnych hodowli albo zwiadowcy z warszawskiej kolonii.

Gdzie patrzeć?

W Polsce mandarynki najłatwiej spotkać w stolicy, ale jeszcze lepszy na kaczy karnawał jest Berlin, gdzie rezyduje największa europejska diaspora, która po silnych wzrostach pod koniec lat 90. ustabilizowała się na poziomie 600–700 ptaków. Można też wybrać się do Hamburga, Zagłębia Ruhry albo Londynu. I to prawdopodobnie na Wyspach Brytyjskich żyje dzisiaj najwięcej

mandarynek – co najmniej 15 tysięcy, w tym 5 tysięcy par lęgowych.

Czego wyglądać?

Niewielkich kaczorków, które w godowych strojach wyglądają, jakby wyszły spod pędzla malarza superrealisty, który miał bardzo dobry dzień.

Czego nasłuchiwać?

Nieważne. Patrzmy!

Kiedy?

Przez cały rok.

[46] Jako pierwsi, już w 1975 roku, polowań na mandarynki zakazali Chińczycy, którzy wcześniej schwytali i wyeksportowali setki tysięcy kaczek. Wkrótce za ich przykładem poszli Japończycy i Rosjanie.

[47] Niestety nieżyjący już brytyjski projektant nowego pokolenia, znany z fantazyjnych, oryginalnych i bogatych stylizacji inspirowanych Naturą.

Niebezpieczna dla Polski?

Historycznie rzecz biorąc, mandarynki są u nas gatunkiem obcym, ale przez Polską Komisję Faunistyczną zostały zaliczone do awifauny krajowej. Nadano im status ptaków osiadłych i lęgowych, kategorię „pojaw wtórnie naturalny". Uznano, że nie zagrażają Polsce i co więcej, zagwarantowano im ochronę ścisłą. Mają szczęście. W przeciwieństwie na przykład do ich najbliższej krewnej, równie oszałamiającej karolinki, która jako gatunek amerykański w śladowej liczbie naturalizowała się w zachodniej Europie i czasami pojawia się w naszych granicach.

Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. 19 sierpnia 2021 roku prezydent podpisał Ustawę o gatunkach obcych z dnia 11 sierpnia 2021 r., która ma uzupełnić ustawę o ochronie przyrody i jednocześnie umożliwić wdrożenie dyrektyw unijnych. Chodzi o Rozporządzenie 1143/2014 z dnia 22 października 2014 r. w sprawie działań zapobiegawczych i zaradczych w odniesieniu do wprowadzania i rozprzestrzeniania inwazyjnych gatunków obcych. Nowe przepisy mają zaostrzyć i tak już ostry kurs wobec tak zwanych gatunków obcych, a o ich ostatecznym kształcie zdecydowały sejm i senat. Kłopot w tym, że jak do tej pory nie bez

przyczyny żadna z wysokich izb nie była kojarzona z wiedzą ani broń Boże z wrażliwością przyrodniczą, i to bez względu na przynależność partyjną. Gatunki objęte ustawą podzielono na pięć kategorii: 1. gatunki obce w sensie ogólnym, w rozumieniu zgodnym z definicją ustawową; 2. inwazyjne gatunki obce, w rozumieniu definicji ustawowej; 3. „inwazyjne gatunki obce stwarzające zagrożenie dla Polski, określane rozporządzeniem Rady Ministrów, z podziałem na wymagające szybkiej eliminacji (3a) oraz rozpowszechnione na szeroką skalę (3b)"; 4. „inwazyjne gatunki obce stwarzające zagrożenie dla Unii", określane rozporządzeniem Komisji Europejskiej, „dzielącym je na wymagające szybkiej eliminacji (4a) oraz rozpowszechnione na szeroką skalę (4b)"; 5. „inwazyjne gatunki obce, które prawdopodobnie spełniają kryteria uznania za stwarzające zagrożenie dla Unii (określane, w razie potrzeby, rozporządzeniem Rady Ministrów), do których stosuje się przepisy jak dla kategorii 4"[48]. Sami przyznacie, że ten język robi wrażenie: „(inwazyjne gatunki obce) stwarzające zagrożenie…". Francuzi, na przykład, określili je jako *préoccupantes pour la France* oraz *préoccupantes pour l'Union*, dla Anglików są *one of concern*, dla Niemców *von weiter Bedeutung*, dla Hiszpanów *preocupantes*, dla Włochów *di rilevanza*, dla Czechów *s významným dopadem* – i nigdzie ani słowa o „zagrożeniu", którego my się dopatrujemy. Niebezpieczeństwo związane z „inwazyjnymi gatunkami obcymi" miałoby polegać na tym, że ich „wprowadzenie lub

rozprzestrzenianie się zagraża – jak stwierdzono – bioróżnorodności i powiązanym usługom ekosystemowym lub oddziałuje na nie w niepożądany sposób". Jak należy sobie z nimi radzić? Najlepiej poprzez „eliminację" – „pełne i trwałe usunięcie populacji inwazyjnego gatunku obcego środkami letalnymi lub nieletalnymi". Populację można nie tylko wyeliminować, ale też kontrolować, przy czym kontrola oznacza „działanie środkami letalnymi lub nieletalnymi na populację inwazyjnych gatunków obcych – przy jednoczesnym zminimalizowaniu oddziaływania na gatunki niedocelowe i ich siedliska – w celu utrzymania liczby osobników na jak najniższym poziomie […]". Praktyczne zastosowanie ustawy będzie zależeć od treści rozporządzeń Rady Ministrów określających kategorie 3a, 3b, 4a, 4b, 5. W Ministerstwie Klimatu i Środowiska przygotowano już propozycje odpowiednich list. Na liście 3b są m.in. kolcolist zachodni, kolczurka klapowana, niecierpek drobnokwiatowy, niecierpek pomarańczowy, rdestowce, biedronka azjatycka, szczeżuja chińska oraz ryby: babka bycza, babka łysa, babka marmurkowata, sumik karłowaty. Do szybkiej eliminacji (lista 3a) wskazano m.in. jelenie sika, bizona amerykańskiego, żółwia malowanego, żółwia jaszczurowatego oraz berniklę kanadyjską.

Polsce nie zagrażają nasza megalomania, zabawy w Pana Boga, histeria, pełzający faszyzm, słowa i czyny nienawiści, płoty z drutu ostrzowego, chciwość, małostkowość, gloryfikacja chamstwa

i głupoty. Nie jest naszym problemem wymieranie gatunków, dewastacja krajobrazów, betonoza, zalegające wszędzie śmieci i brzydota. Nawet śmiertelnie niebezpieczny smog i kryzys klimatyczny nas nie dotykają. Nie! Polsce zagraża bernikla kanadyjska. W jaki konkretnie sposób? Czy ktoś ją tutaj widział? Nie…? Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej, bo to gatunek, który nawet się u nas nie gnieździ, z wyjątkiem pary z oliwskiego zoo, która swego czasu przylatywała wiosną na staw w gdańskim parku Reagana. Bernikle gnieżdżą się za to w większości krajów sąsiedzkich, gdzie nie mają statusu kozła ofiarnego, a swoją urodą dodają charakteru lokalnym krajobrazom. W jaki sposób będziemy pilnować naszych granic przed ich wyobrażoną inwazją? Czy pozwolimy żyć ptakom, które co najmniej od lat 80. ubiegłego wieku przylatują do nas na zimę ze Skandynawii? Zgodnie z zaleceniami ustawy z naszego terytorium należałoby też eksterminować jenoty, a nawet zasiedziałe od blisko stu lat piżmaki, znane z tego, że wtopiły się w nasze siedliska, nie przynosząc żadnej ujmy nikomu ani niczemu. Jedne i drugie znalazły się na liście 4b. Bezpańskie koty do spółki z tymi kanapowymi zabijają rocznie 144 miliony ptaków oraz 631 milionów drobnych ssaków, z których część mogłaby się stać zdobyczą naturalnych drapieżników, te z kolei przy uszczuplonej bazie pokarmowej częściej zwracają się przeciwko innym zwierzętom oraz sobie nawzajem. Koty domowe, uważane za największych antropogenicznych zabójców ptaków, wyprzedzają w

statystykach m.in. auta, zderzenia z przeszklonymi powierzchniami czy turbiny wiatrowe. Na całym świecie doprowadziły już do wyginięcia co najmniej 63 gatunków, w tym małych ssaków i jaszczurek. Posłowie postanowili jednak, że koty to „zwierzę[ta] wolnobytujące" i jako takie są „naturalnym elementem miejskiego ekosystemu". Należy im się dokarmianie i sterylizacja, a w razie potrzeby leczenie – wyleczone mają być wypuszczane na wolność (!). Tylko że koty domowe nie są częścią Natury – ani miejskiej, ani wiejskiej, ani żadnej innej. Są za to sprawnymi drapieżnikami, które sieją spustoszenie, gdziekolwiek się w Naturze pojawią. W nowej ustawie, która zakazuje hodowli (chyba że mamy specjalną zgodę), przemieszczania i wprowadzania do środowiska gatunków obcych, nie ma ani słowa m.in. o norkach amerykańskich hodowanych w Polsce w milionach. (Choć sprzedaż ich skór od kilku lat powoli spada, według oficjalnych danych w roku 2019 wciąż przekraczała siedem milionów. Polska, po Danii i Chinach, jest drugim w Europie i trzecim na świecie producentem skór futerkowych). Norki, przemianowane ostatnio na wizony amerykańskie, uciekają z ferm w tysiącach. Na wolności są jeszcze gorsze od kotów, bo w przeciwieństwie do nich świetnie pływają i nurkują. Większość z nich cierpi na rozmaite *poklatkowe* zaburzenia. Niektóre to po prostu oszalałe zwierzęta rzucające się na wszystko, co się rusza, nawet dużo większe od nich gęsi i łabędzie.

Oprócz wyjątków przemilczanych w tekście ustawy znalazło się też kilka zdefiniowanych, które dotyczą: 1. „organizmów wodnych wykorzystywanych w rybactwie i rybołówstwie”; 2. „wprowadzania bażantów, muflonów i danieli w ramach gospodarki łowieckiej”; 3. „roślin na terenach zieleni w obrębie miast i zwartej zabudowy wsi oraz przy obiektach budowlanych” (pomachajmy tujom i „iglaczkom”); 4. „roślin w ramach trwale zrównoważonej gospodarki leśnej i racjonalnej gospodarki rolnej” (cokolwiek to oznacza); 5. „roślin tymczasowo, w celu rekultywacji gruntów zdegradowanych lub zdewastowanych w wyniku działalności przemysłowej” (a jednak ustawodawca zrozumiał, że niektóre gatunki obce zapewniają nam usługi, jakich nie są w stanie zapewnić gatunki rodzime); 6. „roślin w badaniach naukowych i ochronie *ex situ* w obrębie miast i zwartej zabudowy wsi”[49]. Za wdrożenie nowego prawa, a w szczególności kontrolę i eliminację „zagrażających nam gatunków” odpowiedzialni są dyrektorzy odpowiednich urzędów i jednostek terenowych, każdy w swoich granicach. Dyrektorzy parków narodowych na terenie swoich parków, nadleśniczowie w Lasach Państwowych, Główny Inspektor Urzędu Morskiego na morzu itd. W niektórych przypadkach odpowiedzialność może spaść na wójtów i burmistrzów. Likwidacja zwierząt z kategorii 3. i 4. miałaby się stać jednym z celów tzw. gospodarki łowieckiej, a myśliwi mogliby je „pozyskiwać” w każdym sezonie i w dowolnej liczbie.

Niektóre gatunki w określonych warunkach zachowują się w sposób, który z zapałem zaczęliśmy ostatnio nazywać inwazyjnym – czyli tak, jak my zachowujemy się ciągle i wszędzie. Z wymyślonych przez nas algorytmów wychodzi nam czasami, że niektóre z nich powodują szkody w ekosystemach. Nie twierdzę, że to się nigdy nie zdarza, ale każdy z 12 tysięcy gatunków, które w niedalekiej przeszłości i najczęściej za naszą przyczyną zadomowiły się w Europie, a którym nadaliśmy status obcych (dla całego świata ta liczba przekracza 50 tysięcy), należy traktować indywidualnie. Mity o spustoszeniach, jakich „najeźdźcy" dokonują, zawsze dotyczą szczególnych sytuacji, a te najczęściej powodowane są przez nasze zwierzęta gospodarskie (np. zdziczałe świnie albo kozy, szczególnie w zamkniętych ekosystemach wyspiarskich) albo zwierzęta z nami związane, takie jak szczury. Kiedy zapytacie o szkody wyrządzone w Europie przez berniklę kanadyjską, to okaże się, że największą jej winą będzie robienie kupy na eleganckich polach golfowych. (Gęsi te jakby nie mogły się opanować na widok gęstej, krótko strzyżonej trawy). Gdy rozmawiałem z naszymi specjalistami opiniującymi nowe prawo i pytałem o konkretne argumenty, dyskusja zawsze kończyła się na tym, że bernikla jest obca i nie powinno jej tutaj być. Nie odkryję Ameryki, jak napiszę, że jako społeczeństwo mamy wyraźny problem z (bio)różnorodnością – i językiem. Przynajmniej niektórzy z tych ekspansywnych pionierów są nam dzisiaj bardzo potrzebni, bo w przeciwieństwie do innych potrafią się

zaadaptować do zabudowanych krajobrazów antropocenu. Niedługo mogą być naszą jedyną szansą na kontakt z Naturą. Delikatni i wrażliwi, nieważne, czy rodzimi jak kuropatwy i czajki, czy egzotyczni jak mandarynki, przetrwają tylko tam, gdzie im na to pozwolimy. Ale być może o to nam chodzi, o poczucie całkowitej kontroli[50]. Człowiek zwierzęciu człowiekiem.

Oto jak unijni urzędnicy definiują problem gatunków inwazyjnych we wstępie do Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) nr 1143/2014 z dnia 22 października 2014 r. w sprawie działań zapobiegawczych i zaradczych w odniesieniu do wprowadzania i rozprzestrzeniania inwazyjnych gatunków obcych: „Punkt 3. Zagrożenie dla różnorodności biologicznej i powiązanych usług ekosystemowych, jakie stwarzają inwazyjne gatunki obce, przybiera różne formy, w tym wywieranie poważnego oddziaływania na gatunki rodzime oraz strukturę i funkcję ekosystemów poprzez zmianę siedlisk, żerowania, konkurencję, przenoszenie chorób, zastępowanie gatunków rodzimych w znacznej części ich zasięgu". Sami przyznacie, że wszystko się zgadza: *Homo sapiens europaeus*. Nic dodać, nic ująć. „Zagrożenie dla bioróżnorodności i powiązanych usług ekosystemowych, zdrowia ludzkiego i gospodarki, stanowią jedynie żywe osobniki lub ich części, które mogą się rozmnażać, i w związku z tym tylko one powinny podlegać ograniczeniom wynikającym z niniejszego rozporządzenia".

[48] Cytaty na podstawie opracowania opublikowanego na stronie Klubu Przyrodników.

[49] Cytaty na podstawie opracowania opublikowanego na stronie Klubu Przyrodników.

[50] Na liście 4a – zwierząt zagrażających Unii Europejskiej i dlatego wymagających natychmiastowej eliminacji – znalazły się m.in. sterniczka jamajska i gęsiówka egipska. (Rozporządzenie Wykonawcze Komisji (UE) 2016/1141 z dnia 13 lipca 2016 r. przyjmujące wykaz inwazyjnych gatunków obcych uznanych za stwarzające zagrożenie dla Unii zgodnie z rozporządzeniem Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) nr 1143/2014, aktualizacja z 15 sierpnia 2019). Jak to się dzieje, że brukselscy urzędnicy nie widzą zagrożenia dla europejskiej bioróżnorodności w następstwie niekontrolowanej rzezi ptaków, jaka trwa w krajach śródziemnomorskich i osiąga apogeum każdej wiosny i jesieni? Wiadomo, że zagraża m.in. istnieniu turkawki. Na nikim z decydentów nie robi wrażenia prognoza, że takie tempo zabijania tych kiedyś najliczniejszych na kontynencie gołębi w połączeniu z utratą siedlisk najprawdopodobniej doprowadzi do ich wyginięcia w ciągu najbliższych czterech lat! A to tylko jeden z długiej listy przykładów i zaledwie wierzchołek góry lodowej. Być może dla unijnych urzędników gęsiówka jest tym, czym dla naszych bernikla kanadyjska – doskonałym tematem zastępczym. Z tą różnicą, że ta pierwsza rzeczywiście ma w tej chwili swoje pięć minut w północno-

zachodniej Europie. Do południowej, a już na pewno południowo-wschodniej ma szanse powrócić po długiej przerwie jako gatunek rodzimy.

NAD WODĄ

Śmieszka.
Czekoladowy kapturek

Morza szum, ptaków śpiew,
Złota plaża pośród drzew –
Wszystko to w letnie dni
Przypomina Ciebie mi.
Sia la la la la la a a a aa…

Historia jednej znajomości. Wielki evergreen polskiego popu i wakacyjny przebój Czerwonych Gitar, którego liryczna akcja toczyła się na gdyńskiej plaży, a który swoją premierę miał w 1966 roku. Idę o zakład, że Jerzy Kossela, pisząc te słowa, miał na myśli ptaków krzyk, a konkretnie krzyk mew, ale się nie odważył, a może po prostu śpiew mu się bardziej rymował. Co innego Młynarski. On dwa lata później w swoim obyczajowym songu *Tupot białych mew* nie pisał o miłości, lecz o nocnych wakacyjnych imprezach i porannym kacu, więc mewy mogły się tam pojawić bez literackiego przebrania:

Tupot białych mew
O pusty pokład,
W dali morza zew,
Na głowie okład,
Rozpalona krew
Wdziera się do trzew
I gniew o tych mew,
Tupot mew, wzbiera gniew.
Tupot białych mew

Brzmi wciąż uparcie
I zwiastuje, że
Dziś wieczór w karcie.
Rozsądkowi wbrew,
Znów strogonow-bef i śpiew.

I wreszcie mistrz krótkiej formy, krakowski satyryk i poeta, Jan Sztaudynger: „Mewa – wybryk cenzury – przekreśla niebo od dołu do góry".

Może i mewy nie są najromantyczniejszymi z ptaków, ale przy okazji wakacji nad wodą zamiast je ignorować i udawać, że wszystko o nich wiemy, przyjrzyjmy się im z uwagą. Zresztą wcale nie trzeba wyjeżdżać nad Bałtyk czy na Mazury, ani w ogóle na wakacje, żeby zobaczyć mewy, a już na pewno mewy śmieszki. Zgaduję, że to o nich pisali przywołani tu poeci, bo w latach 60. dostatecznie popularne były u nas tylko dwa gatunki. Mewa pospolita, obecnie bardzo już rzadka (600–1000 par ze stałą tendencją spadkową) i z tego powodu przemianowana na mewę siwą, oraz śmieszka. I wtedy, i teraz najczęstsza, 90–100 tysięcy par, i najbardziej wszędobylska. W głośnych, skrzydlatych obłokach opada na orane pola i dopiero co skoszone łąki. Jak mewy dowiadują się o pracujących tam traktorach i odsłanianej przez nie ciżbie zdezorientowanych owadów, robaków i gryzoni? Prawdopodobnie tak jak bociany, kierują się zapachem świeżo skoszonej trawy, który wiatr niesie na odległość dziesiątków albo i

setek kilometrów[51]. Swój zapach mają też duże połacie wilgotnej, otwartej pługami ziemi. (Przynajmniej dopóty, dopóki nie zduszą go intensywne nawożenie i pestycydy). Śmieszki rezydują w portach i przystaniach, patrolują plaże, bulwary i nabrzeża, odwiedzają wysypiska śmieci. Tak samo u siebie czują się nad morzem i w głębi lądu. Prędzej czy później co najmniej kilka z nich spotkamy w każdym mieście od Bałtyku po Tatry. Lecąc w górę rzek, docierają aż do źródeł. Zakopane? Czemu nie! Łatwo je rozpoznać, bo mewy to nasze jedyne mniej więcej białe ptaki tej wielkości. (Obok niektórych rybitw, których z daleka od dużej wody, a tym bardziej w górach, nie znajdziemy. Całkowicie białe czaple białe i oczywiście łabędzie to już całkiem inna kategoria wagowa). I mało kto, jeśli w ogóle ktokolwiek, lata z taką lekkością. Śmieszka, najmniejsza z naszych mew (jeśli nie liczyć filigranowej mewy małej, którą zobaczymy już tylko na przelotach i pod warunkiem, że mamy dużo szczęścia), jest wielkości gołębia, a skrzydła rozkłada co najmniej na metr. A że waży niewiele więcej niż jej pióra, może sobie surfować na wietrze bez żadnego wysiłku.

Śmieszka najładniejsza jest na wiosnę. Jej szare skrzydła robią się srebrzystoniebieskie, a na głowie pojawia się smakowity, czekoladowy kaptur. Do tego ciemnowiśniowy dziób (na zewnątrz i od wewnątrz!) oraz nogi. Obwiedzione taką samą woskówką bystre oczy podkreśla gruba, biała kreska. Jakby tego było mało,

u niektórych śmieszek pudrowo różowi się biała pierś. Ale nie chodzi tylko o to odświętne upierzenie godowe – bardziej o to, jak śmieszki je noszą. Dumne, jakby wybierały się na ważny raut w miejscowej marinie. Znak, że wkrótce rozlecą się do swoich kolonii lęgowych. Idealna byłaby jakaś mała, najlepiej pływająca wyspa na płytkim, zarastającym jeziorze, starorzeczu lub rozlewisku. Czasami osiedlają się w trzcinowiskach, na grząskich łąkach i torfowiskach, wyjątkowo na wydmach, dachach czy powalonych do wody drzewach. Najczęściej on leci pierwszy i stara się zająć położoną w centrum kolonii miejscówkę. Konkurencja jest duża, bo o bezpieczny, otoczony *fosą* adres coraz trudniej. W zagrożeniu wszyscy rezydenci solidarnie bronią kolonii, więc te duże zapewniają lepszą ochronę przed drapieżnikami, ale we wszechogarniającym chaosie i ciągłych awanturach tłuką się jaja i giną pisklęta. Mimo to z parasola ochronnego tego nieoczywistego kolektywu chętnie korzystają różne siewki, kaczki czy perkozy, płacąc za to czasami własnym jajem lub dwoma. Małe, kilku-, kilkunastorodzinne osiedla śmieszek bywają zaskakująco zgodne, ale są bardziej narażone na ataki z zewnątrz. Śmieszki znane są też z tego, że ochoczo podrzucają sobie jaja. W dużych koloniach jest to tak nagminne, że wiele par nawet specjalnie nie protestuje. Oni nam, my im! Trudno oprzeć się wrażeniu, że skądinąd bardzo towarzyskie mewy w ogóle posługują się skomplikowaną definicją współpracy i wspólnoty, która zresztą jest im wpajana od maleńkości. Otóż im zgodniej rodzeństwo domaga się jedzenia,

tym więcej im go rodzice przynoszą. A jak już przyniosą – kto pierwszy, ten lepszy! Te dwa trochę sprzeczne podejścia towarzyszą śmieszkom przez całe życie.

Chociaż jak wszyscy dobrze wiemy, śmieszki nie stronią od śmietnikowego fast foodu, ich dzieci dostają zdrowe dżdżownice, pędraki, duże owady, ślimaki, skorupiaki, żaby i co tam w trawie piszczy, a nie ucieka. Dorosłe nie mają nic przeciwko dobrej, to znaczy niezbyt zepsutej padlinie, czasami sięgają po owoce, kłącza, wodorosty lub nasiona – nierzadko po to, co akurat uda im się wyrwać komuś z dzioba. Czy śmieszki lubią ryby? Bardzo! Ale tak jak większość z nas, jedzą je pod warunkiem, że ktoś je dla nich złowi. Same mogą złapać tylko ranne, chore i być może pijane. Najlepiej martwe. Są zwyczajnie za wolne, żeby schwytać zdrową rybę, i przede wszystkim nie nurkują! Ani one, ani inne mewy. Są za lekkie. Pod wodę mogą najwyżej zanurzyć głowę, ale to nie wystarczy, żeby wyciągnąć z niej rybę. Za to jak wszyscy w rodzinie mają szczególną umiejętność dostrzegania chorób, słabości i śmierci. Tak jak w cieplejszych klimatach sępy, tak u nas mewy (razem z krukowatymi) pełnią niewdzięczną i bardzo niedocenianą funkcję sanitariuszy i czyścicieli. Gdybym miał staw, bardzo by mnie cieszył widok mew nad wodą, a tym bardziej ich kolonia na grobli. Miałbym pewność, że każde zagrożenie epidemiczne dla mojej hodowli byłoby natychmiast i za darmo

usuwane. Takie kolonie są jednak niszczone, a przelatujące ptaki nierzadko zabijane.

Śmieszki w ogóle są mało drapieżne. To tylko awanturniczki, a czasami piratki. Na przykład na przelotach i zimowiskach chętnie towarzyszą czajkom. Rozbiegane po łące lub polu czajki wpatrują się w ziemię, a śmieszki mają oko na czajki. Każda obstawia kilka z nich i rzuca się na dżdżownice i inne robaki, które ich dalekie kuzynki z dużą wprawą wyciągają z gleby, czego śmieszki tak dobrze nie potrafią. Czajki specjalnie się tym nie przejmują. Pamiętają o starej śmieszkowej zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy" i robią swoje. Wiosną i jesienią, a tam, gdzie ziemia nie zamarza, również zimą, możemy zobaczyć, jak śmieszki w dużym skupieniu spacerują po przystrzyżonych łąkach i trawnikach, po czym zatrzymują się i zaczynają stepować. Przestępując szybko z nogi na nogę, wprowadzają wilgotną darń w stan wibracji, co dżdżownice kojarzą ze zbliżającym się kretem i… ratują się ucieczką na powierzchnię. Im więcej ptaków, tym większe wibracje i tym więcej robaków. Praca zespołowa się opłaca! Gdy nad morze nadciągnęła sroga zima, śmieszki zamiast na lodzie siadają na plecach łabędzi. Te się nawet nie bronią – może też jest im cieplej?

Gdy jedne śmieszki w Ustce, Łebie albo Sopocie grzeją się na łabędziach, są i takie, co wzdłuż Nilu lub Atlantyku lecą w turystycznym tempie do tropikalnej Afryki. Ich koleżanki może

już czekają na indyjskich plażach na powrót rybaków albo kołyszą się w bryzie Sri Lanki. Jeszcze inne przeprawią się latem przez ocean, żeby zobaczyć, jak jest w Kanadzie albo w Stanach. Śmieszki mają najwięcej czasu na takie podróże, zanim się ustatkują i założą rodzinę. To ich *gap year*, na który dają sobie dwa, trzy lata[52]. Najstarsza, o jakiej wiemy, miała 32 lata i 9 miesięcy[53]. Ciekawe, kiedy przyszła na świat, gdzie była i co widziała mewa, którą spotkasz jutro pod sklepem, albo ta, która wyląduje obok twojego stolika na wakacjach? Najpierw przyjrzy się rybie i frytkom na talerzu, a potem zajrzy ci w oczy.

W Polsce mamy jeszcze bardzo do siebie podobne mewy srebrzyste i białogłowe. Dużo większe od śmieszki, z rozpiętością skrzydeł do półtora metra i przede wszystkim z dużo bardziej onieśmielającą osobowością. Dotyczy to zwłaszcza tych pierwszych! Stąd, choć są nieporównanie rzadsze (odpowiednio 2800 i 2500 par), robią wrażenie, jakby było ich dużo więcej niż w rzeczywistości. Duże mewy zwykle trzymają się dużej wody lub dużych miast, do których podróżują wzdłuż dużych rzek. Oprócz nich co najmniej od 1981 roku gnieździ się u nas bardzo urodziwa i podobna do śmieszki mewa czarnogłowa. Łącznie kilkadziesiąt osobliwie powściągliwych par rozproszonych w koloniach jazgotliwej kuzynki. Przyglądając się mewom, możemy czasami wypatrzeć jakąś rybitwę. Zwykle będzie to rybitwa rzeczna, najczęstsza z nich (6–8 tysięcy par). Na pierwszy rzut oka wygląda jak

śmieszka, ale jest dużo smuklejsza, z bardzo długimi, wąskimi skrzydłami i krótkimi nogami. Nie lata, nie szybuje – raczej wiosłuje i płynie po niebie, miękko kracząc. Z jaskółczym ogonem i w czarnym berecie, choć ten z dołu może być niewidoczny. Tylko późną wiosną i latem, niemal wyłącznie nad wodą. Jeśli na niej usiądzie, to znaczy, że to nie rybitwa, lecz mewa, najpewniej śmieszka.

Gdzie patrzeć?

Śmieszki bywają prawie wszędzie, w miastach, portach i przystaniach. Na otwartych wysypiskach śmieci, na rozległych trawnikach i pastwiskach, na oranych polach i koszonych łąkach. Najczęściej wzdłuż dolin rzecznych, w sąsiedztwie jezior, stawów i zalewów. Nad wodą słodką i słoną, na wybrzeżu i na śródlądziu.

Czego wyglądać?

Smukłych, ruchliwych, przeważnie stadnych i momentami głośnych mew w niebieskawoszarych płaszczach i czekoladowych

kapturkach. To od wiosny do późnego lata lub jesieni. Na zimę kapturki bieleją i zostaje z nich tylko biegnąca przez oko ciemna smuga oraz czarna plamka za uchem. Wiśniowe wcześniej dziób i nogi stają się pomarańczowe. Niezmienne przez cały rok są czarne krawędzie lotek (i ten głos!). Ptaki młode też je mają, a od dorosłych odróżnimy je po szaro-brązowych płaszczach i czarnej końcówce ogona.

Czego nasłuchiwać?

Nastrojowego pokrakiwania, którym wiosłujące po niebie śmieszki nawiązują ze sobą łączność. W kłótliwym stadzie lub w sytuacji zagrożenia – ostrego wrzasku i jazgotu, który moim zdaniem brzmi jak wybuch histerii, ale nadającemu śmieszce naukowe imię Linneuszowi najwyraźniej kojarzył się ze śmiechem, stąd epitet ridibundus. Jej pełną nazwę, Chroicocephalus ridibundus, można przetłumaczyć jako „śmiejąca się kolorowana głowa", czego echa utrwaliły się również w naszym języku.

Kiedy?

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni lub wczesnej zimy. Tam, gdzie woda nie zamarza, szczególnie w miastach położonych nad dużymi rzekami i w pasie Wybrzeża – przez cały rok.

---

[51] To dzięki odorantom, charakterystycznym cząsteczkom zapachowym, które uwalniają się ze ścinanych i zgniatanych liści i łodyg, a które odnajdziemy również w dobrych perfumach z tak zwaną świeżą albo zieloną nutą.

[52] Z angielskiego, gdzie *gap* oznacza przerwę, oddzielającą przestrzeń, a *year* rok. To dowolny okres, niekoniecznie rok, pomiędzy kolejnymi ważnymi etapami życia, np. po studiach i przed rozpoczęciem pracy zawodowej, pomiędzy różnymi ścieżkami kariery, przed ślubem lub po nim, przed dziećmi albo po ich usamodzielnieniu się itp. Czas ten jest wykorzystywany na rozwój osobisty, zdobywanie doświadczeń, poszerzanie duchowych i intelektualnych horyzontów, poznawanie innych kultur, przełamanie życiowej rutyny czy realizację marzeń typu podróż życia. Bardzo popularne i cenione w kulturze zachodnioeuropejskiej.

[53] Recenzent tej książki i koordynator wielu krajowych akcji obrączkarskich, dr Michał Polakowski, wspominał kiedyś o 20-letnim obrączkarzu, któremu zdarzyło się skontrolować śmieszkę starszą od siebie. (Skontrolować, czyli schwytać lub z użyciem lornetki odczytać numery wcześniej założonej obrączki).

Bielik.
Orzeł biały

Na pytanie „Jaki znak twój?”, każdy z nas bez wahania odpowiada „Orzeł Biały!”, ale jego historia sięga czasów, kiedy na mapach nie było jeszcze Polski, a nasi przodkowie nazywali się Polanami[54]. Według legendy Lech, ich przywódca i założyciel przyszłego państwa polskiego, od miesięcy, a może i lat przemierzał ze swoimi ludźmi bezkresne puszcze i bujne bagienne doliny. Pewnego popołudnia wędrowcy dotarli pod królewski dąb z gniazdem orła białego, który na ich widok rozłożył skrzydła na tle poczerwieniałego zachodzącym słońcem nieba. Lech uznał to za znak od bogów i postanowił tam osiąść. Na pamiątkę tego wydarzenia nazwał swoją osadę Gniezdnem i ogłosił ją pierwszą stolicą nowego państwa. Dzisiaj to już nie stolica, ale dumne miasto powiatowe Gniezno, za to obraz białego ptaka na tle czerwonego nieba ciągle jest naszym herbem.

Istnieje też mniej romantyczna, za to bardziej prawdopodobna wersja historii naszego godła. Zakłada ona, że Polanie poszli śladami Rzymian i przejęli na swoje potrzeby ich symbolikę państwową, a nawet kilka wątków z mitów założycielskich, które bursztynowym szlakiem docierały nad Odrę i Wisłę z coraz liczniejszymi zastępami różnej maści kupców, emisariuszy i podróżników z wyobraźnią. Miejscowi musieli z zazdrością przyglądać się Jowiszowym ptakom w koronach, które zaczepnie połyskiwały z przywożonych przez gości monet, prężyły się w ich pieczęciach i na wysoko niesionych proporcach. Zdaniem

historyków białego orła jako herbu jednoczącego się Królestwa Piastów zaczął w 1295 roku używać Przemysł II, ale nie był ostatni ani tym bardziej pierwszy. Gajusz Mariusz już w 102 roku przed naszą erą zadekretował herb z orłem jako obowiązujący symbol szybko zwiększającej swoje wpływy i terytoria republiki rzymskiej. Ów orzeł dał początek całej linii mniej lub bardziej zmienionych postaci, które do dzisiaj patronują wielu europejskim krajom – Albanii, Austrii, Czarnogórze, Czechom, Lichtensteinowi, Mołdawii, Niemcom, Rosji, Rumunii i Serbii[55]. Dlaczego orły? Bo to ptaki mocy. Każdy, kto chciał, żeby się z nim liczono, musiał je mieć po swojej stronie. Orły chroniły nawet wikingów, których legenda w czasach Piastów była ciągle żywa i którzy wciąż budzili tyle samo trwogi, co podziwu. Najbardziej pożądanym spośród gromowładnych ptaków był orzeł przedni, nie bez powodu w różnych językach zwany też królewskim, złotym, prawdziwym. Odważny i waleczny, niósł szybką śmierć tak samo swoim wrogom, jak i ofiarom. Przede wszystkim jednak na każdego mógł patrzeć z góry, kiedy tylko miał na to ochotę – ot, choćby na największych władców z najwyższych tronów i boskiego namaszczenia. Coś, czego nawet oni nie potrafili, mimo że wszyscy inni patrzyli na nich z dołu. W różnych oddalonych od siebie kulturach powtarzała się też wiara w to, że orzeł przedni jako jedyna istota na Ziemi mógł spojrzeć słońcu w oczy bez ryzyka oślepienia. Więcej! Regularnie wzbijał się tak wysoko, że słoneczny żar wzniecał płomienie w jego piórach. Wtedy niczym

kula ognia osuwał się w morskie głębiny, skąd po chwili unosił się w złotej poświacie. Tam, gdzie nie było morza, boski ptak zanurzał się w wielkim jeziorze albo rzece. Jak feniks z popiołów, tak orzeł z wody powstawał z martwych. Jeszcze silniejszy, jeszcze piękniejszy. Czy nie tego obsesyjnie pragnęli narcystyczni przywódcy, monarchowie, duchowni? Nieśmiertelności, wiecznej młodości i nieograniczonej władzy! (Nic się zresztą w tej kwestii nie zmieniło). Niektórzy próbowali je sobie zapewnić magicznymi kamieniami, które orły miały ukrywać w swoich trudno dostępnych gniazdach. *Aquila* był ptakiem Zeusa, najważniejszego z greckich bogów, a także Jowisza, jego rzymskiego odpowiednika. Czuwał nad pierwszym imperium perskim oraz przewodzącą mu dynastią Achemenidów, obdarzając swoich wybrańców boską chwareną[56]. Achemenes, legendarny założyciel rodu, został nawet przez orła wychowany. U chrześcijan superptak towarzyszył Chrystusowi i przede wszystkim Janowi Ewangeliście. To dlatego sylwetki orłów tak często pojawiają się w zdobieniach starych ambon i ołtarzy oraz na kościelnych malowidłach. Tak jak Bóg i Kościół, orzeł przenikał wzrokiem cały świat, który leżał u jego stóp. Nic dziwnego, że stał się ulubionym emblematem dumnych rodów, bogatych miast i niezwyciężonych (do czasu) armii: perskiej, rzymskiej, austro-węgierskiej, napoleońskiej, carskiej, hitlerowskiej. Tak jest! Punktem wyjścia do tego, co my pogardliwie nazywaliśmy gapą, czyli wroną, był nieskazitelny orzeł przedni. Dzisiaj najsilniejszej armii świata też patronuje

orzeł – bielik amerykański, narodowy ptak Stanów Zjednoczonych. Naturalnie pierwszym kandydatem był przedni, ale po dłuższej debacie postanowiono sięgnąć po kogoś świeżego, a przede wszystkim całkowicie i wyłącznie amerykańskiego. Benjamin Franklin lobbował na rzecz indyka, nikogo chyba jednak nie zaskoczę, jak powiem, że przytłaczająca większość ojców współzałożycieli przyszłego mocarstwa była przeciwna.

Powszechnie się przyjmuje, że ptakiem, którego zobaczył Lech, był bielik. Kłopot w tym, że postać tak dobrze nam znana z urzędowych tarcz, flag, złotówek i pieczęci jest mocno wystylizowana i tak daleko odleciała od pierwowzoru, że trudno jednoznacznie określić jej pochodzenie. Nie brakuje takich, którzy mówią, że zaczynem naszego godła był dużo mniejszy, ale lekki i zwinny orlik krzykliwy. Orliki garnęły się do słowiańskich osad wabione dużą liczbą gryzoni, a nasi przodkowie chętnie je oswajali. Może więc to nie majestatyczny bielik, ale wszędobylski orlik był ukochanym ptakiem Polan? Inaczej niż u złotodziobego goliata dziób orlika jest w połowie ciemny, za to zdarzają się ptaki o płowym upierzeniu, które w blasku słońca mogą wydawać się białe. Z drugiej strony wiadomo, że charakterystyczna dla naszego godła kombinacja bieli, czerwieni i żółci (złota) jest zabiegiem estetyczno-symbolicznym i nie warto się do niej przywiązywać w genetycznych dociekaniach. Ale orliki oraz nasz ptak urzędowy mają jeden wspólny i dobrze widoczny szczegół, którego nie mają

bieliki – pióra na skokach, czyli nogach. Ważna cecha diagnostyczna dla wszystkich tak zwanych orłów właściwych, w tym *najwłaściwszego* z nich – przedniego. Nie zobaczymy ich też u czwartego kandydata na postać z naszego godła, rybołowa, który ma za to lekko zmierzwione pióra z tyłu głowy (jak te spod herbowej korony), śnieżnobiały przód oraz zwyczaj latania na lekko ugiętych skrzydłach pokrytych od spodu symetrycznym wzorem, co już na starcie przydaje mu oficjalnego sznytu. Nie można wykluczyć, że ekscentryczną sylwetkę orła białego zainspirowały po trosze wszystkie przywołane tu ptaki. Hipoteza tym bardziej prawdopodobna, że cała czwórka musiała być kiedyś powszechnym widokiem w puszczańskiej krainie Piastów, pełnej dzikich rzek i jezior. Ptasia heraldyka jest równie zawiła co ptasia genetyka, a sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, odkąd nasi akademicy zakazali nazywania bielika orłem. Ciekawe, że nikt na świecie nie odważył się na takie posunięcie. Nikt poza nami, ma się rozumieć. (Więcej na ten temat w rozdziale *Czy bielik może być orłem?*)

Orły czy nie, wszystkie ptaki powinniśmy traktować jak herbowe. Jeśli zaś chodzi o bielika, z dobrą wolą i dużym prawdopodobieństwem przyjmujemy, że to on jest naszym narodowym znakiem (porównajcie te profile!). I możemy być z niego dumni, bo to największy europejski i czwarty na świecie ptak drapieżny[57]. Samice, które zwykle przerastają swoich

partnerów, mogą osiągać wagę siedmiu kilogramów (rekordzistka ze Szkocji ważyła siedem i pół) oraz rozkładać skrzydła na szerokość ponad dwóch i pół metra. To naprawdę dużo jak na szponiaste, które stając przed ewolucyjnym wyborem pomiędzy masą a zwrotnością, najczęściej wybierają to drugie. Dorosłe nie mają wrogów naturalnych i są na szczycie łańcucha pokarmowego. Najlepiej widać to w czasie biesiady na jakiejś zimowej padlinie, która nie tylko dla nich jest jak manna z nieba. Bieliki ustępują wówczas jedynie wilkom, a i to niechętnie.

Bielce, jak mawiali staropolanie, w wielu językach nazywane są orłami morskimi. Tyle też znaczy łacińskie *Haliaeetus*, po którym następuje *albicilla* – z białym ogonem. Nie żeby były ortodoksyjnie związane z morzem, ale każdy, kto miał okazję im się przyjrzeć, rozumie, że epitety jeziorne lub rzeczne w ich przypadku brzmiałyby jakoś niewystarczająco. Wielkie jeziora, rozległe rzeczne doliny i rozlewiska, morskie klify, zatoki, zalewy. Nad nimi bieliki wykonują swoje mrożące krew w żyłach pokazy godowe (i już wiemy, skąd się wzięło „wywinąć orła"), budują gniazda, zimują, zbierają się na noclegowiska, polują… Przede wszystkim na ryby, które wyciągają spod tafli wody, nie przerywając lotu i wyjątkowo tylko za nimi nurkując. Sporo przy tym ryzykują, bo ich pióra nie mają natłuszczenia, takiego jak pióra rybołowów, specjalistów od zanurzenia. Bieliki prędzej zobaczymy, jak brodzą po płyciznach z podwiniętymi *nogawicami*

– a nuż coś utknęło na mieliźnie[58]? Lubią duże karpie, leszcze, szczupaki. Żywe, półżywe albo już całkowicie martwe. Lubią też mieszkające nad wodą ptaki, ale zdrowa, szybka gęś lub jeszcze szybsza kaczka to dla masywnego bielika trudny cel. Polują więc na nie z zasadzki, nadlatują pod słońce albo rozciągnięte jak struna prześlizgują się tuż nad falami, z którymi zlewa się ich sylwetka, co zapewnia im zaskakująco skuteczny kamuflaż. Bieliki mają też sposób na szukające ratunku pod wodą ptaki nurkujące: nury, perkozy, niektóre kaczki (morskie i grążyce), a także łyski. Zmuszają je do nurkowania tak długo i tak często, aż te nie mają już sił na kolejne zanurzenie… Bez skrupułów łapią przejściowo nielotne, pierzące się ptaki oraz porywają ich młodzież. Te z dziećmi na utrzymaniu potrafią latać do znanych sobie kolonii mew lub kormoranów jak do supermarketu, co w końcu nie pozostaje bez wpływu na kolonię, szczególnie jeśli zaopatruje się w niej kilka orlich rodzin. (Statystyczny bielik zjada dziennie 500–600 gramów mięsa). Zimą, gdy wiele wód zamarza, birkuty (jeszcze jedna nieużywana już nazwa) przenoszą się do wielkich centrów migracyjnych, gdzie zatrzymują się stada zmęczonych, często osłabionych głodem i chłodem ptaków. Tam zdarza im się nawet zapolować na prawdopodobnie schorowane albo… chwilowo przymarznięte do lodu łabędzie. Bieliki systematycznie łowią norkę amerykańską (chwała im za to) i obok orłów przednich są jedynymi szponiastymi, które wypuszczają się czasami na lisy. Nad morzem polują na małe foki. Jednego z nich

tak bardzo kiedyś poniosło, że rzucił się do wody za trochę większą i było to jego ostatnie polowanie. Wielkie ptaki drapieżne mają wielkie, muskularne stopy zakończone kilkucentymetrowej długości szponami. Te szpony oraz palce, które zaciskają się z siłą kilkanaście razy większą od siły, z jaką zaciska się dłoń dorosłego mężczyzny, to ich główne narzędzia zabijania. Czasami o wiele łatwiej jest je zapuścić w czyjąś skórę i mięśnie niż stamtąd wyjąć.

Bieliki mają w swoim jadłospisie łącznie ponad 300 gatunków – od krewetek, ważek i ryjówek po żubry i wyrzucone na brzeg wieloryby. Oczywiście żubrów same nie upolowały, wielorybów też nie. Zima to czas, kiedy mało wybredne, ale zaradne drapieżniki jeszcze częściej sięgają po padlinę. Nic martwego nie umknie ich uwadze – nawet ludzie – i nic się nie zmarnuje. Do tego kiedy tylko mogą, zastraszają, wymuszają i kradną to, co inni już złowili. Zima to też czas ciekawych aliansów. Na głód i mróz najlepsza jest współpraca – choćby z krukami, a nawet wronami. Te bystre ptaszyska są bardziej mobilne, a gdy zobaczą dużą ofiarę, której same nie mogą otworzyć, na przykład martwego dzika lub jelenia, wołają bieliki. Uzbrojone w potężne dzioby i pazury łamignaty (kolejne zapomniane, ale jakże obrazowe imię) tną nawet najgrubszego zwierza. Jednego lub dwa kruki można ogarnąć, ale gdy jest ich więcej, sytuacja zwykle wymyka się spod kontroli, a spodziewane korzyści ze współpracy mogą być trudne

do osiągnięcia. Najbardziej irytujące jest to ciąganie za ogon i skrzydła… Góra zimowej padliny, zgromadzenia wędrownych ptaków albo niskie, jesienne wody, gdzie łatwo o dużą rybę, stwarzają najlepsze okazje, żeby obserwować bieliki, które większość czasu spędzają, nie robiąc nic… Przesiadują na drzewach. W dobrych miejscach (w pasie pojezierzy, wzdłuż dolnej Odry, na Stawach Milickich, w ujściu Warty) można wtedy spotkać po kilkanaście na jednym!

Bieliki należą do nieczęstej kategorii mięsożerców niemal towarzyskich. Chociaż zdarza im się polować zespołowo, przyczajony w nich indywidualizm drapieżnika nigdy nie chowa pazurów zbyt głęboko. W ich świecie konkurencja i rywalizacja są stale obecne. Tak jak na afrykańskiej sawannie nieustającą wojnę prowadzą ze sobą lwy i hieny, tak w naszych lasach żaden rozsądny bielik nie zostawi swojego gniazda z jajami lub pisklętami bez nadzoru. (To między innymi tłumaczy, dlaczego „słaba” płeć u drapieżnych jest taka duża i silna). Wystarczy chwila, aby jaja zostały rozbite, a bezbronne młode wyrzucone z gniazda lub zabite na miejscu. Nawet nie zjedzone. Chodzi o szybkie i mniej ryzykowne wyeliminowanie konkurencji oraz zapewnienie sobie i własnym dzieciom bezpieczeństwa. Istnieje niemałe prawdopodobieństwo, że straumatyzowani niedoszli rodzice po stracie lęgu opuszczą okolicę. W przypadku terytorialnych bielików to się nie stanie, ale na miejscu zostaną

tylko dwa głodne dzioby, a nie dwa plus dwa. Oczywiście bieliki robią to samo innym ptakom. Bezpiecznie w lesie nie mogą się czuć nawet gniazdujące tam bociany czarne, które przecież nie są wegetarianami i potencjalnie konkurują o tę samą rybę. Im mniej zróżnicowane i zasobne siedliska (a takie teraz dominują), tym większa w nich konkurencja i tym bardziej bezwzględni stają się konkurujący. Życie drapieżnika wbrew naszym wyobrażeniom o królu zwierząt jest bardzo trudne. Nie wierzycie? A jednak statystyczna roślino- lub owadożerna ofiara żyje dłużej niż jej mięsożerny drapieżnik. Nikt nie odda swojego życia bez walki. Zasadzka i zaskoczenie to podstawa, ale teren bywa nieprzewidywalny. Lecą pióra, zrywają się mięśnie, wypadają stawy, łamią kości. Jakby tego było mało, spadając z impetem na biegnącego w trawie zająca (siła uderzenia ma być elementem nokautujacym ofiarę), możesz niechcący wpaść na otwarte ostrza potłuczonych butelek, które jakiś głupek tam podrzucił, rolnicze noże albo drut kolczasty… To nie przypadek, że tak dużo drapieżnych, szczególnie młodocianych, trafia do ośrodków rehabilitacji. Nawet niewielkie obrażenia mogą bardzo ograniczyć ich sukces łowiecki. Wkrótce głód zagląda w oczy, a z nim błędne koło: nie jesz – słabniesz – tracisz formę – nie polujesz – nie jesz… Do tego nikt cię nie lubi. Gdziekolwiek się pojawisz, nawet dla relaksu (jeśli jest inaczej, zwykle poruszasz się w ukryciu), wszyscy się jednoczą, żeby cię przepędzić albo chociaż ci dokuczyć. Nieraz za lecącym bielikiem ciągnie się cały orszak mniejszych

lub większych dręczycieli. Czasami bielik się odwija i ku zaskoczeniu wymyślających mu wron lub mew któraś z nich ginie! W podobnych okolicznościach życie stracił już niejeden myszołów, a nawet jastrząb. Mama i tata bielikowie mają swoje latorośle na (orlim) oku jeszcze długie miesiące po tym, jak te opuszczą gniazdo, i uczą je wszystkiego, co sami wiedzą i potrafią. Nic dziwnego, że nie decydują się na dzieci każdego roku, za to ich córki i synowie mogą liczyć na taryfę ulgową ze strony rodziców, nawet jeśli nie widzieli ich od lat. I dobrze, bo wielkie ptaki nie mają łatwo. Statystyki przeżywalności dorosłych birkutów, czyli takich, które ukończyły pięć lat, to tylko 70 procent. Mimo to niejeden z nich będzie świętować 30. urodziny albo i kolejne.

Bielik był świętym ptakiem Celtów, Franków i Saksonów. Szkoccy Gaelowie nazywali go *iolaire sùil na grèine*, co można przetłumaczyć jako „orzeł o oczach słońcem oświetlonych". Gdy bielik umierał, chowali go z najwyższą czcią. Choć nie wszyscy darzyli je takim samym szacunkiem, morskie orły były powszechnym widokiem w całej Europie aż do drugiej połowy XVIII wieku. To wtedy ludzie zaczęli opowiadać, że bieliki zjadają należne im ryby i ptaki, porywają jagnięta, zabijają krowy, cielęta, a nawet ludzi. Powtarzali to tak długo, że w końcu sami w to uwierzyli – i wypowiedzieli im wojnę, nierzadko dekretując ją urzędową pieczęcią z ich wizerunkiem. Sidła, trucizny, strzelby, armia myśliwych i ochotników. Za każdego ptaka wypłacano

nagrodę. Pewien rumuński łowczy przeszedł do historii, zabiwszy ponad 400. Udało się! W połowie XX wieku poza Rosją szczątkowe populacje przetrwały tylko w najbardziej odludnych rejonach Skandynawii, we wschodnich Niemczech i w Polsce, gdzie żyło nie więcej niż 60 par. (Pojedyncze ptaki mogły się jeszcze ukrywać w Delcie Dunaju oraz kilku innych, równie niedostępnych miejscach). Polska była jednym z pierwszych krajów, w których doszło do opamiętania i zamiast zabijać, zaczęliśmy bieliki chronić. (W tamtych czasach takie rzeczy się jeszcze u nas zdarzały. Powstawały nawet parki narodowe i rezerwaty). Obecnie na naszych ziemiach gniazduje 1000–1400 par. Po Norwegii i Rosji jesteśmy trzecią najważniejszą ostoją bielików. Za nami są Niemcy, Szwecja i Finlandia. Szacuje się, że w całym zasięgu, od wybrzeża Islandii i Grenlandii na zachodzie po Hokkaido i Czukotkę na wschodzie, żyje 50 tysięcy birkutów (i miliard ludzi). Po prawie wieku nieobecności orły morskie powracają na Wyspy Brytyjskie, gdzie ostatnia para próbowała osiedlić się na wyspie Skye w roku 1916, a w 1975 na pobliskiej Rum rozpoczęto projekt reintrodukcji. Na pierwsze jaja trzeba było czekać 8 lat, na pierwszego młodziaka opuszczającego gniazdo – 10. Przez cały czas, aż do roku 1998, u zachodnich wybrzeży Szkocji wypuszczano kolejne młode ptaki przywożone z Norwegii. Łącznie 140 plus 85, które w latach 2007–2013 uwolniono na wschodnim wybrzeżu. Dzisiaj w Szkocji znowu żyje co najmniej 100 par bielików, które okazały się niezłym biznesem. Na Skye każdego

roku generują prawie dwa i pół miliona funtów, a po sąsiedzku, na Mull, ponad pięć milionów oraz pracę dla 110 osób. Podobny projekt w 2007 roku rozpoczęli Irlandczycy, wypuszczając w ciągu kolejnych czterech lat łącznie 100 młodych bielików. Niestety większość z nich została otruta lub zastrzelona. Garstce udało się przetrwać, a nawet połączyć w pary, z których pierwsza założyła gniazdo w 2012 roku. Dzisiaj w Irlandii żyje 8–10 par, stale zasilanych ptakami z Norwegii, co budzi coraz większe kontrowersje, skoro los większości z nich wydaje się przesądzony. Anglicy w międzyczasie poszli o krok dalej i rozpoczęli wsiedlanie łamignatów wyspie White na kanale La Manche, z nadzieją, że ptaki rozpoczną stamtąd rekolonizację południowego wybrzeża. Te chyba od razu wzięły się do roboty, bo Culvera, jednego z wypuszczonych tam ptaków, kilka dni później widziano, jak w swoim bielikowym majestacie przesuwał się nad centralnym Londynem, kierując się na południowy wschód. Holendrzy jedynie zadbali o to, aby nic złego nie stało się ich rezerwatom i parkom narodowym – i cierpliwie czekali. W 2006 roku para bielików osiedliła się w słynnym Oostvaardersplassen. Jakimś cudem wielkie ptaki nauczyły się nawigować w zatłoczonych po brzegi Niderlandach, gdzie swoje gniazda ma już 15 par. Bieliki powracają też w inne rejony i choć w niektórych krajach są ciągle nielegalnie zabijane (u nas każdego roku znajdowanych jest trzydzieści kilka zastrzelonych lub otrutych)[59], być może jeszcze większym zagrożeniem jest dla nich utrata przestrzeni życiowej,

w tym zagrabianie i osuszanie mokradeł, zabudowa brzegów, zanieczyszczenie wód. Tymczasem jedna para potrzebuje rewiru o powierzchni średnio kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych. Oczywiście z dostępem do zasobnej wody oraz silnych, dojrzałych drzew, bo tylko takie mogą utrzymać potężne, wielopokoleniowe gniazda. Najlepiej kilka w jednym rewirze, używanych na zmianę z sezonu na sezon.

Bezpośrednio lub pośrednio bielikom zagrażają wyłącznie ludzie. I raz tylko pewien bielik zagroził człowiekowi. Idę zresztą o zakład, że to była bieliczyca. Jedyny udokumentowany przypadek, gdy drapieżny ptak porwał dziecko. 5 czerwca 1932 roku czteroletnia Svahild Hansen bawiła się na podwórku rodzinnej farmy w Norwegii, gdy nadleciał potężny ptak i porwał ją do oddalonego o pół kilometra gniazda. Ale że było ono położone w górach, 50 merów ponad farmą, drapieżnik nie zdołał donieść tam zapewne cięższej od siebie ofiary i upuścił ją 15 metrów przed celem. I to kwestia wagi stała się głównym powodem, dla którego początkowo nie dawano wiary tej historii, co jednak zmieniły wyniki dochodzenia przeprowadzonego przez biologa Hartviga Huitfeldta-Kaasa. Dziewczynka wylądowała wśród miękkich mchów, jakie nierzadko ponad metrowej grubości kożuchem wyścielają dno borealnych lasów. W takim właśnie miejscu odnaleziono ją szczęśliwie bez żadnych poważnych obrażeń – ani na ciele, ani na duszy. Svahild przeżyła 82 lata i podobno do

końca swoich dni trzymała kwiecistą sukienkę z dziurami po szponach morskiej orlicy.

Gdzie patrzeć?

Najlepiej w pobliżu dużej wody, ale przelotne bieliki pojawiają się czasami w najbardziej zaskakujących miejscach, ot, choćby wysoko ponad centrum ruchliwego miasta.

Czego wyglądać?

Bardzo dużego ptaka drapieżnego o potężnych, równo szerokich skrzydłach, z białym ogonem, jasnopłowym kapturem i wielkim, żółtym dziobem. Proste? Byłoby, gdyby nie fakt, że tak wyglądają tylko dorosłe bieliki, czyli te, które mają co najmniej cztery, pięć lat. U młodszych możemy się spodziewać różnych szat przejściowych, a bardzo młode mogą być mniej lub bardziej pstrokate albo jednolicie ciemne, niemal czekoladowe, o tzw. różnicach indywidualnych dotyczących również masy i postury nawet nie wspominając. Ktoś kiedyś porównał szybującego bielika

do widoku wrót stodoły w powietrzu… Może to będzie jakąś wskazówką?

Czego nasłuchiwać?

Głośnego, wielokrotnie powtarzanego „Kja! Kja! Kja!”, wołanego przede wszystkim wiosną i z własnego terytorium, często w duetach. Mocne! Nie ujdzie waszym uszom.

Kiedy?

Cały rok, najlepiej jesienią i zimą.

---

[54] O ile tacy w ogóle istnieli, bo coraz więcej wskazuje na to, że tożsamość tajemniczego plemienia może być utrwalonym efektem historycznego głuchego telefonu.

[55] Orły oraz przypominające je postaci zobaczymy na państwowych insygniach m.in. Armenii, Egiptu, Filipin, Ghany, Indonezji, Iraku, Islandii, Jemenu, Jordanii, Kazachstanu, Kirgizji, Libii, Meksyku, Namibii, Nigerii, Palestyny, Panamy, Sudanu Południowego, Zimbabwe, Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Ale nie tylko orły. Spośród 195 krajów uznawanych przez ONZ połowa ma w swoich godłach ptaki najróżniejszych gatunków, od kolibrów po strusie.

[56] Chwarena (*Xvârenah*) – wielkość, chwała, sława, charyzma, a także bogactwo, życiowe szczęście lub wyróżniająca magiczna siła, która daje przewagę nad innymi lub światem. Bogowie ukrywali chwarenę w głębinach wiecznie wzburzonego morza Wourukasza i obdarowywali nią wybrańców – pojedynczych ludzi (przeważnie królów i narodowych bohaterów, czasami zwykłych śmiertelników) albo całe wsie i miasta, rody i narody. Uwaga, chwarena mogła zostać też odebrana.

[57] Ustępuje tylko swojemu kuzynowi, biało-czarnemu bielikowi olbrzymiemu z północno-wschodnich krańców Rosji (jego nazwa mówi sama za siebie), południowoamerykańskiej harpii królewskiej oraz małpożerowi, endemicie z Filipin, którego na wniosek tego kraju powszechnie nazywa się dzisiaj orłem filipińskim. Cała trójka plasuje się bardzo wysoko w jeszcze jednej kategorii – najrzadszych i najbardziej zagrożonych. W mojej opinii są to też najbardziej spektakularne z ptaków drapieżnych, które pozostawiają niezatarte wrażenie nie tylko z powodu swojej wielkości, ale też sukni, ozdób i sposobu bycia. W Europie od bielików większe są tylko sępy (płowy i kasztanowaty) oraz orłosęp, przy czym te pierwsze polują aktywnie tylko wyjątkowo, a te drugie

rzadko i raczej zrzucają swoje ofiary ze skał lub spuszczają z powietrza, niż uśmiercają je dziobem czy szponami.

[58] Wbrew dawnym wierzeniom to nie orły przednie, ale bieliki, a przede wszystkim rybołowy regularnie spadają z nieba do wody jak „kule ognia". Przednie też czasami spadają, ale nie do wody – za to z prędkością do 322 kilometrów na godzinę. Ich dotychczasowy rekord prędkości w locie poziomym to 129 kilometrów na godzinę.

[59] Tak samo giną też rybołowy i orły przednie, których krajowa populacja szacowana jest na około 30 par (dla obydwu gatunków niezależnie). Za martwymi ptakami – również bielikami – stoją właściciele stawów rybnych, widzący w nich swoją konkurencję nieetyczni myśliwi i handlarze trofeami.

Czy bielik może być orłem?

– Panie Jacku, to bielik nie jest orłem?! – usłyszałem kilka lat temu w telefonie lekko zadyszanego pana Zbyszka, szefa marketingu dużej korporacji.

– Genetycznie rzecz biorąc, już nie, teraz jest orłanem… Ale proszę się nie martwić – ciągnąłem, udając rozbawionego, żeby nie dokładać panu Zbyszkowi – dla bielików ani dla naszego projektu nie ma to żadnego znaczenia…

Tylko czy na pewno?

Na początku lat 2000. genetyka molekularna zyskała dostęp do informacji zaszyfrowanej w DNA i przebojem weszła do nauk przyrodniczych. Szybko przybywało genomów, które można było ze sobą porównywać i śledzić ich wspólną historię[60]. Przed biologami ewolucyjnymi otworzyły się możliwości, o jakich Darwinowi i Wallace'owi nie mogło się śnić. Wszyscy liczyli na to, że uda się w końcu rozstrzygnąć ciągnące się od lat spory o pokrewieństwo i wzajemne powiązania niektórych gatunków czy podgatunków. Nikt jednak się nie spodziewał, że zmian będzie tak dużo i że będą tak głębokie, a zamiast odpowiedzi przyniosą więcej pytań. Z laboratoriów zaczęły dochodzić sensacyjne informacje, jak na

przykład ta, że sokołom jest dużo bliżej – bardzo blisko! – do papug niż do orłów i jastrzębi, z którymi genetycznie nie mają nic wspólnego. Najbliższymi kuzynami czapli są pelikany, całkowicie naziemne dropie spokrewnione są z niemal całkowicie nadrzewnymi kukułkami i bajecznie kolorowymi turako! Ci, których uważaliśmy za ewolucyjnych braci, w najlepszym razie okazują się kuzynami w siódmej wodzie, a prawdziwi krewni żyją na jakimś odległym kontynencie albo są nimi niewykazujący żadnych zewnętrznych podobieństw sąsiedzi. Korekty dotyczyły tak samo gatunków i podgatunków, jak rodzin, rodzajów i rzędów. Potrzeba dopasowania i aktualizacji naukowych indeksów w następstwie takich odkryć jest oczywista[61]. Jednak upieranie się, aby równie precyzyjnie odzwierciedlało je nazewnictwo popularne, tradycyjnie umowne, osadzone w kulturze i historii języka oraz ludzi, którzy się nim porozumiewają, to już całkiem inna sprawa. Dlaczego nie pozostawić tego naturalnym procesom? Różne zwierzęta i rośliny (zjawiska i przedmioty) już nieraz zmieniały swoje nazwy na przestrzeni czasu. Urzędowo narzucane zmiany w kulturze i języku społeczeństwa, które tak bardzo odsunęło się od swoich zwierząt i Przyrody jak nasze, może przynieść więcej szkody niż pożytku. Znajomy naukowiec, który nie podzielał moich obaw, zapytał kiedyś, parafrazując Szekspira, czy róża pachniałaby inaczej, gdybyśmy przestali nazywać ją różą… Tak. A co gorsza, stracilibyśmy cały zasób skojarzeń i odniesień. Tych literackich i romantycznych, ale też powszednich i praktycznych.

O zamieszaniu w naszym życiu i zbiedniałych ogrodach nawet nie wspominając.

Z tego, co wiem, nikt inny tego nie zrobił, to znaczy nie podyktował całkowicie od nowa wymyślonych nazw, traktowano te istniejące jako ważną część swojej kultury. O tym, dlaczego zaryzykowaliśmy inną drogę, rozmawiałem z niektórymi z osób stojących za zmienionymi indeksami[62]. Ich propozycje w większości przygotowywał zespół skupiony wokół Uniwersytetu Jagiellońskiego, a zatwierdzała Polska Komisja Faunistyczna. Moi rozmówcy powiedzieli mi, że w przypadku ptaków Komisja czuwała nad tym, aby zanadto nie rewolucjonizować nazw gatunków popularnych (i chwała jej za to!), ale z jakiegoś powodu wzięła na celownik te dwuczłonowe[63]. W nauce standardem uczynił je Mistrz Linneusz, ojciec systematyki, przeszło dwa i pół wieku temu. Przed nim za nazwy służyły akademikom krótkie, łacińskie zdania opisujące charakterystyczne cechy lub zachowania danego gatunku, na przykład *Phasianus rufus, capîte caeruleo*, czerwony bażant z niebieską głową. (Linneusz musiał być z siebie bardzo zadowolony, bo mawiał, że to, co Bóg stworzył, on uporządkował). Ja lubię dwuczłonowe, binominalne nazewnictwo za jego logiczną, intuicyjną strukturę, która dodatkowo nawiązuje do systemu, w jakim my, ludzie, sami siebie nazywamy. W formalnej nomenklaturze naukowej, podobnie jak w urzędniczej, zawsze zaczynamy od nazwiska, które łączy nas z

rodziną czy jakąś większą grupą – w systematyce jest to przeważnie rodzaj. Po nim następuje indywidualne, wyróżniające nas imię. U Linneusza to tzw. epitet naukowy. Kowalski Janek, Sikora Bogatka, Bernikla Rdzawoszyja. Czyli Kowalski Janek (z gatunku *Homo sapiens*), *Parus major*, *Branta ruficollis*. I od razu świat staje się bardziej zrozumiały[64]. Oczywiście zdarzają się gwiazdy, które nazwisk nie potrzebują, bo wszyscy je znają i wiedzą, o kogo chodzi. Taka Doda na przykład, Zeus albo Kruk. Oni mogą posługiwać się mononimami. Może lepiej jednak, żeby decydowały o tym język i obyczaj – przynajmniej tam, gdzie nie stoi za tym potężna machina promocyjna lub wyjątkowa osobowość sceniczna. Trudno też sobie wyobrazić, żeby udało się zastąpić wszystkie dwuczłonowe nazwy, więc po co w ogóle zaczynać? Kłopotliwe jest to, że niektóre z zatwierdzonych ostatnio mononimów są jednocześnie nazwami gatunkowymi i rodzajowymi, czyli oznaczają i konkretny gatunek, i cały, nierzadko pokaźny klaster gatunków. Na przykład bażant, żuraw czy myszołów. Efekt jest taki, że w szerszym kontekście nie da się o nich rozmawiać czy pisać bez ryzyka nieporozumienia. Prędzej czy później musimy sięgnąć po drugi, brakujący człon i albo będzie to jakieś dookreślenie, które sami naprędce wymyślimy (czyli powracamy do czasów sprzed Linneusza, tylko że po polsku), albo przeprosimy się z *zakazanym* epitetem gatunkowym. (W przypadku wspomnianych gatunków bażant był obrożny, żuraw popielaty, a myszołów zwyczajny). Równie problematyczne

mogą okazać się nazwy, które pozbawione zostały części rodzajowej – *nazwiska*. Przekonamy się o tym, gdy na przykład poszukując w sieci informacji na temat drozda śpiewaka, wpiszemy w wyszukiwarce internetowej hasło „śpiewak" bez „drozd" – albo „drozd" bez „śpiewak".

Niektóre z wprowadzanych zmian wydają się mało szczęśliwe. Na przykład kilkanaście lat temu genetycy podzielili (pozostałe) gęsi zbożowe na dwa gatunki – *Anser serrirostris* i *Anser fabalis*, co dużo później ostatecznie przypieczętował Międzynarodowy Komitet Ornitologiczny[65]. Pierwszą gęś, jedną z najliczniejszych (cała światowa populacja szacowana jest co najmniej na 600 tysięcy ptaków), do której widoku i głosu jesteśmy tak bardzo przyzwyczajeni, nazwano u nas całkowicie od nowa gęsią tundrową. Przy tej drugiej, jednej z najrzadszych i ciągle zmniejszającej swoją liczebność (dzisiaj to około 50 tysięcy ptaków), pozostawiono starą nazwę gęś zbożowa, kierując się łacińskim *fabalis*. Ale słowo *faba* oznacza bób, a nie zboże, może więc warto było się uwolnić od jego historycznego ciążenia. O efektach opowiadał mi mój dobry kolega, doktor ornitologii i być może najlepszy gęsiarz w kraju. Ostatniej wiosny przez przypadek trafił nad Biebrzą na przewodnika, który pokazywał swojej grupie „gęsi zbożowe". Zaintrygowany sam zaczął z uwagą przyglądać się stadom, które zatrzymały się tam na przelotach, i wśród ośmiu tysięcy gęsi (tundrowych i białoczelnych) wypatrzył zaledwie

jedną zbożową. Duża grupa turystów wróciła za to do domu z myślą, że biebrzańskie rozlewiska zbożową stoją. To nie wszystko. Ponieważ u nas każdy sobie rzepkę skrobie, zagrożona wyginięciem zbożówka jest ciągle na krajowej liście gatunków łownych. Poza pechową trzynastką (listą ptaków łownych) jest jak na razie tundrowa – choć nie sądzę, żeby robiło to jakąś różnicę myśliwym. Nam tymczasem pozostaje zmienić utrwaloną od pokoleń wiedzę: te głośne klucze ciągnące nad naszymi głowami każdej wiosny i jesieni to już nie gęsi zbożowe, ale tundrowe. Jakbyśmy nie mieli pilniejszych rzeczy do roboty… Swoją drogą *tundrowa* to mało różnicujący epitet, bo wszystkie gęsi lęgnące się na Dalekiej Północy (większość gatunków) to gęsi „tundrowe" – z wyjątkiem obecnej zbożowej, która jako jedyna osiedla się w lasach, a konkretnie w tajdze. Stąd w niektórych językach nazwano ją gęsią tajgową, dzięki czemu od razu wiadomo, w jakim krajobrazie umieścić tę postawną, wyjątkową pod wieloma względami gęś.

Ojcowie naszej ornitologii mieli przyjazny zwyczaj przytaczania obok nazw oficjalnych wszystkich innych, które były w użyciu, nawet tych regionalnych i ludowych, dzięki czemu o wiele łatwiej było się odnaleźć w ich opisach. We współczesnych przewodnikach próżno szukać takiej różnorodności. Co gorsza, jeśli ktoś sięgnie po książkę wydaną przed rokiem 2010, wielu gatunków tam nie znajdzie. Indeks nazw łacińskich nam nie pomoże, bo te przecież

zmieniły się jako pierwsze. O kultowych filmach Davida Attenborough, których polskie wersje opracowano kilka czy kilkanaście lat temu, też powinniśmy zapomnieć. Straciły sens tak samo jak książki, encyklopedie i słowniki. My straciliśmy ciągłość opowieści o ptakach i Przyrodzie w ogóle. Nawet niektórzy bohaterowie literatury i kina przestali istnieć, a w najlepszym razie są kimś zupełnie innym. Na przykład upiorne trio Shenzi, Banzai i Ed z *Króla Lwa* to już nie hieny, lecz krokuty! I to ci, którzy interesują się ssakami lub będą poszukiwać informacji o nich, mogą być narażeni na największe straty. Zmian jest bardzo dużo, a niektóre nowe nazwy – trzeba to uczciwie powiedzieć – nie dają szans tak zwanym normalnym ludziom. Oto garść przykładów. Świnka morska oficjalnie już nie istnieje – zastąpiła ją kawia. Jej ziomek, wilk grzywiasty, został… pampasowcem grzywiastym. Cztery różne gatunki popularnych nawet u nas uchatek albo lwów morskich przemianowano na uszankę kalifornijską, uchatka grzywiastego, otarkę australijską i maoryszankę uszatą. Lampart morski nazywa się teraz amfitrytą lamparcią, foka wąsata – fokowąsem brodatym, grenlandzka – lodofoką grenlandzką, a foka Weddella – weddelką arktyczną. Nie szkodzi, że żyje wokół Antarktydy, a nie w Arktyce. Nasza wiewiórka, *Sciurus vulgaris*, szczęśliwie należy do tzw. wiewiórek właściwych (rodzaj *Sciurus*), więc wciąż jest wiewiórką, ale niektóre jej egzotyczne kuzynki z niemałej rodziny wiewiórkowatych nazywają się teraz m.in. sosnowiórkami,

mikrowiórkami, górowiórkami, afrowiórkami, słońcowiórkami, kistkowcami, graniówkami… Wszystko dlatego, że nasi systematycy postawili sobie za punkt honoru, by każdy rodzaj w ramach takiej czy innej rodziny miał swoją odrębną nazwę, wyrażoną w pierwszym jej członie – np. mikrowiórka czarnoucha, *Nannosciurus melanotis*. Dobrze zauważyliście – w przypadku ssaków wracamy pełną parą do nazewnictwa dwuczłonowego. Dlatego wśród nietoperzy pojawiły się zjawy (rodzaj *Eidolon*), duszki (*Diclidurus*), upiory (*Emballonura*), kieszenniki (*Saccopteryx*), wieczorki (*Nycticeius*), psinki (*Peropteryx*). Z rodziny mangust właściwych wydzielono mangustowce (*Dologale*), mangustki (*Crossarchus*), mangusteczki (*Helogale*), mangustoryjki (*Rhynchogale*). (To samo zadziało się w odniesieniu do ptaków – i tak, na przykład, obok gołębi mamy gołąbki, gołębiki, gołębiaki, gołąbczaki, gołąbeczki, obok kuropatw – góropatwy i kuropatewki, a obok bażantów – kiśćce). Gdzie indziej pojawiły się m.in. nibylisy, pseudokawie, oryginałki, irenki, mikruski, sierściaki albo dla odmiany naguski. Warto też wspomnieć andoniedźwiedzia okularowego, kiedyś niedźwiedzia andyjskiego albo okularowego, czy – uwaga – włosopuklerznika wrzaskliwego, *Chaetophractus vellorosus*, dawniej po prostu pancernika włochatego. Lampart jest już oficjalnie plamisty, a gepard grzywiasty. Obok gazeli mamy gazelki i gazelopki. W Afryce są jeszcze antylopki, antylopowce i pelee, ale całkowicie pozbawiliśmy ją antylop! Jedyny ocalały z nazewniczego pogromu

gatunek to zamieszkująca Indie antylopa indyjska, do niedawna garna. Nasze sarna, żubr, królik czy chomik wszystkie dostały *rozszerzenie* europejski(-a). Za to łoś jest euroazjatycki i nikomu nie przeszkadzało, że żyje również w Ameryce Północnej, dla której zresztą jest tym, czym antylopy dla Afryki. (Pełna lista dostępna jest w wydanej w 2015 roku przez Muzeum i Instytut Zoologii Polskiej Akademii Nauk publikacji *Polskie nazewnictwo ssaków świata*).

Środowiska przyrodnicze i w szczególności ptasiarskie z ortodoksyjnym zapałem podchwytują nowości, radykalnie odcinając się od nazw tradycyjnych. Tylko że w ten sposób dokładamy kolejne cegły do muru, którym odgrodziliśmy się od reszty świata, czyli tych, którzy zawodowo Przyrodą się nie zajmują. Po uwzględnieniu błędu statystycznego będzie to jakieś… 100 procent społeczeństwa. Dla nich to jeszcze jedno utrudnienie, które jeszcze bardziej onieśmiela i frustruje. Jakby ochrona przyrody w Polsce nie była dość trudna. Efekt może być taki, że z naszej zbiorowej świadomości i żywego języka znikną całe zastępy zwierząt (a w dalszej kolejności grzybów i roślin). No bo wyobraź sobie, że trafiasz w sieci na zaproszenie na miejską wyprawę na ptaki. Idziesz! Całe wieki minęły, odkąd ostatni raz zwróciłaś(-eś) uwagę na to, co w gałęziach ćwierka (wiadomo – kariera, dom, dzieci, kredyty, latem Tunezja), ale sikorki to jeszcze z dzieciństwa pamiętasz, jak je z dziadkiem

dokarmialiście… Na miejscu jednak szybko się okazuje, że w zasadzie nie potrafisz odróżnić żadnego gatunku, a sikorek to już dawno nie ma! Zamiast nich są bogatki i modraszki, ewentualnie dużo rzadsze czarnogłówki, sosnówki i czubatki. Niby została sikorka uboga, ale tym razem to ptasiarze przejęli inicjatywę i wolą nazywać ją szarytką… Już dawno nie czułaś(-eś) się tak upokorzona(-ny). Postanawiasz, że więcej nie będziesz się ośmieszać i na żadne ptaki nie pójdziesz. Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale wierz mi – mogło być dużo gorzej. Na początku wycieczki mogłaś(-eś) niechcący palnąć „orzeł bielik"…

Szanowna Komisjo, Szlachetni Akademicy i Zaawansowani w Ptakach (Ssakach i Przyrodzie) – wiem, że kierujecie się najlepszymi intencjami, ale mam prośbę – nie róbcie tego. I jeśli mogę coś doradzić pozostałym: Nie przejmujcie się! Idźcie do lasu, nad rzekę, do parku, choćby ogrodu. Patrzcie, słuchajcie i starajcie się nazywać każdego napotkanego ptaka (zwierzaka, drzewo, krzew czy zioło). To ważne! Bo dopiero gdy go nazwiecie, ten ptak zacznie się materializować. Nabierze bytu i znaczenia. Inaczej natychmiast o nim zapomnicie. Będzie tak, jakbyście go nigdy nie widzieli. I nie martwcie się, jeśli go – jak mawiają zawodowcy – źle oznaczycie. Nazywajcie ptaki, nawet jeśli nie macie stuprocentowej pewności, że imię, które chcecie im przypiąć, jest dobre. Oficjalne i zgodne z ostatnimi zmianami czy tylko to, które pamiętacie z dzieciństwa. Na początek może być Janek i Cecylia

albo Bolek i Lolek. Zapamiętajcie tylko, dlaczego tak je nazwaliście, i wyglądajcie kolejnych, które pasują do tego portretu pamięciowego. Liczy się trening, rozbudzanie ciekawości. Z każdym kolejnym spotkaniem i kolejnym nazwaniem będzie łatwiej. Zanim się obejrzycie, na waszej osobistej lub rodzinnej liście (jeśli jeszcze nie wisi na lodówce, to koniecznie ją tam przypnijcie) będą dziesiątki gatunków, a ich rozpoznawanie stanie się tak naturalne jak wyławianie przyjaciół z ulicznego tłumu. I obiecuję, że gdziekolwiek pójdziecie, ożywać będzie cała przestrzeń wokół was! Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

---

[60] Genomu, czyli kompletnej informacji genetycznej właściwej danemu gatunkowi, nie należy mylić z genotypem, który stanowi kompletną informację genetyczną indywidualnego osobnika takiego czy innego gatunku. Pierwszym organizmem wielokomórkowym, dla którego zsekwencjonowano (rozpoznano i zapisano) genom, był żyjący w glebie milimetrowy nicień *Caenorhabditis elegans*. Był to rok 1998, a już w roku 2003 poznaliśmy genom człowieka. Sekwencjonowanie genomu pierwszego ptaka zakończono w 2004. Był nim kur bankiwa (a właściwie kura, od której pobrano materiał do analiz), *Gallus gallus gallus*, główny przodek kury domowej. Przy okazji wyszło na jaw, że jeszcze 310 milionów lat temu ptaki (a już na pewno kury bankiwa) miały wspólnego przodka ze ssakami.

[61] Oprócz tego, że niektóre rodziny czy gatunki zmieniają swoje położenie na mapach genetycznego pokrewieństwa, wiele zwierząt, które tradycyjnie uważaliśmy za rasy geograficzne lub podgatunki w ramach tego samego gatunku, uznaje się obecnie za niezależne gatunki. Krótko mówiąc, odkąd pełną parą ruszyła genetyka ewolucyjna, stale przybywa nowych gatunków, tyle że nie znajdujemy ich na zagubionych pośród oceanów wyspach, ale w laboratoriach. W przypadku ptaków weryfikacją kolejnych odkryć zajmuje się Międzynarodowy Komitet Ornitologiczny, w skrócie ICO (International Ornithological Committee), który sam ostatnio zmienił nazwę na International Ornithologists' Union, przy czym zachował stary, dobrze rozpoznawalny i utrwalony skrót (!). Wszystkie zatwierdzone zmiany znajdują swoje odzwierciedlenie na systematycznie aktualizowanej Światowej Liście Ptaków (World Bird List). Według stanu na dzisiaj (5 stycznia 2021) jest na niej 10 787 gatunków żyjących (nie wymarłych lub eksterminowanych) – blisko 1500 więcej niż 30 lat temu. Wszystkie te gatunki oraz 20 003 podgatunki pogrupowano w 40 rzędów, 252 rodziny i 2359 rodzajów. Zgodnie z naukową tradycją i międzynarodowymi standardami całe nazewnictwo zapisywane jest po łacinie. Od niedawna dostępny jest również katalog nazw angielskich (które się nie zmieniły). Uwaga, zmian może być więcej, bo nie przerobiono jeszcze wszystkich genomów.

[62] Jak do tej pory nowe nazwy dostały ptaki i ssaki. Kompletne listy można znaleźć w sieci pod tytułami *Polskie nazewnictwo ptaków świata* oraz *Polskie nazewnictwo ssaków świata*. Warto docenić, że przy okazji zmian niektóre taksony doczekały się wreszcie polskich nazw – szkoda jednak, że wielu z nich

nikt nie zapamięta. Obecnie trwają prace nad nowym nazewnictwem grzybów i roślin.

[63] Komisja nie była już taka powściągliwa w przypadku nazw gatunków bardziej egzotycznych i na gałęziach genealogicznego drzewa ptaków przysiadły m.in. takie cudaki jak szczeciobrodacz żółtogardły, drozdodżunglak rdzawobrzuchy czy jaszczurkołap sawannowy, do niedawna zwany jastrzębiem afrykańskim.

[64] Dla odróżnienia nazwy naukowe podgatunków mają dodatkowy epitet i składają się z trzech członów, np. *Parus major corsus*, sikora bogatka korsykańska – podgatunek bogatki zamieszkujący Korsykę oraz zachodnią i południową część Półwyspu Iberyjskiego.

[65] Dziś podział ten uznaje większość autorytetów: *Anser serrirostris* z dwoma podgatunkami *Anser serrirostris serrirostris* (tzw. podgatunek nominatywny, czyli wzorcowy albo bazowy) i *Anser serrirostris rossicus* oraz *Anser fabalis* z trzema podgatunkami *Anser fabalis fabalis*, *Anser fabalis johanseni*, *Anser fabalis middendorffii*. Badania i dyskusje trwają. Według danych opublikowanych w maju 2021 w „Nature" (dział „Heritage") klan zbożówek rozpadł się na dwie linie genetyczne około dwa i pół miliona lat temu, tworząc dwa bliźniacze gatunki, które około 60 tysięcy lat temu znowu zaczęły się schodzić (mieszać genetycznie) – do tego stopnia, że zdaniem autorów nie ma powodu, aby wciąż traktować je jako oddzielne taksony. Wygląda na to, że się spóźniliśmy. Dotyczy to przede wszystkim gęsi z zasięgu północnorosyjskiego i azjatyckiego (podgatunki *johanseni* i *middendorffii*). Bardziej odizolowane europejskie, a konkretnie skandynawskie ptaki w typie

fabalis zachowały większą odrębność genetyczną. Mówimy o „pozostałych” gęsiach, bo już w latach 80. z klanu zbożówek, ładnie kiedyś zwanych również posiewnicami, jako niezależny gatunek wyodrębniono gęś krótkodziobą, *Anser brachyrhynchus*.

Łyska.
Mała, czarna, z charakterem

Łupkowoczarna, ze świecącą, białą łysiną na czole – musiała zostać łyską. Widzimy ją na wodzie, zatem zwykliśmy nazywać kaczką. Tymczasem analizując ewolucyjne więzy krwi, odkryjemy, że jej prawdziwi powinowaci to długonogie żurawie. A że wygląda i zachowuje się jak kaczka? Łączy je to samo środowisko, a to ono rzeźbi wygląd i obyczaje wszystkich organizmów. Kaczość łyski to typowy przykład konwergencji ewolucyjnej, której w Przyrodzie pełno. Gdybyśmy całe życie spędzali na wodzie, też bylibyśmy dużo bardziej podobni do kaczek, łysek albo bobrów. To, co

zdecydowanie różni łyskę od kaczek, to jej niechęć do latania. W zagrożeniu raczej nurkuje (z typowego dla siebie wyskoku na główkę), niż odlatuje. Kiedy musi szybko przemieścić się z punktu A do punktu B, uprawia charakterystyczne biegoloty po wodzie – na lodzie i na lądzie też. Mimo to w czasie migracji niektóre łyski pokonują spore dystanse – najchętniej w wielkich stadach, na wszelki wypadek nocą.

Żadna kaczka nie jest też tak hałaśliwa i pewna siebie. Inaczej niż kaczki i tym bardziej pozostałe chruściele (wodniki, kropiatki, derkacze)[66], łyski żyją na widoku i jedna para wystarczy, żeby na całym stawie było ich pełno. Oboje budują gniazdo, przy czym to on przynosi większość materiału, który ona układa. Zakotwiczona w dnie podstawa na miejskich wodach coraz częściej budowana jest z plastikowych butelek, puszek, folii i innych śmieci, które się tam unoszą. Czasami do gniazda prowadzi mniejszy lub większy pomost. Samiec solidarnie pomaga w wysiadywaniu, a w wolnych chwilach buduje drugie, a czasami i trzecie gniazdo – będą służyły jako miejsca odpoczynku i noclegowiska dla powiększonej rodziny. Łyski rozpoczynają inkubację, zanim w gnieździe pojawi się pełne zniesienie, liczące zwykle 6–10 jaj, co oznacza, że pisklęta klują się asynchronicznie. Gdy ona dosiaduje pozostałe jaja, on już wodzi pierwsze maluchy. Kiedy wszystkie się wylęgną, rodzice dzielą się gromadką albo cała rodzina trzyma się razem. Małe łyski niby są zagniazdownikami, ale w przeciwieństwie do takich

kaczek, na przykład, zaczynają samodzielnie zbierać pokarm, dopiero gdy mają miesiąc. Do tego czasu pływają za rodzicami, żebrząc i kwiląc. Głośno i monotonnie. Od świtu do nocy. Oszaleć można! A są przy tym wyjątkowo szkaradne. Najeżony czarny puch wokół szyi przypomina zbroczoną krwią szczecinę. W kolorze krwi są też łysa głowa i żółto zakończony dziób, a otoczone ciemnymi siniakami oczy wyglądają, jakby je ktoś wydłubał i zostały po nich czarne dziury… I teraz dzieje się rzecz niezwykła. Rodzice ostatecznie karmią kilkoro dzieci i opiekują się nimi, czasami tylko dwójką lub trójką, a resztę ignorują, a nawet odpędzają. Głodne słabną i umierają w samotności. Tłumaczy się to ograniczoną zasobnością rewiru, ale badania nie potwierdzają takiej tezy. Może łyski sprowadzają na świat więcej dzieci z założeniem, że część z nich i tak zginie w zębach drapieżników? Cóż, pewnie by zginęły, gdyby mama i tata nie byli tacy bojowi… Czegoś nie wiemy. W każdym razie jest to zaskakująca strategia, bo po co składać tyle fizjologicznie kosztownych jaj? Wysiadywanie trzech zamiast dziewięciu również oznaczałoby dużo lepszy bilans energetyczny. To nie wszystko. Ci sami rodzice, którzy pozostawili na pewną śmierć kilkoro swoich dzieci, nierzadko decydują się na drugi lęg. Gdy ona zajmuje się inkubacją, on ciągle jeszcze wychowuje dzieci z pierwszego. Wkrótce, już prawie dorosłe, pomogą w opiece nad nowym rodzeństwem.

Niepozorna łyska kryje więcej niespodzianek. Największa to jej temperament. Trudno sobie wyobrazić większego zadziorę na stawie. Wiosną ptaki łączą się w pary i każda zajmuje swoje terytorium. Trudno wtedy oprzeć się wrażeniu, że niektóre tylko czekają na okazję, żeby wdać się w jakąś awanturę. Gdy kłócą się dwie, prędzej czy później pojawi się trzecia, a czasami czwarta i piąta – dołączają do bójki i walczą, z kim popadnie… Na szczęście nie wszystkie małe czarne są tak samo swarliwe. Tam, gdzie jest dużo jedzenia, w niewielkich i w miarę zgodnych koloniach dzielą czasami jeden staw, a nawet okresowe zastoisko wody, przy czym ryzyko, że znajdzie się wśród nich jakiś zawadiaka, co będzie psuć krew wszystkim sąsiadom, zawsze istnieje. Żadna szanująca się łyska nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać! I chociaż przeważnie pokojowo żyje z sąsiadami innych gatunków, sprowokowana, szybko i asertywnie upomni się o należny jej honor. Jeśli trzeba będzie wskoczyć na głowę łabędziowi, nie będzie się dwa razy zastanawiać… Tak jest! Potężne i nierzadko bez powodu agresywne łabędzie nieme, prawdziwy postrach wiosennego stawu – nawet one ustępują przed nacierającą kulką czarnych piór z łysinką i czerwonymi oczami. Nie ma to jak pewność siebie!

Poza okresem lęgowym, kiedy to wiele ptaków postrzega świat w kategoriach rewirów i koniecznej obrony ich granic, nawet najbardziej wojownicze łyski spuszczają gardę i stają się zaskakująco towarzyskie. W czasie migracji i na zimowiskach

zbijają się czasami w wielotysięczne stada. Gdy dokucza im mróz lub zawierucha, nawet się do siebie przytulają i zasypiają z głowami pod pierzyną, każda pod własną. Ale żeby jedni mogli spać, ktoś inny musi czuwać. Na szczęście każdy dyżur kiedyś się skończy, szczególnie gdy dookoła tylu dyżurnych na zmianę…

W Polsce żyje 30–60 tysięcy par łysek, jakieś 10 razy mniej niż 40 lat temu. Ich los mogłoby odmienić odkopanie lub pozostawienie jeszcze niezakopanych śródpolnych oczek wodnych, zaprzestanie orania rzek (oficjalnie nazywanego pogłębianiem i odmulaniem), wykaszania rosnących u brzegów szuwarów i osuszania mokradeł, a także uwolnienie spod betonu miejskich stawów. To i jeszcze odłożenie broni, bo do łysek wciąż strzelają. Najstarsza, o jakiej wiemy, przeżyła 20 lat i 7 miesięcy.

Gdzie patrzeć?

Na wodę. Wiosną i latem łyski spotkamy na różnych rozlewiskach, stawach, jeziorach i starorzeczach. Zimą tam, gdzie woda nie zamarza i gdzie łyski zimują, na przykład w ujściu Warty, w ujściu Wisły, na Zatoce Puckiej i wokół sopockiego molo, na Zalewie Wiślanym lub Szczecińskim. Zobaczymy je tam w

większych lub mniejszych stadach, często w towarzystwie innych ptaków.

Czego wyglądać?

Grafitowoczarnego ptaka, który zachowuje się jak kaczka, ale kaczką nie jest. Ma biały, w ogóle niekaczy dziób i taką samą łysinę, do tego śmiałe, rubinowowinne oczy oraz absurdalnie wielkie, szarozielone palce u stóp, które przez płatkowate błony okalające każdy palec oddzielnie wyglądają jak liście.

Czego nasłuchiwać?

Metalicznego, lekko trąbiącego „Ik! Ik!" oraz różnych wariacji na ten temat. Furkotu skrzydeł i odgłosów biegania po wodzie.

Kiedy?

Cały rok.

---

[66] Chruściele, chruścielowate, wodniki (wszytko to zamienniki – po łacinie *Rallidae*) razem z pięcioma innymi, egzotycznymi dla nas rodzinami należą do rzędu żurawiowych (*Gruiformes*).

Kormoran.
Ptak, który śmie jeść ryby

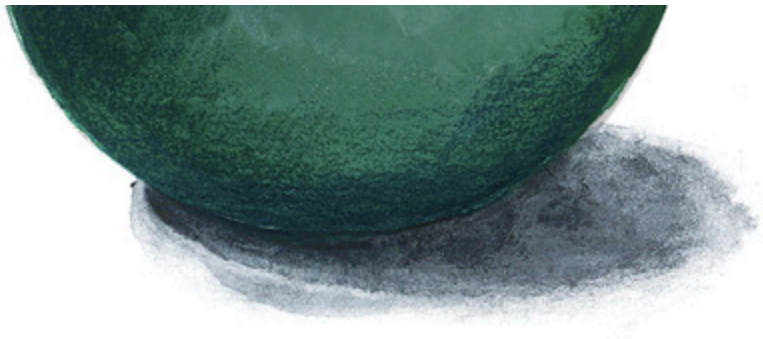

W czerwcu 2005 roku ktoś wszedł do kolonii kormoranów na terenie rezerwatu Jeziorsko i zabił około 600 piskląt z 200 tamtejszych gniazd. Powyrywał im skrzydła i nogi, połamał kręgosłupy, poodrywał lub poobcinał głowy. Leżały na ziemi, unosiły się na wodzie, zwisały z drzew i krzaków. Wśród nich dogorywały te, które w przerażeniu same rzuciły się z gniazd. Wszędzie pióra, krew i trwoga. Wyglądało to jak dzieło szaleńca. Ale szaleniec nie chodzi z drabiną, nie działa w zespole ani na pokaz. Rzadko też chroni go zmowa milczenia. Nad pobojowiskiem tygodniami unosiły się czarne ptaki. Jakby nie mogły zrozumieć, co się stało.

Przeważnie jak ktoś dobrze lata, to słabo nurkuje, jak nurkuje, to nie siada na drzewach itd. Ale nie kormoran. Kormoran świetnie pływa, doskonale nurkuje, jest wytrwałym lotnikiem i jeszcze bez większych przeszkód radzi sobie na gałęziach drzew. Tylko w chodzeniu jest trochę niezdarny, ale wątpię, żeby mu to przeszkadzało, bo w jego świecie albo się lata, albo pływa. I to z wodą kormorany tworzą najlepsze duety. Zasklepione nozdrza i słabo napowietrzone, ciężkie kości ułatwiają im nurkowanie.

Podobnie jak przemakalne sterówki i lotki w niezbyt długich skrzydłach – większe byłyby problemem pod powierzchnią. Trzeba je tylko potem wysuszyć, najlepiej przez rozpostarcie na wietrze, ale specjalna budowa piór powoduje, że te oddają wodę równie szybko, jak ją przyjęły. Podejrzewa się też, że kormorany mogą czasami połykać kamienie dla zapewnienia sobie lepszego zanurzenia. Pod wodą na pewno świetnie sprawdzają się ich ustawione do przodu, morskie oczy oraz muskularne, przesunięte ku tyłowi nogi, których wszystkie (!) palce spina wielka, czarna błona.

Wikingowie wierzyli że dusze ludzi, którzy umarli na morzu, a których ciał nigdy nie odnaleziono, trafiały w końcu na szczęśliwą wyspę Utrøst, skąd przybywały czasami pod postacią kormoranów, żeby zobaczyć swoich bliskich[67]. Pierwsi Skandynawowie widzieli w kormoranach istoty półświęte, a w ich sejmikach dobry znak. Im więcej ptaków zebrało się w jednym miejscu, tym więcej szczęścia wróżyły. W księgach czarodziejów i ezoteryków kormoran symbolizował odpowiedzialność, odwagę i gotowość do tego, żeby brać sprawy w swoje ręce. Mówił: „Nie bój się, zejdź choćby na samo dno, jeśli pomoże ci to odnaleźć twoją ścieżkę oraz dowiedzieć się, czego najbardziej potrzebujesz do szczęścia…”. Ale to nie taka wizja ostatecznie zdominowała wyobraźnię Europejczyków. Uwierzyli, że Szatan, który czaił się w raju, żeby skusić Ewę, najpierw przysiadł na Drzewie Życia w

przebraniu kormorana. Od wczesnego średniowiecza, jak wszystko, co czarne, kormorany były kojarzone ze Złym i śmiercią. Ich zwyczaj wystawania z proroczo rozpostartymi skrzydłami w bardzo widocznych, często symbolicznych miejscach (nabrzeża, wejścia do portów, dachy i kolumny) nie mógł pozostać niezauważony ani tym bardziej przysporzyć kormoranom sympatii. A tych w mocno uwodnionej wtedy Europie było bardzo dużo. Na domiar złego, być może nie przez przypadek, nazwano je morskimi krukami. Za najczarniejszym i wtedy już – zaraz po sowach – najbardziej przeklętym z ptaków. Stąd łacińskie *Phalacrocorax carbo*, łysy kruk czarny jak węgiel. Ostatecznie jednak z jakiegoś tajemniczego powodu chyba we wszystkich językach utrwalił się pochodzący z brytańskiego *kormoran*, imię, którym w tamtych stronach wołano mitycznego morskiego olbrzyma. Niestety nie poprawiło to losu czarnych ptaków. Nie pomogło im nawet to, że w wielu regionach aż do XVII wieku były powszechnie używane do połowu ryb. (Oswojonym i wytrenowanym kormoranom zakładano na szyje obrączki, które uniemożliwiały im połykanie większych sztuk. Ciągle praktykuje się to w tradycyjnych zakątkach Chin i Japonii). Gdy zapomniano o ich konszachtach z diabłem, problemem okazał się apetyt na ryby. O ironio, to nie my zaczęliśmy symbolizować zachłanność, chciwość i nieumiarkowanie, ale kormorany. Nawet ludom nordyckim się odmieniło i w Norwegii kormoran do dziś jest popularnym gatunkiem łownym.

Jeszcze na początku XIX wieku kormorany gnieździły się w koloniach, z których największe mogły liczyć kilkadziesiąt tysięcy gniazd. I ptaki, i ludzie mieli dużo miejsca i ani jednym, ani drugim nie brakowało ryb. Mimo to coraz głośniej mówiono o inwazji kormoranów oraz o tym, że zjadają one ryby, przecież nie dla nich, a dla nas stworzone. Kormoranom wypowiedziano wojnę. Przez kolejne sto lat z okładem tępiono je za wszelką cenę. W Niemczech i w Danii regularnie zatrudniano do tego wojsko. Tam też, podobnie jak w wielu innych krajach, eksterminowano je całkowicie. W naszych ówczesnych granicach około roku 1925 było jeszcze 150 par rozproszonych w kilku niewielkich koloniach. Systematycznie wybijane ptaki złapały oddech dopiero wtedy, gdy ludzie zajęli się zorganizowanym zabijaniem siebie nawzajem. Po drugiej wojnie światowej sprawy zaczęły iść w lepszą stronę, ale mit nienasyconego szkodnika przetrwał i w różnych krajach, bez względu na status prawny, kormorany były stale prześladowane. I wtedy stało się coś, czego do dziś nikt nie potrafi wytłumaczyć. Na przełomie lat 50. i 60. na całym kontynencie morskich kruków zaczęło przybywać, a wzrost ich liczebności trwał nieprzerwanie aż do początku lat 2000. Kormoranowy *baby boom*. Bardzo dobrze obrazują to wydarzenia z naszego podwórka, gdzie bardzo rzadki wtedy kormoran otrzymał status gatunku chronionego w roku 1952. Kolejna ważna data to 28 września 1957 roku, kiedy to minister leśnictwa i przemysłu drzewnego ustanowił w Kątach Rybackich niespełna jedenastohektarowy rezerwat „w celu

zachowania i ochrony naturalnego miejsca lęgowego kormorana czarnego *Phalacrocorax carbo* i czapli siwej *Ardea cirenea*". Gdy rozpoczynano prace dokumentacyjne z myślą o rezerwacie, który okazał się punktem zwrotnym w historii ochrony kormoranów w Polsce, ich gniazd nie widziano tam od dekad. Dwa lata po jego założeniu było ich 117 – w całym kraju 1800. W roku 2000 powierzchnię rezerwatu powiększono do 102,54 hektara, a kolonia z Mierzei Wiślanej uważana była za największą w Europie. Swój rekord osiągnęła w sezonie 2006 – ponad 11 500 par. Dzisiaj jest tam około 4500 czynnych gniazd, a w całym kraju 25–30 tysięcy par. Największą osadą kormoranów jest najpewniej ta na Krymie, licząca ponad 14 tysięcy gniazd. Najstarszego widziano w wieku 27 lat i 2 miesięcy, ciągle w dobrej kondycji.

W terminologii naukowej kormorana nazywa się mono-, a konkretnie ichtiofagiem. Je tylko ryby. Gatunek nie ma znaczenia. Lata tam, gdzie ryb jest dużo, i łowi te, których akurat jest najwięcej. Jak łowisko pustoszeje, leci gdzie indziej, bo nie opłaca mu się uganiać za pojedynczymi płotkami, tym bardziej że kormorany chętnie polują zespołowo. Jak delfiny z filmów Davida Attenborough. Gdy część ptaków pływa po zacieśniającym się okręgu na powierzchni i tuż pod nią, pozostałe naganiają i przytrzymują ławicę od dołu. Po chwili się zmienią. Kormorany przeważnie łowią ryby, które mają 10 centymetrów długości lub więcej. Ile więcej? To zależy od ich kształtu. Smukłe szczupaki

mogą mieć 30, jeszcze smuklejsze węgorze nawet 50, a pękate leszcze czy okonie tylko 20 centymetrów. Jak każdemu wędkarzowi, kormoranom też zdarzają się rekordowe sztuki, ale już samo opanowanie dużej, silnej i śliskiej ryby jest sporym wyzwaniem, podczas gdy jej połykanie może być po prostu niebezpieczne. Ilość zjadanych dziennie ryb zależy od pory roku, kondycji, a przede wszystkim sytuacji rodzinnej kormorana i zwykle waha się od 146 do 700 gramów. Zdarza się, że rodzice kilkorga dzieci przynoszą do gniazda więcej, tak samo jak i to, że dorosłe ptaki poszczą przez kilka dni.

Każda ryba złowiona przez ptaki staje ością w gardle rybakom. W latach 90., kiedy szybko rosnąca populacja kormoranów budziła największe emocje, wyliczyli, że wyławiają one 3600 ton ryb rocznie. Może, ale w tym rachunku pojawiło się kilka poważnych błędów metodologicznych. Przede wszystkim założono, że tzw. biomasa ryb w naszych wodach jest czymś stałym, tymczasem jej wartość nawet w stawach hodowlanych ciągle się zmienia. Kluczowe dla zrozumienia tego, co się dzieje w jeziorze czy rzece, jest prześledzenie ścieżki rozwojowej ryb albo struktury ich wieku. Jedna i druga ma kształt piramidy o bardzo szerokiej podstawie, którą tworzy narybek. Na tym etapie liczy się tylko ilość, ale każdy rybi osesek marzy, żeby któregoś dnia zostać rybą alfa. Sęk w tym, że tylko bardzo nielicznym się to udaje. Przesiew jest ogromny i na kolejnych poziomach odpada zdecydowana

większość zawodników – z powodu chorób, drapieżników, a przede wszystkim konkurencji i oczywiście odłowów. Tych, które giną, zawsze jest dużo więcej niż tych, które przeżywają. Weźmy takiego węgorza. Jeden hektar zbiornika zarybia się setką narybku, z czego ostatecznie odławia się 4–5 ryb (2,5 kilograma). Co się stało z pozostałymi 95 węgorzami? Odpadły w wyścigu na szczyt piramidy, a że wyliczenie dotyczy warunków hodowlanych, kormorany nie miały nic wspólnego z ich zniknięciem.

Drugim poważnym błędem rybackiego bilansu było założenie, że wszystkie ryby zjedzone przez kormorany zostałyby odłowione przez rybaków. Ze wszystkich krajowych i zewnętrznych analiz wynika, że kormorany w najgorszym razie zjadają 5, góra 10 procent tego, co łowią rybacy. Wiemy też, że jazgarz, wzdręga, karp, niewymiarowa płoć i okoń, a miejscami babka w naszych warunkach stanowią 80–100 procent zdobyczy kormoranów i około 30 procent połowów gospodarczych, co oznaczałoby, że rzekome „szkody" wyrządzane przez ptaki topnieją do poziomu błędu statystycznego. To nie wszystko. Z powodu intensywnego nawożenia pól nasze wody się eutrofizują, co daje przewagę rybom karpiowatym, takim jak karp, karaś, leszcz czy płoć, a te wypierają gatunki uważane za bardziej szlachetne, cenione przez rybaków i klientów[68]. I tu z pomocą przychodzą kormorany, które skupiają swoją uwagę przede wszystkim na tych pierwszych. Czy możliwe jest, żeby kormorany miały pozytywny wpływ na

gospodarcze ryby i rybołówstwo? Może to nie szkodniki, tylko sprzymierzeńcy rybaków? Dziś wiemy już ponad wszelką wątpliwość, że naturalny drapieżnik ma pozytywny wpływ na kondycję i populację swoich ofiar i cały ekosystem. Wyjątkiem w biznesowym (i tylko biznesowym) równaniu z kormoranem może być wspomniany węgorz, bo wiele wskazuje na to, że jest to jedyna ryba, za którą czarny rybak popłynie, jeśli tylko ma wybór. Może to ta nadzwyczajna liczba kalorii, którą zapewnia tłusty węgorz, a może jego idealny do połykania kształt? A może smak albo fakt, że za dnia zagrzebuje się w dnie i łatwo go stamtąd wyciągnąć? Kormorany lubią węgorze.

I jeszcze jedno: w czasie eksplozji populacji kormoranów w Polsce kilkukrotnie wzrosły połowy ryb – najwyższe wartości osiągnęły w latach 90. Ktoś powie, że to dzięki zarybianiu. Jasne, ale jednocześnie mamy dowód, że kormorany nie zjadają wszystkich ryb. I jak to się dzieje, że choć eksploatują te same wody przez dziesiątki i setki lat – kormorany są bardzo wierne i swoim koloniom, i łowiskom – liczba ryb wzrasta, a połowy nie maleją? Rzecz jasna, eskadra czarnych ptaków regularnie odwiedzająca niewielki kompleks stawów hodowlanych to już inna historia, ale z tego, co wiemy, tylko te o silnych skłonnościach samobójczych tam lądują. W roku 2003 wielkość połowów w Polsce osiągnęła poziom 203,3 tysiąca ton, z czego ryby morskie stanowiły 160,3 tysiąca, a słodkowodne 43 tysiące ton. Dekadę wcześniej, w 1991 roku, było

to łącznie 462 tysiące ton. O ile wielkość połowów morskich zmniejsza się z powodu przełowienia i wprowadzenia międzynarodowych limitów, o tyle rybactwo śródlądowe rok do roku trzyma się na tym samym poziomie albo rośnie, mając łącznie do swojej dyspozycji około 80 tysięcy hektarów stawów, 140 tysięcy hektarów rzek i blisko 350 tysięcy hektarów jezior. Co by się stało, gdyby procent ryb, które pływają w naszych wodach, zjadły kormorany? I tak byłoby to śmiesznie mało w porównaniu z tym, co wyrzucamy i marnujemy.

Kormorany najchętniej zakładają swoje kolonie w pobliżu łowisk, zwykle w odległości nie większej niż 30 kilometrów. Gniazda starają się budować w miejscach trudno dostępnych, u nas są to przede wszystkim wysokie drzewa, najchętniej na wyspach. To prawda, że drzewa wykorzystywane przez kormorany w końcu obumierają, ale oblepione gniazdami mogą potem stać nawet kilkadziesiąt lat. No chyba że ktoś każe je ściąć, tym samym zmuszając ptaki do zajmowania kolejnych, jeszcze zielonych. (Wbrew pozorom i logice to nierzadka praktyka). I tak, musi minąć kilka kolejnych lat, żeby na zakwaszonej odchodami glebie zaczęły rosnąć nowe. Ile drzew rocznie usycha w Polsce z powodu kormoranów? Kilkanaście, kilkadziesiąt…? Serio?! Będziemy rozliczać je za nie, tak jak rozliczamy za ryby? Według oficjalnych danych Lasy Państwowe tylko w 2020 roku wycięły 38 milionów drzew, a do końca roku 2021 zaplanowały wyciąć 40. Ile milionów

wytną w tym czasie lub zatrują drogowcy, samorządy, zarządy, właściciele podwórek i ogrodów?

Gdzie patrzeć?

Kormorany najłatwiej spotkać nad większymi jeziorami, rzekami, zbiornikami zaporowymi, zalewami i morskimi zatokami, w portach i marinach. Największe kolonie lęgowe znajdują się w pasie pojezierzy, poza tym m.in. nad zbiornikiem Jeziorsko, na wyspach na Zalewie Włocławskim, w ujściu Warty.

Czego wyglądać?

Dużych, czarnych i czujnych ptaków, przesiadujących gdzieś nad wodą w wyprostowanej pozycji, bywa, że z szeroko rozłożonymi skrzydłami – suszą je w ten sposób i prawdopodobnie wspomagają trawienie tego, co złowiły. Przelatując w większym towarzystwie, układają się w klucze albo lekko falujące linie.

Czego nasłuchiwać?

Kormorany charczą, skrzeczą i kraczą, ale słychać to głównie w ich koloniach w czasie zalotów, gdy witają się z powracającym do gniazda partnerem albo kłócą z sąsiadami. Do tego nieustająco przekrzykują się ich pisklęta i podloty – stąd cały ten zgiełk.

Kiedy?

Od wczesnej wiosny do momentu, aż wody zamarzną. Nad morzem, na Zalewie Wiślanym i Szczecińskim przez cały rok.

---

[67] Utrøst to jedna z mitycznych wysp na północnych morzach. Pokazuje się ludziom o czystych sercach, więcej widzącym oraz rozbitkom w potrzebie – nawet tam, gdzie nikt wcześniej nie widział żadnego lądu. Trawa jest na niej zieleńsza, łąki bardziej ukwiecone, a kwiaty bardziej kolorowe. Szczęśliwy będzie każdy, kto się na Utrøst zatrzyma lub ujrzy ją choćby z daleka. „Jest uratowany", mawiali o takim ludzie Północy.

[68] Eutrofizacja to inaczej użyźnianie wód. Odpowiedzialne za nią są przede wszystkim ścieki oraz nawozy rolnicze, które deszcz spłukuje z pól do jezior i rzek. Użyźnienie wody i dna sprzyja wzrostowi roślin i zarastaniu. Zwykle prowadzi to do spadku zawartości tlenu w wodzie, zakwitów (często trujących) glonów itp. Wraz ze zmianą składu chemicznego oraz flory zbiorników zmienia się też ich fauna.

Wszyscy siedzimy na tym samym drzewie

Gdyby nie drzewa i krzewy, nie mielibyśmy czym oddychać. Dosłownie. Ich liście wychwytują z powietrza zabójczy dla nas dwutlenek węgla – specjalność naszej cywilizacji – i przerabiają go na tlen. Kiedy podróżuję po Polsce, co jeszcze niedawno zdarzało mi się dość często, zastanawiam się, czy ktoś jeszcze o tym pamięta? Metr kwadratowy łącznej powierzchni ich liści wytwarza od pół do ponad kilograma czystego tlenu. Najwięcej uwalniają go buki, klony i akacje (robinie akacjowate) – potem wierzby kruche i dęby oraz jesiony i lipy. Wysokie na 10 metrów, czyli średnio duże drzewo produkuje około 118 kilogramów tlenu rocznie, a każdy z nas zużywa jakieś 176 kilogramów. Oczywiście im większe, bardziej rozłożyste drzewo, tym więcej pożytków. Jeden stuletni buk wytwarza w ciągu godziny tyle tlenu, co 1700 dziesięcioletnich buków. Hektar lasu oczyszcza w ciągu roku 16 milionów metrów sześciennych powietrza i pochłania 3,6 tony dwutlenku węgla. Prawie tyle, ile wyrzuca z siebie duży samolot na trasie z Europy do Ameryki (cztery tony) lub łącznie wszystkie samochody poruszające się w dużym mieście. Zastanawialiście się

kiedyś, dlaczego w lesie tak dobrze się nam oddycha albo dlaczego wracamy stamtąd spokojniejsi i bardziej wypoczęci? Teraz już wiecie. To tlen, który w szpitalach podawany jest dla ratowania życia lub odtrucia organizmu, a w ośrodkach SPA w zabiegach regeneracji i odmładzania. Na szczęście w lesie nie musimy za niego płacić. Najlepsze rzeczy są za darmo.

Drzewa i krzewy działają jak żywe zbiorniki retencyjne, przy czym woda wypełnia je nie tylko od środka – zatrzymuje się na liściach, na gałęziach, na korze, w okrywających ją mchach i porostach. Uwalniając do powietrza wielkie ilości pary, drzewa podają nam tlen razem z nawilżaniem, a latem z chłodzeniem – to dlatego na upały od cienia budynku czy parasola z piwem o wiele lepszy jest cień lasu albo zadrzewionego ogrodu. Zbawcze działanie drzew łatwo odczuć, gdy z odsłoniętej drogi wjeżdżamy autem w zacienioną aleję. Dotyczy to zarówno tych, co podróżują w samochodach z klimatyzacją, jak i bez niej. Natychmiast poprawiają się parametry drogi i widoczność, znacząco spada promieniowanie UV oraz ulatnianie tzw. gazów aromatycznych z paliwa i smarów samochodowych, wzrasta komfort kierowcy i pasażerów. Z tego samego powodu skupiska drzew tak dobrze schładzają miejskie wyspy ciepła. Te powstają, bo wielkie powierzchnie betonu, metalu, szkła i asfaltu nagrzewają się w czasie upałów i nie dają wytchnienia nawet w nocy, bo wtedy oddają ciepło, które pobrały za dnia. Nic dziwnego, że różnica

temperatur między betonowymi centrami miast i dużymi, pozbawionymi zieleni wsiami a miejskimi parkami albo zielonymi dzielnicami i tradycyjnymi, zadrzewionymi wsiami może sięgać kilkunastu stopni. Drzewa i krzewy działają też w drugą stronę – absorbują ciepło i uwalniają je przy nagłych spadkach temperatury, nawet zimą, kiedy to dodatkowo robią za wiatrołapy i tak skutecznie rozbijają mróz, że mogą podnieść temperaturę nawet o kilka stopni. Rachunki za ogrzewanie i klimatyzację w domach otoczonych drzewami są dużo niższe.

Produkcja tlenu z nawilżaniem oraz grzaniem i chłodzeniem w zależności od potrzeby i pory roku to tylko początek długiej listy usług ekosystemowych, które zapewniają nam drzewa i krzewy. Ich liście, gałęzie, konary, a także pnie i żłobiona, chropowata kora oraz mchy i porosty na niej – wszystko to razem działa jak ekrany dźwiękochłonne, ale i wielkie miotły do zamiatania powietrza. Nie wierzycie? To przyjrzyjcie się liściom, gałęziom i korze na drzewach i krzewach przy choćby średnio ruchliwej drodze. Przejedźcie po nich palcem albo chusteczką. Maź, którą zobaczycie, to oprócz dwutlenku węgla dwutlenek siarki, metale ciężkie, takie jak ołów, kadm, miedź i cynk, sadze samochodowe, mikrocząsteczki ścieranych na asfalcie opon i dużo, dużo więcej. Wszystko to byłoby na naszej skórze, we włosach, w uszach, w płucach, w żołądku i we krwi, na naszych meblach i kanapkach… Byłoby, gdyby po drodze nie wyłapały tego drzewa i krzewy. Jak

dużo jest w powietrzu trujących zawiesin, które urzędnicy nazywają pyłami dyspersyjnymi? Chyba dużo, bo na jednym hektarze miejskich zadrzewień i zakrzaczeń w ciągu roku odkłada się od kilkunastu do kilkudziesięciu ton. Na szczęście posadzony wzdłuż ulicy szpaler świerków pochłania co najmniej 70 procent zanieczyszczeń, które się od niej niosą. Kiedy miasto Chicago zleciło zbadanie tematu, okazało się, że tamtejsze drzewa usuwają z powietrza blisko sześć tysięcy ton brudu rocznie, a wartość ich usług oceniono na ponad 10 milionów dolarów. Co się dzieje, kiedy likwidujemy przydrożne aleje i ochronne krzaczaste wały oraz wycinamy drzewa z miast i coraz bardziej ruchliwych wsi? To samo, co w naszych domach, gdy przestajemy je sprzątać. Co się stanie, gdy piękne, zdrowe korony zamienimy w szpetne słupy, nazywając to pielęgnacją albo troską o bezpieczeństwo? To tak, jakbyśmy próbowali zamieść podłogę samym tylko trzonkiem od miotły. Im więcej dojrzałych drzew i lasów będziemy wycinać, tym trudniej będzie nam oddychać i tym częściej będziemy zapadać m.in. na choroby układu oddechowego, choroby serca i nowotwory. Właśnie udowodniono, że COVID-19 szybciej się roznosi i jest bardziej zjadliwy w rejonach z bardziej zanieczyszczonym powietrzem.

Wciąż nie mogę pojąć, jak to się stało, że drzewa zaczęły być przez nas postrzegane jako zagrożenie. Ich hekatomba jak kraj długi i szeroki najczęściej tłumaczona jest bezpieczeństwem! Łamane

przez wichury konary i wyrwane z korzeniami drzewa może i robią wrażenie (w tej kwestii zawsze możemy liczyć na gorliwe media), pomyślmy jednak, co mogłaby wyrwać i połamać taka wichura, gdyby jej niszczącej mocy nie wzięły na siebie dęby, lipy, jabłonie…? Im mniej drzew będziemy mieli w naszym krajobrazie, tym częściej będą nas nawiedzać niszczycielskie trąby powietrzne. Prawdopodobieństwo tego, że kogoś z nas zrani lub zabije drzewo, jest mniejsze niż to, że uderzy w nas piorun. Na Ziemi jest tylko jeden naprawdę niebezpieczny dla nas gatunek – człowiek. W Polsce według oficjalnych raportów Komendy Głównej Policji w 2020 doszło do 786 302 przestępstw z narażeniem mienia, zdrowia lub życia, w tym 656 zabójstw. Ponadto zgłoszono 382 046 kolizji i 23 540 wypadków drogowych, w których zginęło 2491 osób, a 26 463 zostały ranne[69]. Rok wcześniej odnotowano 30 136 wypadków, z których 335 skończyło się wjechaniem w drzewo. Nie, nie z winy drzewa. Statystyki nie pozostawiają złudzeń – do tragedii najczęściej dochodzi z winy kierowcy, potem pieszych, a potem współpasażerów, inne przyczyny to statystyczny margines. Podczas gdy nasi specjaliści, opierając się tylko na własnych przekonaniach, każą usuwać drzewa z przydroży, w innych krajach chroni się te, które już są, a tam, gdzie nie ma, dosadza się nowe. Skrupulatne badania prowadzone m.in. w krajach skandynawskich, w Wielkiej Brytanii i w Niemczech potwierdziły, że bezdrzewne drogi, a szczególnie proste odcinki skłaniają do ryzykownego zwiększania prędkości, za to obecność drzew

redukuje zmęczenie i wzmacnia koncentrację (oprócz innych dobrodziejstw, o których częściowo wspomniałem wyżej). To między innymi dlatego niemiecki ADAC, Allgemeiner Deutscher Automobil-Club, największe europejskie zrzeszenie zmotoryzowanych, już w latach 90. zainicjował akcję „Ratujmy Aleje", biorąc pod ochronę najbardziej malownicze, zadrzewione trasy w kraju. Ich flagowy szlak ma prawie trzy tysiące kilometrów i wiedzie z Rugii nad Jezioro Bodeńskie. Oto jak ADAC reklamuje *swoje* aleje: „Podróżowanie pod cienistymi drzewami jest wyjątkowym przeżyciem. Niekończące się rzędy zielonych olbrzymów dają poczucie bezpieczeństwa, zapewniają świeże powietrze, a czasem pożywienie – i zawsze otwierają na nowe perspektywy. Delikatna zieleń wiosennych liści, gra świateł i cieni latem, blask jesiennych kolorów oraz ich własny, obnażony przez zimę urok sprawiają, że podróżowanie pod drzewami o każdej porze roku jest wydarzeniem".

Drzewa poprawiają nam komfort podróżowania samochodem i umilają drogę, wspierają w walce z chorobami cywilizacyjnymi, obniżają poziom stresu, wzmacniają odporność, oczyszczają otoczenie z wirusów i bakterii, koją i inspirują. Dzielą się swoim pięknem, kwiatami i owocami. Są domem dla ogromnej liczby roślin, grzybów i zwierząt. Na przykład jeden 250-letni dąb utrzymuje 2500 różnych gatunków, które stale na nim żyją albo regularnie go odwiedzają. Im więcej drzew rośnie obok siebie, tym

silniejsze są ich społeczności lub – jak kto woli – zespoły i tym więcej pożytków zapewniają. Opiekuńcze, dojrzałe drzewo możemy ściąć w ciągu kilkunastu minut, ale na następne takie będziemy musieli poczekać jakieś sto lat. Tylko kto z nas się doczeka…? Słynne platany z londyńskiego skweru Berkeley według ostatnich szacunków warte są 800 tysięcy funtów, czyli ponad 4 miliony złotych każdy! Różne narody coraz lepiej rozumieją wartość dojrzałych drzew i zapewniają im odpowiednią ochronę. A drzewa są jak wino – im starsze, tym lepsze. Z natury długowieczne, nawet gdy rosną pojedynczo, należą do tzw. trwałych elementów krajobrazu. Tak samo jak rzeki, wzgórza, jeziora, stare pałace czy historyczne ruiny. Będąc w jakimś miejscu *od zawsze*, współtworzą lokalny ład przestrzenny, klimat i krajobraz, nadają im charakter i tożsamość. Maskują to, co brzydkie, i są ważnym punktem orientacyjnym – tak samo dla przyjezdnych, jak i dla stałych mieszkańców, a nawet ich pamięci. Pomyślmy, ile ważnych rzeczy wydarzyło się pod drzewami – pierwszych papierosów, win, pocałunków? Ile dzieci się pod nimi poczęło, wierszy, piosenek, pomysłów, postanowień? Ilu wieszczów i narodowych bohaterów przysiadywało w ich cieniu, a zagubionych znalazło cel i drogę? Drzewa przypominają o zmieniających się porach roku, ale też o stałości. Ukorzeniają nas, stabilizują. Uczą siły i spokoju. Wierni strażnicy podwórek, którzy chronią nasze domy i tajemnice, a w polu osłaniają nasze gleby i uprawy. Pamiętacie, jak biegliśmy do nich, gdy złapał nas deszcz,

żeby schronić się przed upałem albo zwyczajnie odpocząć i coś zjeść? Dzisiaj byłoby to trudne, a czeka nas więcej upałów i gwałtownych ulew. Bez drzew nie damy rady. Specjaliści mówią, że drzewa – i tylko drzewa! – mogą uratować naszą planetę przed katastrofą. Te, których najbardziej potrzebujemy, to te duże i dojrzałe, a nie ich okaleczone kikuty lub rachityczne sadzonki.

Począwszy od 16 kwietnia 2004 roku, gdy zaczęła obowiązywać nowa ustawa o ochronie przyrody, wycinaliśmy pół miliona drzew rocznie! (Nie licząc tych wycinanych przez Lasy Państwowe). Cyfra ta co najmniej się potroiła, odkąd 1 stycznia 2017 roku weszło w życie Lex Szyszko, jeden z najbardziej antyspołecznych aktów prawnych w historii. Klimat i gleby w naszej części świata polegają na drzewach i bez nich wszystko to, do czego się przyzwyczailiśmy, rozsypie się jak domek z kart. Masakra drzew, naszego, obok wód i mokradeł, największego dobra publicznego, stała się znakiem rozpoznawczym ostatnich kilkunastu lat. Jesteśmy ewenementem w skali Europy oraz tej części współczesnej cywilizacji, z którą chyba większość z nas wciąż chciałaby się utożsamiać. Jakbyśmy żyli na innej planecie, oddychali innym powietrzem (w tym przypadku rzeczywiście tak jest, bo oficjalnie mamy najgorsze powietrze na kontynencie) i zupełnie nie dotyczyły nas problemy współczesnej globalnej wioski – kryzys klimatyczny, rosnące stężenie trujących pyłów i gazów, erozja i jałowienie gleb, susze, powodzie, wzrost zagrożenia

epidemicznego, zanik życia na Ziemi… Pozbawiamy się tlenu i piękna, niszczymy krajobraz, naszą z nim więź i pamięć o nim. Jedna po drugiej, podcinamy gałęzie, na których siedzimy. Dlaczego?

---

[69] Według Our World in Data w roku 2017, skąd pochodzą ostatnie dane, na całym świecie w wojnach i konfliktach zginęło 129 729 osób, zabójstwa uśmierciły 405 346 osób, a wypadki drogowe 1 240 000. Globalnie najwięcej ludzi umiera z powodu różnych chorób, wśród których zdecydowane pierwszeństwo mają te cywilizacyjne: zaburzenia pracy serca i układu krążenia, nowotwory, schorzenia dróg oddechowych napędzane przez zanieczyszczenie powietrza, schorzenia związane z pokarmem i układem trawiennym. Przez wiele dekad zmniejszała się liczba ofiar konfliktów zbrojnych, co jednak zmieniły ostatnie wydarzenia na Bliskim Wschodzie. Historycznie niski jest też odsetek zabójstw na świecie, choć są regiony – takie jak Ameryka Łacińska – gdzie zabójstwa są najczęstszą przyczyną śmierci osób w przedziale 15–49 lat. Najbezpieczniejsze na świecie pod tym względem są kraje Europy Zachodniej. U nas w 2017 roku zanotowaliśmy 1,7 zabójstw na 100 tysięcy mieszkańców, niemal połowę tego, co było w latach 90. (wskaźnik 3,2). Mieliśmy za to 10 razy więcej samobójstw – 6778.

Perkoz dwuczuby.
Nieróżowy kuzyn flamingów

Jest najwyżej wielkości kaczki, a ma na sobie 20 tysięcy piór. Typowy, kilkukrotnie większy od niego orzeł – zaledwie 7, a jeszcze większy, ale spędzający pół życia na wodzie łabędź czarnodzioby – 25 tysięcy. Dlaczego perkozy są tak gęsto

opierzone? Bo nie licząc przeważnie niedalekich, sezonowych przelotów, spędzają na wodzie albo pod wodą całe życie. Rzecz jasna nie mogło to ujść naszej uwadze. Futra z perkozów były popularne już w renesansie. W XIX wieku, w czasach gorączki piór, dostrzeżono też dekoracyjną wartość ich czubów godowych, ale prawdziwą furorę robiły luksusowe mufki szyte z tak zwanej satyny perkozowej – skóry wycinanej z piersi i brzucha, które są stale zanurzone, a przez to opierzone najgęściej. Porastające je pióra są białe oraz mają podwyższone parametry ciepłoty i odporności na wszelkie uszkodzenia, zabrudzenia i zużycie. Stąd ich gładkość i satynowy połysk. Kłopot w tym, że brzuch i piersi perkoza dostarczały niewielkiej ilości materiału, więc żeby jakaś dama mogła schronić swoje dłonie przed chłodem w puchowej mufce, musiało zginąć kilka ptaków.

Perkozy najczęściej łowiono późnym latem, kiedy gromadziły się na pierzowiskach i na trzy, cztery tygodnie traciły zdolność lotu. Dodatkowo rybacy i wędkarze od dawna zabijali je jako konkurencję, a ich jaja były poszukiwanym delikatesem. Im były rzadsze, tym więcej można było na nich zarobić i tym dalej zapuszczali się zawodowi i przygodni *traperzy*. Na przełomie XIX i XX wieku dwuczube zostały eksterminowane z wielu rejonów Europy, w tym z Europy Środkowej, skąd pochodziła większość *surowca*. Pozostałe cztery, przeważnie dużo mniejsze gatunki (rdzawoszyi, rogaty, zausznik i perkozek) nie spotkały się z takim

samym uznaniem kuśnierzy i klientów, więc zaczęto organizować import ptasich skór z Azji, Afryki i Australii, gdzie też żyły dwuczube, przede wszystkim jednak z Ameryki. Tam ich nie było, ale pióra miejscowych perkozów wielkich *Aechmophorus occidentalis* i żółtodziobych *Aechmophorus clarkii* bardzo dobrze udawały oryginalną satynę.

Straszny biznes kręcił się w najlepsze, aż pewnego dnia obudziły się te, które przez długie lata biernie trwały w jego centrum – kobiety. Masakrowane dla pieniędzy perkozy stały się symbolem pierwszego w historii ruchu w obronie dzikich zwierząt. Wzniecony przez londyńskie arystokratki bunt wyśmiewano, nazywając jego liderki ornitologicznymi sufrażystkami, *ornithological suffragettes*, ale dał on początek zarejestrowanej w 1889 roku Lidze Piór (The Plumage League). Dwa lata później Liga połączyła się z siostrzaną inicjatywą, przyjmując nazwę Towarzystwa Ochrony Ptaków, od 1904 roku znanego jako Królewskie Towarzystwo Ochrony Ptaków (RSPB). Dzisiaj to największa i najbardziej rozpoznawalna ptasia organizacja na świecie, zrzeszająca ponad milion członków. Początkowo były to same kobiety, a pierwsza prezeska, hrabina Portland, Winifreda Cavendish-Bentinc, kierowała stowarzyszeniem przez 63 lata, do 1954 roku. Brytyjczycy ostatecznie zakazali handlu piórami w 1921 roku, a ostatni statek z nielegalnie przewożonymi skórami

amerykańskich perkozów przechwycono w Liverpoolu w roku 1923[70].

Prywatnie perkozy dwuczube są zapalonymi nurkami. Schodzą na głębokość do 30 metrów i najczęściej zostają tam niespełna minutę. Pod wodą z eleganckich i statecznych ptaków zmieniają się w rozrabiaki-harcowników. Są nieprawdopodobnie szybkie i zwrotne. W końcu łowią tam nieprawdopodobnie szybkie i zwrotne ryby. Ale nie tylko. Długa szyja dwuczubego działa jak giętki wziernik. Śmiało więc wtyka on głowę w różne podwodne zagłębienia, nory i szczeliny. Może ukrywa się tam jakiś wodny chrząszcz albo wielka larwa ważki? Pierwsze, co zjedzą pasiaste jak zebry pisklęta, to nie małe ryby, ale tak cenne kiedyś piórka, które mama i tata wyrywają sobie z piersi. Wyścielają one delikatne dziecięce żołądki, chroniąc je przed ośćmi i innymi niebezpiecznymi fragmentami jedzenia. Ułatwiają też tworzenie się i usuwanie wypluwek. Małe perkozki w ogóle mają jak u Pana Boga za piecem. Choć mogą samodzielnie pływać tuż po wyjściu z jaja, przez pierwsze dwa, trzy tygodnie większość czasu spędzają na plecach rodziców. Jedno służy za łódkę, a drugie nurkuje za obiadem. I tak na zmianę. W końcu pisklęta są tak duże i ciężkie, że rodzice się buntują i zrzucają je z pleców – przez powtarzane do skutku całkowite zanurzenie. Na szczęście w ciągu następnych kilku miesięcy ciągle będą łowić dla nich ryby i oczywiście uczyć, jak robić to samemu.

I już na koniec: kiedy patrzycie na perkoza siedzącego na wodzie (albo pod nią), wpadlibyście na to, że jego najbliżsi kuzyni to flamingi?! Nie kormorany, nie łyski, nawet nie nury, z którymi perkozy wcześniej łączono, a które też są z wody i tak jak perkozy nie potrafią chodzić, bo wyrastające z ogona nogi mogą im służyć jedynie jako podwodny napęd. Najbliższymi i z genetycznego punktu widzenia naprawdę bliskimi krewnymi perkozów są długonogie, długoszyje i bardzo różowe flamingi. Różnice w wyglądzie i trybie życia są tutaj tak wielkie, że biolodzy nazywali ich wspólny takson *Mirandorinithes*, co można przetłumaczyć jako „cudowne ptaki" albo „ptaki cudaki". To nie wszystko, na ewolucyjnym drzewie perkozy i flamingi siedzą na jednej gałęzi z madagaskarnikami, stepówkami i… gołębiami! Reszta jest historią, a konkretnie historią ewolucji rozbieżnej albo dywergencyjnej[71].

Gdzie patrzeć?

Na jeziora, rozlewiska, starorzecza, płytkie morskie zatoki i zalewy.

Czego wyglądać?

Głęboko zanurzonego ptaka, z którego niczym peryskop wystaje długa, jasna szyja i uzbrojona w dość długi, spiczasty dziób głowa – w sam raz na ryby. Od wiosny do lata głowy perkozów ozdobione są dwoma czarnymi czubami, które pięknie kontrastują z białymi polikami, kasztanoworudymi, czarno zakończonymi kryzami i rubinowym okiem.

Czego nasłuchiwać?

Wibrującego beczenia kozy albo przypominającego szczekanie „Kek! Kek!". Ani to ładne, ani szczególnie nastrojowe, ale dobrze niesie się po wodzie i chyba perkozom się podoba, bo odzywają się głośno i często.

Kiedy?

Od wiosny do jesieni, na niezamarzających wodach coraz częściej cały rok.

[70] Od zarania byliśmy zafascynowani ptakami, a ich pióra używane były w krawiectwie, modzie i dekoratorstwie od początków naszych cywilizacji. Trend ten ciągle się nasilał, a swoje apogeum osiągnął w Europie i Ameryce Północnej w drugiej połowie XIX wieku. Pióra dzikich ptaków i handel nimi stały się wtedy gigantycznym biznesem, a nawet jednym z głównych punktów odniesienia dla polityki międzynarodowej. Pióra napędzały wielkie gospodarki i światowe giełdy. Wartość niektórych wielokrotnie przewyższała cenę złota. Ostateczny kres gorączce piór przyniosła pierwsza wojna światowa oraz rewolucja kulturowa, którą uruchomiła. Zmieniły się kobiety, zmieniły się społeczeństwa. Biznes musiał się dostosować.

[71] Wszystkie te rodziny należą do tego samego rodu, a naukowo rzecz ujmując, kladu, zwanego *Columbea*. Słowo „klad” pochodzi z greki i oznacza grupę gatunków mających wspólnego przodka.

Czapla siwa.
Praptak na rybach

Bezruch posągu gdzieś na skraju wody i tajemnicza sylwetka, nad którą unosi się niemożliwie długa szyja. W niespiesznym locie szyja znika, cała postać szybko ciemnieje i bardziej niż ptaka przypomina wielki latawiec. To przez szerokie, sztywne, łukowato wygięte skrzydła, za którymi ciągną się długie nogi. Czaple poza swoimi koloniami lęgowymi rzadko się odzywają, ale gdy to się stanie, ich głos mógłby obudzić umarłych. Coś jakby krakanie, tylko że z zaświatów. Spotkanie z nimi jest jak podróż w czasie,

szczególnie o świcie i o zmierzchu. Pośród ciszy ich gotyckie wołanie nabiera głębi, a wypełnione własnym cieniem skrzydła w rozproszonym świetle stają się jeszcze większe. To pora czapli. Może z prehistorii Ziemi przylatują do nas na ryby…? Czaple naprawdę są bardzo stare. Pojawiły się w paleogenie, około 60 milionów lat temu, niedługo po tym, jak skończyły się dinozaury, a na scenę wbiegły ssaki i ptaki. Czaple z pewnością dostojnie na nią wkroczyły.

Czaple to iluzjonistki. Udają dużo większe i silniejsze, niż są w rzeczywistości. Tymczasem wysokie na metr, ważą najwyżej nieco ponad dwa kilogramy, często tylko jeden. Mniej więcej jedna piąta tego to pióra. Te w skrzydłach, lotki, zapewniają im rozpiętość sięgającą 1,75 metra. Nic dziwnego, że w porywistym wietrze czaple wolą trzymać się ziemi. Stosunkowo najwięcej ważą ich głowa i dziób. Są tak ciężkie, że czapla w locie nie może wyciągnąć ich do przodu, tak jak robią to inne ptaki. Przesunął jej się kluczowy dla wszystkich latających środek ciężkości. Po co więc taki ściągający do dołu dziób? Bez niego czapla byłaby zupełnie bezbronna, a tak może celować nim prosto w oczy napastnika. I lepiej uważać, bo czaple są uosobieniem nie tylko cierpliwości, ale i precyzji. Tę najlepiej widać w czasie polowania na ryby. Tutaj sztyletowaty dziób sprawdza się jak mało który, a jego kiedy indziej kłopotliwy ciężar zapewnia szybkość i siłę uderzenia. Co ze środkiem ciężkości? Czaple znalazły nowy – zwijają szyję w

kształt litery S. Mogą to robić dzięki specjalnej budowie kręgów oraz dwóm stawom szyjnym. Co prawda nie mogą wykręcić szyi, tak jak inne ptaki, za to wyrzucają ją przed siebie z prędkością, przed którą nawet ryby nie potrafią uciec.

Czapla kojarzy nam się z rybami – i słusznie. Jej też wszystko się z rybami kojarzy. Żeby je dostać, zastyga na całe godziny lub brodzi w wodzie w taki sposób, że na jej powierzchni nie powstaje ani jedna zmarszczka. Czasami wyciąga się jak struna i w tej trudnej nawet dla najbardziej zaawansowanych joginów pozycji może pozostawać całe kwadranse. Czeka na moment, aż ryba wpłynie w pole rażenia. Wtedy w ułamku sekundy uderza ją swoim harpunem. Najchętniej łowi takie po 10–20 centymetrów i połyka je na miejscu. Duże ryby, a takie też jej się zdarzają, zanosi na brzeg i dźga w głowę albo ogłusza, uderzając o wystający kamień czy konar. W oczekiwaniu na rybę czapla może złapać jakąś ważkę. Te większe zjada, te mniejsze rzuca na wodę jako przynętę. Jeśli nie owad, to może piórko albo listek. Jak każdy doświadczony wędkarz wie, że nawet w najlepszym miejscu spokój i cierpliwość nie zawsze gwarantują udany połów. Gdy ryba wciąż nie bierze, to może znajdzie się jakiś rak, żaba, zaskroniec, karczownik, nornik, mysz lub szczur. Gryzonie czapla niesie do wody i topi je, przytrzymując dziobem pod powierzchnią. Jeśli nie ma wody – dźga, dusi, łamie kręgosłup lub kark. Kręcące się w pobliżu pisklęta albo niczego niepodejrzewające mniejsze ptaki też

powinny uważać. Tak, czapla jest drapieżnikiem. Ofiary najczęściej połyka w całości, a przez swoją gardziel i cienką szyję może przeprowadzić zaskakująco duże sztuki. Powinna jednak uważać, bo już nieraz się zdarzyło, że ostre pazury lub kolce po drodze do żołądka rozcięły którejś przełyk. Roztropna czapla dużą i ryzykowną zdobycz albo solidnie *zluzuje*, albo podzieli na kawałki. Rekordzistka, która przeżyła 37 lat i 6 miesięcy, musiała jeść nie tylko ostrożnie, ale i dobrze.

Czapla widzi nas, zanim my zobaczymy czaplę. Przeważnie jest już w pozycji alarmowej lub unosi się w powietrzu… Byleby jak najdalej od nas. Jej siostry przez całe wieki były zjadane, a także przetapiane na tłuszcz, którym nacierano sieci, kije wędkarskie, a nawet robaki na przynętę. Ludzie wierzyli, że w ten sposób przejmą ich magiczne moce i żadna ryba im się nie wyślizgnie. Przywiązywane na skraju szuwaru, robiły za wabie w czasie polowań na ptaki wodne (nikt dokładnie nie wie, jak to działało). Przez co najmniej sto lat z powstańczym zapałem zabijaliśmy czaple dla ich pięknych piór (czyli pieniędzy), przez co najmniej tysiąc tylko dlatego, że tak jak my lubiły ryby. U nas to wciąż powszechne, mimo że w całym kraju lęgnie się najwyżej dziewięć i pół tysiąca par. Co więcej, szczegółowe badania pokazują, że nie ma lepszego sposobu na zdrowe ryby w stawie hodowlanym niż systematyczne wizyty naturalnego selekcjonera, ale co tam naukowe argumenty wobec chłopskiego rozumu…

Zachodnioeuropejskie czaple szybko się urbanizują i w wielu aglomeracjach czują się u siebie. Najbardziej zaczaplone są Sztokholm, Kopenhaga, Londyn i Amsterdam. Siwe oprócz tego, że wędkują tam w licznych kanałach, chętnie zaglądają na targi rybne i do barów, nie tylko rybnych. Od frontu i od zaplecza. Odwiedzają parki i ogrody, gdzie wchodzą w układy ze stałymi bywalcami i właścicielami: „Nie będę się bać, będę do ciebie przylatywać i możemy spędzać ze sobą dużo czasu, za to ty będziesz podawać mi ryby, owoce morza albo kawałki kurczaka. Mogą być resztki, które i tak wyrzucasz". Czaple zapuszczają się również do ogrodów, w których nie darzy się ich szczególnym zaufaniem, ale są tam oczka wodne pełne złotych rybek. Idealne miejsce dla trenującej młodzieży. Tam najlepiej latać w księżycowe noce albo o świcie, kiedy właściciele śpią. Czaple siwe są też obecne w Trójmieście, choć zachowują się tutaj dużo bardziej dyskretnie. Można je czasami zobaczyć, jak o pierwszym brzasku albo w półmroku wieczoru ciągną po niebie w swoim zamierzchłym stylu. Mają nawet malutki czapliniec w oliwskim zoo. Miejskie czaple w ogóle lubią ogrody zoologiczne, a ich ukochane zwierzęta to pingwiny, pelikany, bociany, wydry i foki.

Gdzie patrzeć?

Na porośnięte brzegi spokojnych wód, na płytkie rozlewiska i zatoki, okolice stawów rybnych. Wiosną i latem w czaplińcach.

Czego wyglądać?

Eleganckiego, stalowoniebieskiego ptaka na wysokich nogach, z długą, esowatą szyją, gustownie znaczoną czernią. Wiosną czaple suknie nabierają pudrowej głębi, a szyku dodają im wydłużone pióra na piersi i barkach oraz czarna wstążka zwisająca z tyłu głowy, kontrastująca z zaróżowionymi polikami, przenikliwym, złotożółtym spojrzeniem i masywnym żółtoróżowym dziobem. Po sezonie wszystkie głębie i kontrasty się wypłycają. Czaple siwe stają się w końcu siwe, a najsiwsza jest młodzież. W bezpiecznych miejscach najedzone i zrelaksowane czaple, podobnie jak inne długonogie ptaki, mają zwyczaj przysiadania na ziemi w pozycji, którą umownie możemy nazwać klęczącą. W końcu ileż to można stać na palcach…?[72]

Czego nasłuchiwać?

Ochrypłego, głębokiego krakania. W tłocznych czaplińcach stylowe wołanie ustępuje kakofonii krzyków, skrzeków i pisków. Nieprzyzwyczajonym do takiej bliskości ptakom puszczają nerwy, a do tego dzieci w gniazdach ciągle kłócą się o rybę.

Kiedy?

Od wczesnej wiosny aż do momentu, kiedy woda znowu nie zamarznie. Kiedyś tylko na zachodzie, obecnie czaple coraz częściej zimują w całym kraju.

---

[72] Technicznie i anatomicznie rzecz biorąc, wszystkie ptaki chodzą na palcach. To, co zwykle bierzemy za kolano, to tak naprawdę staw kostkowy i dlatego, jak wszystkie kostki, zgina się do tyłu. Kolano to ten kolejny, wyższy i poza wyjątkami przykryty piórami staw, który jak wszystkie kolana zgina się do przodu. Ptaki wcale nie są tutaj wyjątkowe. Według tego samego planu zbudowane są kończyny naszych psów, kotów czy kopytnych. Stopy to specjalność naczelnych (lemurów, małp i palczaków) oraz niedźwiedzi.

Zimorodek.
Kolorem w zimę!

Jeden z tych ptaków, o których każdy chyba słyszał, ale tylko nieliczni go widzieli. Może i nawet mignął gdzieś nad wodą, ale było to tak szybko, że zaskoczony obserwator nie zdążył nawet pomyśleć. A może pomyślał, że to złudzenie optyczne – niebieski zajączek, znikający świetlny punkt. Za to jeśli ktoś naprawdę zobaczył zimorodka, na długo zapamięta ten moment. Nie więcej – ułamki sekundy! To jak doświadczyć cudu. Ludzie kiedyś mówili, że zimorodki przyniosły swoje niebieskości z samego nieba i że świeciły w ciemnościach. One jednak w ciemnościach gasną, bo ich elektrycznie niebieskie pióra wypełniają barwy strukturalne i bez odpowiedniego światła stają się… brunatne.

Wciąż otwarte pozostaje pytanie, dlaczego zimorodki są aż tak niebieskie – od lazurowych błękitów, przez turkusy, po szmaragdy. Wydaje się, że kolory nie mają znaczenia w ich godowych rytuałach. I dziewczyny, i chłopaki są tak samo olśniewający. Może więc chodzi o to, żeby się widzieć i rozpoznawać z daleka. Od pierwszego wejrzenia, kątem oka. Ptaki też uprawiają *birdwatching*, a każdy gatunek stara się wysyłać możliwie czytelne sygnały identyfikacyjne, żeby nie tracić czasu na uganianie się za kimś, z kim i tak nie można (albo nie warto) mieć dzieci, nie da się spędzić zimy na miejscu ani wybrać na południe. Albo przeciwnie – ten ktoś nie jest bezpośrednim konkurentem w wyścigu po ograniczone zasoby, więc po co się spinać. (Sami najlepiej wiemy, jak to jest…) Zimorodki wysyłają niebieski. Tyle

że te sygnały czynią je dużo bardziej wyrazistymi i na pewno piękniejszymi, niż potrzeba. (Podobnie jest w przypadku kraski, żołny, wilgi, bażanta, różnych kaczorów i wielu, wielu innych ptaków). Kłopot w tym, że ludzie też są wzrokowcami i lubią ładne rzeczy. Pióra i skalpy zimorodków przez wieki były wykorzystywane przez modystki i krawców lub choćby do dekoracji wnętrz oraz drogich, sklepowych witryn. Używali ich wędkarze (do produkcji muszek), a nawet niespełnieni w miłości. Wierzyli, że jak potajemnie posmyrają pierzastym puklem obiekt swoich westchnień, ten wkrótce odwzajemni ich uczucia. Podwieszane w domach zasuszane ciałka turkusowych ptaszków miały przynosić szczęście, przepowiadać pogodę i chronić przed piorunami. Z tych samych powodów zabierali je w morze marynarze. Może jednak nie warto być pięknym i oryginalnym w świecie rządzonym przez ludzi?

Żywe zimorodki osiedlają się nad spokojnymi i przejrzystymi wodami. Każdy z nich zajmuje około kilometra rzeki, odpowiednio długi odcinek linii brzegowej jakiegoś jeziora, staw lub dwa po sąsiedzku. Gniazda normalnie zakładają w norach, więc urwisty brzeg lub jakaś skarpa niedaleko są nieodzowne. Tam para kopie około metrowej głębokości tunel, na którego końcu znajduje się przestronna komora lęgowa. Podrośnięte pisklęta, które przychodzą na świat po blisko trzech tygodniach wysiadywania (rekordowo długo jak na tak małe ptaki), siadają w wianuszku i

przesuwają się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aby każde z nich po kolei, bez awantur i niepotrzebnej rywalizacji, było przy wejściu, gdy mama lub tata przylecą z rybką. I tak przez blisko miesiąc, od świtu do zmroku, kręcą się w swojej norze małe, niebieskie (a właściwie brunatne) ptaszki…

Od dziecka dobrze zorganizowani, z natury nietowarzyscy indywidualiści, zimorodki traktują życie bardzo poważnie. Tam, gdzie nie muszą odlatywać na zimę, pary zwykle dobierają się jesienią, ale granice sąsiadujących ze sobą terytoriów zostaną zniesione dopiero wiosną. Ich przekraczanie – szczególnie przez obcych – może spotkać się ze zdecydowaną reakcją. Walczące ze sobą zimorodki nie żartują. Każdy próbuje chwycić przeciwnika za dziób i przytrzymać go pod wodą. Z taką samą determinacją biją się o potencjalnych partnerów dziewczyny z okolic, gdzie tych pierwszych brakuje. Może ta czerwień na dolnej połowie ich poza tym czarnego jak u samczyków dzioba to wcale nie szminka…? Zimorodki są takie dokładne i radykalne, bo wiedzą, że krótko żyją i nie mają czasu do stracenia. Teraz albo nigdy! W szczególności nie lubią dzielić się łowiskiem. Ryba nie zawsze bierze, a one każdego dnia powinny zjeść około 60 procent tego, co same ważą – jakieś 10 rybek (i tylko wyjątkowo coś innego). Gdy w norze czekają głodne pisklęta, presja jest jeszcze większa.

Wielka głowa i dziób sprawiają, że u zimorodków (również) przesunął się tak ważny dla wszystkich latających ptaków środek

ciężkości. Utrudnia im to latanie, ale ułatwia nurkowanie! Skaczą na główkę, a raczej dziób, po czym wracają z rybką na swoją grzędę. Najpierw ogłuszają zdobycz, uderzając nią o gałąź lub kamień, na którym siedzą, jeśli trzeba, obłamują wystające z płetw kolce, wreszcie ustawiają ją głową do wewnątrz i połykają. Po udanym polowaniu zwykle przelatują w inne miejsce, żeby dać rybkom czas na uspokojenie się – i całą operację powtarzają od nowa. Niestrawione resztki, ości i łuski zostają zwrócone w postaci srebrzystych wypluwek.

Zimą wielkodziobe ptaszki pojawiają się nad niezamarzniętymi jeszcze wodami, często tam, gdzie wcześniej nikt ich nie widział. A może po prostu nie zauważył. W każdym razie na tle białego śniegu albo bezlistnej szarugi nie sposób przeoczyć mieniącego się jak klejnot ptaka. I tak narodziło się jego imię. W innej, chyba mniej prawdopodobnej wersji zimorodek ma być utrwaloną trawestacją ziemiorodka. Jak na ironię, mroźne zimy to największa zmora zimorodków – zaraz za ludźmi, którzy wyrównują i rozjeżdżają co bardziej urwiste brzegi jezior, rzek i strumieni, o ich betonowaniu nawet nie wspominając. Dlatego w niemałej Polsce żyje dwa i pół, najwyżej sześć tysięcy par maleńkich zimorodków, z tendencją spadkową. W ograbionym krajobrazie zaledwie jedna czwarta młodzieży ma szanse wejść w wiek dojrzały i tyle samo dorosłych przeżywa kolejny rok. Mimo to

najstarszy zimorodek, o jakim wiemy, doczekał 21 lat. Cudzoziemiec.

Zimorodki, tak jak wiele innych ptaków, miały pochodzić od ludzi, którzy z różnych powodów nie mogli dalej żyć, ale bogowie pozostawili ich wśród nas w nowym wcieleniu. Czasami z litości, czasami z miłości, przeważnie ku przestrodze. Zamiana w ptaki rozwiązywała problemy inaczej nierozwiązywalne lub niepojmowalne, pomagała uniknąć eskalacji konfliktu lub rozlewu krwi, poza tym dusze ludzkie po śmierci i tak unosiły się w zaświaty w ptasich ciałach. Przodkowie pierwszej pary zimorodków, Alkione i Keyks, mieszkali na rajskiej wyspie, byli piękni, młodzi i zakochani. Tak bardzo zachłysnęli się swoim szczęściem, że ona zaczęła nazywać go Zeusem, a on wołał ją Hera… Bogowie uznali to za bluźnierstwo, więc nie powinno nas dziwić, że któregoś dnia Alkione znalazła martwego Keyksa na brzegu morza, i niewiele myśląc, sama rzuciła się do wody, aby połączyć się ze swoim ukochanym. Poruszeni tą sceną bogowie nie mogli (albo nie chcieli) przywrócić jej życia, ale zamienili oboje w parę lazurowych jak greckie wybrzeże zimorodków, które już nierozłączne, po wsze czasy miały żyć nad wodą. Echa tamtych wydarzeń wciąż zapisane są w ich łacińskiej nazwie *Alcedo atthis*, której druga część oznacza burzliwe przybrzeżne fale albo patronującą im boginkę. To także imię córki Kranaosa, jednego z mitologicznych władców Aten, która jednak nie ma nic wspólnego

z narodzinami pierwszych zimorodków). Alkione już jako zimorodek próbowała uwić gniazdo w morskiej pianie, ale fale ciągle je niszczyły. Wtedy jej ojciec Eol, władca wiatrów, zarządził na początku każdej zimy siedem dni ciszy, żeby para mogła bez przeszkód wychować swoje potomstwo. Okres pogodnego nieba i spokojnego morza rozpoczyna się zwykle około połowy listopada i w niektórych związanych z morzem kulturach wciąż nazywany jest dniami zimorodka.

Gdzie patrzeć?

Na spokojne, osłonięte drzewami lub szuwarem rzeki i jeziora, najlepiej w pobliżu wysokich, urwistych brzegów.

Czego wyglądać?

Malutkiego (wielkości wróbla), bardzo niebieskiego ptaszka z ogromną głową i jeszcze większym dziobem. Od spodu pomarańczoworudy, z maleńkimi, czerwonymi, syndaktylnymi stopami[73]*. W ruchu – a tak najczęściej go widzimy, gdy spłoszony*

odlatuje ze swojej czatowni – wygląda jak turkusowy pocisk w otoczeniu wirujących skrzydełek. Siedzącego nieruchomo wśród zielonych liści zwykle przegapiamy.

Czego nasłuchiwać?

Metalicznego, lekko wibrującego i niezbyt głośnego „Psi!" lub „Tsi!", które turkusowy ptaszek wyrzuca, przemykając nad wodą.

Kiedy?

Cały rok.

---

[73] Czyli takimi, w których zewnętrzny i środkowy palec – drugi i trzeci – są częściowo połączone. Tego typu stopy ma jeszcze wiele innych kraskowych (rząd, do którego oprócz zimorodków należą żołny, piłodzioby, płaskodziobki i oczywiście kraski) oraz dzioborożce.

Bagna są dobre!

Wiosną 2020 spłonęło prawie sześć tysięcy hektarów biebrzańskich bagien. Oczywiście jakiś zły i głupi człowiek podłożył tam ogień, ale jeszcze kilka lat temu taki pożar byłby niemożliwy, bo cały teren był mocno nasiąknięty i przynajmniej częściowo zalany wodą. Tamtej wiosny słynne na całą Europę torfowiska były suche! To być może pierwsza taka wiosna nad Biebrzą w jej całej historii, która liczy około 12 tysięcy lat. Latem nawet duże rzeki, takie jak Narew czy Noteć, przestają płynąć, a przez Wisłę w wielu miejscach można przejść suchą stopą, przeskakując z łachy na łachę. Są w Polsce regiony, gdzie poziom wód gruntowych jest tak niski, a susza glebowa utrzymuje się tak długo, że obserwuje się już pierwsze oznaki pustynnienia.

Zastanawiacie się czasami, skąd bierze się woda, którą pijemy my i nasze zwierzęta, która nawadnia pola, sady oraz lasy, przerabiane potem na belki, meble lub opał…? Woda, w której się kąpiemy, nad którą odpoczywamy i na której opiera się przemysł, a niejeden zrobił wielkie pieniądze… Cała ta woda krąży w obiegu zamkniętym i nie będzie żadnej przesady, jak powiem, że spada nam z nieba. W postaci deszczu, śniegu, a czasami gradu. Jak się

tam dostała? Wyparowała z ziemi, z różnych wód stojących, wolno płynących rzek, a także z drzew, krzewów i bagiennych roślin, które chłoną wodę jak gąbka, tak samo jak gleba, na której rosną. Możecie się o tym przekonać, wkładając do miski z wodą kawałek przesuszonego torfu albo garść mchów, najlepiej torfowców. Inne gleby i rośliny też wiążą wodę, gdy jest jej dużo, i uwalniają, gdy robi się sucho, ale żadne nie robią tego tak dobrze jak torfy, rosnące na nich rośliny i wielkie, liściaste drzewa. W jednym dojrzałym drzewie stale krąży kilkaset litrów wody! Nie wierzycie? To dlaczego nikt nie pali świeżym, to znaczy mokrym drewnem? Wspomniane Bagna Biebrzańskie, jedyny w Polsce w większości nieprzekształcony kompleks torfowisk, na łącznej powierzchni niespełna 80 tysięcy hektarów retencjonuje średnio 177,5 miliona metrów sześciennych wody! Zdolności retencyjne ostatnich, niewielkich już i rozrzuconych po kraju mokradeł są tak wielkie, że gdybyśmy wycisnęli zgromadzoną w nich wodę, na obszarze całej Polski powstałoby rozlewisko o głębokości 11 centymetrów! Naszych deszczów nie przygania wiatr znad Amazonii, ich źródłem jest woda parująca na miejscu.

Ktoś powie, że skoro to takie proste, to dlaczego u nas ostatnio pada tak nieregularnie, a jeśli już, to coraz częściej przypomina to oberwanie chmury? Nie wiecie…? To wyjrzyjcie przez okno albo wyjdźcie przed dom. Wasze osiedle lub podwórko jest już w całości wyłożone betonem, czy są tam jeszcze jakieś wolne, to znaczy

przepuszczalne dla wody miejsca? Takie, gdzie zamiast szybko spływać na drogę albo do miejskiej lub wiejskiej kanalizacji, może ona wsiąkać w glebę, w korzenie, łodygi i liście? Nawet tam, gdzie pozostało trochę przestrzeni, najczęściej zamieniono ją w idealnie równy, strzyżony co kilka dni trawnik, z którego woda wyparowuje niemal równie szybko, jak na niego pada[74]. Podobnie dzieje się jesienią i zimą, bo zgrabiamy wszystkie liście, nie zważając na to, że te opadły między innymi po to, żeby osłonić glebę (oraz nasiona i korzenie zimujących w niej roślin) przed wysuszającym wiatrem i mrozem. Dojrzałe, wodonośne, chroniące przed chłodem i upałami drzewa już dawno zostały wycięte albo zamienione w szpetne kikuty. Jak okiem sięgnąć wszędzie to samo. Nie darowaliśmy nawet śródpolnym alejom i zagajnikom. Osuszamy ostatnie oczka wodne, zakopujemy strumienie, drenujemy zagłębienia, gdzie czasami wiosną stagnuje woda. Konsekwentnie pozbywamy się naturalnych zbiorników retencyjnych i zalewamy betonem co się da. Nie ma parowania z ziemi, nie ma deszczu z nieba. Ktoś powie, że to tylko jedna wycięta aleja, jeden zabetonowany ogród albo jeden zakopany staw w środku pola. To niech się lepiej rozejrzy…

Na przestrzeni ostatnich 70 lat osuszyliśmy niemal wszystkie bagna i mokradła, jakie mieliśmy w naszym kraju, i uregulowaliśmy większość rzek. Tylko w latach 2016 i 2017 tak zwane odmulanie wykonano na łącznej długości około 18 tysięcy

kilometrów potoków i rzek, a zarośla przybrzeżne i podwodne usunięto z prawie 30 tysięcy kilometrów! Pozbawiane swojej flory, prostowane i pogłębiane koryta przy niskich stanach wód gruntowych, co jest już u nas normą, działają jak zwykłe rowy melioracyjne – osuszają teren, przez który płyną. Te wykopane celowo też są stale pogłębiane, a do tego powstają nowe, co pogarsza już i tak fatalny bilans wodny. Naturalne rzeki meandrują lub rozdzielają swoje koryta, czym wyhamowują nurt i zwiększają stagnowanie. Podobnie jak śródrzeczne wysepki oraz rosnące po brzegach szuwary, drzewa i krzewy, które razem z bujnymi podwodnymi łąkami przechwytują ogromne ilości wody. Stojąca lub leniwa woda wsiąka w grunt i rośliny, skąd wolno wyparowuje, żeby powrócić w postaci deszczu. I o to chodzi, bo dużo ważniejsze od tego, ile wody spadnie z nieba, jest to, jak długo da się ją zatrzymać w ziemi. Brak miejsca dla wody oraz przyspieszenie tempa spływu to pewny przepis na nieszczęście – i susze, i powodzie. Woda w rzece jest jak samochód na drodze. Wyprostować i uregulować jej bieg to tak, jak zamienić wyboistą i krętą drogę polną w jednokierunkową jezdnię szybkiego ruchu. Albo trzymać w domu stale otwarte krany. Setki tysięcy kilometrów rowów melioracyjnych pocięły cały kraj jak długi i szeroki. Do spółki z wyprofilowanymi w trapez potokami i rzeczkami pospiesznie odprowadzają wodę do większych rzek, które szybko wpadają do Wisły i Odry, które to jeszcze szybciej wlewają się do Bałtyku. A gdy jakaś rzeczka występuje z brzegów

i zamienia się w małe tsunami – kto albo co ma ją zatrzymać? Chciałaby po drodze oddać część swojej mocy i wilgoci ziemi, drzewom, kaczeńcom i tatarakom, ale nie mogła, bo całe jej koryto zostało wybetonowane i nie miała z nimi kontaktu.

Kumulacja głupich decyzji i lata masowych melioracji doprowadziły do tego, że zatrzymujemy zaledwie 6,5 procent wody, która przepływa przez nasz kraj. To jest nic w porównaniu ze stanem sprzed melioracyjnego szaleństwa i o wiele za mało, żeby uchronić nas zarówno przed suszą, jak i powodziami, a jedne i drugie coraz częściej pojawiają się w tym samym czasie i miejscu. Fale powodziowe najczęściej ustępują, zanim zdążą nawilżyć przesuszoną i skompaktowaną ziemię. To, co mogłoby zatrzymać dla większości z nas niewidoczną, ale niebezpieczną i od lat postępującą suszę glebową, to wzrost poziomu wód gruntowych i/albo wiele miesięcy ciągłych, niezbyt silnych opadów. Mamy dzisiaj jedne z najmniejszych zasobów wody na kontynencie, o zdewastowanym krajobrazie i Przyrodzie nawet nie wspominając. Podczas gdy na jednego mieszkańca Europy przypada średnio 4560 metrów sześciennych wody, na jednego Polaka tylko 1563. Tymczasem, jeśli wierzyć przewidywaniom, już za osiem lat zapotrzebowanie na wodę pitną ma przekroczyć nasze zasoby o 40 procent. Jakby tego było mało, potroiła się w Polsce liczba dni upalnych, co oznacza, że wilgotność powietrza

spada, a parowanie przyspiesza. Kłopot w tym, że nie bardzo mamy to czym zrównoważyć. Ale wcale nie musi tak być…

Zamiast pozbywać się wód opadowych, powinniśmy jak najszybciej zwiększyć ich retencję, opierając się na wypracowanych przez Naturę systemach, w których woda wiąże się z roślinami i z glebą. Sztuczne, najczęściej zabetonowywane zbiorniki pozbawione są kontaktu z ziemią, więc przyspieszają parowanie i znaczna część zatrzymywanej w nich wody i tak się marnuje. Co gorsza zamiast stabilizować przepływy wód w rzekach – zaburzają je. Musimy zatkać lub zakopać część rowów melioracyjnych i uwolnić rzeki. Odtworzenie części mokradeł, w tym przede wszystkim szerokich połaci naturalnych, rzecznych polderów zalewowych, które zgodnie z tradycją mogłyby być wykorzystywane jako żyzne łąki i pastwiska, to najskuteczniejszy system przeciwpowodziowy i najlepszy sposób trwałego zabezpieczenia się przed suszą. Dodatkowo powinniśmy zacząć robić to, co robią rolnicy w krajach suchych – tworzyć lub w naszym przypadku odtwarzać zakopane stawy i jeziorka, a także sadzić drzewa lub jeszcze lepiej przestać wycinać te, które już mamy. Kluczowa jest ochrona jakimś cudem ocalałych z pogromu starodrzewów i dojrzałych lasów z mechowiskami oraz dużą ilością martwego drewna. Od stoków górskich po nadmorskie bory bażynowe. W odbudowaniu naszej małej retencji oraz bezpieczeństwa wodnego pomogą nam bobry – jeśli tylko im na to pozwolimy, zamiast do nich strzelać.

Wiemy, co i jak trzeba zrobić. Jak zwykle największym problemem są stare nawyki i brak dobrej woli albo krótkowzroczne interesy różnych grup nacisku. To pewnie dlatego w dalszym ciągu regulujemy rzeki – nawet jeśli płyną pośród łąk i lasów. Skąd plany zamienienia Odry w żeglowny kanał? Dlaczego tego typu działania, wbrew zdrowemu rozsądkowi oraz własnym dyrektywom, dofinansowuje Komisja Europejska? Nie rozumiem. Dobra wiadomość jest taka, że reszta zależy od nas i możemy zacząć od własnego podwórka, ogrodu, łąki lub pola.

Bagna są dobre, piękne i bardzo potrzebne. Roczną wartość usług ekosystemowych, które zapewnia 20-kilometrowy odcinek wspomnianej bagiennej doliny Biebrzy (poza ochroną przed suszą i powodzią są to m.in. pochłanianie trującego dla nas i zabójczego dla klimatu dwutlenku węgla, oczyszczanie wody i powietrza, nawożenie łąk i pastwisk), szacuje się na ponad pięć i pół miliona euro! Z punktu widzenia ekonomii oraz przyszłości naszej cywilizacji mokradła to najcenniejsze siedliska na Ziemi. Średnia wartość rocznych usług ekosystemowych, które zapewniają te w dużych deltach, to 23 tysiące dolarów w przeliczeniu na jeden hektar. Hektar bagiennej doliny rzecznej, jak biebrzańska czy odrzańska, wykonuje pracę wartą 19 600 dolarów, podczas gdy intensywnie użytkowane pole – 92 dolary[75]. Ale bagna to przede wszystkim życie. Te śródrzeczne mają go w sobie więcej niż wszystkie nasze pola razem wzięte i jakiekolwiek inne siedlisko.

[74] Częste i krótkie strzyżenie oprócz tego, że przyspiesza parowanie z gleby, nie służy trawnikowi – wystawia jego korzenie na przesuszenie i przegrzanie. To latem, w chłodnych porach – na wychłodzenie.

[75] Wartości pochodzące z opublikowanego w 1997 roku w „Nature” raportu wymagają oczywiście rewaloryzacji, dobrze jednak oddają skalę i proporcje zagadnienia. Badania prowadzone były przez zespół Roberta Constanzy i pomimo upływu czasu wciąż uważane są za modelowe w swojej dziedzinie.

ŁABĘDŹ
NIEMY

Może nie całkiem niemy – ale wszystko, co ma do powiedzenia, to stłumione chrapnięcia, parsknięcia i jęknięcia. Grożąc komuś, w złości lub zdenerwowaniu – syczy. I to jak! Zakochane pary czasami *nucą* sobie, układając długie szyje w kształt serca, jednak żeby usłyszeć ich wokalizy, najlepiej być jednym z nich. Ot i cała łabędzia pieśń. I raczej na otwarcie niż na zakończenie. Skąd zatem wzięła się romantyczna legenda? Podobno śmiertelnie ranione przez myśliwych łabędzie, zanim runą na ziemię, przejmująco krzyczą. Z kolei przy podnoszeniu martwych ptaków uchodzące z płuc powietrze wprawia w drgania ich tchawicę, uwalniając ostatnie wołanie. Ale jedno i drugie, jeśli w ogóle, mogłoby zdarzyć się bardzo wokalnym z natury łabędziom krzykliwym i bewikom. Może początek legendy, tak jak wiele innych początków, sięga antycznej Grecji i Arystotelesa, który w swojej *Historia animalium*, pierwszej w dziejach książce przyrodniczej (najprawdopodobniej powstała około połowy IV wieku p.n.e.), napisał, że łabędzie nieme śpiewają tylko raz, na krótko przed śmiercią, i słyszą to tylko nieliczni, bo ptaki, czując, że zbliża się ich godzina, wypływają samotnie w morze…

Łabędź niemy najgłośniejszy jest w locie, kiedy jego skrzydła tną powietrze ze świstem, który dobry wiatr niesie na odległość dwóch kilometrów. Nikt inny tego nie robi. Gęsi krzyczą, żurawie trąbią, wrony kraczą, a łabędzie nieme świszczą. Subtelnie i klimatycznie. Wystarczy jednak, żeby wszyscy dookoła wiedzieli,

kto ciągnie po niebie i że lepiej ustąpić mu pierwszeństwa. Łabędź nie musi być głośny. Wystarczy, że jest duży. To jeden z największych ptaków latających na świecie, a do tego rekordzista w kategorii masy. Pewien samiec doszedł do 23 kilogramów i był tak ciężki, że nie mógł oderwać się od ziemi! Większe i jeszcze bardziej onieśmielające są tylko łabędzie trąbiące z Ameryki Północnej. Największy, o jakim wiemy, rozkładał skrzydła na szerokość 3,1 metra i miał 1,82 metra długości (mierzonej od czubka dzioba do końca ogona). Gdyby się wyprostował, niejednemu z nas mógłby spojrzeć prosto w oczy, ważąc przy tym jedyne 17,2 kilograma. Najbardziej okazałe łabędzie nieme nie przekraczają 1,7 metra długości oraz 2,4 metra rozpiętości skrzydeł, mimo to wiele z nich przewyższa swoich kuzynów masą, a wymarły podgatunek *Cygnus olor bergmanni* był od nich większy co najmniej o jedną trzecią!

Łabędzie nieme wielkość mają we krwi. Są tak duże i ciężkie, że większość życia spędzają na wodzie. Ich czarne, duże jak talerze stopy są ciągle za małe, żeby zapewnić im swobodne poruszanie się na lądzie. I chociaż łatwiej wziąć tam rozbieg i wzbić się w powietrze, to lądowanie niesie ze sobą poważne ryzyko. Opadające na wodę ptaki zwyczajnie wyciągają przed siebie nogi i zanim rozsiądą się na fali, uprawiają przez chwilę narciarstwo wodne. Może dlatego po każdym *wodowaniu* wyglądają na takie zadowolone? Dorosłe zrezygnowały nawet z jakiegokolwiek

kamuflażu i świecą w krajobrazie niczym sceniczne reflektory. Są tak wielkie, że wydaje nam się, że jest ich dużo więcej niż w rzeczywistości. Tymczasem w całym kraju żyje najwyżej 14, a na świecie około 600 tysięcy łabędzi niemych. Imponujące rozmiary stały się ich wizytówką, widoczną z daleka gwarancją bezpieczeństwa i arystokratycznego tempa życia, na które tylko najwięksi mogą sobie pozwolić. Kiedy są głodne, po prostu zanurzają głowy i skubią trawę z podwodnych łąk. Nie spieszą się. Przecież i tak nikt inny tam nie sięga. Kiedy ktoś okazuje wobec nich drapieżne zamiary, najpierw muszą opanować zdziwienie. Zwykle wystarczy, że lekko uniosą łokcie, żeby śmiałkowi się odechciało. Stąd te widowiskowe żagle, które nieme stawiają również wtedy, gdy chcą zwrócić na siebie uwagę płci przeciwnej, uczcić swój związek, onieśmielić konkurenta, zaznaczyć terytorialną własność albo kiedy są po prostu zadowolone z życia.

Miejskie łabędzie są przyzwyczajone do obecności ludzi i ptaki bez przykrych doświadczeń nie kojarzą nas z zagrożeniem, ale na dzikich szlakach lepiej uważać. Szczególnie jeśli zobaczymy, że parze wielkich ptaków towarzyszą pisklęta. Żadne inne pisklę i w ogóle mało które zwierzęce dziecko ma taką ochronę, jak małe łabędzie. Trudno o bezpieczniejsze miejsce niż puchowy materac pod żaglami mamy łabędzicy. Ojcowie rzadziej zabierają dzieci na przejażdżkę – chcą być w każdej chwili gotowi do akcji. Poza tym albo groźnie wyglądasz, albo nosisz dzieci na barana… Gdy

zaskoczony naszym wtargnięciem na wodę łabędź z postawionymi jak u huzara skrzydłami i zwiniętą w nich szyją zaczyna poruszać się w naszym kierunku gwałtownymi ślizgami (odpycha się jednocześnie obiema płetwami), to naprawdę ostatni moment, żeby się wycofać. Jeśli zignorowaliśmy tak oczywisty sygnał, wielki ptak może zaszarżować. Kiedy nam się wydaje, że już mamy go z głowy, on tylko nabiera potrzebnego dystansu, po czym w półwyprostowanej pozycji, z wysoko uniesioną piersią i hakowato ułożoną szyją biegnie po wodzie ze zbrojnym łoskotem. To może wystarczyć, żeby z wrażenia wypaść z kajaka. I przeważnie o to tylko chodzi. Lepiej zresztą, żeby zapalczywy ptak zobaczył, że rozbił szeregi przeciwnika i uznał swój triumf, bo łabędzie potrafią się bić. Ich główna broń to zbudowane do transportu dużych gabarytów i napędzane atletycznymi mięśniami skrzydła. To, czego nie widać, to kostne zgrubienia w nadgarstkach – kastety, którymi już niejednego posłały na matę. Opowieści o tym, jak wielki, biały ptak złamał komuś nogę, możemy odłożyć do szuflady z napisem „miejskie mity", ale złamanie obrączkarzowi ręki lub wybicie obojczyka oraz topienie psów i przetrącenie im kręgosłupów to fakty.

Oczywiście nie każdy ojciec lub partner będzie równie agresywny, ale sami najlepiej wiemy, że wariatów nie brakuje. Nadgorliwy, zalany wiosennym testosteronem łabędź jest poważnym zagrożeniem dla wszystkich ptaków, które zdecydowały się

osiedlić lub choćby tylko zatrzymać na wodzie uznanej przez niego za swoje terytorium. Nękanie, a nawet zabijanie cudzych piskląt zdarza się częściej, niż chcielibyśmy to przyznać. Łabędź chwyta takie kaczątko, na przykład, albo gąsiątko i uderza nim o taflę wody lub wyrzuca w powietrze. Odsiecz zdesperowanych rodziców zwykle nic nie daje. Ich przeciwnik jest po prostu za duży…

Nieme nawet na lądzie mają niewielu wrogów naturalnych. Na wodzie jedynym wyzwaniem są koledzy. Mimo to tam, gdzie jest dużo przestrzeni i przede wszystkim jedzenia, znane z agresywnego terytorializmu ptaki osiedlają się w zgodnych koloniach, a różne gniazda może dzielić zaledwie kilka metrów. Za największą uważa się tę z rezerwatu Ottenby na południowym cyplu szwedzkiej wyspy Olandia, gdzie każdej wiosny osiedla się około 100 par. Jeszcze więcej unosi się ich w delcie Wołgi, krainie łabędzi niemych, gdzie wiosną i latem rezyduje co najmniej 11 tysięcy, i zgaduję, że to tam znaleźlibyśmy największą kolonię[76]. 30, 40 lat temu do takiej superkolonii jechało się na Mazury, na jezioro Łuknajno. Kiedy do lęgowych rodzin dołączali letni *pierzownicy*, po wodzie pływały dwa tysiące wielkich, białych ptaków[77]. Najstarszego znanego nam łabędzia widziano, gdy miał 28 lat i 7 miesięcy i wciąż cieszył się pełnią sił.

Łabędź niemy, ponadkulturowy symbol miłości i wierności, ukoronowanie weselnych tortów i kiczu. Dostojne wcielenie niejednej greckiej tragedii i kilku skandali. Muza hedonistycznych

artystów i wiele mówiąca postać z freudowskich marzeń, nie tylko sennych. Przeznaczenie Kopciuszka i Brzydkiego Kacząt ka. Totem przemiany, odnowy i przeznaczenia. Przypływa, gdy nadchodzi odpowiedni moment – milczący i cały na biało… Najbardziej niebezpieczny ptak na naszym kontynencie (oraz kilku innych, dokąd zabraliśmy go ze sobą). Okazuje się, że najbliższymi krewnymi tak bardzo europejskich łabędzi niemych nie są miejscowe i tak samo białe łabędzie krzykliwe i bewiki, ale australijskie łabędzie czarne oraz południowoamerykańskie łabędzie czarnoszyje. Żeby było jeszcze ciekawiej, nasze najpewniej pochodzą od prałabędzia *Cygnusa paloregonusa*, dawno zapomnianego gatunku, który wyewoluował w plejstocenie[78] w rejonie, który nazywamy dzisiaj Kalifornią, albo gdzieś po sąsiedzku – w Arizonie, Oregonie lub Idaho. Sami przyznacie, że to, iż Apollo mógł latać na łabędziach, wcale już nie brzmi tak nieprawdopodobnie…

Gdzie patrzeć?

Na miejskie i wiejskie stawy, wolno płynące rzeki, rozlewiska, jeziora i zalewy. Jesienią i zimą na przybrzeżne wody nadmorskich kurortów.

Czego wyglądać?

Dużej ilości elegancko udrapowanej bieli na wodzie. Nieskazitelnie białe suknie są przywilejem dorosłych i pojawiają się najwcześniej w drugim roku życia, a zdobne czerwono-czarne dzioby – jeszcze później. Młodzież początkowo jest szarobura, i to z pewnością takie łabędzie były inspiracją do napisania Brzydkiego Kaczątka, a nie urocze, puchate pisklęta.

Czego nasłuchiwać?

Rytmicznego świstu wiatru na niebie i chrapania na wodzie.

Kiedy?

Przez cały rok. No chyba że woda całkowicie zamarzła…

[76] Według ostatniego liczenia przeprowadzonego w tej największej na kontynencie i jednej z kilku zaledwie niezmeliorowanych delt w lutym 2020 roku pływały 225 532 łabędzie, z czego jedna piąta, blisko 46 000, to łabędzie nieme. Reszta to zimujące tam łabędzie krzykliwe oraz nieliczne bewiki. Cenzus zorganizowała Specjalistyczna Grupa Łabędziowa, Swan Specialist Group przy Wetlands International.

[77] Mamy nawet tzw. łabędzie polskie – *Cygnus olor immutabilis* – traktowane kiedyś jako podgatunek, obecnie raczej tylko jako odmiana barwna. Ich pisklęta i młodzież są białe, a nogi różowawe. Kiedyś dużo częściej spotykane, przede wszystkim w naszym regionie, dzisiaj to duża rzadkość.

[78] Epoka genealogiczna, która rozpoczęła się dwa i pół miliona lat temu, a zakończyła z ostatnim zlodowaceniem (i schyłkiem okresu kamienia łupanego) jakieś 11 700 lat temu.

Krzyżówka.
Róbmy swoje

Zastanawialiście się kiedyś, dlaczego kaczkom zimą nie zamarzają nogi? W śniegu czy w najeżonej chłodem wodzie są jeszcze bardziej marchewkowe niż zwykle… To dlatego, że ich stópki są tak samo zimne jak woda, w której są zanurzone, i dopóki temperatura nie spadnie poniżej zera, będą miały tyle samo stopni, co ich otoczenie. Gdy krajobraz zaczyna zamarzać, mają o ten jeden, ale jakże istotny stopień więcej. Wszystko dzięki *rete mirabile*, cudownej sieci, która w naszym języku została

nazwana siecią dziwną. Krwiobieg kaczek, tak samo jak nasz i wszystkich innych kręgowców, dzieli się na tętniczy, który rozprowadza po ciele natlenioną krew z serca, oraz żylny, który zbiera odtlenioną krew z różnych narządów i prowadzi ją do serca. (Wyjątkiem od tej reguły są naczynia płucne i pępowinowe, których tętnice niosą do serca tlen). Obydwa krwiobiegi łączą się ze sobą mikro- i nanoskopijnymi naczyniami włosowatymi i wykorzystując tak zwane krążenie wrotne, wyrównują swoją temperaturę – a także m.in. kompozycję gazów i elektrolitów. I to jest ten cud. Stała wymiana informacji między dwoma pozornie oddzielonymi od siebie systemami[79]. Ale na tym właśnie polega życie – na współpracy, synergii i homeostazie. Tak samo w naszych organizmach, jak na łące, w lesie i na całej planecie.

Arterie mijają się w kaczych nogach z żyłami. Spływająca do palców gorąca krew arteryjna, wchodząc do nieopierzonej części nogi, ma 35 stopni, a gdy wpływa do płetwy, tylko trzy. Różnicę przejęła powracająca do ciała lodowata krew żylna. Wychodząc z płetwy, miała temperaturę jednego stopnia, a na poziomie kostki, czyli tam, gdzie zaczynają się pióra – 33! Wzrost o 32 stopnie na odcinku zaledwie pięciu centymetrów. Tak sprawna i wydajna jest cudowna kacza sieć. Owszem, kacze nóżki są zimą bardzo zimne, o blisko 42 stopne zimniejsze niż reszta ciała, ale ptaki dzięki temu nie trwonią cennej energii. Powracająca krew żylna przejmuje ciepło, które kaczki i tak straciłyby w zimnej wodzie,

gdyby ich nagie, niczym niezaizolowane stopy miały temperaturę ciała. Poza tym czułyby się mniej więcej tak jak my po zanurzeniu nóg w lodowej przerębli. Im większa różnica między temperaturą wody (otoczenia) a ciałem kaczki, tym większe byłyby straty energii i tym bardziej dotkliwy szok wywołany uderzeniem zimnej krwi z nóg, co musiałoby w końcu doprowadzić do uszkodzenia serca i zatrzymania jego akcji. Dużo taniej i fizjologicznie bezpieczniej byłoby latać do Afryki i z powrotem. Tymczasem nasze cudowne krzyżówki mogą zimować na częściowo zamarzniętej rzeczce pod blokiem.

Kaczki na lodzie mają jeszcze jednego asa w rękawie. Żeby zminimalizować straty tak cennego ciepła, zmniejszają dopływ krwi do stóp. Mogą sobie na to pozwolić, bo ich stopy to skóra i kości – oraz trochę ścięgien, ale bardzo mało nerwów i pojedyncze zaledwie włókna mięśni. Im zimniej się robi, tym mniej krwi w nich krąży i tak aż do momentu, gdy słupki termometrów spadną poniżej zera. Wówczas ptaki pilnują, żeby wpuszczać do nóg więcej krwi i w ten sposób chronić je przed odmrożeniami. To też tłumaczy, dlaczego kaczki zimą wolą siedzieć na wodzie i w razie potrzeby wspólnym staraniem utrzymują jej niezamarznięte oka. Nieważne, o jak bardzo gęsią skórkę przyprawia nas ich widok, woda w oparzelisku i tak jest cieplejsza od powietrza, które je otacza. Gdy kaczki wychodzą na śnieg lub lód, przeważnie stają na jednej tylko nodze, a drugą chowają w piórach – duży, nagi i

wrażliwy dziób też. (Najnowsze badania sugerują jednak, że z jakiegoś powodu jest im wygodniej stać na jednej nodze i lepiej się w ten sposób relaksują). Oczywiście mogą też usiąść i schować obydwie stopy pod pierzynkę, ale w tej pozycji ryzykują sekundy, które w chwili ataku jakiegoś drapieżnika mogą przesądzić o ich życiu. Kaczki przez swoje termoaktywne stopy mogą również pozbywać się nadwyżek ciepła. W czasie letnich upałów wystarczy, że zanurzą je w chłodnej wodzie i zwiększą w nich krążenie. To samo robią kaczki siedzące na jajach, a ich zimne nóżki robią się wtedy naprawdę gorące. Kacze stopy przydają się też w locie. Służą jako stery lub hamulce, a wyciągane przed siebie w chwili lądowania na wodzie – jako narty wodne. Rzecz jasna po wylądowaniu stają się głównym napędem. Gdy kaczki się spieszą, płetwy pracują w dół i do tyłu, gdy poruszają się w tempie relaksacyjnym – tylko do tyłu.

Krzyżówki znane są ze swojego temperamentu seksualnego. Biorąc pod uwagę gwałty, których czasami dopuszczają się kaczory, powinniśmy się cieszyć, że okres godowy trwa u nich tylko osiem miesięcy (od późnej jesieni do późnej wiosny), a nie dwanaście. Jeśli jednak jakaś kaczka decyduje się na założenie rodziny w środku lata lub pogodną jesienią, co zdarza się w miastach, nie ma żadnego problemu ze znalezieniem ojca dla swoich dzieci. Spoczynkowe szaty kaczora nie krępują, a obkurczone i uśpione narządy zostają szybko pobudzone, żeby

mógł stanąć na wysokości zadania. Niesione burzą wiosennych hormonów krzyżówki notorycznie krzyżują się z innymi gatunkami kaczek i nie tylko. Za zgodą drugiej strony – albo i nie. Dotychczas zaobserwowano mieszańców z 63 gatunkami z rodziny kaczkowatych, która w łącznej liczbie ponad 170 gatunków obejmuje też gęsi i łabędzie. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek mógłby pochwalić się takim wynikiem. Może tylko niektóre afrykańskie pielęgnice, ryby z plemienia *Haplochromini*). Owocem tych mezaliansów bywają płodne hybrydy, które potem mogą krzyżować się z każdym z rodzicielskich gatunków. (Chyba że mają temperament po tacie albo dziadku, wówczas istnieje ryzyko, że zechcą spróbować szczęścia w szerszych kręgach). Kłopotliwe może być krzyżowanie się krzyżówek z siostrzanymi, ale ginącymi lub zagrożonymi gatunkami, takimi jak krzyżówka hawajska *Anas wyvilliana*, brązówka *Anas rubripes*, krzyżówka florydzka *Anas fulvigula*, krzyżówka madagaskarska *Anas melleri*, krzyżówka meksykańska *Anas diazi*, kaczka żółtodzioba *Anas undulata* oraz nowozelandzki podgatunek kaczki pacyficznej *Anas superciliosa superciliosa*. Krzyżówce zarzuca się „zaśmiecanie" puli genowej rzadkich gatunków, próbując tym samym obarczyć ją winą za ryzyko ich wyginięcia. Stały numer w odniesieniu do gatunków w ekspansji, które nie przez przypadek lubimy nazywać inwazyjnymi lub obcymi. Nikt nie wspomina, że rzeczywisty problem zawsze ma swoje źródła po naszej stronie – i jest to albo wybijanie ptaków, albo pozbawienie ich przestrzeni

życiowej, albo najczęściej jedno i drugie. Wtedy na pobojowisku ląduje nasza dobra znajoma. Znajduje tam dużo wolnego miejsca i w przeciwieństwie do kuzynek świetnie sobie radzi w ubogich, przekształconych siedliskach. Niedobitki krzyżówki hawajskiej czy florydzkiej w sytuacji, gdy muszą ze świecą szukać partnerów własnego gatunku, chętnie wiążą się z pełnymi wigoru przybyszami. Zresztą kto by nie uległ kaczorowi z tak pięknie zieloną głową…? Szczególnie gdy ten napiera. Czy z tego samego powodu tak chętnie krzyżują się z nim kaczki domowe? Te pochodzące od krzyżówki też dają płodne mieszańce, które tym razem zabałaganiają pulę genową dzikich ptaków, co tu i ówdzie widać potem na miejskich i wiejskich stawach. Ptasiarze nazywają takich oryginałów sołtysami. Łatwość, z jaką rozprzestrzeniają się geny krzyżówki, bierze się prawdopodobnie stąd, że jest ona bardzo młodym gatunkiem, który wyewoluował w ekspresowym tempie między 12 a 129 tysiącami lat temu.

Mało że krzyżówka pierwotnie zamieszkiwała większą część Euroazji (bez wiecznej zmarzliny i tropików), południowe krawędzie Grenlandii i niemal całą Amerykę Północną, to jeszcze zawieźliśmy ją m.in. do Australii, na Nową Zelandię, do południowej Afryki, na Falklandy, do Argentyny, Urugwaju, Chile, Brazylii, Peru, Kolumbii, na Karaiby i Hawaje. Broń Boże nie dlatego, że chcieliśmy ją mieć obok siebie i cieszyć się jej urodą. Najczęściej robiliśmy tak dlatego, że lubiliśmy ją zabijać. Łącznie

krzyżówka zamieszkuje dzisiaj około 127 milionów kilometrów kwadratowych. Tundra czy dżungla – choćby i miejska – ona wszędzie umie się urządzić i jest dzisiaj najliczniejszą z kaczek i w ogóle najliczniejszym ptakiem w całym rzędzie blaszkodziobych (oprócz wspomnianej rodziny kaczkowatych są tam jeszcze egzotyczne skrzydłoszpony i bezpłetwiec australijski – wszystkich razem około 180 gatunków). Nie peszy jej nawet to, że w międzynarodowym badaniu przeprowadzonym w 70 krajach została uznana za najzabawniejszego ptaka. W ciągu ostatnich 40 lat liczebność krzyżówek wzrosła miejscami o blisko 100 procent, a jej światową populację szacuje się na 9–10 milionów par, z czego około pół miliona w naszych granicach.

Ta młodzieńcza pewność siebie… Z ewolucyjnego punktu widzenia krzyżówka jest młodsza od nas i od większości (wszystkich?) gatunków, które nas otaczają. To też może tłumaczyć jej pionierski potencjał i umiejętność dostosowania się do każdych niemal warunków. Tak jak my jest już prawie wszędzie. Pióra na czworo nie dzieli i gdziekolwiek jest, po prostu robi swoje – żyje. Dieta krzyżówek jest przede wszystkim roślinna. Tylko kaczki w okresie składania jaj odwracają proporcje i przechodzą na dietę w dwóch trzecich zwierzęcą, w większości ślimaczą. Gdy jednak nadarzy się okazja, nie pogardzą ani żabką, ani myszką, ani cudzym jajeczkiem. W 2017 roku obserwowano w Rumunii niewielką (na szczęście!) grupę krzyżówek, które polowały na

drobne ptaki, m.in. pliszki żółte i pleszki, które zatrzymały się w tym samym miejscu na przelotach. Kaczki hrabiego Draculi? Również jeśli chodzi o wybór miejsca na gniazdo, trudno o bardziej pomysłową kaczkę niż mama krzyżówka. Tradycyjnie byłby to gęsty, nadwodny szuwar, ale mogą się też nadać ogłowione wierzby, dziuple, wykroty, nory, położone wysoko na drzewach gniazda po ptakach drapieżnych lub bocianach. Miejskie kaczki zajmują donice, balkony, dachy, opuszczone albo i nie budynki, a nawet ruchliwe ronda. „Cztery tygodnie wysiadywania jakoś w tym hałasie wytrzymam, a potem spróbuję znaleźć jakiegoś życzliwego policjanta, który zatrzyma ruch, żebym razem z dziećmi mogła przejść na drugą stronę ulicy. Stamtąd już tylko rzut beretem na parkowy staw". Co i rusz któraś z nich, całkiem samodzielnie i bez pomocy służb porządkowych, pilotuje swoją rodzinę przez niekończące się korytarze wielkich gmachów – i jakimś cudem dobrze wie, jak iść! – bo wysiedziała jaja w odciętym od świata, wewnętrznym patio. O ile ona sama mogła się tam dostać i wydostać drogą powietrzną, o tyle dzieci trzeba przeprowadzić. Za to przez cały czas inkubacji nie musiała się martwić ani kotami, ani psami, ani lisami.

Sukces, który osiągnęły krzyżówki, próbują wykorzystać inni. Taka jest w Przyrodzie cena popularności. Kto tylko może, próbuje je zjeść. Małe kaczuszki mogą zniknąć pod wodą choćby w paszczach szczupaków i sumów. Na ich rodziców czyhają m.in.

lisy, orły, jastrzębie, duże sokoły i sowy. Nic dziwnego, że kaczki rzadko pozwalają sobie na głęboki sen i wyłączenie całego mózgu. Przeważnie gdy jedna półkula śpi, to druga czuwa – a potem zmiana. (Dzisiaj wiemy, że sypia tak wiele ptaków, robią tak też między innymi delfiny, ale po raz pierwszy zauważyliśmy to u krzyżówek). Krzyżówki szybko się uczą, są bystre, czujne i podrywają się z wody w niemal pionowym starcie, gotowe w każdej chwili wykręcić beczkę lub dwie i polecieć z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. To jednak jeszcze bardziej podnieca ich największego wroga – myśliwych. Jak sami mówią, jedna kaczka, jedna paczka. Kłopot w tym, że w paczce jest zwykle 25 naboi, a każdy wypełnia kilkaset kuleczek ołowiu – jednego z najbardziej trujących metali. Większość śrutu trafia do wody, na pola, łąki i pastwiska. Jeśli myśliwy nie zabije kaczki na miejscu, to może ją skazać na długą i powolną śmierć, gdy ta któregoś dnia niechcący połknie ołów razem z jedzeniem lub gastrolitami. Chociaż polowania na razie nie zagrażają istnieniu najliczniejszej z kaczek, to bardzo szkodzą innym, dużo rzadszym gatunkom, które obrywają rykoszetem i albo giną na miejscu, albo zatruwają się ołowiem, albo nie mogą pozbierać się po traumie. Czy to pospolita krzyżówka, czy niezwykle już rzadka podgorzałka, najważniejsze pytanie brzmi: po co?

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, krzyżówki ruszyły do miast i to tam należy szukać źródeł ich sukcesu demograficznego.

Liczebność cudownych kaczek rośnie, a ekspansja przyspiesza wraz z urbanizacją. W tak zwanym naturalnym krajobrazie krzyżówek ubywa tak samo jak innych kaczek. Powód? Ten sam co w przypadku jej zagrożonych wyginięciem kuzynek – polowania i zanik siedlisk. Tymczasem w takich miastach jak Rotterdam, Berlin czy Londyn krzyżówki czują się tak bezpiecznie, że w niektórych miejscach zasypiają tuż przy drogach i ścieżkach spacerowych. Na siedząco i głęboko. Ze schowanymi w piórach stopami i zamkniętymi oczami. Najstarsza, o jakiej wiemy, przeżyła 23 lata i 3 miesiące.

Gdzie patrzeć?

Wszędzie, gdzie jest jakiś staw, jeziorko, leniwie płynąca rzeka albo płytka, morska zatoczka. Im bardziej miejsko dokoła, tym większa szansa, że zobaczymy tam przystojne i zaradne krzyżówki.

Czego wyglądać?

Kaczka – cała w ciepłych brązach i szyszkowych wzorach, z ciemną smugą przez oczy, brudnopomarańczowym lub brunatnoszarym dziobem i jaskrawopomarańczowymi nogami. Kaczor w godowym garniturze (od jesieni do czerwca) jest po prostu zjawiskowy. Butelkowo zielona, iskrząca się złotem głowa i szyja to jego duma i wizytówka. Od lśniącej, kasztanowej piersi oddziela je biała koloratka. Boki są szare, delikatnie marmurkowane, a plecy brązowo-szare. Do tego limonkowożółty dziób, czerwonopomarańczowe nogi i dwa lub trzy zalotnie zakręcone piórka na aksamitnie czarnym ogonie – wisienka na torcie. U kaczorów i u kaczek połyskują na skrzydłach fioletowogranatowe, biało-czarno obrzeżone lusterka[80]*. Gdyby krzyżówki były rzadsze, ptasiarze i fotograficy pielgrzymowaliby do nich, gdziekolwiek by się pojawiły. Na szczęście nie są.*

Czego nasłuchiwać?

Ona woła głośne „Kwa! Kwa! Kwa!", które z daleka brzmi czasami jak teatralne „Ha! Ha! Ha!". On odzywa się niskim i chropowatym „Hra! Hra! Hra!". Ten męski tembr zapewnia mu kostne rozdęcie tchawicy – kacze jabłko Adama.

Kiedy?

Cały rok.

---

[79] Już w drugim wieku naszej ery odkrył to i nazwał rzymski badacz, lekarz, pisarz i filozof, Galen, a właściwie Claudius Galenus (ok. 130–216).

[80] Wszystkie dorosłe kaczki, bez względu na płeć i porę roku, mają charakterystyczne dla siebie lusterka, czyli przeważnie mniej lub bardziej kontrastujący *panel* barwny na skrzydłach. Dzięki niemu nawet przy kaczych prędkościach i w kiepskiej widoczności wystarczy jeden rzut oka, żeby w gęstym, różnogatunkowym stadzie wyłapać swoich i za nimi podążać.

Gęgawa.
Jej Wysokość Gęś

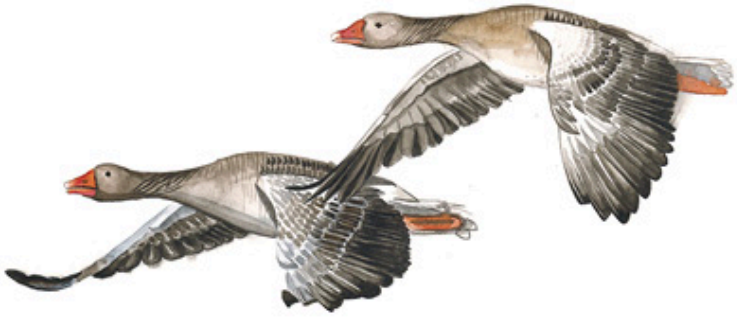

Kiedy moja mama, nazywana w domu Anusią, wychodziła w 1958 roku za mąż, dostała od babci gęś. Babcia swoją pierwszą gęś też miała od swojej mamy. W kolejnych latach gęsi na nową drogę życia dostały ciocie Sława i Genia, a nawet Tereska, czwarta z

sióstr, mimo że po ślubie zamieszkała z babcią. Ula i Monika, siostry mojego taty, przeniosły się za swoimi mężami do Gdyni i gęsi ze sobą nie zabrały. Nie sądzę, żeby babcia kiedykolwiek zastanawiała się nad wymową tego podarunku, ale wiem, że ani ona, ani jej córki nie wyobrażały sobie, żeby mogły pójść na swoje i dać początek własnej rodzinie bez tych bielutkich gęsi pod pachą. Nie wspominając o tym, że ludzie we wsi gadaliby całymi latami.

Gęś symbolizowała płodność, ale też urodzaj, dostatek i bezpieczeństwo. Była strażniczką domowego ogniska. Mało jest obrazów tak silnie łączących nas z Ziemią, jak obraz dzikiej gęsi na gnieździe. Mało jest tak ludzkich scen, jak ta z rodziną gęsi na umajonej łące – czujni rodzice i ich zajęte stokrotkami dzieci. Zapomniały o bożym świecie, bo przecież dopóki mama i tata są obok, nie może im się stać nic złego. Niewiele jest też tak uroczych istot, jak puchate, żółtozielone gąsiątka. Żadne kilkuletnie dziecko nie jest w stanie minąć ich obojętnie, a co dopiero takie, które przyszło na świat pięć tysięcy lat temu i nie miało dziecinnego pokoju wypełnionego po brzegi gadającymi zabawkami. Przygarnięte gąsiątka szybko przywiązują się do swoich opiekunów, wszędzie za nimi chodzą, szukają kontaktu, lubią się przytulać i przez cały czas słodko kwilą. Gdy dorosną, stracą swoją puchatą niewinność, przez jakiś czas będą nawet jak pryszczate nastolatki, ale to najwierniejsi z przyjaciół. Wszystko się zmienia, ludzie przychodzą i odchodzą, a twoje gęsi za każdym

razem tak samo cieszą się na twój widok – wołają z daleka, przychodzą się przywitać, posiedzieć, pogęgać. I z jaką klasą się noszą! Tak rozpoczęło się udomowienie gęsi. Z dziecięcego zachwytu, z potrzeby bliskości, dla towarzystwa, a dzikie gęsi zapewniały towarzystwo wyjątkowe, bo naznaczone boskością.

Gęgawa, po łacinie *Anser anser*, co moglibyśmy przetłumaczyć jako „supergęś", początek życia i święty ptak Ziemi, była czczona w całej Eurazji. Inne gęsi darzono podobnym szacunkiem, ale mająca dużo bardziej południowy zasięg gęgawa stale żyła obok ludzi, którzy tak jak ona najchętniej osiedlali się nad wodą, w bagiennych dolinach wielkich rzek, a te były dla nich jak róg obfitości. Gęgawa się nas nie bała. Nie miała powodu. Po pierwsze chroniła ją jej świętość, a po drugie ani ona, ani żaden inny ptak pierwotnie się nas nie bał. Z natury nie jesteśmy mięsożercami, więc nie mamy żadnych cech drapieżnika. (Jesteśmy zbieraczami, którzy wymyślili cywilizację oraz rozsmakowali się w mięsie i zabijaniu dla przyjemności. Jeśli ktoś chciałby zobaczyć, jak wygląda prawdziwy drapieżnik, niech przyjrzy się tygrysowi albo zajrzy w zęby swojemu mruczkowi. Albo niech włączy Animal Planet i obejrzy, jak orzeł przedni zapuszcza kilkucentymetrowe szpony w czaszkę schwytanego królika, a wataha wilków rusza w pościg za jeleniem. My żadnego jelenia byśmy nie dobiegli, a jeśli nawet, to swoimi zębami tchawicy nikomu nie przegryziemy. Mimo to na przestrzeni czasów okazaliśmy się tak okrutni i

skrzywdziliśmy tak wiele zwierząt, że jedyną rozsądną reakcją na nasz widok jest ucieczka). Gęgawa była ptakiem potężnej Isztar, znanej wcześniej pod imieniem Inanna, bogini miłości i wojny, a także sztuki kochania, urodzaju, zbiorów, piękna, sprawiedliwości i siły. Isztar swoje początki miała tam, gdzie zaczęła się zachodnia cywilizacja, w starożytnej Mezopotamii, a jej dziedzictwo przenikało wszystkie następne kobiece bóstwa, łącznie z Matką Boską. Gęś była już na długo przed Isztar. Z jej jaja wyszedł Stwórca, który tchnął życie w Ziemię. Jeśli ktoś miałby znieść cudowne jajo, początek wszystkiego, to tylko gęś, bo mało jest tak zamierzchłych ptaków jak gęsi, których przodkowie przeżyli kosmiczne *bum* i wielkie wymieranie dinozaurów 66 milionów lat temu. Gęsi i cały rząd blaszkodziobych razem z kurakami na systematycznych diagramach umieszczane są przed tak zwanymi ptakami nowoczesnymi, *Neoaves*, czyli prawie całą resztą. Starsze są tylko strusie i ich kuzyni – *Palaeognathae*. W tym kontekście naprawdę intrygująco brzmią dawne wierzenia, że nasza planeta była kiedyś martwa, a gęś swoim krzykiem obudziła ją do życia. Potem robiła to regularnie każdej wiosny. Słowianie byli przekonani, że klucze wędrownych gęsi (podobnie jak żurawie) przynosiły ludziom dusze z Wyraju i odprowadzały je tam po śmierci. W Egipcie gęsi symbolizowały Ra, boga Słońca. W Grecji i Rzymie towarzyszyły Afrodycie i Wenus. I to dlatego domowe już gęsi trzymane były na Kapitolu. Kiedy pewnej nocy w 390 roku p.n.e. uzbrojone hordy Galów próbowały podstępem zająć Rzym,

kapitolińskie stado krzykiem zaalarmowało strażników i uchroniło Wieczne Miasto przed inwazją.

Gęgawa była jednym z pierwszych udomowionych przez nas ptaków. Prawdopodobnie doszło do tego jakieś pięć tysięcy lat temu, w tzw. Żyznym Półksiężycu, w Mezopotamii lub na Bliskim Wschodzie, na długo zanim zamieniliśmy w pustynię tamtejsze, niegdyś jedne z najbogatszych mokradeł na Ziemi[81]. Jakiś czas potem Egipcjanie udomowili u siebie gęś (gęsiówkę) egipską, ale Persowie po najechaniu kraju faraonów przywieźli ze sobą swoją większą i starszą gęś domową i po tej egipskiej nie został nawet ślad. Dlaczego gęsi domowe najczęściej są białe, a nie szarobrązowe jak ich przodkinie? Białe dzieci regularnie przychodzą na świat wszystkim zwierzętom, bez względu na to, jak bardzo kolorowy jest ich gatunkowy pierwowzór, ale tak bardzo rzucają się w oczy, że szybko kończą w zębach i szponach drapieżników. Dodatkowo pozbawione pigmentów pióra są mniej wytrzymałe i gorzej sprawdzają się m.in. w dalekich wędrówkach. (Stąd wiele białych ptaków ma czarne lotki, które również u tych niebiałych często są ciemniejsze od reszty piór). Co innego ptaki hodowlane – one latać nie muszą, a nawet nie powinny, i mają zapewnioną ochronę 24 godziny na dobę. My zresztą od początku woleliśmy białe, bo z natury czyste i wyjątkowe, lepiej nadawały się na ofiarne ołtarze. Zapewne nie bez znaczenia było i to, że krew lepiej się na nich prezentowała. Nabierała życia? Gdy

hodowla gęsi się upowszechniła, zaczęły przeważać względy praktyczne. Białe rasy szybciej rosły, tyły i się otłuszczały, a do tego były lepiej widoczne na polu, co ułatwiało pracę doglądającym stad gęsiarzom. Białe pióra wydawały się też bardziej odpowiednie na pierzyny i poduszki (które w naszych stronach mogły się pojawić około XVII wieku) i nie trzeba było ich odbarwiać, żeby nadać im fikuśne kolory. Dlaczego więc nie wszystkie rasy są białe? Bo ciemne zaczynają szybciej się nieść i znoszą więcej jaj. Poza tym w sytuacji, gdy większość domowych odmian była biała, to te kolorowe zaczęliśmy postrzegać jako bardziej oryginalne. Taka nasza natura – zimą na Wyspy Kanaryjskie, a wiosną na narty w alpejskie lodowce.

Wydaje się, że ludzie przez długi czas mieli opory przed zjadaniem gęsi, a jeśli, robili to przy specjalnych okazjach. Jeszcze większym tabu obłożone były gęsie jaja, w wielu starych kulturach traktowane jako *sacrum*. Swobodniej używany był gęsi tłuszcz, z którego wytwarzano różne maści i kremy, a przede wszystkim pióra wykorzystywane do dekoracji, do strzał łuczniczych, dla ciepła i komfortu, no i oczywiście do pisania. Każda gęś zapewniała 10–12 dobrych piór pisarskich przycinanych z lotek pierwszego rzędu, najchętniej z lewego skrzydła, bo te lepiej układały się w dłoni[82]. Dzieła Szekspira, amerykańska Deklaracja Niepodległości, nasza Konstytucja 3 Maja, *Mazurek Dąbrowskiego* czy opusy Chopina – większość najważniejszych

dzieł, myśli i odkryć światowej cywilizacji i dziedzictwa różnych narodów została zapisana gęsimi piórami. To i dużo więcej, bo jak mawia stare przysłowie, gęsie pióro jest groźniejsze niż lwi pazur. Gęsie lotki były głównym narzędziem pisarskim od co najmniej VI wieku[83]. Białym stadom ulżyło dopiero tysiąc lat później, gdy Hiszpanie sprowadzili do Europy indyki. Okazało się, że ich duże pióra też dobrze leżały w dłoniach skrybów, kompozytorów, pisarzy i poetów. Do zadań specjalnych zaczęto z czasem używać piór łabędzich, orlich, jastrzębich, sowich, a nawet wronich, które służyły za cienkopisy. Prawdziwy przełom nastąpił dopiero w 1822 roku, kiedy mała manufaktura z Birmingham wypuściła na rynek pierwszą partię metalowych stalówek, które zaczęły podbijać całą piśmienną Europę oraz liczne zamorskie kolonie. A wracając do gęsi, to nawet dobrze znany nam badminton zaczął się od ich piór zatykanych po jednej stronie kostropatej, korkowej piłeczki, którą pewnego dnia zaczęły sobie odbijać lekko znudzone starożytne dzieci.

Udomowiona gęś była naszą opoką. W czasie wojny i w czasie pokoju. Zabieraliśmy ją na pola bitew i w dalekie podróże w mroźne strony. Wciąż używamy jej do spania, kochania, zabawy albo gdy w ulubionej puchówce wychodzimy na zimowy spacer. W XIX-wiecznej Europie mówiono, że kto ma gęsi, ten ma wszystko. Powiedzenie o kurze znoszącej złote jaja w oryginale miało gęś – i w takiej wersji przetrwało w większości języków. Praktyczni

Niemcy nazywali gęsi opierzonymi świniami, *das Federschwein*, tyle było z nich pożytku. Albo i więcej, bo gęsi rosły, zjadając trawę, której wszędzie było pełno, a której my i tak nie potrzebowaliśmy. Trzymanie gęsi, inaczej niż świń, mogło nic nie kosztować. Żeby tak rzeczywiście było, w naszej części Europy większość młodych ptaków zabijano w listopadzie, jak już nabrały masy, a trawę zaczął przykrywać śnieg. Stąd gęsina na Świętego Marcina, który ma swój dzień 11 listopada. I między innymi dlatego moja mama i jej siostry miały wesela w listopadzie. Żeby gęsi starczyły na dłużej, ich mięso albo całe tusze konserwowano na różne sposoby. Dużo jednak wody upłynęło, zanim zaczęliśmy masowo zjadać gęsi i budować wokół tego tradycję. Jak na przykład tę, która pozwala więzić je unieruchomione w gorących klatkach albo przybite do podłogi, po to tylko, żebyśmy przez wepchniętą im w gardło rurkę mogli dosypywać karmę wprost do żołądka. Żeby one szybciej się otłuszczały, a my mogli zjeść ich chorą wątrobę pod szumną nazwą *foie gras*. Chcąc na nich podwójnie zarobić, zaczęliśmy je żywcem odzierać z piór. Nie przeszkadza nam, że razem ze skórą. Żeby ptak się nie zmarnował, naprędce zszywamy rozdarte ciało igłą i nitką. Gęsi krzyczą i wiją się z bólu, ale co to dla nas. To tylko kwestia odpowiedniego zawinięcia szyi i przytrzymania dzioba ręką. Nie szkodzi, że teraz również się duszą. Taka tradycja. A tradycja jest święta. Szczególnie gdy można dostać do niej dotację. Żeby nie

mieć wyrzutów sumienia, wmówiliśmy sobie, że gęsi są głupie i nic nie czują[84].

Oto jakie synonimy i wyrazy bliskoznaczne podpowiedział mi internet, gdy wrzuciłem do wyszukiwarki hasło „gęś”: baba, Baba Jaga, baba z magla, babiszon, babok, babol, babon, babsko, babsztyl, babus, bździągwa, cholernica, choleryczka, ciućma, czarownica, dąsalska, gangrena, grymaśnica, hetera, jędza, kapryśnica, kłótnica, ksantypa, megiera, obrażalska, paniusia, pańcia, piekielnica, potwora, prukwa, pudło, raszpla, rura, sekutnica, szantrapa, wiedźma, wydra, krowa, klępa, larwa, żmija, ropucha, kwoka, zaraza, złośnica, zołza, cholera, herod-baba, zgaga, dziewucha, dziewuszysko, siksa, głupia gęś, głupia kobieta. Wszystkie pochodzą z jednego tylko współtworzonego przez użytkowników źródła. Neutralne – choć idę o zakład, że nie zawsze – były gąsiątko, gąsię, gąsior, gąska, gęsior, gęś domowa. I żadnego pozytywnego skojarzenia.

Kiedy odarliśmy z godności i szacunku gęsi domowe, nic już nie stało na przeszkodzie, żeby rozpocząć rzeź ich dzikich przodków, na co nałożyło się zagrabianie ich siedlisk. Gęgawa została eksterminowana w wielu krajach Europy. U nas w połowie XX wieku przetrwało być może kilkadziesiąt par. Na szczęście przyszło opamiętanie i gęgawy wracają. Szacuje się, że cała jej europejska populacja liczy dzisiaj 259–427 tysięcy par plus być może kilkadziesiąt tysięcy w głębokiej Rosji i Azji. U nas: 6–9

tysięcy. Najstarszą widziano, kiedy w wieku 24 lat przechadzała się po łące.

Gdzie patrzeć?

Na Stawach Milickich, w ujściu Warty, w dolinie dolnej Odry i nad Zalewem Szczecińskim – tutaj rezydują największe krajowe kolonie gęgawy. Ponadto Biebrza, Narew, Jeziorsko, jezioro Gopło, Słowiniec oraz tu i ówdzie nad spokojnymi, płytkimi jeziorami otoczonymi trzciną i łąkami. Być może najłatwiej zobaczyć gęgawę w dużych miastach północno-zachodniej Europy, gdzie święte ptaki znowu przestały bać się ludzi. Siedząc z nimi w parku na trawie, można sobie wyobrazić, jak udomowiła się gęgawa.

Czego wyglądać?

Dużej, szarobrązowej gęsi z dziobem w kształcie i kolorze marchewki.

Czego nasłuchiwać?

Głośnych, szorstkich okrzyków, które umarłego postawiłyby na nogi. Klimatycznie wołające klucze gęsi ciągnące nad naszymi głowami wiosną i jesienią to niemal bez wyjątku syberyjskie gęsi tundrowe i białoczelne.

Kiedy?

Od przedwiośnia do zimy, w wielu miejscach coraz częściej przez cały rok.

---

[81] Był to wschodni podgatunek gęgawy, *Anser anser rubirostris*, od którego wywodzi się większość ras gęsi domowych. Pozostałe pochodzą od udomowionej później w Chinach gęsi łabędzionosej, *Anser cygnoides*. Wiele wskazuje na to, że jeszcze wcześniej, około ośmiu tysięcy lat temu, w południowo-wschodniej Azji udomowiono przodka naszych kur domowych – kura bankiwa. Wcale nie dla mięsa, ale dla rozrywki i dla Boga – jako ptaka walecznego i ofiarnego. Gołębia udomowiono mniej więcej w tym samym czasie co gęś, a trochę później

i najpewniej w kilku miejscach jednocześnie – krzyżówkę. Następne były indyki i kaczki piżmówki oraz perliczki – odpowiednio w Ameryce i Afryce. Większość zwierząt gospodarskich została udomowiona na Bliskim Wschodzie, podczas gdy kluczowe rośliny pochodzą albo z Chin i południowo-wschodniej Azji, albo z Ameryki. Jako pierwsze udomowiły się psy, lub raczej wilki, potem kozy i owce.

[82] Prawdziwe pisarskie pióro było w większości pozbawione promyków, zostawiano tylko stosinę z małą chorągiewką na szczycie. Efektowne pióra, jakie widzimy czasami na filmach, to pomysł Holywood.

[83] Wcześniej używano dłut rzeźbiarskich, patyków, pędzelków, papirusów, trzcin i bambusów – w zależności od tego, kto i gdzie pisał. Na Dalekim Wschodzie zawsze największą popularnością cieszył się bambus.

[84] Tylko w przemysłowych hodowlach zabija się rocznie 700 milionów gęsi i 3 miliardy kaczek. (Do tego 26 miliardów kurczaków i 428 milionów indyków. Poza tą ostatnią wszystkie cyfry stale rosną). Jeśli bardzo chcemy kołdry z pierzem, upewnijmy się, że zostało ono pozyskane w sposób etyczny i ma odpowiednie certyfikaty – np. Global Traceable Down Standard (TDS) albo Responsible Down Standard (RDS).

NA WSI

Dymówka.
Jaskółka

Jaskółka, czarny sztylet wydarty z piersi wiatru,
Nagła smutku kotwica z niewidzialnego jachtu.
Katedra ją złowiła w sklepienia sieć wysoką,
Jak śmierć kamienna bryła,
Jak wyrok naw prostokąt.
Jaskółka, błyskawica w kościele obumarłym,
Tnie jak czarne nożyce lęk, który ją ogarnia.
Jaskółka siostra burzy, żałoba fruwająca
Ponad głowami ludzi, w których się troska błąka.

Jaskółka, znak podniebny, jak symbol nieuchwytna,
Zwabiona w chłód katedry przestroga i modlitwa.
Nie przetnie białej ciszy pod chmurą ołowianą,
Lotu swego nie zniży nad łąki złotą plamą.
Przeraża mnie ta chwila, która jej wolność skradła,
Jaskółka, czarny brylant, wrzucony tu przez diabła.
Na wieczne wirowanie, na bezszelestną mękę,
Na gniazda niezaznanie, na przeklinanie piękna.

Jaskółka uwięziona. Jedna z największych piosenek w historii polskiej muzyki swoją krajową premierę miała w 1973 na festiwalu w Opolu. Wcześniej tego samego roku wygrała Olimpiadę Piosenki w Atenach, a później sopockiego Bursztynowego Słowika. Wykonie: Stan Borys, muzyka: Janusz Kępski, inspiracja: Jaskółka Dymówka. Wpadła przez rozbite okno do gdańskiej bazyliki mariackiej w czasie, gdy na jednej z ław przysiadł Kazimierz Szemioth, poeta, pisarz, publicysta, malarz, grafik i aktor w jednej osobie. Sięgnął do kieszeni, w której znalazł plik kawiarnianych serwetek z herbatnikowymi brzegami, i w ciągu kilku chwil przelał na nie kultowy tekst. (Wiersz w oryginalnej wersji był dużo dłuższy, ale został skrócony na potrzeby estrady). Nikt nie wie do końca, co autor miał na myśli, choć każdy wie, co symbolizują ptaki, i trudno oprzeć się wrażeniu, że znaki i obrazy, których użył, brzmią dzisiaj wyjątkowo aktualnie. Proroczy geniusz poety? A może

ponadczasowa moc jaskółki, która unieśmiertelniła całą trójkę artystów i ich kompozycję…? Pomyśleć, że Borys początkowo wcale nie palił się do jej zaśpiewania. Wątpliwości miała również ówczesna cenzura, ale *Jaskółka uwięziona* na przekór tytułowi poleciała przebojem przez sceny Europy i już nie dało się jej zatrzymać.

Wielu uważa, że to nie jaskółka zabłądziła tamtego dnia do starej katedry, lecz jerzyk. Ja jednak myślę, że autor wiedział, co pisze. Był rok najprawdopodobniej 1972, jaskółki były o wiele częstsze w naszych miastach niż dzisiaj, ludzie dużo więcej o nich wiedzieli i na pewno lepiej je rozpoznawali, a wszelkie podobieństwa są nieuniknione. I jerzyki, i jaskółki to mistrzowie tego samego żywiołu – powietrza.

Na przestrzeni wieków wiele ptaków mocno się zsynantropizowało – zamieszkały w naszych wsiach i miastach[85]. Jedne zasiedliły przydomowe ogrody i miejskie parki, inne odnajdują się nawet w ruchliwych centrach. Tradycyjnie już zakładają gniazda w zakamarkach naszych budynków, w kominach, na dachach lub pod nimi – ale żadne nie budowały ich w sieniach, kuchniach i izbach. Żadne z wyjątkiem dymówek, które nawet swoją nazwę wzięły od zwyczaju zamieszkiwania w naszych domach, które dawnej nazywano dymami. Żeby sprawiedliwości stało się zadość, trzeba dodać, że ileś tysięcy lat wcześniej to my zajęliśmy ich groty i jaskinie oraz wielkie drzewa z wydrążonymi pniami, a gdy

przenieśliśmy się do pierwszych ziemianek i lepianek, jaskółki przyleciały za nami. Przyjęliśmy je z ulgą – my i nasze zwierzęta – bo te powietrzne akrobatki zjadały muchy, które całymi rojami kłębiły się w naszych chałupach i obórkach. Do tego ten perlisty szczebiot, przy którym trudno się nie uśmiechnąć. Wdzięczni gospodarze zakładali specjalne podpórki pod jaskółcze gniazda, za to wybieranie ich jajeczek mogło skończyć się krwawym mlekiem u krów albo zatrzymaniem jaj u kur. U złoczyńcy – kołtunem, a nawet ślepotą. Z drugiej strony magicznymi kamieniami, które jaskółki miały ukrywać w swoich gniazdach (a czasami w pisklętach!), można było ślepotę leczyć. Ale nie od dziś wiadomo, że siła wiary i placebo czynią cuda. Nawet jeśli tylko na chwilę. Z całą naukowo udowodnioną pewnością możemy za to stwierdzić, że tam, gdzie śmigają jaskółki, mniej jest dokuczliwych owadów. Na tyle mniej, że przekłada się to na wysokość i jakość plonów! Oraz – co nie powinno nikogo dziwić – komfort gospodarskich trzód.

W lśniących jak srebro i jak srebro żywych jaskółkach od samego początku widzieliśmy posłańców bogów. Pojawiały się wiosną, zapowiadając światło, ciepłe dni i koniec zimowego postu. Ptaki nadziei i szczęśliwych powrotów. To dlatego marynarze tatuowali je sobie na rękach. Do jednej mieli prawo ci, którzy przepłynęli co najmniej pięć tysięcy mil morskich (9260 kilometrów), do dwóch ci, którzy ten dystans podwoili – i tak dalej. Dymówka nadawała

się na marynarski amulet lepiej niż jakikolwiek inny ptak, bo żaden nie ma takich zasięgów jak ona właśnie. W sześciu podgatunkach żyje na wszystkich kontynentach z wyjątkiem Antarktydy, a w czasie migracji, co najmniej dwa razy do roku, pojawia się nad większością mórz. Wszędzie jest witana jak dobra wróżka i wszędzie kochana. Nie licząc wyjątków potwierdzających regułę oraz fanatyków medycyny ludowej. I chyba żaden inny ptak nie łączy tak mocno nieba, wody, ziemi i ludzi z tak różnych stron świata.

Jedna jaskółka wiosny nie czyni. Powiedzenie to znają na całej niemal Ziemi, czasami tylko zastępują wiosnę latem. Ale wystarczy kilka, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości. W Grecji od czasów starożytnych do całkiem niedawna organizowano ludowe festiwale z okazji powrotu jaskółek. W Westfalii całe rodziny wychodziły na ich powitanie przed dom, a gospodarze otwierali im wrota obór i stodół. W Hesji wystawiano wartowników, którzy wyglądali jaskółek z miejskich wież, a ich przybycie było uroczyście ogłaszane przez lokalne magistraty. Kornwalczycy na widok pierwszej jaskółki podskakiwali – z radości i na szczęście. Dla nas, podobnie jak między innymi dla Czechów, „pierwsza jaskółka” wciąż zapowiada długo oczekiwaną zmianę, coś dobrego.

Latem oprócz dymówek nad naszymi głowami harcują jeszcze dwa inne gatunki jaskółek. Już bez tak wyraziście jaskółczych ogonków, ale każdy z wiele mówiącą nazwą: granatowo-białe

oknówki i piaskowo-białe brzegówki. Te pierwsze przyklejają swoje gniazdka pod dachowymi okapami, szerokimi gzymsami lub w okiennych wnękach. Te drugie, dużo rzadsze, kopią nory w skarpach, osuwiskach oraz stromych brzegach rzek i jezior. I jedne, i drugie najchętniej żyją w koloniach, w których dużo się dzieje: zdrady, intrygi, kradzieże, podrzucanie jajeczek, a czasami dzieciobójstwo. Oprócz typowego rodzicielskiego poświęcenia, dozgonnej miłości i sąsiedzkiej współpracy. Wszystkie na zimę lecą do Afryki i mimo że mamy rok 2021, wciąż nie wiemy, gdzie i co dokładnie robią tam oknówki. Jakby rozpływały się w afrykańskich deszczowych chmurach. Jeszcze sto lat temu niektórzy ludzie byli święcie przekonani, że jaskółki na zimę zapadają na dno rzek, jezior i stawów. Wcześniej wierzyli nawet, że wiatr zanosi uśpione ptaki na księżyc, skąd wiosną przywiewa je z powrotem…

Gdzie patrzeć?

Do góry, tuż nad głową albo wysoko w niebo. Nad wodą, szczególnie gdy zbiera się na deszcz, ponad łany zbóż albo dywan z łąkowych traw i kwiatów. Na energetyczne pięciolinie. Przeważnie

po wsiach, rzadziej w niezbyt tłocznych miastach i na przedmieściach.

Czego wyglądać?

Rozśpiewanych, śmigłych ptaków, które wzbijając się w powietrze, za nic mają prawa fizyki i ograniczenia fizjologii. Szybkość, zwrotność, elegancja, ostre skrzydła i głęboko wcięty, jaskółczy ogon to cechy rozpoznawcze dymówek. Z wierzchu błyskotliwie granatowe, od spodu perłowobiałe – z rubinowym licem i głębokim, magnetycznym spojrzeniem, zarezerwowanym dla szczęściarzy, którzy mieli zaszczyt znaleźć się bardzo blisko.

Czego nasłuchiwać?

„Uszyłabym ci rękawiczki, ale nie mam niciii…!" Radosne, perliste i gęste jak lipcowy deszcz. Kwintesencja lata na wsi.

Kiedy?

Od kwietnia do września lub nawet ciepłych początków października.

---

[85] Zjawisko to przyspieszyło w ostatnim wieku i wciąż się nasila. Dzikie zwierzęta nie mają wyjścia – albo to, albo drastyczne zmniejszenie liczebności i ryzyko wymarcia.

Skowronek.
Ach, skowronek!

Być w skowronkach? Kto by nie chciał! To przez ich śpiew. Perlisty, potoczysty, ekstatyczny. Jeszcze sto lat temu skowronek był najczęściej spotykanym ptakiem na kontynencie, z liczebnością przekraczającą 200 par na kilometr kwadratowy. Jego chóry były tak potężne, głośne i wszechogarniające, że

dopatrywano się w nich boskiej ręki. W różnych językach nazywano je uniesieniem albo podniesieniem (nawiązując do obrządku mszalnego) i wierzono, że gęsto zawieszone pod niebem ptaki były zesłanym przez Boga wcieleniem aniołów. Ku chwale jego dzieła i dla naszej uciechy. Oczywiście. Podobno jeden z takich chórów zaniósł do nieba duszę Świętego Franciszka. Wystarczyło stanąć w dowolnym miejscu bogatego wtedy wiejskiego krajobrazu, żeby spłynął na nas deszcz soczystych nut. Nie wszystkim jednak się to podobało. Byli i tacy, co uważali skowronki za nazbyt lekkie i wesołe. W purytańskiej Anglii na przykład słowo *lark*, skowronek, oznaczało osobę oddającą się masturbacji, a *to lark* – samą czynność. Cóż, nawet po polsku larkować brzmi lżej niż masturbować (się). My jednak mieliśmy inne skojarzenia: „Jak skowronek zaświergoli, myślą chłopi o roli".

Skowronki są piękne, ale tylko z bliska. Dwa metry dalej nawet ich nie zobaczymy, tak doskonale kryją je ich płowoszare, kreskowane sukienki. Skowronki przede wszystkim śpiewają! Jeśli chodzi o wytrzymałość, nie mają sobie równych. Prawdę powiedziawszy, z fizjologicznego punktu widzenia w ogóle nie powinny śpiewać ze skrzydeł albo po kilku minutach spadać martwe. W każdym razie tak wynika z bilansu energetycznego, który wyliczyli dla nich neurofizycy.

Ptaki i ssaki różnią się aparatem głosowym. My produkujemy głosy w krtani. Ptaki też ją mają, ale służy im ona przede

wszystkim jako droga oddechowa, czasami jako wzmacniacz albo pudło rezonansowe. U nich dźwięki wychodzą z syrinksu, który znajduje się w końcowym odcinku krtani, gdzie tworząca ją rurka rozchodzi się w kształt odwróconego Y. To punkt kluczowy w anatomii ptaków śpiewających, dający wielu z nich możliwość wyrzucania z siebie kaskad dźwięków w różnym tempie, tonacji, częstotliwości i natężeniu – ale w tym samym czasie! Skowronki robią to po mistrzowsku. Ptaki mają też najbardziej wydajny, dwukierunkowy układ oddechowy. Nasz jest jednokierunkowy. Żeby zaczerpnąć nową porcję tlenu – wziąć wdech – najpierw musimy pozbyć się zużytego, odtlenionego powietrza – zrobić wydech. W ptasich płucach, krwi i narządach cały czas krąży gaz życia, bo w oddychaniu biorą udział nie tylko płuca, ale i rozlokowane w różnych częściach ciała worki powietrzne, z których w każdej chwili zasysane jest świeże powietrze. To wymagające nieprzerwanych dostaw wysokoenergetycznego tlenu przystosowanie do latania dało ptakom niespotykaną nigdzie indziej wartość dodaną – możliwość gadania i śpiewania tak samo na wdechu, jak i wydechu, czyli cały czas. Jak inaczej skowronki rekordziści mogliby śpiewać blisko pół godziny bez przerwy, zawisając jednocześnie na długie chwile w jednym punkcie nieba? Pod względem energetycznym jest to o wiele bardziej kosztowne niż powietrzne akrobacje. Wszystko wskazuje na to, że to ta kombinacja robi na skowronkowych dziewczynach największe wrażenie.

Skowronkowe chłopaki zaczynają przed wschodem słońca, a kończą o zachodzie. Od przedwiośnia, często już w lutym, do przedjesieni. W cieplejszych rejonach kraju – przez cały rok, choć pomiędzy wrześniem a styczniem usłyszymy raczej pojedyncze zwrotki niż pełne koncerty. Moglibyśmy założyć, że skowronki – jak większość ptaków – śpiewają, żeby zaimponować partnerce, onieśmielić konkurentów i oznaczyć swoje terytorium. Ale one mają dość elastyczne podejście do kwestii granic i tak bardzo rwą się do śpiewania, że nucą sobie nawet w czasie wiosennych wędrówek, setki albo i tysiące kilometrów od swoich rewirów lęgowych.

Ani kilkaset nut wyrzucanych w ciągu kilku minut, ani uniesienie, ani nawet rozanielenie – nic nie przeszkadzało nam przez całe wieki zabijać skowronków na masową skalę. To w nich miało początek powiedzenie „pieczone gołąbki prosto do gąbki". Jak to zwykle bywa, najwięcej ptaków ginęło w czasie przelotów, a skowronki migrowały wtedy w wielotysięcznych stadach. Różnymi sposobami wabiono je na ziemię – łącznie z wystawianiem wypchanych oraz przywiązywaniem do ziemi żywych ptaków. Nad ranem zarzucano na nie sieci albo płoszono tak, żeby wpadały do już rozstawionych – w długich rzędach, jedna za drugą. Jak dzisiaj zabijają skowronki w południowej Europie? Oficjalne roczne „pozyskanie" we Francji to 1,2 do 1,6 miliona, a we Włoszech 1,5 miliona. W XIX wieku tyle skowronków sprzedawano tam na

dużych miejskich targach w ciągu jednego tylko sezonu (jesień–zima). To samo działo się w innych europejskich metropoliach. Zmiana jest ogromna i moglibyśmy być cali w skowronkach, gdyby nie fakt, że w ciągu ostatnich 35 lat ich populacja w całej Europie spadła średnio o połowę, a w niektórych krajach i regionach o przeszło 90 procent. Polska też już nie jest najbardziej skowronkowym krajem na kontynencie, chociaż ostatni cenzus daje im status naszego najliczniejszego gatunku lęgowego – ponad 10 milionów par. Wyciągnięta z okresu 2000–2018 średnia maskuje jednak dramatyczne spadki ostatnich kilku lat, będące efektem intensyfikacji i uprzemysłowienia rolnictwa, jakiego polska wieś nigdy wcześniej nie doświadczyła. Jeśli nic się nie zmieni w sposobie upraw i podejściu do krajobrazu, podsumowanie kolejnego dziesięciolecia pokaże liczbę co najmniej o połowę mniejszą.

Żeby skowronków przestało ubywać, każda para w każdym sezonie musiałaby mieć dwa, trzy lęgi. Nie jest to niemożliwe, bo w dobrych miejscach anielskie ptaki i bez namawiania wyprowadzają cztery lęgi, a połowa piskląt osiąga dojrzałość. Kłopot w tym, że takich miejsc w tradycyjnym, mozaikowym krajobrazie właściwie już nie ma. Według badań brytyjskich ptaki, które przychodzą na świat na nowoczesnych polach, mają tylko 20–35 procent szans na przeżycie pierwszego roku. Przeżywalność dorosłych w zależności od siedliska waha się

między 62 a 77 procent dla samczyków i zaledwie 27– 62 dla samiczek. Ale to one spędzają dużo więcej czasu na ziemi, budując gniazda i wysiadując jaja (na wszelki wypadek w ekspresowym tempie – 11 dni). I to one częściej giną w opryskach, pod kołami maszyn albo w zębach kotów i różnych naturalnych drapieżników. Radosny jak skowronek…? A wystarczyłoby podczas zasiewów podnieść na chwilę siewnik i zostawić kilka kilkumetrowych oczek. Choćby jedno na dwa, trzy hektary. Co łaska. Skorzystałyby na nich również czajki, kuropatwy, przepiórki, bażanty, ortolany, potrzeszcze, trznadle, szczygły, bociany, zające – mógłbym tak długo jeszcze wymieniać. Byleby w miarę daleko od drogi (koty), drzew (wrony i krogulce) i oczywiście nie pod przewodami energetycznymi. Najstarszy skowronek, o jakim wiemy, Czech, przeżył 10 lat.

Gdzie patrzeć?

Na nieba nad polami i łąkami.

Czego wyglądać?

Punktu na niebie.

Czego nasłuchiwać?

Kaskady niekończących się perlistych treli i świergotów. „Dzwoń, dzwoń, dzwoń, dzwoneczku, mój stepowy skowroneczku…”

Kiedy?

Od bardzo wczesnej wiosny do lata, a w cieplejszych rejonach kraju także jesienią i zimą.

Szczygieł.
Żółty, który leczy

Od późnego średniowiecza do końca renesansu szczygieł był ulubionym ptakiem artystów i malarzy. Szczególnie często pojawiał się na obrazach z Dzieciątkiem Jezus i jego Matką.

Zobaczymy go, jak siedzi na ramieniu Matki Boskiej Karmiącej, wygrzewa się w fałdach jej sukni albo bawi się z jej synem. Tylko w latach 1250–1500 powstało co najmniej 486 takich obrazów, a mówimy jedynie o tych, które przetrwały do naszych czasów i trafiły do światowych rejestrów muzealnych. Szczygła malowali m.in. Leonardo da Vinci, Michał Anioł i Rafael. Wszystko przez jego żółte skrzydła. Już starożytni Grecy przypisywali żółtemu właściwości lecznicze (*charadrios*). Chrześcijanie poszli o krok dalej i wierzyli, że żółty nie tylko leczy, ale i oczyszcza. I ciało, i duszę. Tak jak Chrystus przez swoje cierpienie najpierw przyjął, a potem zmazał grzechy ludzkości, tak żółtość szczygła pochłaniała nieczystość, grzech i choroby. Wystarczyło wpatrywać się w jego jaśniejące jak aureole świętych pióra, ot, choćby na obrazach. W tamtych czasach wszyscy byli mistykami, a każdy byt czy wydarzenie niosło ze sobą wiele dodatkowych znaczeń. Szczygieł nie był tylko ptakiem, jego pióra nie były tylko piórami, a żółty czy tym bardziej czerwony nie mógł być tylko jeszcze jednym kolorem. Rozgorączkowani religijnie ludzie wierzyli, że rzeczywistość jest taka jak to, w co wierzą. (Pod tym względem aż tak bardzo się nie zmieniliśmy).

Podobne właściwości co szczygieł miała dużo większa i jeszcze bardziej żółta wilga. Kłopot w tym, że była dzika i nieuchwytna, a do tego nie miała czerwonego, który szczygły nosiły na pamiątkę czuwania przy konającym Jezusie. To wtedy, wyciągając ciernie z

jego bolejącego czoła, zbroczyły się świętą krwią. Podobne ślady znaczyły jaskółki i rudziki, ale one nie miały dostępu do ostów, na których przysiadały i – być może przede wszystkim! – którymi karmiły się szczygły. Osty już same w sobie były święte, co słychać w łacińskiej nazwie jednego z nich – *Cnicus benedictus*, po polsku drapacz lekarski. Mało że w oczywisty sposób nawiązywały do korony cierniowej, to jeszcze miały właściwości lecznicze i tradycyjnie zwalczano nimi różne choroby i zarazy, w tym tak zabójcze jak gruźlica. Szczygły przez swoje zamiłowanie do niebezpiecznych nasion zostały ptakami Męki Pańskiej. Towarzysząc Chrystusowi od pierwszych dni aż do ostatniego tchnienia, symbolizowały lojalność, wytrwałość oraz przywiązanie do wartości. Tak oto skromny szczygieł pobił wszystkie inne ptaki w wyścigu do świętości. Mało który miał też tyle magicznych mocy, co on. (Może poza sowami, ale te, jak wiemy, przeleciały na złą stronę). Żeby doświadczyć zbawiennej siły szczygła, wystarczyło oglądać go na obrazie. Błogosławiony był każdy, kto taki obraz posiadał, namalował lub tylko na niego patrzył.

Szczygły były trzymane w domach również dla urody i śpiewu, a europejscy kolonizatorzy zabierali je ze sobą, dokądkolwiek jechali. Potomkowie tamtych ptaków żyją dzisiaj m.in. w południowej Australii i Nowej Zelandii. Ja też wierzę, że kolorowe, szczebiotliwe i pełne wdzięku szczygły mają szczególną moc –

gdziekolwiek się pojawią, czynią świat lepszym. Choćby na chwilę. Anglicy ich stadka do dziś nazywają czarem, *charme*.

U nas według ostatnich szacunków żyje 665–916 tysięcy par szczygłów. Osiedlają się w starych sadach, parkach, ogrodach, alejach i zagajnikach, gdzie w gałęziach drzew wiją swoje misterne, wcale nie żółte, ale białawe gniazdka. Późnym latem, jesienią i zimą w rodzinnych i sąsiedzkich grupach koczują po okolicy, poszukując nasion różnych ziół, traw i tzw. chwastów, w tym ostów i łopianów – ich specjalności. Zostawmy w sadach i ogrodach suche kwiatostany z nasionami na zimę. Ładnie wyglądają, a do tego mogą uratować komuś życie. Na przykład stadku szczygłów. Niech czarują.

Gdzie patrzeć (poza muzeami z renesansowymi i barokowymi obrazami)?

Po polnych drogach i przydrożach, w starych sadach i ogrodach, w świetlistych parkach i zagajnikach, tam, gdzie zachowało się trochę dzikich ziół i kwiatów. Coraz częściej w zielonych, przyjaznych miastach. Zimą szczygły najłatwiej zobaczyć wśród suchych, ale oblepionych nasionami bylic, lebiod, rzepów i oczywiście ostów.

Czego wyglądać?

Przeważnie kilku małych, szczebiotliwych i ruchliwych ptaszków, za którymi ciągnie się aura życzliwej radości. Każdy z nich ma głęboko czerwone czoło i poliki, kontrastujące z biało-czarnym rysunkiem reszty głowy. Uwagę zwracają wyraziste, żółto-czarne pręgi na skrzydłach, które najpiękniej prezentują się w locie.

Czego nasłuchiwać?

Spontanicznej, czytaj: skomponowanej z przypadkowych nut, pozbawionej fraz i struktury, ale żwawej i radosnej piosenki z dzwoneczkami, świergotem i terkotaniem.

Kiedy?

Przez cały rok.

Gąsiorek.
Kuba rozpruwacz z kolcem tarniny

Tak! Gąsiorek to najprawdziwszy drapieżnik. A do tego jaki urodziwy. Ma kasztanoworudy płaszcz, różową pierś, śnieżnobiałe poliki oraz błękitnoszary kaptur i widoczną z daleka, smoliście czarną przepaskę na oczach – pod kolor ogona. Niech nas nie zwiedzie to, że śpiewa i bardziej niż jastrzębia przypomina swojego kuzyna wróbla, od którego jest tylko trochę większy. Niewielkie rozmiary nadrabia determinacją i pewnością siebie. Brak muskularnych palców i szponów kompensują mu kolce

krzewów, na które nabija swoje ofiary i albo je rozdziera, albo czeka, aż skruszeją. Wtedy wystarcza mu niebagatelny, zakończony wiele mówiącym haczykiem dziób. Nie bez kozery Linneusz nazwał gąsiorki *Lanius*[86]. Po łacinie to tyle co „rzeźnik, oprawca". Epitet gatunkowy *collurio* pochodzi od greckiego słowa *kollyrion*, którym najprawdopodobniej sam Arystoteles nazywał gąsiorki, a które można przetłumaczyć jako „drapieżnego ptaszka". Nie lekceważmy ich tylko dlatego, że nie upolują zająca czy bażanta (na wszelki wypadek dodam, że dorosłego). Polne myszy, nornice czy ryjówki by się nie odważyły. Dla nich spotkanie z gąsiorkami to kwestia życia lub śmierci. Drobne ptaki, a tym bardziej ich pisklęta, na wszelki wypadek też powinny uważać. Tak samo jak żaby, jaszczurki i przede wszystkim różne chrząszcze, pasikoniki, osy czy inne większe owady, które gąsiorki zjadają pasjami, a nadwyżki nabijają na ciernie tarniny, głogu lub akacji. Kolekcja małych zwłok to ważny element rytuałów godowych. Dowód sprawności łowieckiej przyszłego partnera i ojca. Im lepiej zaopatrzona spiżarnia, tym większe szanse na szybki ożenek. Kiedy wylęgną się pisklęta, przystojny *Lanius collurio* będzie początkowo jedynym żywicielem rodziny, a wcześniej musi zaopatrywać wysiadującą partnerkę. Ci, którzy chcą jeszcze bardziej zaimponować wybrance – albo zniechęcić rywali – wystawiają teatrzyk jednego aktora, w którym odgrywają nabijanie martwej zdobyczy na kolce… I jak ich nie pokochać (albo się nie przestraszyć)?

Gąsiorki, podobnie jak wiele innych, bardziej reprezentatywnych drapieżników, lubią polować z zasiadki. Tak jest taniej. A że są takie małe i kolorowe, nie wyglądają na drapieżniki, nie budzą szczególnych emocji wśród sąsiadów i nie muszą się ukrywać. Siedzą wyprostowane niczym miniaturowe sokoły na wybujałych ponad kopułę krzewu gałęziach, wierzchołkach małych drzewek, na kołkach w płocie albo napowietrznych przewodach. Siedzą i patrzą, a jak wypatrzą kogoś do zjedzenia, spadają na niego i swoim sokolim zębem (ów haczyk na końcu dzioba) rozbijają mu głowę. Tak przynajmniej wygląda typowe polowanie gąsiorka na małe gryzonie. Zwyczaj przesiadywania w pełnym słońcu i na widoku ułatwia obserwowanie ich w terenie, szczególnie ekstrawaganckich samczyków – ale tylko z daleka. Gąsiorki normalnie są dyskretne i płochliwe, a w razie jakichkolwiek wątpliwości zapadają się w swoich ciernistych krzewach albo odlatują. To się zmienia w sytuacji, gdy zagrożone jest gniazdo lub pisklęta – rodzice przeskakują wtedy z miejsca na miejsce, na zmianę nerwowo przysiadają i prostują się, rozkładają ogony, zataczają nimi koła albo przerzucają z boku na bok, przez cały czas pokrzykując szorstkie, skrzypiące „Czek! Czek! Czek!”. Widząc podobne zachowanie czy to u gąsiorków, czy u innych ptaków, najlepiej szybko się wycofać.

Gdzie patrzeć?

Gąsiorki lubią urozmaicone kępami niewysokich drzew i krzewów pastwiska, torfowiska, wrzosowiska, łąki i pola. Osiedlają się wzdłuż zakrzaczonych dróg i rowów[87]*, w starych, zarośniętych sadach, przyjaznych parkach i zdziczałych ogrodach. Ważne, żeby były tam jakieś kolce i dużo słońca.*

Czego wyglądać?

Małej, kolorowej bestii w czarnej masce na oczach. To on. Ona w ciepłych, kryjących brązach, w szarym lub szaro-brązowym kapturze, a zamiast maski ma tylko ciemne smugi za dużymi, czarnymi oczami. Kremowa pierś i brzuszek pokryte są gęstym, łuskowanym wzorem. Wszystko to przydaje gąsiorkowej ciepła i uroku, ale nie dajmy się zwieść – jest taka sama jak on. I u niej, i u niego uwagę zwraca bardzo duża głowa – zapewnia odpowiednią siłę uderzenia podczas ataku i amortyzuje odbój.

Czego nasłuchiwać?

Mało kto wie, że gąsiorki śpiewają, a jeszcze mniej ludzi słyszało ich piosenkę. To kompilacja ich własnych oraz zapożyczonych szczebiotów, świergotów i terkotań. Potoczysta, słodka i wesoła. Coś jakby połączenie dymówki ze szczygłem albo czyżem, a czego nie spodziewalibyśmy się po żadnym mięsożercy, nawet tak małym i różowym. Szkoda tylko, że tak rzadko i przede wszystkim cicho śpiewa. Jakby solista jedynie się rozgrzewał przed koncertem – ale nie, głośniej nie będzie. Lepiej i częściej słychać ich trzeszczące albo tykające głosy kontaktowe i alarmowe. Niektóre z nich brzmią jak krzesanie kamieniem o kamień, inne mają przypominać gęganie – stąd gąsiorek.

Kiedy?

Jak zrobi się naprawdę ciepło – od maja do sierpnia, najdalej września. Resztę czasu gąsiorki spędzają w południowej Afryce albo w drodze, kiedy to same stają się łatwą zdobyczą dla większych drapieżników. Wszystko przez ich wolny, prostoliniowy lot.

[86] Obecnie to nazwa rodzajowa zarezerwowana dla wszystkich dzierzb (właściwych), kuzynów gąsiorków.

[87] Zakrzaczenia takie to czyżnie, czyli wielogatunkowe zespoły roślinne składające się z niskich krzewów, głównie tarniny, głogu oraz śliwy, którym często towarzyszą jeżyny, róże, trzmielina, leszczyny, jarzęby, dzikie czereśnie.

Kruk.
Rozum i pamięć

Dawno temu każdego ranka dwa czarne jak kosmos kruki ruszały w świat. Jeden miał na imię Hugin (Rozum), a drugi Munin

(Pamięć)[88]. Wracały wieczorem, siadały na ramionach gromowładnego Odyna, najpotężniejszego z nordyckich bogów, patrona wiedzy, mądrości i światła, i szeptały mu do ucha, co widziały, co słyszały i czego się nauczyły. Odyn mógł z nimi rozmawiać, bo, jak wiadomo, kruki nie tylko rozumieją ludzkie języki, ale i świetnie nimi władają. Wikingowie tak bardzo wierzyli w mądrość i prorocze zdolności kruków, że chodzili do nich tak jak my do księdza, wróżki albo trenera rozwoju osobistego. Spostrzegawczość i inteligencja uczyniły z kruków przewodników dla zagubionych i poszukujących, lojalnych strażników tajemnic i skarbów, a nawet całych imperiów (o czym niżej). W Irlandii do dzisiaj przetrwało powiedzenie o kruczej mądrości, *raven's knowledge*, co oznacza solidną wiedzę albo kogoś, kto wszystko wie. (Nie mylić z mądralą, któremu tylko się tak wydaje). Wołające przed brzaskiem kruki zapowiadały powrót światła. Były ptakami słońca, które zaczynało dzień od przejrzenia się w ich piórach[89].

Postrzeganie kruków, tak jak wielu innych świętych lub ważnych dla naszych przodków ptaków, zaczęło zmieniać się pod wpływem umacniającego się w Europie chrześcijaństwa. To, że były sprytne i lubiły padlinę, nie przysparzało im sympatyków, ale i tak najgorsze, że były czarne. Co więcej, to nie gołąb, ale kruk był pierwszym ptakiem, którego Noe posłał z misją rozpoznania sytuacji powodziowej. Krnąbrny, a może tylko niezależny ptak

nigdy jednak na arkę nie wrócił. Widzieli go, jak przelatywał to tu, to tam, a gdy tylko odsłonił się pierwszy ląd, słuch po nim zaginął. Kruki z posłańców bogów, czego echa wciąż jeszcze słychać w Nowym Testamencie, zamieniły się w ptaki śmierci i wcielenie Szatana. Ochrzczeni potomkowie wikingów zaczęli widzieć w nich duchy pomordowanych, a Germanie dusze potępionych. Zamiast światła kruki budziły lęk, a że typową dla nas reakcją na lęk (inne i nieznane) jest agresja, kruki obok sów stały się najbardziej prześladowanymi ptakami w historii. Po tysiącu lat eksterminacji podgrzewanej religią i zabobonem w XIX wieku przyszedł czas na zorganizowane zabijanie kruków, w których tym razem zobaczyliśmy szkodniki i konkurencję. Strzelanie do czarnych ptaków mieli w swoich obowiązkach łowczy i myśliwi, a amatorom i ptasim hyclom wypłacano specjalne premie. Jakby tego było mało, w połowie XX wieku do powszechnego użytku weszło trujące DDT, na które padlinożerne kruki były szczególnie narażone. (Więcej o DDT w opowieści o sokole wędrownym). To, że kruki przetrwały do naszych czasów, jest prawdziwym cudem. Choć *raven's knowledge* oraz co najmniej osiem podgatunków zamieszkujących więcej niż pół świata – od Alaski i Meksyku, przez Europę, aż po Chiny i Czukotkę – na pewno nie są tutaj bez znaczenia.

Kruki to największe i najcięższe wróblowe. Dorosłe mogą mierzyć blisko 70 centymetrów długości i ważyć dwa kilogramy przy

rozpiętości skrzydeł sięgającej półtora metra. Bywają większe od jastrzębi i myszołowów, a nawet średniej wielkości orłów, takich jak orliki krzykliwe. Dojrzewają zwykle w okolicach trzecich urodzin i żyją kilkanaście lat, ale zdarzają się i takie, które dociągają czterdziestki, co daje im status najdłużej żyjących wróblaków (razem z australijskimi lirogonami i niektórymi altannikami). To też jedne z naszych najwcześniej lęgnących się ptaków – jaja w ich gniazdach pojawiają się już w lutym. Być może chcą zsynchronizować wykluwanie się piskląt z przednówkiem, który w dawnym krajobrazie i klimacie musiał zbierać srogie żniwo wśród zwierząt, a padlina to aż dwie trzecie kruczej diety. Młodzież spędza w gnieździe blisko półtora miesiąca i zostaje z rodzicami przez kolejne pół roku. Przez cały ten czas dużo gadają, uczą się i bawią.

Kruki lubią się bawić i same robią sobie zabawki. Serio! Trochę tak jak ci z nas, których dzieciństwo przypadło na czasy sprzed komputerów, smartfonów i niezliczonych kanałów TV. Jakiś patyk, jakiś sznurek, garść wyobraźni i cały świat należał do nas. Gdy ciekawscy neurobiolodzy zajrzeli pod czaszki kruków, okazało się, że spośród wszystkich ptaków mają one najlepiej rozwinięte ośrodki mózgu odpowiadające za kojarzenie faktów i myślenie abstrakcyjne. Mają też coś, co w psychologii poznawczej nazywa się wglądem, i mogą rozwiązywać bieżące problemy, wykorzystując wcześniejsze doświadczenia. Nie tylko własne! Jest

to możliwe dzięki empatii oraz fenomenalnej pamięci. Kruki potrafią planować, rozumieją wiele pojęć oraz podstawowe liczby, a ich zdolności poznawcze nie ustępują szympansim. Nadają sobie imiona, którymi się wołają, i należą do jednego z kilku gatunków zwierząt, u których potwierdzono *displacement*, co w nomenklaturze lingwistycznej oznacza zdolność komunikowania o rzeczach lub wydarzeniach oddalonych w czasie lub przestrzeni, a czego rozwój uważa się za jeden z kluczowych elementów ewolucji języka. Ale powróćmy do zabawy. Kruki chyba najbardziej lubią się bawić w powietrzu. (Coś, co nawet nam, analogowym dzieciakom, się nie udawało. W każdym razie nie w normalnych okolicznościach…) Czego one tam nie robią! Berki, beczki, pikowanie, szybkie spadanie w korkociągu (w pojedynkę lub ze spiętym pazurami partnerem), przewroty do przodu i do tyłu, latanie na boku, na plecach albo synchroniczne. (Równie szalone figury możemy obserwować podczas lotów godowych). Kolejne ulubione rozrywki kruków to żonglowanie i saneczkowanie. W obydwu przypadkach kładą się na plecach, przy czym w tym drugim potrzebują jeszcze górki ze śniegiem albo lodem. Są jeszcze zabawa w pranie, gdy ptaki zwisają z gałęzi z otwartymi skrzydłami i udają, że łopoczą na wietrze jak koszule na lince, oraz zabawa w ganianego-chowanego. Do tej ostatniej próbują czasami wciągnąć inne zwierzęta, na przykład wilki. Oczywiście tam, gdzie wilki w ogóle są. Kruki wołają je również wtedy, gdy znajdą duże, padłe zwierzę i trzeba je otworzyć. Wiele wskazuje

na to, że naprowadzają też wilki na potencjalną, ranną lub osłabioną, ale żywą jeszcze ofiarę. Monitorując sytuację z lotu ptaka, mają sporą przewagę! Prawdopodobnie w ten sam sposób kruki współpracowały z dawnymi myśliwymi, którzy po udanym polowaniu sowicie wynagradzali swoich przewodników. Gdy kruki trafią na podejrzanie łatwą zdobycz – to znaczy taką, przy której nikogo nie ma – czekają na wrony, sroki lub innych padlinożerców, żeby się upewnić, czy nie jest to jakaś zasadzka… Nadwyżki, które mogą unieść, chowają. Czasami tylko udają, a naprawdę ukryją je w zupełnie innym miejscu, bo wiedzą, że koledzy z innej drużyny podglądają. We wrogów i intruzów rzucają kamieniami. Nic takiego? A dostaliście kiedyś kamieniem zrzuconym z wysokości 20 metrów? Partner lub partnerka, rodzina albo – zanim ją założą – kumplowski gang, w którym może być nawet dwadzieścia kilka ptaków, to ważne sprawy w życiu każdego kruka.

Brytyjczycy wierzą, że tak długo, jak w London Tower będzie co najmniej sześć kruków, ich ojczyźnie nic nie grozi. Raz się zdarzyło, że z wyjątkiem pewnej Pauline wszystkie zginęły. Było to wkrótce po tym, jak jesienią 1940 roku Niemcy rozpoczęli trwające wiele miesięcy naloty na brytyjską stolicę, co uważa się za najtragiczniejsze wydarzenie w dziejach Królestwa. Sam Churchill pilnował potem, żeby czarne ptaki jak najszybciej i w odpowiedniej liczbie wróciły do Tower. Od tamtego czasu

londyńskie kruki rejestrowane są jako żołnierze Jej Królewskiej Mości. Mają swoje prawa, ale i obowiązki. Ich notoryczne niedopełnianie lub złe zachowanie mogą skutkować degradacją i wykluczeniem z armii. Kruk George, na przykład, został odesłany do Walii po 11 latach w wojsku, a wszystko przez powtarzające się irracjonalne ataki, aż wreszcie całkowite zniszczenie anteny telewizyjnej. Jego kolega Grog po 21 latach wzorowej służby zamienił Tower na pobliski pub… (Ale czy można mu się dziwić?) Z innej beczki, choć z tej samej wieży: śmierć uwielbianego przez wszystkich Jamesa Crowa spowodowała takie poruszenie, że Edgar Soppe zapragnął podobnej atencji i któregoś dnia sam zaczął udawać martwego. Udało się! Gdy głęboko zasmucony dowódca kruków niósł czarne *ciało* Edgara, ten chwycił go dziobem za palec, zerwał się na równe nogi i odleciał z głośnym, kruczym rechotem. Merlinowi tak bardzo się to spodobało, że regularnie udawał martwego przed skonsternowanymi turystami. Kiedy jakiś czas potem nagle zmarł na posterunku kapelan Norman Hood, wszystkie kruki z Tower zebrały się przed kaplicą. Najpierw głośno wołały, potem przez dłuższą chwilę milczały. (Kruki, podobnie jak wielu ich kuzynów z rodziny krukowatych, żegnają się w ten sposób ze swoimi zmarłymi). Thorowi z kolei udało się zaskoczyć samego Putina (co, sami przyznacie, nie może być łatwe), gdy przy okazji wizyty w Tower w 2003 roku przywitał go głośnym i wyraźnym *good morning*, po czym zwrócił się po kolei do każdego z dyktatorskiej świty.

Gdzie patrzeć?

W lasach oraz na polach i łąkach w pobliżu lasów. Kruki od niedawna znowu osiedlają się coraz bliżej ludzi – budują gniazda w miejskich lasach (na przykład w Sopocie i Białymstoku), zaglądają na przedmieścia. Szacuje się, że po okresie zapaści w drugiej połowie XX wieku w Polsce gnieździ się 26–37 tysięcy par.

Czego wyglądać?

Dużego, czarnego kształtu na niebie, z klinowatym ogonem oraz palczastymi końcami skrzydeł. Z bliska uwagę zwraca potężny dziób ze ściśle przylegającym wąsem od góry i wydatną brodą pod spodem. Wszystko bez wyjątku jest czarne, nawet wnętrze dzioba, za to w słońcu pięknie połyskuje purpurą i granatem.

Czego nasłuchiwać?

Głębokiego, nastrojowego krakania, przy czym to tylko jedno z ponad 40 zarejestrowanych do tej pory kruczych zawołań. Czarne ptaki lubią też naśladować różne dźwięki i głosy dla zabawy.

Kiedy?

Cały rok, przy czym kruki najłatwiej obserwować od późnej jesieni do wczesnej wiosny.

---

[88] A właściwie Huginn i Muninn. Trudno jednoznacznie przetłumaczyć te staronordyckie imiona. Pierwsze może oznaczać zarówno rozum, jak i myśl, a drugie rozum, pamięć lub świadomość.

[89] Hołdujący tradycji Indianie wierzą, że na samym początku, kiedy Ziemia była tylko wodą, był już on, Wielki Kruk. Pewnego dnia wzniósł się wysoko do nieba i zrzucił stamtąd garść kruczych kamyków – tak powstały wszystkie lądy, na które wkrótce wyszło z wody życie, a kruki jako ptaki stworzenia mogą przybrać każdą postać, jaką tylko chcą.

Osiem!

Wyobraźcie sobie, że musicie zamieszkać z dwójką dzieci, babcią, psem, kotem, rybkami i kanarkiem w mieszkaniu o powierzchni 34,8 metra kwadratowego. Wspominałem już o czterech rowerach i ukochanej hulajnodze waszego syna…? Co robicie? Jedziecie do Ikei i razem z tamtejszym doradcą-magikiem próbujecie wpasować w tę maleńką przestrzeń cały system inteligentnych rozwiązań, które pozwolą urządzić się w waszym gniazdku ze wszystkim, czego potrzebujecie do życia. Może to oznaczać, że przed każdym rozłożeniem stołu będziecie musieli najpierw złożyć kanapę, że cztery z sześciu krzeseł też będą składane, a ściany zostaną zabudowane wysokimi pod sufit szafami pełnymi sprytnych schowków, wysuwanych wieszaków i półek. Rybki trzeba będzie podwiesić w łazience, a rowerom sprawić dobry pokrowiec i przypinać je na zewnątrz. Po raz pierwszy zaczniecie korzystać z piwnicy, ale używane raz do roku torby i walizki i tak będziecie musieli zawieźć do teściów… Podobnie zorganizowany jest ptasi mózg, który na niewielkiej przestrzeni mieści tyle funkcji i urządzeń, co nasze rozrzutne ssacze mózgi. Aż 75 procent mózgowia papug czy ptaków śpiewających to wyrafinowany procesor informacji, który pracuje tak, jak nasza kora mózgowa,

zajmująca tylko 40 procent naszego mózgowia, a u innych ssaków jeszcze mniej. Tak jak my rozkładamy i składamy sprzęty w naszym mieszkaniu, tak w ptasich mózgach różne funkcje i ośrodki uaktywniają się i powiększają, gdy są potrzebne, a gdy potrzeba mija, szybko się obkurczają. Kiedy sójki, na przykład, zaczynają jesienią robić zapasy na zimę, lawinowo przybywa im neuronów w hipokampie, odpowiedzialnym za pamięć i analizę przestrzenną. U niektórych amerykańskich sikor, mających podobną strategię przetrwania, jest to przyrost o jedną trzecią. Pobudzony hipokamp przydaje się też ptakom wędrownym, ale kiedy takie piegże albo cierniówki powracają do nas wiosną z Afryki, hipokampy w ich mózgach ustępują miejsca ośrodkom śpiewania. Nic dziwnego, że ptasie mózgi znalazły się w centrum zainteresowania neurologów oraz specjalistów od traum i schorzeń układu nerwowego. Optymalizacja i miniaturyzacja to dwa słowa, które najlepiej oddają to, w jaki sposób zostały zaprojektowane. Jak to działa? Pierwsze komputery nie zmieściłyby się nawet do dwóch takich mieszkań jak to z naszej opowieści, za to te współczesne wkładamy do kieszeni spodni i nikt nie ma wątpliwości, że są dużo szybsze i nieporównywalnie więcej mogą.

Jeszcze w latach 70. poprzedniego wieku obowiązywał pogląd, że wszystkie zachowania ptaków opierają się na prostych reakcjach odruchowych lub zakodowanym genetycznie instynkcie. Biolodzy,

a za nimi wiedza popularna, odziedziczyli to myślenie po amerykańskich behawiorystach i hodowcach drobiu (więcej na ten temat w rozdziale *Myślę, więc nie czuję?*). Fundamenty pod nie położył Ludwig Edinger, wpływowy XIX-wieczny prekursor neurofizjologii. Uznał on, że skoro ptaki nie mają kory mózgowej, to nie mogą być zdolne do żadnych bardziej skomplikowanych reakcji poznawczych, kojarzenia, myślenia ani nawet pamiętania tego, co wydarzyło się przed chwilą. Co z oczu, to z serca, a dokładniej z mózgu – i żadnych szans na nauczenie się czegokolwiek. O wolicjonalnej komunikacji, wyrażaniu emocji i budowaniu więzi tym bardziej nie mogło być mowy. I owszem, różne ptaki przelatywały z miejsca na miejsce, nawoływały się, przeganiały lub wspierały, czasami śpiewały lub tokowały, ale cokolwiek robiły, robiły to przypadkowo, nie różnicując co ani dlaczego. Jeśli któryś prawidłowo zareagował na głos alarmowy swojego kompana, to był to tylko bezwiedny odruch, a podrywając się do lotu lub umykając w głąb zarośli, i tak nie rozumiał, dlaczego to robi. Mnie w całej tej historii najbardziej zadziwia to, że tak wielu zawodowych biologów tak długo trwało przy pomyśle, że żyjące w skomplikowanych układach społecznych ptaki, najbardziej ekspresyjne ze znanych nam zwierząt, mogłyby w ogóle przetrwać, polegając na przypadkowych odruchach i niezrozumiałych dla siebie reakcjach. Czy nikomu nie przyszło do głowy, że jeśli nie drapieżniki, to w krótkim czasie musiałby zabić je zwykły chaos…?

Wątpliwości zaczęły się pojawiać, kiedy wykazano, że podwórkowe kury inaczej wszczynają alarm na widok niebezpieczeństwa nadlatującego z góry, a inaczej, gdy nadchodzi ono z dołu, i w obydwu sytuacjach podejmują różne działania. Jakby tego było mało, kury inaczej się zachowywały, gdy były same, a inaczej w towarzystwie koleżanek. W pierwszym przypadku natychmiast szukały schronienia, w drugim najpierw głośno sygnalizowały nadciągające zagrożenie, co tłumaczono troską o bezpieczeństwo grupy, z którą się identyfikowały. W 1973 roku niejaki Harry Jerison doszedł do wniosku, że nie bezwzględna masa mózgu, lecz stosunek jego masy do masy ciała przesądza o zdolnościach poznawczych, czyli inteligencji takiego czy innego zwierzęcia. Zależność ta to inaczej współczynnik encefalizacji albo umózgowienia, z angielskiego EQ, *encephalization quotient*[90]. Okazało się, że… ptaki mają wyższe EQ niż ssaki. Wyjątkiem są człekokształtne, które dorównują dużym papugom i krukowatym. Ptasie mózgi wcale nie są małe. Przeciwnie, są bardzo duże i zgaduję, że proces miniaturyzacji przeszły tylko dlatego, że były ciężkie i utrudniały ptakom latanie[91]. Prawdziwy przełom nastąpił jednak dopiero w roku 2005, kiedy po latach badań i pocięciu tysięcy mózgów zespół bioneurologów pod przewodnictwem profesora Ericha D. Jarvisa ogłosił, że w skrupulatnie urządzonych mózgowiach ptaków znajduje się dużo więcej neuronów niż w homologicznych ośrodkach mózgów ssaków, co często daje tym pierwszym o wiele większy potencjał

operacyjny. Ptaki w ogóle mają proporcjonalnie bardziej rozbudowane kresomózgowie, w którym mieszczą się centra procesów poznawczych i woli. U śpiewających skupia ono do 80, a u papug do 85 procent neuronów zorganizowanych w służące różnym funkcjom i zadaniom wiązki zwane nukleusami. Podobne proporcje obserwujemy tylko u siebie i pozostałych człekokształtnych. Niektóre papugi i krukowate, mając mniejsze mózgi niż szympansy, dorównują im, a nawet przewyższają je w wielu kompetencjach społecznych i poznawczych. Naukowcy wydali wkrótce specjalne oświadczenie, w którym postulowali porzucenie starej, „nieprzystającej do obecnej wiedzy o ptasim mózgu" terminologii i zaproponowali nową, rezygnując m.in. z wszystkich przedrostków typu paleo- lub arche- oraz określeń w rodzaju „prymitywny", „wsteczny", „gadzi". W uzasadnieniu napisali: „Wierzymy, że nazewnictwo, którym się posługujemy, silnie oddziałuje na badania i eksperymenty, które prowadzimy, oraz na to, w jaki sposób o nich myślimy" oraz „Musimy pozbyć się założenia, że mózg ssaków, a w szczególności mózg ludzki jest szczytem ewolucji. Czas przestać postrzegać ewolucję linearnie. Ewolucja jest wielotorowym, gęsto rozgałęzionym i wzajemnie przenikającym się procesem. Dlatego też nie powinniśmy oczekiwać, że w mózgach innych kręgowców znajdziemy struktury będące wcześniejszą formą rozwojową tych, które widzimy w mózgu człowieka".

Obecnie uważa się, że inteligencja i zdolności poznawcze nie zależą od typu budowy mózgu, w tym pofałdowania kory mózgowej w szczególności, lecz od całkowitej liczby neuronów obecnych w mózgowiu oraz od tego, w jaki sposób są one ze sobą połączone. Atomowej mocy mikroskopy pozwoliły nam zobaczyć, że gęsto upakowane mózgi papug i wróblowych mają dwa razy więcej neuronów niż porównywalne pod względem masy mózgi naczelnych i dwa, cztery razy tyle, co mózgi gryzoni powszechnie uważanych za inteligentne. Weźmy takiego mysikrólika – jakieś cztery razy lżejszy od myszy, ale w swoim mózgu ma o 230 procent więcej neuronów niż ona. Jego waży 0,36 grama i mieści 164 miliony, jej przy wadze 0,42 grama ma tylko 71 milionów neuronów. W ważącym 1,86 grama mózgu szpaka są 483 miliony neuronów, w o sześć gramów lżejszym mózgu szczura – 200 milionów. Gawron ma mózg o wadze 8,36 grama, a małpka marmozeta – 7,78 grama. On ma w swoim 1 miliard 509 milionów neuronów, ona – 636 milionów. Mózg kakadu żółtoczubej waży 10,1 grama, lemura galago (naczelne) – 10,2 grama. Ona ma 2 miliardy 122 miliony neuronów, on 936 milionów. Wielkie różnice widzimy też u samych ptaków. Bogatka jest jakieś 50 razy lżejsza od kura bankiwa, głównego przodka naszych kur domowych, ale oboje mają mniej więcej tyle samo neuronów mózgowych, a ich zagęszczenia porównywalne są do tych, które notujemy u naczelnych. Największe mózgi wśród ptaków mają kruki – średnio 15,4 grama – oraz ary hiacyntowe – 24,7 grama. Mało że

oszałamiająco piękne, to jeszcze można z nimi pogadać na każdy temat.

Nasze i ptaków ścieżki ewolucyjne rozeszły się jakieś 310 milionów lat temu. I one, i my, ssaki, mieliśmy aż nadto czasu na poszukiwania i eksperymenty. Nawet jeśli ich i nasze mózgi wyglądają dzisiaj inaczej, to zbudowane są z tej samej materii i wyposażone w takie same biochemiczne urządzenia, które wykonują homologiczną, to znaczy taką samą pracę. Główna różnica sprowadza się do tego, jak są zorganizowane i połączone – okazuje się, że u ptaków dużo wydajniej. Ale kiedy, na przykład, dwa razy do roku samodzielnie pokonujesz trasę kilku lub kilkunastu tysięcy kilometrów, lądujesz w zupełnie innym miejscu świata, w otoczeniu innego jedzenia, wrogów i przyjaciół, to potrzebujesz naprawdę niezawodnego sprzętu.

Ptaki uczą nas, że do celu można dojść, a nawet dolecieć więcej niż jedną drogą i na wiele sposobów. Miejskie gołębie na przykład lepiej sobie radzą z graficznymi zadaniami w klasycznym teście na inteligencję Eysencka niż ludzie! Potrafią zapamiętać i rozpoznać do 725 różnych wzorów graficznych. Nic dziwnego, że po odpowiednim treningu świetnie odróżniają różne style malarskie, a nawet dzieła oryginalne od podróbek. Robiące zapasy na zimę sójki prawdopodobnie tworzą w swoich głowach rodzaj mapy, która pozwoli im odnaleźć kryjówkę z jedzeniem nawet wtedy, gdy całą okolicę przykryje gruba warstwa śniegu i znikną

pod nim szczegóły lokalnego mikroobrazu, które były tam jesienią. Może posługują się kategoriami typu „pośrodku", „przed", „obok", „w prawo lub lewo od dębu z obłamanym dolnym konarem"…? (Papugi też wiedzą, gdzie jest lewa, a gdzie prawa, a mnie ciągle się myli). Wszystko razy dwa, trzy tysiące, bo tyle spiżarenek robi jeden wąsaty ptak. Jakby tego było mało, zapamiętuje nie tylko gdzie, ale też co oraz kiedy schował. I dobrze, bo po co latać po trzech tygodniach w miejsce, gdzie schował mysz – wiadomo, że będzie już nie do zjedzenia. Lepiej udać się do schowka z orzechami, im nic się nie stanie. To zresztą mało fortunny przykład, bo sójka dobrze wie, co szybciej się psuje, i zjada to najpierw. Ptaki, które orientują się, że podczas chowania jedzenia są obserwowane przez jakiegoś sąsiada, przenoszą zapasy, jak tylko sąsiad sobie pójdzie. Co do zasady robią to ci, którzy zostali już kiedyś okradzeni albo sami coś komuś ukradli. Kiedy on przylatuje do swojej dziewczyny z prezentem, stara się, żeby było to coś, co ona szczególnie lubi, i jednocześnie różne od tego, co jadła przed chwilą albo w ogóle często. Prymatolodzy nazywają to teorią umysłu, która do niedawna zarezerwowana była tylko dla hominidów, czyli człowiekowatych[92]. Tu zaczyna się empatia – oraz manipulacja. Patrząc na rzeczywistość z punktu widzenia drugiej osoby lub zwierzęcia, możemy spróbować odczytać ich intencje, pragnienia lub obawy, przewidzieć zachowanie. Kruki rozpoznają nastroje, relacje oraz status poszczególnych członków obcej dla siebie grupy, tylko ją obserwując. Wrony amerykańskie,

ale najpewniej i inne krukowate świetnie odczytują emocje malujące się na naszych twarzach. Coś, co nawet nam nie zawsze się udaje… Żołny wschodnie potrafią wyobrazić sobie, jak taką, a nie inną sytuację mogą widzieć ich drapieżniki. Oczywiste jest, że wielu łowców poluje, kierując się wiedzą o swoich ofiarach – nierzadko robią to zespołowo lub w parach, w których jedno płoszy i wystawia, a drugie łapie. Sępy w rejonach wojen i konfliktów przesiadują przy polach minowych, czekając, aż jakieś mniej świadome albo tylko pechowe zwierzę zapuści się za daleko.

Ptaki tworzą w swoich głowach abstrakcyjne koncepty różnych sytuacji, zjawisk i substancji. Gołębie rozpoznają wodę na obrazach lub zdjęciach, ot, choćby w szklance. Przynajmniej niektóre ptaki liczą i wiedzą na przykład, ile zniosły jaj i ile powinno ich być w gnieździe. Przypuszcza się, że kod lub język, którym porozumiewają się kawki (być może inne krukowate również), opiera się na jakichś matematycznych podstawach. Nawet jeśli ptaki nie liczą na co dzień, to zawsze mogą się nauczyć. Zaobserwowano to już w latach 70. w Chinach, gdzie popularne było łowienie ryb z kormoranami. Te bardzo szybko uczyły się liczyć do ośmiu, jeśli co ósma ryba miała być dla nich, i stanowczo odmawiały pracy dopóty, dopóki rybak nie poluzował im obroży na szyi, żeby kolejną zdobycz mogły bez przeszkód połknąć. Wiele ptaków używa narzędzi, niektóre, takie jak wrony brodate (nowokaledońskie), fabrykują je dla siebie bez

podglądania, jak robią to mama, tata czy doświadczona starszyzna. Żeby coś takiego umieć, potrzeba wyobraźni i planowania. To jeszcze jedna cecha, którą do niedawna oficjalnie mieliśmy tylko my, a teraz mają też ptaki. Kolejna to umiejętność posługiwania się gramatycznym językiem. Żadne inne zwierzęta nie są wokalnie i muzycznie tak zaawansowane jak ptaki. Szpaki mogą używać przeszło tysiąca różnych kombinacji głosowych, to samo papugi, które jeszcze chętniej niż szpaki uczą się naszych języków i układają proste zdania, żeby się z nami porozumieć. A także ze sobą! Jedne i drugie należą do tych wyjątkowych zwierząt, które nie tylko rozumieją i odtwarzają specyficzne dla siebie zawołania, ale podejmują też komunikaty innych. Obojętnie, własne czy zapożyczone, mniej lub bardziej swobodnie je przetwarzają, nadając im nowe funkcje i znaczenia. To z angielskiego *vocal learning*, skąd już tylko krok do języków, jakimi my się posługujemy. Ptaki widzą złudzenia optyczne (te również aż do teraz zarezerwowane były tylko dla nas), rozwiązują problemy przez wgląd i analizę związków przyczynowo-skutkowych, wnioskują o możliwych zachowaniach kolegów, a nawet ludzi i innych zwierząt na podstawie własnych doświadczeń, wyobrażają sobie, co czują i myślą inni w ich towarzystwie lub szerszym otoczeniu. Słowem: mają pojęcie! Żeby to wszystko ogarnąć, potrzebują superczułych zmysłów i odpowiednio silnego procesora – ptasiego mózgu. I w nim cała nadzieja, bo czasy są trudne i jeśli coś może pomóc im przetrwać

antropocen i uchronić się przed wymarciem, to tylko on. A jeśli ktoś ciągle uważa, że ptaki czy zwierzęta w ogóle nic nie czują i nie rozumieją, niech – dla odmiany – udowodni, że jest inaczej.

---

[90] Wniosek ze wszech miar rozsądny, bo mózg słonia na przykład jest cztery razy cięższy od naszego i waży około sześciu kilogramów, nasz – półtora kilograma.

[91] Tkanka mózgowa i kości to stosunkowo najcięższe narządy w naszych ciałach (ptasich, ssaczych czy gadzich) i to one stanowiły największe wyzwanie dla specjalizujących się w lataniu ptaków. Wiele kości również zostało zminiaturyzowanych albo zredukowanych i zespolonych, przede wszystkim jednak wypełniły się one powietrzem.

[92] U nas zaczyna się uaktywniać przed końcem piątego roku życia i jak wiele cech i zachowań wrodzonych (wszystkie?) może być wzmacniana lub wygaszana (do pewnego stopnia) wychowawczo i kulturowo.

Dudek.
Śmierdzący ptak

Wędrującego przez pustynię króla Salomona zaskoczył morderczy skwar. Już pogodził się z myślą, że nadeszła jego godzina, już żegnał się ze światem, gdy nagle nie wiadomo skąd nadleciała gromada dudków i roztoczyła nad nim zbawienny cień. Prorok i cudotwórca z wdzięczności za uratowanie życia podarował ptakom złote korony. Ale że ludzie, jak to ludzie, zaczęli zabijać je dla złota, dudki wkrótce odwiedziły Salomona i – nie chcąc go urazić – poprosiły o pierzaste czubki zamiast złotych koron. Niedługo potem pomogły mu zbudować na wzgórzu Moria Świątynię Jerozolimską, dokładnie tak jak chciał Bóg – bez użycia jakichkolwiek metalowych narzędzi. W całym regionie zaczęli nazywać je *Nagar-tura*, tnący kamienie[93]. Dudki potrafiły podzielić choćby największe bloki skalne, używając magicznego zioła, sezamu. Coś wam to przypomina? Słusznie, to od nich wzięło się rozpowszechnione przez *Ali Babę i 40 rozbójników* zaklęcie „Sezamie, otwórz… się”! No właśnie, jeśli do tej pory nie działało, to pewnie dlatego, że w naszym języku utrwaliło się z błędem. Powinno być „Sezamie, otwórz!”. Dudki służyły też za romantycznych i politycznych posłańców pomiędzy Salomonem a jego przyszłą żoną, królową Makedą. (Podobno jedną ze stu, u nas bardziej znaną jako Saba, co jest kolejnym lapsusem z długą tradycją, bo Saba to nazwa jej królestwa, a nie imię).

Do dudka zwrócił się Salomon, żeby ten poprowadził zagubione w zgiełku świata ptaki w drodze po światło, wiedzę i zrozumienie. Ich zmagania szczegółowo opisuje perski mistyk i poeta Farid ud-Din Attar (być może ciut bardziej rozpoznawalny jako Attar z Niszapuru) w poemacie, którego tytuł tłumaczy się u nas jako *Konferencję* lub – rzadziej, ale chyba trafniej – *Rozmowy ptaków*[94]. Ponad pięć tysięcy wersów powszechnie uważanych za jedno z największych arcydzieł perskiej i sufickiej literatury. Tak samo prawdziwych dzisiaj, jak i prawie tysiąc lat temu, kiedy zostały napisane. Spróbujmy je streścić. Różne ptaki od zawsze mówiły, jak bardzo pragną dotrzeć do źródła prawdy i stanąć przed obliczem swojego króla, Simurga. Gdy wreszcie dostają taką możliwość, od samego słuchania o tym, co może je spotkać po drodze, paraliżuje je strach tak wielki, że wolą trwać przy swojej codzienności, na którą tak bardzo narzekały, tłumaczą się i usprawiedliwiają. „Twoje mogą być oceny, dlaczego więc miałbyś się zatrzymać mamiony obietnicą ulotnej rosy? Mądrość Słońca masz w zasięgu ręki, a ty chcesz zadowolić się drobinami kurzu pochwyconymi w jego promieniach" – zagrzewa wątpiącego pawia dudek i dodaje: „Wolałbym umrzeć zawiedziony przez marzenia, niż zaprzedać serce banałom i schematom i nigdy nie żyć naprawdę". Wielu zostaje na miejscu, niektórzy ruszają. Przecież w nagrodę czeka ich spotkanie z Simurgiem[95] – „królem, którego wszyscy poszukują", „jedynym klejnotem, którego potrzebują", początkiem i końcem, drogą i celem, wszystkim i niczym, który

sam jest ptakiem. Od ogrodów Simurga wędrowców dzieli siedem dolin, każda kolejna bardziej zwodnicza od poprzedniej. Najpierw przeprawiają się przez Dolinę Poszukiwań, gdzie muszą odrzucić zniewalające ich przekonania, dogmaty, wiary i niewiary. Ale tak to już jest, że kiedy naprawdę chcesz się dowiedzieć czegoś nowego, musisz temu zrobić miejsce. Druga, Dolina Miłości, wymaga bezgranicznego oddania, którego nie sposób ogarnąć rozumem. Owszem, logika jest narzędziem poznania, ale służy miłości, trzeba jednak uważać, bo ta czasami oślepia, czyniąc z nas swoich niewolników. W Dolinie Wiedzy pielgrzymujące ptaki zaczynają rozumieć, że choć idą razem, to każdy jest sam. Ta sama droga dla każdego jest innym przeżyciem, a wszystko, co wiedzą i czego się do tej pory nauczyły, tutaj może okazać się nieprzydatne. W Dolinie Oderwania zdają sobie sprawę, że również to, co posiadają, a nawet one same z punktu widzenia świata nie mają żadnego znaczenia. Pokonując Dolinę Jedności, ptaki odkrywają, że wszystko i wszyscy są ze sobą związani w nieograniczonej całości, którą zwykle nazywamy wszechświatem, a z którą łączymy się tak, jak krople deszczu łączą się z oceanem. Żeby przemierzyć Dolinę Zdumienia, pątnicy muszą otworzyć się na nieznane, inne i niepojęte. Pozwalają sobie na zachwyt i uniesienie. I tak docierają do siódmej i ostatniej – Doliny Nicości, gdzie znikają jaźń i ego, ale pozbywając się starego ja, każdy z nas daje sobie szansę na odkrycie siebie na nowo, pełniejszego, autentycznego. Ci, którzy wytrwali w drodze, pozbywają się lęku i

poczucia osamotnienia. Łączą się z różnorodną całością. Będąc częścią przeszłości i przyszłości, stają się ponadczasowi. Doświadczają prawdziwej, bezwarunkowej Miłości.

Ból, strach, zwątpienie, a nawet śmierć towarzyszą pielgrzymom przez cały czas. Na szczęście jest z nimi dudek, ich duchowy przewodnik i nauczyciel. Widzi, słyszy, czuje i rozumie. Rozmawia z każdym, kto tego potrzebuje, a każda rozmowa to cenna lekcja. Czasami robi się mrocznie, a rzeczy toczą się inaczej, niżbyśmy tego chcieli. Czasami jest zabawnie, ale zawsze inspirująco. Każdy wers jest jak zaklęcie, które u każdego porusza coś innego, bo każdy zmierza do prawdy swoją drogą, w swoim czasie i w rytm własnego serca. Najważniejsze to iść, nie ustawać. Trzeba też pogodzić się z tym, że będą tacy, co w żadną podróż się nie wybiorą i niczego się nie dowiedzą… Ostatecznie tylko 30 ptakom udaje się przebyć Siedem Dolin i stanąć w furtce prowadzącej do ogrodów Simurga. Są wśród nich słowik, wróbel, sokół, frankolin, papuga, paw, kuropatwa, bażant, gołąb, turkawka, jastrząb, szczygieł, zięba, gęś, kaczka i oczywiście dudek. Ale jedyne, co znajdują na miejscu, to swoje odbicia w lustrze wody. Wtedy zaczynają rozumieć, że Simurg to… one! Że przez cały ten czas były tym, do czego zmierzały, a boskość, której pragnęły, jest już w nich. Każdy byt i każde stworzenie we wszechświecie – jastrząb, dudek, paw i jego tren, ty i ja, drzewa, ich opadłe liście, polne kwiaty, strumienie i gwiazdy na niebie – wszystko i wszyscy

jesteśmy rozproszonym odbiciem Simurga. On jest w nas, a my w nim. Wszyscy jesteśmy cząstkami boskiej, nieskończenie różnorodnej całości… Jeśli i wy chcecie uwolnić uśpione w was moce i przybliżyć się do prawdy, posłuchajcie (r)Rozmów ptaków. Albo jeszcze lepiej: rozpocznijcie własną podróż i koniecznie weźcie sobie dudka za przewodnika. Król Salomon wziął…

Dudki były na Bliskim Wschodzie tak lubiane, że ich wysuszone ciała lub skalpy wciąż jeszcze wiesza się w niektórych domach na szczęście. Podobnie jak w całej Afryce, różne ich narządy i części ciała używane są w ludowej medycynie i nie pomógł nawet prorok Mahomet, który zabronił zabijać dudki. Do tej pory nie rozstrzygnięto natomiast, czy wyznawcy islamu mogą je jeść. Takich rozterek nie mieli ani żydzi, ani chrześcijanie – uznali dudki za nieczyste i zakazali ich spożywania, razem z sępami, sowami i wronami. Wszystko przez zwyczaj grzebania w kupie, której podsuszane placki długodziobe ptaki chętnie sondują w poszukiwaniu chrupiących chrząszczy i ich tłustych larw[96]. To oraz zasmradzanie gniazd. Grecy byli przekonani, że dudki tynkowały swoje domostwa ludzkimi odchodami. Rzymianie ogłosili je nawet patronami gnojarzy nawożących pola i ogrody. Niczym niespeszone dudki śmierdziały tak skutecznie, że powszechnie uważano je za nienadające się na stół. Oczywiście poza rzadkimi miejscami, gdzie do tej pory traktowane są jako regionalne przysmaki. Źródłem nieznośnego odoru, który

przypomina gnijące mięso – lub raczej tonę gnijącego mięsa – jest wydzielina z gruczołu kuprowego matki i młodych, które w ten sposób odstraszają wrogów[97]. Nikt o zdrowych zmysłach, pokryty sierścią czy piórami, nie odważy się wejść do dudkowej dziupli, nory, rozpadliny w murze lub innej kryjówki, tym bardziej że schowane w środku ptaki syczą jak żmije. Gdyby i to jakimś cudem nie pomogło, a wrogowi udało się przecisnąć przez szczelinę, w której nawet mama i tata ledwie się mieszczą (prawdopodobnie jeszcze jedna strategia obronna i początek legend o tym, jakoby dudki umiały otwierać lite skały), podrośnięte pisklęta celują w napastnika jeszcze bardziej cuchnącymi odchodami. Nawet obrączkarze odmawiają znakowania młodych dudków. Te jednak potrzebują miesiąca, zanim opuszczą zwykle nisko położone gniazdo, i muszą się jakoś bronić. Co więcej, pisklęta klują się asynchronicznie, co oznacza, że harmider w gnieździe może przeciągnąć się do sześciu, a nawet ośmiu tygodni i z każdym dniem rośnie prawdopodobieństwo, że namierzy je jakiś łowca okazji.

Pomimo smugi, jaka się za nim ciągnie, i silnej obecności w kulturze arabskiej, gdy Izraelczycy w 2008 wybierali swojego narodowego ptaka, wygrał dudek, zbierając 1 100 000 głosów. Szybko pojawia się myśl, że może dudek to taka jaskółka nadziei, że skoro trzy tysiące lat temu pomógł zbudować Świątynię Jerozolimską, to teraz w umęczonym wojnami i nienawiścią

regionie pomoże zbudować Arkę Przymierza… Może, ale wtedy głos zabrał jeden z organizatorów wyborów, Amir Balaban, i powiedział, że dudek wygrał tylko dlatego, że… „Izraelczycy wolą blondynki/blondynów”.

Dudek to kolejny ptak, który niemal we wszystkich językach woła swoje imię. Po czesku tak, jak po polsku, po angielsku *Hoopoe*, po francusku *huppe*, po portugalsku *pupa*, po rosyjsku *удóд*, po estońsku *toonetutt*[98], po łacinie *Upupa*, a po kurdyjsku (moje ulubione) *hûphûpik* albo *dodo*… Najlepszy dowód na to, że ptaki łączą ludzi, światy i kontynenty. Po polsku każdej wiosny i lata nawołuje się 43–66 tysięcy par dudków.

Gdzie patrzeć?

Na łąki i pastwiska, polne drogi i przydroża, na tak zwane ugory i nieużytki z niską roślinnością i dobrą widocznością. Dudka najczęściej zobaczymy na ziemi, gdzie szuka jedzenia albo się opala – serio! Czasami na płocie albo na dachu. Na drzewach, w światłocieniach liści i gałęzi jego pasiasty wzór rozpływa się bez śladu.

Czego wyglądać?

Niewielkiego, pomarańczowopłowego ptaka w czarno-białe paski, z długim, zagiętym dziobem i ruchliwym czubem, który składa się i rozkłada jak wachlarz. Gdy dudek jest w powietrzu, uwagę zwracają jego nieproporcjonalnie długie i szerokie skrzydła i jeszcze więcej zebry! Wygląda, jakby uczył się latać. Ale niech nas to nie zmyli, bo dudek potrafi być szybki i na tyle zwrotny, żeby uganiać się za takimi aerokrobatami jak ważki.

Czego nasłuchiwać?

Terytorialnego i godowego „Up! Up! Up! Up! Up!", co na polski przeważnie tłumaczy się jako „Du! Du! Du! Du! Du!" – dek!

Kiedy?

Od kwietnia do września.

[93] Z aramejskiego, który w tamtym okresie (budowę świątyni datuje się na X wiek przed naszą erą) był językiem dominującym na całym Bliskim Wschodzie.

[94] Tytuł oryginalny *Mantiq ut-Tair* został zaczerpnięty z Koranu, który mówi, że Salomon i jego ojciec Dawid poznali mowę ptaków (27:16).

[95] Jeden z centralnych bytów perskich wierzeń i mitologii, święty praduch, który ma postać ptaka, a który będąc od samego początku, posiada wiedzę wszystkich czasów. Symbolizuje między innymi jedność nieba i ziemi. Jego imię zapisuje się również jako Simurgh, Simorg, Simorgh, Simoorg, Simorq lub Simourv.

[96] Największy potencjał mają kupy koni, krów oraz innych dużych zwierząt roślinożernych.

[97] Okazuje się, że śmierdząca maść najprawdopodobniej dodatkowo odkaża i chroni przed pasożytami.

[98] Estonia i cała Skandynawia to rzadki przypadek kultur, w których dudki przynosiły złe wieści – wojnę, a nawet śmierć ludzi i bydła. W innych rejonach Europy były też czasami kojarzone z kradzieżami.

Żołna.
Trzeba to zobaczyć!

Jeśli ktoś chciałby odkryć, jak czarujące i kolorowe mogą być ptaki, to musi się wybrać na żołny. Szkoda czasu na zdjęcia i filmy. Nie wiem, dlaczego, ale one kiepsko wychodzą na zdjęciach i przed kamerą. Żołny trzeba zobaczyć na żywo.

Najbardziej kolorowego ptaka na kontynencie wymyślił sam Apollo. Któż inny mógłby sobie pozwolić na taką fantazję, jeśli nie niebiański patron sztuki, piękna i światła? A było to tak: Eumelus z Teb, co kochał swojego boga ponad wszystko, udał się do świątyni, żeby złożyć mu w ofierze barana. Tamtego dnia pomagał mu jego urodziwy syn Botres, który nie wiedzieć czemu dopuścił się rzeczy niebywałej – złamał święte zasady i skosztował mózgu leżącego na ołtarzu zwierzęcia przed końcem obrządku. Eumelus tak się rozgniewał, że wyciągnął z ofiarnego ognia żarzące się polano i uderzył chłopaka w głowę, zadając mu śmiertelną ranę. Kiedy ochłonął i zobaczył, co zrobił, popadł w najczarniejszą z rozpaczy – najpierw on, potem jego żona i wreszcie słudzy. Widząc ich ból, litościwy Apollo zamienił konającego w mieniącego się wszystkimi barwami ptaka i nazywał go *Aeropus*, żołna.

Żołny lubią słońce i owady, najbardziej błonkówki: osy, szerszenie i oczywiście pszczoły. Stąd żołna pszczołojad. Nie obawiajmy się jednak. Badania pokazują, że nawet w południowej Europie, gdzie żołn jest nieporównywalnie więcej niż u nas, odławiają mniej niż jeden procent robotnic. Żołny nie mają w zwyczaju nalatywać pasiek, najczęściej polują tuż przy kolonii, z ulubionego płotu, napowietrznych przewodów, jakichś wystających gałęzi, z krawędzi skarpy lub urwiska. Nie odlatują dalej niż na 12 kilometrów. Odstępstwa od tej zasady zdarzają się wyjątkowo – tylko przy długotrwałych załamaniach pogody i gdy w norach

siedzą głodne pisklęta. Pszczelarze rutynowo oskarżali żołny również o to, że swoją obecnością terroryzowały owady, które nie chciały latać na pożytki. To też w końcu przebadano i okazało się, że aktywność pszczół na terenach zamieszkanych przez żołny często była wyższa niż tam, gdzie ich nie było. Z drugiej strony gdyby ktoś wpadł na pomysł, żeby rozstawić pasiekę przez płot z kolonią pszczołojadów, musi się liczyć z tym, że ułamek procenta zjadanych przez nie pszczół może wzrosnąć do solidnych kilku. Bo i dlaczego kolorowe ptaki nie miałyby skorzystać z takiej obfitości jedzenia bzykającego im pod nosem? Każdy na ich miejscu zrobiłby to samo. Szczęśliwie błonkówki, *Hymenoptera*, to ogromny rząd obejmujący ponad 153 tysiące (dotychczas opisanych) gatunków, więc żołny mają w czym wybierać. A są jeszcze ważki i różne szarańczaki, które też im bardzo smakują.

Żołny najchętniej polują z zasiadki. Siedzą i czekają, aż jedzenie przyleci, zamiast uganiać się za nim w powietrzu, jak robią to na przykład mniejsze od nich jaskółki. A że są nie mniej zwinne, raz namierzony szerszeń czy pszczoła mają niewielkie szanse. Żołna chwyta je wpół swoim szczypcowatym, lekko zagiętym dziobem i wraca na miejsce. Jeśli owad jest uzbrojony – a tak często jest – uderza nim lub pociera o gałąź (czy na czym tam siedzi), aż zneutralizuje żądło i jad, którego resztki, jeśli trzeba, po prostu wyciska. Podrzucając owada do góry, ustawia go głową w dół i połyka. Albo obdarowuje nim swoją partnerkę. Też to znamy –

przez żołądek do serca. Najwyraźniej nie tylko mężczyzny. Młode żołny dużo dłużej uczą się oprawiania swojej zdobyczy niż jej chwytania. Ale tak to jest, kiedy lubisz jedzenie, które może cię zabić. Na szczęście dopóty, dopóki nie nabiorą wprawy, mogą liczyć na pomoc troskliwych rodziców, nierzadko wujka (wujków) ze strony taty albo życzliwych sąsiadów.

Nasze żołny żyją w małych, najczęściej kilkurodzinnych osadach, w których wszystkie ptaki dobrze się znają, choć nie tworzą wielopokoleniowych rodzinno-sąsiedzkich klanów, jak to ma miejsce w dużych koloniach z długą tradycją. Tam prawie każda para ma jednego lub kilku pomocników. Przeważnie są to bracia lub kuzyni samczyka, którzy albo nie znaleźli jeszcze swojej drugiej połowy, albo ją stracili. Siostry poleciały za swoimi partnerami i dołączyły do ich rodzin. Wydaje się, że żołny z klanu lub kolonii rozpoznają się przede wszystkim po głosie. Niektóre ptaki nadają sobie imiona, być może robią to też żołny. Z tego, co już wiemy, ptaki używają imion własnych, czy to chcąc zwrócić czyjąś uwagę na siebie, czy witając się po wylądowaniu na gałęzi z tymi, którzy na niej siedzą. W jednym i w drugim przypadku ćwierkają własne imię. Czy we wzajemnej komunikacji używają imion swoich kompanów tak jak my, tego nie wiemy.

Żołn nam przybywa. Jeszcze pod koniec lat 80. poprzedniego wieku całą ich populację szacowano na 10–30 par, które lęgły się w kilku zaledwie miejscach. Dzisiaj to 200–300 par rozsianych po

całym kraju, a tęczowe ptaki dotarły już na Pomorze Gdańskie i Suwalszczyznę. I dobrze, bo to jeden z gatunków inżynierskich, które gdziekolwiek się osiedlają, wnoszą wartość dodaną, przydają życia. Żołny kopią długie, nawet dwumetrowe nory, które służą potem innym ptakom, a także owadom, jaszczurkom czy gryzoniom jako lęgowiska, noclegowiska, zimowiska, dzienne hotele albo spiżarnie. Dojrzewają tam grzyby i nasiona, napowietrza się gleba.

Gdzie patrzeć?

Na skarpy i osuwiska, w nasłonecznionych żwirowniach i wyrobiskach. W południowej Europie żołny kopią swoje kolonie również wzdłuż polnych dróg, na łagodnych wzniesieniach, a nawet płaskich łąkach i murawach.

Czego wyglądać?

Smukłego, tęczowego ptaka wielkości niewielkiego gołębia, który z rzadką gracją przemyka po niebie, na zmianę szybując, machając

skrzydłami, jak to ptaki machają, albo popisując się stylem motylkowym. Widok kilku, a tym bardziej kilkunastu żołn unoszących się nad łąką lub przytulonych do siebie w rządku na żerdzi płotu jest jak podróż do lepszego, bardziej kolorowego świata i zostaje pod powiekami na całe tygodnie.

Czego nasłuchiwać?

Nastrojowego, miękkiego, przypominającego gwizdek na wodę „Prri-Prri-Prri" albo „Prru-Prru-Prru", które sączy się perliście z niewysokiego nieba, rozgrzanej słońcem łąki lub piaszczystej skarpy.

Kiedy?

Od maja do końca sierpnia. Na zimę słoneczne ptaki lecą do Afryki, przemierzając nawet 10 tysięcy kilometrów w jedną stronę.

Dzięcioł zielony.
Naprawdę!

– Słuchaj, co to może być, co nam ryje trawę, no wiesz, tam pod orzechami? – zagadnęli mnie niedawno brat z bratową.

– A są tam mrówki?

– Pełno!

– To może dzięcioły zielone, bo od jakiegoś czasu słyszę, jak latają po wsi i chichoczą…

– Nieee… To jakiś mały dziczek musi być… Żeby rozwiać wszelkie wątpliwości, udaliśmy się na miejsce. Na powierzchni około stu metrów kwadratowych, dużo bardziej piaszczystych niż reszta gigantycznego trawnika, a do tego solidnie zamrówczonych, pełno było stożkowatych otworów, w tym takich głębokich na 20–30 centymetrów. Jak nic robota dzięcioła zielonego, najbardziej naziemnego i najmocniej ryjącego spośród naszych dzięciołów, który potrafi wkopać się w mrowisko na metr. Płytkie czy głębokie, odkrywki są regularnie odwiedzane, a ich zawartość wyciągana lepkim językiem, który może być wysuwany 10 centymetrów poza koniec niemałego dzioba. Ten język robi dzięciołom za sondę, lep, a nawet bicz lub klejące lasso, a gdy nie jest używany, zawija się wokół czaszki.

Żaden z naszych dzięciołów nie ma takiej słabości do mrówek, więc zielone nazywano kiedyś mrówczarzami. Mało że się mrówkami zajadają (rodzaj ani stadium nie mają znaczenia), to jeszcze wykorzystują je do zabiegów higienicznych. Chcący skorzystać z kąpieli ptak rozkłada się na mrowisku i po chwili cała armia żołnierzy i robotnic celuje w intruza kwasem mrówkowym, znanym ze swojego przyjemnego zapachu i właściwości bakteriobójczych. Jeśli reakcja owadów nie jest taka, na jaką dzięcioł liczył, kilka dziobnięć, kopnięć i podskoków

powinno załatwić sprawę. Jakby tego było mało, zielony rozrabiaka co i rusz chwyta mrówkę lub kilka i wciera je w pióra oraz miejsca trudno dostępne. Gdy dzięcioł wyciśnie z nich ostatnie krople kwasu, dotychczasowe przybory higieniczne zostają połknięte. Dwa w jednym. Kiedy mrówki stają się niedostępne (silny mróz wygonił je głęboko pod ziemię i nawet największym twardzielom trudno przebić się przez zmarzlinę), mrówczarze sięgają po orzechy, nasiona, mrożone owoce i co tam znajdą.

Dzięcioły przeważnie są pstre i wyglądają jak plansza do warcabów w kształcie ptaka. Ale nie zielony[99]. Łatwo go przegapić pośród liści na drzewie, na omszałym pniu lub umajonej łące. On naprawdę jest zielony. W czerwonym berecie, z mocnym wąsem – czarnym u dziewczyn, czerwono-czarnym u chłopaków – i białym, czarno obwiedzionym okiem. Złotożółtozielony kuper odsłania się w locie, a lśnienie piór w słońcu. Piękny. Nic dziwnego, że Hiszpanie nazywają go dzięciołem królewskim, *el pito real*. Jak każdy prawdziwy dzięcioł, zielony odznacza się nieustępliwym *wyrazem twarzy*, a wszystko, co robi, robi na 101 procent! Nawet jak nic nie robi i zastyga przyczepiony do pnia swoimi potężnymi hakami, wygląda jak naturalistyczna instalacja, której żadna siła nie byłaby w stanie ruszyć. Jeśli to w ogóle możliwe, po pniach, konarach i po ziemi mrówczarz skacze jeszcze bardziej usztywniony i wyprostowany niż kuzyni. Bardzo

dzięciołowy jest też jego falisty lot. Startując z drzewa, rzuca się przed siebie na zamkniętych skrzydłach, aż w pewnym momencie, często tuż nad ziemią, zaczyna nimi pracować – tylko po to, żeby po nabraniu wysokości znowu je zamknąć. I tak na zmianę. Przeważnie niewysoko i niedaleko. Choć zielone są tylko wielkości dużego gołębia, wyglądają jak ktoś, z kim nikt nie chce zadzierać. Większość sporów między sobą rozstrzygają za pomocą groźnych póz i mrożących ich trawiaste upierzenie spojrzeń. Gdy mimo wszystko dochodzi do kontaktu fizycznego, walczące ptaki blokują się nawzajem dziobami i skrzydłami, uprawiając raczej zapasy niż wymianę ciosów. Wygrywa ten, kto zepchnie przeciwnika z ringu. Dla pewności trzeba czasami stoczyć kilka rund.

Jak przystało na ptaki Thora, władającego magicznym młotem boga grzmotów i błyskawic[100], oraz zgodnie z rodzinną tradycją, zielone wykuwają sobie (i przy okazji innym) dziuple w drzewach, ale zajmuje im to więcej czasu – nawet pięć, sześć tygodni – i potrzebują do tego miększego, częściowo spróchniałego pnia. Być może z tego samego powodu nie drążą specjalnych dziupli noclegowych i z sezonu na sezon korzystają z tych samych gniazd. Zamiast bębnić (jeśli w ogóle, robią to szybko, ale ciszej), wolą się śmiać – „Hłe! Hłe! Hłe! Hłe! Hłe! Hłe! Hłe! Hłe! Hłe!”. Wiosną zanoszą się w duetach, ona ciut wyżej. Ludzie mówili kiedyś, że zielone wołają na deszcz i w wielu regionach i językach nazywano je burzowymi albo deszczowymi ptakami.

Gdzie patrzeć?

Mrówczarza spotkamy w dojrzałych, świetlistych lasach, na rozległych polanach, w starych parkach, sadach i ogrodach, na urozmaiconych kępami drzew łąkach i pastwiskach. Jest gatunkiem dwusiedliskowym, który potrzebuje tak samo trawiastych przestrzeni jak zadrzewień. To obok dużego i białoszyjego kolejny dzięcioł, który nauczył się żyć po wsiach i w miastach. Tych przyjaznych i zielonych.

Czego wyglądać?

Przyczepionego do pnia drzewa, skaczącego lub ryjącego w ziemi zielonego ptaka w czerwonej czapce.

Czego nasłuchiwać?

„Hłe! Hłe! Hłe! Hłe! Hłe! Hłe! Hłe! Hłe! Hłe!" Głośne, rytmiczne, kończy się równie niespodziewanie, jak się zaczęło.

Kiedy?

Cały rok.

---

[99] Zielonosiwy, czarny i krętogłów też nie…

[100] Rzeczywiście rozkute przez dzięcioły drzewa wyglądają czasami jak po uderzeniu pioruna albo przejściu *młotkowego*. Z Thorem łączy je nie tylko magiczny młot oraz powinowactwo z burzami i piorunami, ale i… czerwona (czytaj: ruda) czupryna!

Myszołów.
Drapol z autostrady

Trudno być dzikim ptakiem w zawłaszczonym przez nas świecie. Ale jak już się wykluliśmy, to lepiej nazywać się myszołowem niż na przykład żołną pszczołojadem, ziarnojadem, rybołowem lub nawet puchaczem, jastrzębiem czy kormoranem. W nazwach tych ostatnich nie ma żadnych oskarżeń, ale niosą silny ładunek symboliczny i ludziom się wydaje, że wszystko wiedzą o tych „złych", „niegodnych" ptakach, które się za nimi kryją. Oczywiście imię „myszołów" nie chroni przed zabijaniem, truciem, ścinaniem drzew z gniazdami, głupotą i okrucieństwem – przecież odnosi się do drapieżnika! – ale przynajmniej ma potencjał do rozmowy. Okazuje się, że nazwa myszołowów jest jak najbardziej zasadna, bo podstawą ich diety są drobne gryzonie w łącznej liczbie około 60 gatunków. Nasze najczęściej łowią norniki zwyczajne, które pokrywają aż 70 procent ich zaprowiantowania. Pozostałe 30 to inne drobne ssaki, króliki (tam, gdzie są), płazy, gady, ślimaki, dżdżownice, duże owady i niewielkich rozmiarów ptaki. Na większe, takie od gołębia w górę, jeśli w ogóle, myszołowy polują w czasie śnieżnych zim i co do zasady chwytają chore lub ranne. Zimą częściej też wypuszczają się za jakąś łasicą, gronostajem lub osłabionym zającem – i jak wszystkie drapieżniki chętnie stołują

się na padlinie. Myszołowy w ogóle niczym się nie brzydzą i ochoczo korzystają z nadarzających się okazji, ot, choćby takich jak punktowy wysyp gąsienic, rój chrabąszczy albo mrówek. Ich czerwie (larwy) i jaja też się nie zmarnują. Owady mogą być głównym pożywieniem myszołowów na afrykańskich zimowiskach. Jak do tej pory w ich zbiorowej karcie zanotowano ponad 300 małych lub trochę większych gatunków. Swoją zdobycz gonią pieszo lub wypatrują jej z niskich lotów patrolowych, najchętniej jednak polują z zasiadki. Uderzają z góry, zaciskają na swojej ofierze silne palce albo kopią ją i rozszarpują szponami.

Niepozorne myszaki, jak pieszczotliwie mówią o nich ptasiarze, to wytrwali i utalentowani szybownicy, którzy całymi godzinami unoszą się nad polami i łąkami, a im wyżej szybują, tym bardziej jest to latanie dla relaksu i przyjemności – może z wyjątkiem wiosennych pokazów godowych. Większość naszych myszołowów zimę spędza na miejscu albo przemieszcza się na niewielkie odległości. Za to ptaki z północy i wschodu, szczególnie tak zwane myszołowy wschodnie, podgatunek *Buteo buteo vulpinus*, migrują aż do południowej Afryki. Ponad 13 tysięcy kilometrów w jedną stronę. Przy okazji stają się głównymi aktorami jednego z największych na Ziemi spektakli Przyrody, który każdej wiosny i jesieni można oglądać w przesmykach Wielkiego Szlaku Wschodniego – nad Bosforem, Izraelem i Suezem. Zanotowany do tej pory rekord to 466 tysięcy ptaków. My nie musimy jeździć tak

daleko, żeby zobaczyć dużo myszołowów, które poza okresem lęgowym niewiele sobie robią z towarzystwa swoich ziomków, a chyba nawet je lubią. Wystarczy wsiąść do auta i przejechać się dowolną autostradą. Najlepiej od jesieni do wczesnej wiosny. Te mniej lub bardziej brązowe ptaki przesiadujące na słupkach ogrodzeniowych to myszołowy. Czekają, aż na krótko strzyżone trawiaste pobocze wychynie jakaś mysz lub szczur. Nad ranem, gdy ruch jest mniejszy, spróbują pozbierać również te, którym nie udało się przedostać na drugą stronę. Nie musi być autostrada. Każda droga jest dobra, ważne, żeby biegła wśród pól i łąk i żeby rosły przy niej drzewa albo były tam jakieś grzędy, na których można zasiąść. Spośród naszych szponiastych myszak jest też najmniej wybredny, jeśli chodzi o wybór miejsca na gniazdo. Wystarczy mu śródpolny zagajnik z kilkoma drzewami albo nawet jedno, byle było dostatecznie dojrzałe, a dostępu do niego broniły gęste krzewy i zarośla. Dobre gniazda, to znaczy takie, które zdały test bezpieczeństwa oraz położone są w zasobnej okolicy, mogą być używane przez wiele pokoleń.

Pierwotnym siedliskiem myszołowów były świetliste puszcze z bujnymi pastwiskami utrzymywanymi przez dzikie konie, żubry, tury i jelenie. Gdy zabudowaliśmy i zaoraliśmy tamte krajobrazy, myszaki, nie mając innego wyjścia, przeniosły się na pola i łąki po sąsiedzku z lasami. Dzisiaj, za przykładem innych zwierząt do niedawna związanych z krajobrazem rolniczym, coraz częściej

osiedlają się w podmiejskich lasach i na zielonych przedmieściach. I nie ma chyba już żadnego większego naturalnego parku w jakiejkolwiek zachodnioeuropejskiej metropolii, w którym nie byłoby przynajmniej jednej pary myszołowów. Chociaż ich przodkowie mają historię sięgającą co najmniej pięciu milionów lat wstecz, one same jako gatunek oddzieliły się zaledwie 300 tysięcy lat temu, a ich najbliżsi krewni, myszołowy rdzawosterne, żyją w Ameryce. Ta ewolucyjna świeżość tłumaczy być może wigor myszaków, które zróżnicowane na 11–16 podgatunków, są dzisiaj najliczniejszymi szponiastymi na kontynencie, na świecie i u nas w domu – łącznie 2,1–3,7 miliona ptaków, w tym 100 tysięcy u nas.

Myszołowy zakładają rodzinę przeważnie w wieku trzech lat i jak na drapieżniki tej wielkości cieszą się niezłą średnią długością życia – 12 lat. Ostateczna liczba najczęściej zależy od tego, czy miejscowi widzą w nich „myszołowy", czy jeszcze jednego wroga czyhającego na ich dobytek. A może tylko zbyteczny przejaw życia, który oni powinni skorygować…? Najstarszemu udało się przeżyć 30 lat, 5 miesięcy i 21 dni.

Gdzie patrzeć?

Na drzewa i słupki ogrodzeniowe wzdłuż dróg biegnących przez pola i łąki. Na wystające ponad horyzont kołki, bele siana lub słomy, a nawet większe kamienie i wierzchołki krzewów. Na niebo nad polami i łąkami.

Czego wyglądać?

Średniej wielkości ptaka drapieżnego o krępej sylwetce – najczęściej siedzi wyprostowany gdzieś na drzewie (słupku…) albo szybuje nad polem lub łąką. Skrzydła szerokie, lekko zaokrąglone, ogon dość krótki, przeważnie wachlarzowato rozłożony. Gdy wypatruje zdobyczy, potrafi na krótko zawisać w powietrzu, ale pełnię swoich umiejętności lotniczych myszołowy prezentują w czasie wiosennych pokazów godowych, czasami tak wysoko, że trudno je dostrzec. On i ona w duecie. Samica jest trochę większa od samca, poza tym oboje wyglądają tak samo – albo zupełnie inaczej. Tak zwana zmienność osobnicza w upierzeniu myszołowów jest nieograniczona – od płowobiałych lub białych do ciemnobrunatnych. Stałe są tylko grafitowy dziób, żółta woskówka u jego nasady, żółte stopy, brązowe oczy oraz ciemne krawędzie lotek i sterówek. Ich prążkowanie, ciemne nadgarstki widoczne na spodzie otwartych skrzydeł oraz jasna plama w kształcie podkowy

na piersi zaznaczają się mniej lub bardziej w zależności od tego, jakie tonacje dominują w sukni ptaka.

Czego nasłuchiwać?

*Wysokiego, przeciągłego, lekko miaucząceg*o *„Piaaał! Piaaał!”. Uwaga na sójki, które lubią naśladować m.in. myszołowy – i robią to perfekcyjnie.*

Kiedy?

Cały rok, ale myszołowy najłatwiej obserwować od jesieni do wiosny, kiedy zatrzymuje się u nas wielu migrantów z północy, a na drzewach nie ma liści.

Kuropatwa.
Dwadzieścia i cztery

Widzieliście kiedyś kuropatwy z bliska? Najpierw musicie się przedrzeć przez ich kamuflaż. Że w ogóle ktoś tam siedzi, domyślacie się tylko dlatego, że nagle poruszyły się grudy ziemi, na które patrzyliście od kilku minut – i mają oczy!? A zaczęliście

się im przyglądać tylko dlatego, że przed chwilą wylądowały tam jakieś ptaki i przecież nie mogły zapaść się pod ziemię… Kiedy indziej kuropatwy czekają do ostatniej chwili, żeby z głośnym furkotem eksplodować wprost spod nóg. Nieraz wypłoszyły mi serce z piersi, nigdy jednak nie przestraszyły na dobre. Nie mogą. Widoczne czy nie, kuropatwy wnoszą jakąś pierwotną radość na pole, poczucie bezpieczeństwa i harmonii. Skowronki rozsiewają je z nieba, a kuropatwy z ziemi.

Kiedy oddzielimy ziemię, kamienie i zioła od przycupniętych obok ptaków, ukaże się nam wzorzysta kompozycja przetykanych bielą szarobłękitów, szarobrązów, brązów i pomarańczy, w których łatwo się zagubić… Subtelny rysunek na piórach, krągła głowa i sylwetka oraz duże, ciemne oczy w otoczeniu słonecznorudych piór i koralowego makijażu przydają kuropatwom rzadkiej słodyczy i takiej samej urody. Kasztanowata plama w kształcie podkowy pod piersią u kogutów jest szeroka i wyrazista, u kur ledwie zaznaczona. Jedni i drudzy wołają się charakternym „Czirik! Czirik!”, wzbogacając słownik języka polskiego o czyrykanie. Nierzadko w duetach, ciepłą wiosną i latem również w nocy.

Pastelowa sukienka kuropatw jest tak finezyjna, że mało kto potrafi ją dobrze odtworzyć. Udało się to mistrzowi Chełmońskiemu, ale nawet on na wszelki wypadek namalował swoje *Kuropatwy* na tle zaróżowionego śniegu. Zenon Przesmycki „Miriam” napisał potem: „Biała równina śnieżna i na pierwszym

planie stadko przemykających się cicho, zatroskanych kuropatw – nic więcej! A jednak cóż za zdumiewające i nagłe przeniesienie widza w sam środek natury! Określić wprost niepodobna, co tak niesłychanie działa na człowieka z tego obrazu". Jak to co? „Zatroskane kuropatwy", symbol polskiej wsi i ojczyźnianych krajobrazów. Zgaduję, że dla przebywającego wówczas w Monachium Chełmońskiego samotne stadko miało więcej niż symboliczne znaczenie. Maria Gerson-Dąbrowska przytoczyła w książce *Polscy artyści. Ich życie i dzieła* fragment listu malarza do jego dawnego nauczyciela, Wojciecha Gersona: „Kuropatwy swoim odezwaniem się o zmroku raz za miastem obudziły we mnie całą moc tych pragnień, kiedy wrócić będzie można do kraju? Bo u nas inaczej, inaczej, inaczej!"[101]. Tak oto czyrykające na obczyźnie urodziwe kogutki dały początek jednemu z bardziej rozpoznawalnych i częściej nagradzanych obrazów w historii polskiego malarstwa, a spragniony swojskich klimatów Chełmoński powrócił wkrótce do swojej ukochanej Kuklówki na Mazowszu. (Na szczęście dla niego i dla kuropatw był to rok 1891, najwyżej 1892, a nie 2021).

Kuropatwy są nie tylko piękne, ale i romantyczne. Pary zawiązują się pod koniec zimy i są ze sobą co najmniej do jesieni – coś, co nie przychodzi do głowy żadnemu z naszych kuraków poza jarząbkami. Przytulają się, zaglądają sobie w oczy, wspólnie kąpią się w piasku, zajadają ziołami i tym, co znajdą na polu. Wiosną on

podsuwa jej co bardziej soczyste *robaki*, a ona znosi mu więcej jaj niż wybranki jakiegokolwiek innego koguta, gąsiora czy kaczora. Przeważnie kilkanaście, ale widziano już gniazdo z 24! (Z tego, co wiemy, tylko raz i tylko jednej kukułce zdarzyło się znieść 25 jaj w sezonie). Wyprodukowanie rekordowej liczby jajek to dopiero początek, bo trzeba je jeszcze wysiedzieć. Kogutki dzielnie bronią swoich partnerek, rzucając się na łasice, gronostaje, borsuki, a nawet lisy i ludzi, ale to i tak dziewczyny płacą najwyższą cenę za reprodukcję. W niektórych rejonach nawet jedna czwarta kur traci życie w czasie inkubacji. Wiele z nich ginie w zębach wałęsających się psów i kotów albo pod kołami maszyn rolniczych. Za to tam, gdzie rolnicy uważają, a drapieżników jest mało, zdarza się, że dorastają wszystkie pisklęta z lęgu. Prawdopodobnie to kolejny rekord wśród ptaków, a już na pewno wśród zagniazdowników. Kuropatwy są bardzo troskliwymi rodzicami, a dodatkowo sprzyja im szybkie tempo wzrostu piskląt, które potrafią latać w wieku dwóch tygodni, a w czwartym miesiącu osiągają rozmiary dorosłych. Byle tylko wystarczyło dla nich drobnych i niespryskanych truciznami owadów, które na początek są dla nich tym, czym dla nas mleko. Taka strategia rozrodcza – dużo potomstwa, które szybko rośnie i najpóźniej w kolejnym sezonie zakłada własne rodziny – zwykle oznacza szybką wymianę pokoleń albo, jak kto woli, krótkie życie. Na pewno potwierdza się to w przypadku kuropatw, które rzadko przeżywają więcej niż pięć lat.

Kuropatwy lubią towarzystwo i gdy tylko dzieciaki podrosną, sąsiadujące ze sobą rodziny łączą się w stadka, które kiedyś liczyły po kilkadziesiąt ptaków. Malowane kogutki bywają zaborcze i niechętnym okiem patrzą na konkurentów, którzy już pod koniec zimy zaczynają smalić cholewki do malowanych kurek z ich kolektywu. Tylko że oni za chwilę też będą szukać partnerki, i to raczej za miedzą niż u siebie. Kuropatwy są bardzo związane ze swoją malutką ojczyzną. Tak jak my kiedyś, tak i one całe życie spędzają wokół wsi, w której same przyszły na świat. Bo i dokąd miałyby zadreptać, skoro tak krótko żyją i tak kiepsko latają? Boją się… A było to tak: Utalentowany i pełen twórczego zapału Perdriks udał się na praktyki do swojego wuja Dedala, dumnego wynalazcy, którego imię znane było w całej Grecji. W krótkim czasie wymyślił między innymi kompas oraz piłę, do czego podobno zainspirował go rybi szkielet, a może szczęki węża…? Im więcej Perdriks wymyślał, tym bardziej zazdrosny stawał się jego wuj, który pewnego dnia zepchnął swojego siostrzeńca z wieży… Na szczęście zobaczyła to Atena (a może któraś z towarzyszących jej pójdziek?), patronka rzemieślników i wynalazców, i w ostatniej chwili zamieniła spadającego chłopaka w ptaka, który w łacinie do dzisiaj nosi jego imię – *Perdrix perdrix*. Ptak, który, co nie powinno nas dziwić, boi się wysokości i dlatego nie buduje gniazd na drzewach ani nawet na nich nie siada, i w porównaniu z innymi – powiedzmy to sobie szczerze – właściwie nie lata. Dedal

z kolei został wygnany z kraju i do końca swoich dni nosił bliznę w kształcie kuropatwy, którą Atena zostawiła mu ku przestrodze.

Inne ptaki nie są w połowie tak urokliwe jak kuropatwy, a budzą podziw i uwagę. Oczywiście to nie ich wina. Kuropatwy po wiekach ciągłej eksploatacji zostały sprowadzone do roli potrawki, łatwej zdobyczy myśliwych i kłusowników. Najczęściej widzimy je martwe – na reprodukcjach starych obrazów albo nieaktualnych już zdjęciach opiewających rzekomy łowiecki etos, gdy ich głowy bezwiednie zwisają ze szczęk jakiegoś wyżła. Padły ofiarą ponurej tradycji, przyzwyczajenia i chyba zwyczajnego snobizmu. Tak długo lekceważone, że nawet teraz, gdy ich liczebność kompletnie się załamała, nikt w towarzystwie nie odważy się zainteresować, a tym bardziej zachwycić kuropatwą. Według Głównego Urzędu Statystycznego w 1973 roku żyło ich w Polsce 7 milionów par. W 1983 2,5 miliona, w 1995 – 480 tysięcy, a w 2012 – 190 tysięcy par. Dzisiaj – w najlepszym razie 110. Niespełna półtora procent liczby sprzed 50 lat! Co się stało…? Zabiliśmy naszą wieś i prawie wszystko, co na niej żyło. I przez cały ten czas ani na chwilę nie przestaliśmy strzelać do kuropatw, które wciąż są u nas tak zwanym gatunkiem łownym[102].

Gdzie patrzeć?

Na bezduszne pola. W pustkę po ukwieconych drogach, miedzach i zagajnikach. W lekceważone wspomnienie po przydrożnych dębach, dzikich gruszach, kaczych dołach i strumieniach, które jeszcze niedawno (też) tam były.

Czego wyglądać?

Rzędów maszyn wielkich jak domy. Świateł po nocach, obłoków kurzu w dzień, pozorów życia w chwilowo zielonym krajobrazie. Nie kuropatw, nie zający, dzikich róż, głogów czy złocieni. Ani paziów królowej, ani świerszczy, ani trzmieli…

Czego nasłuchiwać?

Ryku silników, a gdy zamilkną – martwej ciszy z rzężeniem jakiejś drogi w tle, która jeszcze niedawno wydawała się taka odległa. Strzałów.

Kiedy?

Cały rok.

---

[101] *Kuropatwy* albo *Kuropatwy na śniegu* można (i warto!) zobaczyć w Muzeum Narodowym w Warszawie. Chełmoński namalował je w 1891 roku, w czasie pobytu w Monachium.

[102] Kuropatwiane statystyki w całym ogromnym areale tych ptaków – od zachodnich krańców Europy po Chiny i Mongolię, a także w Ameryce Północnej, gdzie zostały wsiedlone ku uciesze tamtejszych myśliwych – spadają jak mityczny Perdriks, a całą ich światową populację szacuje się dzisiaj na około 13 milionów ptaków!

ŁABĘDZI ŚPIEW GAWRONÓW?

Przez naszą wieś przetacza się rewolucja. Technologiczna, mentalna i krajobrazowa. Wszystko po to, żeby sprostać narzucanym przez globalny agrobiznes trendom, zwiększać i tak bardzo wysoką produkcję i wyciągnąć z ziemi jeszcze więcej. Po drodze otaczający wieś krajobraz zamienia się w zieloną pustynię. Różnorodność upraw, współistnienie pastwisk, łąk, miedz, strumieni i zagajników – całą tę konieczną dla trwania Przyrody i miłą dla oka mozaikę zajęła monotonia przemysłowych monokultur. Szybko rosnące, równo wysokie, jednolicie gęste – i jak okiem sięgnąć. Utrzymują chłodny, wilgotny mikroklimat i trudno się w nich poruszać, szczególnie jeśli jesteś niewielkim ptakiem lub maleńkim pisklęciem. Nieliczne owady są systematycznie trute, a podatnym na choroby uprawom podaje się potężne ilości chemii. Nawet jeśli poziom toksyn w poszczególnych preparatach jest niegroźny, to stale powtarzane kumulują się w otoczeniu i w końcu trują, przede wszystkim jaja i pisklęta. Jedyna strategia obronna, jaką znają polne dzieciaki – „w razie niebezpieczeństwa ukryjmy się w trawie i udawajmy, że nas nie ma" – może wystarczyć w konfrontacji z lisem, ale wobec najazdu ciągnika z nożami lub opryskiem nie daje szans. Oczywiście

maszyny też się zmieniły – są nieporównywalnie większe, cięższe i coraz częściej pracują liniowo. Za i pod nimi zmienia się ziemia. Często odkrywana z wierzchu, coraz bardziej ubita i mniej chłonna na spodzie, nigdy nie odpoczywa, szybko się wyjaławia i wietrzeje, co kompensowane jest intensywnym nawożeniem. Wszystko to razem zmienia jej skład i strukturę oraz pozbawia ją życia. Wielkie pola, ciężka chemia i maszyny. Czasami sobie myślę, że to prawdziwy cud, że przy naszych wsiach trwa jeszcze jakieś uparte życie.

W Przyrodzie jest jak w inwestycjach – więcej daje więcej. Każdy gatunek roślin jest w stanie wyżywić od 10 do 12 gatunków owadów. Te z kolei są podstawą wyżywienia wielu innych – na przykład piskląt kuropatw, przepiórek czy skowronków. Im więcej różnych roślin w danym miejscu, tym więcej różnych owadów i tym większa szansa na przeżycie tych, którzy od nich zależą. To nie wszystko. Większa różnorodność roślin zapewnia bardziej urozmaicone poszycie. Jedne są wysokie, inne niskie. Jedne gęste i krzaczaste, inne to tylko pojedyncze pędy i łodygi. Różna gleba w różnych miejscach kształtuje kompozycję gatunków i charakter roślin, które na niej rosną. Oczywiście dzieje się tak do czasu, aż częsta i głęboka orka oraz intensywne nawożenie z jednej strony, a trucie z drugiej wszystkiego nie ujednolicą. Tymczasem wszystkie te mikroróżnice i zależności tworzą mniejsze lub większe enklawy, mikrosiedliska, a nawet mikroklimaty. W jednym miejscu możesz

sobie poszukać ulubionych owadów, w innym zajadać się kwiatowymi pączkami, a trzy metry dalej wykąpać się w piachu lub w wodzie albo wygrzać w słońcu… Słowem – dla każdego coś dobrego. Bo w Przyrodzie każdy ma szansę! Tak, w dużym uproszczeniu, tworzy się bioróżnorodność – niezliczone, subtelne zależności i powiązania, które współkształtowały się na przestrzeni czasu i są podstawą życia na naszej planecie. I wszystko jest dobrze dopóty, dopóki nie postanowimy pociąć tych sieci, aby podporządkować je wyłącznie naszym potrzebom. Przyroda opiera się na synergii i współistnieniu. Jak odstawimy kubek z gorącą kawą, to ona przyjmie temperaturę otoczenia. Jak gdzieś jest mysi rok, to przylatują sowy i myszołowy i w kolejnym sezonie wszystko wraca do równowagi… Przyroda zawsze do niej dąży, nawet jeśli czasami zajmuje jej to wiele lat albo i wieków. My narzucamy swoje „porządki" rewolucją i przemocą. Jaskiniowcy z iPadami. Zagrabiając i przekształcając kolejne krajobrazy i siedliska, bierzemy na siebie odpowiedzialność za los całej planety i wszystkiego, co na niej żyje. Czy na pewno jesteśmy na to gotowi? Czy mamy do tego prawo?

Dzisiaj, żeby zobaczyć kawkę lub gawrona, trzeba pojechać do miasta. Exodus ptaków z coraz bardziej nieprzyjaznej wsi do miast chyba najlepiej widać po krukowatych. Mniej lub bardziej czarne, duże, głośne i najczęściej w towarzystwie. Trudno je przegapić. Tak jak gawrony, zajętych swoimi sprawami gości w

czarnych pelerynach i za dużych szortach. Liczebność gawronów w całym kraju ocenia się dzisiaj na 183–222 tysiące par, mniej niż połowę tego, co jeszcze na początku lat 2000. Mimo to w swoim oficjalnym stanowisku sformułowanym już w 2016 roku Zarząd Krajowej Rady Izb Rolniczych domaga się pozbawienia gawrona ochrony, podobnie jak kawki i kruka, które już objęte są tylko ochroną częściową. „Z obserwacji prowadzonych przez rolników wynika, że populacje wielu gatunków zwierząt objętych ochroną rozrastają się do nadmiernej liczby i stają się szkodliwe dla prowadzenia gospodarstwa rolnego" – czytamy w uzasadnieniu. Miejskim gawronom też nie jest łatwo. Wiosną 2021 przez polskie miasta i miasteczka przetoczyła się niszczycielska fala, która za cel postawiła sobie ich kolonie, tu i ówdzie wzmacniana partyzanckimi akcjami trucia ptaków. Być może miasta te wycięły już lub okaleczyły wszystkie swoje drzewa i krzewy oraz zabetonowały całą zieloną przestrzeń i doszły do wniosku, że czas na unicestwienie pozostałych „form życia"? W jednym z nich przeprowadzono sondę uliczną po tym, jak radni zdecydowali o usunięciu kolonii rezydującej w miejscowym parku – w zależności od aury kraczące ptaki są tam zwykle przez 10–12 tygodni w roku, zwykle od początku marca do maja. Na osiem zapytanych osób tylko jedna była przeciwna płoszeniu gawronów i niszczeniu ich gniazd. Przeszkadzają nam też sroki, gołębie, jaskółki, kormorany, bieliki, mlecze, mech, stokrotki – lista jest długa. Muszę przyznać, że mało rzeczy irytuje mnie tak bardzo jak

zdania w rodzaju „To robaczki są ważniejsze od ludzi?” albo „Przecież ptaszki i motylki mogą sobie polecieć gdzie indziej…”. Otóż nie, na tym właśnie polega problem, że nie mogą. Nie mają dokąd. Wasze miasto było ich ostatnią deską ratunku! Jeśli zaś chodzi o „robaczki”, to mają takie samo prawo do życia jak my. Zdania te irytują, ale też przygnębiają mnie tym bardziej, że świadczą o głębokim nierozumieniu rzeczywistości oraz zaniku tak potrzebnej nam dzisiaj wrażliwości. A my nie mamy już czasu ani na brak wrażliwości, ani tym bardziej na niewiedzę. Czy jak już zostaniemy sami ze swoimi traktorami, pomnikami i betonem, to poczujemy się lepiej?

Tempo kurczenia się populacji gawronów w ostatniej dekadzie przekracza 10 procent rocznie, dlatego w opracowanej przez Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Ptaków i opublikowanej pod koniec 2020 roku najnowszej edycji *Czerwonej listy ptaków Polski* gawron został sklasyfikowany jako gatunek narażony na wyginięcie. W ciągu ostatnich 200 lat wymarło u nas co najmniej 16 gatunków ptaków: szlachar, strepet, drop, kulon, siewka złota, biegus zmienny, bekasik, mewa mała, nur czarnoszyi, czapla purpurowa, orzełek włochaty, pustułeczka, kobczyk, dzierzba rudogłowa, nagórnik, krzyżodziób sosnowy. Ze względu na przyjęte kryteria liczba ta nie uwzględnia ani ptaków dawniej lęgowych, takich jak pardwa mszarna czy sęp płowy, ani tych, które przestały się u nas gnieździć w okresie krótszym niż

ostatnie 10 lat, na przykład świstun, błotniak zbożowy, dzierzba czarnoczelna[103]. Spośród 230 gatunków uważanych za regularnie lęgowe 47 jest zagrożonych wymarciem. 20 procent albo co piąty gatunek![104] Na przestrzeni ostatnich 10 lat podwoiła się liczba gatunków wymarłych, a liczba zagrożonych zwiększyła się o 30 procent. Mamy najwyższy wskaźnik ekstynkcji w Europie, a udział gatunków zagrożonych jest u nas wyższy nie tylko od średniej europejskiej, ale i światowej (odpowiednio 13 i 14 procent). Co gorsza, z dwóch poprzednich czerwonych list (opublikowanych w latach 1992 i 2002) płynie smutny wniosek, że ptaki uznane za zagrożone najczęściej tracimy na dobre… Może za mało się przejmujemy ich losem? A może za bardzo uwierzyliśmy w mit o „Polskiej Przyrodzie”? Nie zważając na statystyki ani na to, co wszędzie widać gołym okiem, niektórzy uparcie powtarzają, że jesteśmy „kolebką europejskiej bioróżnorodności”. Kiedy słyszę takie opinie, myślę sobie, że ci, co je wygłaszają, albo nie byli w Polsce, albo nigdy nie byli poza Polską.

W najtrudniejszej sytuacji są ptaki siewkowe, blaszkodziobe, kuraki i sokoły, z których odpowiednio 70, 61, 60 i 60 procent pilnie potrzebuje naszej pomocy, jeśli w przyszłości chcemy widzieć je w kategorii „krajowe ptaki lęgowe”. Rycyki w latach 1980–2010 zmniejszyły swoją liczebność o 90 procent – do około 1000 par. Kulików pozostało 120–250 par. Również głowienki,

kiedyś prawie tak pospolite jak krzyżówki, zaliczyły spadek sięgający 90 procent, z populacją szacowaną dzisiaj na 2–6 tysięcy par – i wciąż się do nich strzela. Szczęśliwie są i takie, u których się ostatnio poprawiło, a największe wzrosty dotyczą łabędzia krzykliwego (obecnie około 190 par), gęgawy (7500 par), żurawia (ponad 26 tysięcy par), mewy białogłowej (2450 par), czapli białej (550 par), bielika (1550 par), kani rudej (około 1800 par), sokoła wędrownego (optymiści mówią, że jego populacja może sięgać nawet 50 par) i żołny (1000 par), czy reintrodukowanego w kilku miejscach głuszca (600 ptaków).

Najnowszy czerwony raport został opracowany na podstawie danych z okresu 2010–2019 i nie odzwierciedla jeszcze efektów kolejnej rewolucji rolniczej ani kumulacji Lex Szyszko i masowej wycinki dojrzałych lasów, od których niewątpliwie ucierpią m.in. sowy, dzięcioły i wszelkie dziuplaki. Strata tym większa, że dzięki do niedawna coraz bardziej świadomej i przyjaznej polityce Lasów Państwowych wyraźnie poprawiało się ptakom leśnym. Zalewająca kraj betonoza, która nie omija ani przydomowych ogrodów, ani publicznych terenów zielonych, mocno uderza w tzw. ptaki pospolite, choć określenie „jeszcze nie tak rzadkie” o wiele trafniej oddawałoby ich sytuację. Skutki tego zobaczymy za 10 lat, w kolejnej edycji czerwonej listy. Na tę chwilę zapowiada się ona wyjątkowo ponuro. Ruchliwe, dzienne, a przez to łatwo obserwowalne ptaki są na całym świecie traktowane jako

kluczowe wskaźniki stanu środowiska naturalnego oraz bioróżnorodności, a jednocześnie znak ostrzegawczy. Jak kiedyś zięby i kanarki, które górnicy zabierali ze sobą do szybów węglowych. Dlaczego tym razem ignorujemy sygnały wysyłane przez tak wiele tak różnych ptaków?

Bioróżnorodność, w dłuższej wersji różnorodność biologiczna, to połączona ze sobą sieć życia, przejawiająca się w nieskończenie wielu formach, barwach, obyczajach i gatunkach, które na siebie wpływają i od siebie współzależą. Z tego, co na razie wiemy, istnieje tylko na Ziemi i możemy o niej mówić w odniesieniu do całej planety, kontynentu, podmiejskiego lasu czy choćby przydomowego ogrodu – wszędzie tworzy się jakiś ekosystem lub ekosystemik. Coś jakby rosyjskie matrioszki. Lokalnie czy globalnie, bioróżnorodność zawsze funkcjonuje jak układ naczyń połączonych i opiera się na sprzężeniach zwrotnych. Każdy coś bierze, każdy coś daje, wszyscy są częścią tego samego organizmu. Jedynie my, ludzie, raczej tylko bierzemy. Większa różnorodność gatunków gwarantuje silniejszy, bardziej odporny na zagrożenia i wydajniejszy ekosystem, który przyciąga i mieści jeszcze więcej życia. Im mniejsza różnorodność i im mniej gatunków, tym bardziej kruchy i podatny na zagrożenia ekosystem i tym mniej ma on do zaoferowania. Być może najlepiej widać to, gdy porównamy tropikalną dżunglę lub naturalną dolinę rzeczną – siedliska tradycyjnie zamieszkiwane przez największą liczbę

wszelakich roślin, zwierząt oraz organizmów, o których istnieniu nawet nie mamy pojęcia – z piaskową lub lodową pustynią, które z kolei są najbardziej ubogimi oraz najmniej urodzajnymi krajobrazami. W tej samej kategorii mieszczą się też współczesne, przemysłowe uprawy rolne, które choć bywają zielone, najczęściej utrzymują mniejszą różnorodność życia niż pustynie.

Mam taką teorię: mityczny raj, przewijający się w tak wielu kulturach i religiach, nie jest miejscem, do którego trafimy pod warunkiem, że będziemy dobrzy, lecz miejscem, które straciliśmy, bo byliśmy źli, głupi i zachłanni. Z każdym pokoleniem, a ostatnio z każdym dniem oddalamy się od niego coraz bardziej, bo wciąż jesteśmy źli, głupi i zachłanni. Z każdą religią, kolejnym wynalazkiem i osiągnięciem jeszcze bardziej narcystyczni, aroganccy, boscy. Ów raj to podświadoma, przekazywana z pokolenia na pokolenie pamięć o czasach, kiedy cała Ziemia była jak czarodziejski ogród, który – i to być może jest warte odnotowania! – wygląda tak samo w tak zwanych pogańskich legendach oraz w nauczaniu oficjalnych religii. Roślin, zwierząt i miejsca było tam tak dużo, że wszyscy żyli obok siebie w nieskończenie szczodrej i wielobarwnej przestrzeni. Nasi praprzodkowie tam byli i to widzieli, ale kolejne pokolenia zaczęły niszczyć rośliny, zabijać zwierzęta i siebie nawzajem. Zawłaszczały krajobrazy, zatruwały wodę i glebę, aż w końcu cała ta życiodajna

różnorodność stała się jedynie wspomnieniem. My, współcześni, możemy tylko tęsknić lub wierzyć.

10 tysięcy lat temu ludzie, których na całej Ziemi było sześć milionów, razem ze swoimi zwierzętami domowymi stanowili 0,1 procent łącznej biomasy wszystkich lądowych kręgowców. Dzisiaj jest nas blisko osiem miliardów i razem z naszymi zwierzętami stanowimy 97 procent wszystkich lądowych kręgowców. Wciąż rozmnażamy się, jemy i zabijamy jak nikt na świecie. Zagrabiamy więcej Ziemi, eksterminujemy kolejne populacje i całe gatunki. Ale bioróżnorodność to nie tylko bujne życie i zachwycające krajobrazy. To źródło tlenu, wody, żywności, a także epidemicznej i emocjonalnej odporności. To wreszcie gwarancja stabilnego klimatu. Bez różnorodności i mnogości współistniejących ze sobą roślin, glonów, grzybów, bakterii i zwierząt nie zatrzymamy rozpędzającej się katastrofy klimatycznej. To dzięki nim przez ostatnie 12 tysięcy lat Ziemia była tym rajskim ogrodem, a my, korzystając z jej zasobów, mogliśmy budować swoją cywilizację. Jeśli ktoś chce zobaczyć, jak wygląda krajobraz po upadku bioróżnorodności albo jak się żyje w stanie permanentnego kryzysu klimatycznego, niech wybierze się na wycieczkę na Saharę, która zresztą przez ostatnie sto lat powiększyła się o blisko milion kilometrów kwadratowych i nadal rośnie! (Obecna powierzchnia trzeciej co do wielkości pustyni na Ziemi, po Antarktydzie i Arktyce, to 9,2 miliona kilometrów kwadratowych).

Tylko nie zapomnijcie zabrać ze sobą picia i jedzenia oraz ochrony przed słońcem, wiatrem oraz nocnym chłodem, bo na miejscu nic nie ma i nic ich nie zatrzyma.

---

[103] Analizy prowadzono w oparciu o metodologię IUCN, Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody. Kryterium ekstynkcji lokalnej lub regionalnej (krajowej) to brak lęgów w okresie co najmniej 10 lat lub trzech kolejnych pokoleń, w zależności od gatunku lub tego, która zmienna zachodzi jako pierwsza. IUCN zaczęła prowadzić tzw. czerwone listy gatunków zagrożonych w latach 60. ubiegłego wieku i zgodnie ze swoimi kryteriami zaleca aktualizowanie krajowych list co 10 lat.

[104] Według Państwowej Komisji Faunistycznej na dzień 20 listopada 2020 w Polsce stwierdzono 462 gatunki ptaków, z czego 259 jako regularnie lub sporadycznie lęgowe. Autorzy raportu skupili się tylko na regularnie lęgowych, przy czym z braku metodologicznie poprawnych danych wyłączyli dalszych osiem gatunków i ostatecznie przeanalizowali stan 230.

Bażant.
Kogut z opery

Krezus, król Lidii (ten sam, który dał początek krezusom) miał zapytać przybyłego z wizytą Solona, czy widział coś wspanialszego niż jego królestwo i równie olśniewającego co jego dwór w Sardes. Ateńczyk, chcąc przebić balon próżności swojego gospodarza, odpowiedział: „Tak, widziałem bażanty i pawie, które zdobią naturalne barwy, co czynią je 10 tysięcy razy piękniejszymi”.

Matka Natura, najodważniejsza i najbardziej szalona kreatorka, przyzwyczaiła nas do ekstrawagancji, ale w przypadku rodziny bażantów przeszła samą siebie. Muszę przyznać, że nie rozumiem, jak można nie zatrzymać się w zachwycie na widok

pawia (czy to niebieskiego, czy chyba jeszcze bardziej niemożliwego zielonego), argusa, któregoś z tragopanów, bażanta syjamskiego, złocistego czy srebrzystego. Ale tym, co pieją i podskakują pośród naszych kartoflisk i podmiejskich zarośli, też niczego nie brakuje. Kukuryku! Hopsasa! Jeśli jeszcze tego nie zauważyliście, to pewnie dlatego, że nie patrzyliście dość uważnie. Albo udajecie, że nie widzicie, bo się bażantem brzydzicie… Bo on taki pospolity, a do tego nie nasz, nie europejski. Ale w tej sprawie fakty, a także mity są mylące jak wzory na jego sukni. Przede wszystkim już łacińska nazwa *Phasianus colchicus*, ptak znad rzeki Fazji w Kolchidzie (na współczesnych mapach będzie to rzeka Rioni w Gruzji), umiejscawia bażanty na granicy Europy. Co więcej, na długo zanim Rzymianie zaczęli je rozwozić po całym kontynencie, bażanty żyły co najmniej wokół Morza Czarnego, w Grecji i na Bałkanach, gdzie najstarsze znalezione szczątki datowane są na szóste tysiąclecie przed naszą erą! U nas upowszechnił się pogląd, że wzięte z czeskiego słowo *bażant* miało być wzmiankowane od XV wieku, a same ptaki trafiły na polskie ziemie w latach 60. XVI wieku (na Mazury i Pomorze 300 lat później). Istnieją jednak zapiski kupca Ibrahima ibn Jakuba opowiadające o polowaniach na kolorowe koguty w kraju Mieszka I, a ten rządził w latach 960–992.

Historia bażantów jeszcze bardziej komplikuje się z genetycznego punktu widzenia. Otóż w ich pierwotnym, euroazjatyckim zasięgu

żyło 30 różnych podgatunków, których przedstawiciele przypadkowo trafiali do hodowli, czego ślady widać w *niejasnym* wyglądzie bażantów wsiedlanych w około 50 krajach, w tym tak egzotycznych jak Australia, Nowa Zelandia czy Hawaje. Bażant to prawdopodobnie najbardziej rozwleczony po świecie dziki ptak, a już na pewno najdłużej i najliczniej hodowany. W wielu miejscach należałoby go traktować jako ptaka półdomowego. Od trzymanych w klatkach i odpowiednio „prowadzonych" kur „pozyskuje się" nawet 160 jaj rocznie. Jaja wylęgają się w inkubatorach, a pisklęta hodowane są jak fermowe kurczaki. To duży biznes. Tylko na Wyspach Brytyjskich wypuszcza się rocznie koło 40 milionów bażantów, a Polska jest dla Anglików drugim po Francji dostawcą gotowych do klucia jaj – 1 250 000 sztuk. To też najczęściej zabijane dzisiaj ptaki. I nie chodzi o zwykły odłów na stół. Chodzi o rozrywkowe zabijanie w stylu ministerialnym albo ziemiańskim – jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Rekord należy do angielskiego lorda Ripona, który w ciągu minuty strzelał 28 bażantów. W całym swoim życiu zabił ich 241 tysięcy. Stanowiły blisko połowę z 556 tysięcy uśmierconych przez niego ptaków, do których należałoby doliczyć kilka razy tyle niezaraportowanych przez psy oraz śmiertelnie ranionych[105]. Ogłupiałe i przerażone bażanty często wypuszcza się wprost pod lufy myśliwskiego szwadronu albo się je pod te lufy nagania. Pewnym utrudnieniem jest to, że nawet dzikie niechętnie latają, a w zagrożeniu wolą zaszyć się w gęstych trawach i zaroślach.

Trzeba je więc do lotu zmusić. Tu wkraczają naganiacze z kołatkami i pałkami oraz psy. Te kolorowe kluski, jak wiele kuraków, mają bardzo kiepskie parametry lotnicze – duża masa przy bardzo małej powierzchni nośnej skrzydeł, którymi pracują z całych sił, żeby w ogóle utrzymać się w powietrzu, stąd też zamazany wir i głośny furkot. O żadnych manewrach nie ma mowy. Lecą prosto, nisko i blisko. Mogą za to rozpędzić się do 90 kilometrów na godzinę.

Wypuszczane ptaki nie mają pojęcia o świecie poza klatką i większość z nich szybko ginie. Nie miały ani matki, ani starszyzny, od której mogłyby się uczyć bażanciej etykiety i sztuki przetrwania na polu. Wolne bażanty większość czasu spędzają w zgodnych męskich albo żeńskich grupach. Z kurami trzyma się też młodzież. Klimat u tych pierwszych zaczyna tężeć wraz ze zbliżającą się wiosną. W końcu koguty rozchodzą się każdy w swoją stronę, a ich największą ambicją staje się własny harem. (Spośród naszych ptaków tylko bażanty mają taki program matrymonialny). Większość zdobywa kilka, a niektórzy nawet kilkanaście kur. Pewnie mają to coś. Zdarzają się i tacy, którzy porzucają tradycyjny model, przechadzają się po okolicy i próbują szczęścia ze słabo pilnowanymi, chętnymi kurami. Czasami muszą uciekać, czasami kończy się bójką, ale gdyby chcieli utrzymać własny harem, zapewne biliby się jeszcze częściej. Wiosenna gorączka w końcu mija i ptaki wracają do swojego polnego *slow*

life. Tu pogrzeją się w słońcu, tam wykąpią w piasku, skubną jakieś zioło albo rozkopią mrowisko. Zawsze jednak muszą być czujne, bo nie tylko ludzie polują na bażanty. Ale tylko bażanty są takie piękne.

Gdzie patrzeć?

Po sąsiedzku – za płotem, na miedzę, po sadach i tzw. nieużytkach. Na łąkach i polach, najlepiej okraszonych zagajnikami i podmokłościami. Największe szanse na spotkanie bażanta mają mieszkańcy centralnej, południowej i zachodniej części kraju.

Czego wyglądać?

Dumnego ptaka lśniącego w słońcu ciemnobursztynowym blaskiem (wiosną robią to specjalnie!), z opalizującą, granatową głową i odstającymi do tyłu pierzastymi różkami oraz wydatnymi czerwonymi koralami na polikach. Niektóre mają białą obrożę na szyi. Bażant z bliska wygląda jak żywe dzieło sztuki, a każde pióro składające się na wyrafinowany, łuskowany wzór zachwyca

precyzją wykonania. Koguty są wielkości kury domowej, do czego trzeba doliczyć blisko pół metra poprzecznie pręgowanego ogona. Kury są wyraźnie mniejsze, z krótszym ogonem, bez operowych ozdób i ekstrawagancji. Ich suknie to kompozycja beżów i szarości, pokrytych czarno-biało-szarym wzorem. Stawiają na kamuflaż i są w tym bardzo dobre. Subtelną urodę bażancic docenimy z bliska.

Czego nasłuchiwać?

Piania kogutów, któremu towarzyszą podskoki i głośny furkot skrzydeł. Gdyby nie ich pospolity głos, bażanty byłyby idealne.

Kiedy?

Cały rok.

[105] Frederick Oliver Robinson, lord Ripon, przeżył 71 lat i w każdym roku swojego życia zabijał średnio 7831 ptaków – 21 dziennie. Zmarł w wyniku

upadku na polowaniu, 22 września 1923 roku, zastrzeliwszy wcześniej 52 ptaki, głównie bażanty.

Bocian biały.
Ptak, który powstał z człowieka

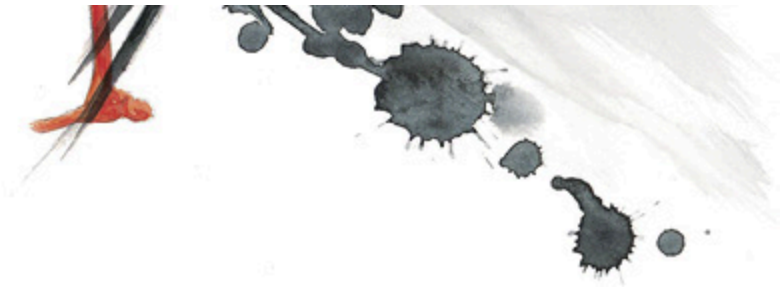

Bocian powstał z człowieka. A było to dawno temu, gdy myszy, krety, węże, żaby, wielkie chrząszcze i robaki rozmnożyły się tak bardzo, że zaczęły dokuczać zwierzętom i ludziom. Widząc to, dobry Bóg pozbierał je wszystkie do worka, zawiązał i kazał pewnemu człowiekowi – myślę, że możemy nazwać go Wojtkiem – wrzucić do morza, ostrzegając, żeby pod żadnym pozorem nie zaglądał do środka. Wojtek nie posłuchał i gdy tylko odwiązał worek, wszystkie myszy, węże, żaby i cokolwiek w nim było na nowo rozpierzchły się po świecie. Rozgniewany Bóg zamienił nieposłusznego posłańca w bociana i zapowiedział, że za karę już zawsze będzie łapać to, co z worka wypuścił… I tak od wiosny do lata po łąkach i polach kroczą bociany, które jak kraj długi i szeroki ludzie zaczęli nazywać wojtkami. Niczym reymontowscy chłopi w białych koszulinach wyciągają z ziemi to, czego tamci się bali lub brzydzili.

Zwykle myślimy o nich jak o niewinnej dekoracji na dachu, ale bociany białe to drapieżniki pierwszej wody. Szybkie, odważne i wbrew pozorom świetnie wyposażone. Wysokie nogi zapewniają im szerokie pole widzenia i możliwość zapuszczania się w miejsca niedostępne dla innych. Długa szyja zwiększa pole rażenia, a

ostry dziób działa jak harpun albo bezlitośnie precyzyjna pinceta. Do tego bardzo dobry wzrok, słuch, doskonała pamięć i inteligencja. Głodne bociany są mało wybredne i gotowe połknąć wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu, łącznie z padliną i śmietnikowymi odpadami. W zależności od okoliczności stosują różne techniki łowieckie. Gdy towarzyszą oraczom, podążają miarowo za maszynami i wybierają, co pług odsłoni. Polując na myszy lub norniki, nieruchomieją i cierpliwie czekają przy norze z dziobem gotowym do zadania śmiertelnego ciosu w ułamku sekundy. Tak samo łowią nornice i krety. W przypadku tych ostatnich przed połknięciem łamią sterczące na boki muskularne łapy z pazurami. Przydałyby się im zęby lisa albo tnący dziób orła – ale bociany i bez nich sobie radzą, tyle że zajmuje im to trochę więcej czasu.

Ich przysłowiowe upodobanie do żab jest chyba trochę przesadzone i ma już wymiar historyczny. Żaby w całej Europie są zwierzętami ginącymi, więc coraz rzadziej stają się pokarmem tych, którzy na nie polują. Bociany dużo częściej łapią gryzonie, a przede wszystkim dżdżownice. Jeszcze więcej zjadają dużych owadów i ich larw, chociaż podobnie jak w przypadku żab, o nie też już coraz trudniej. Boćki mają słabość do ryb, te jednak nie tak łatwo złowić i na tym polu o wiele lepiej radzą sobie ich piękni kuzyni z lasu, bociany czarne. Wojtków nie lubią ptaki łąkowe. Czajki czy rycyki, widząc bociana w pobliżu gniazda lub młodych,

od razu przechodzą do ataku. I słusznie! Czasami bociany wypuszczają się na całkiem dużą zdobycz, np. młode zające czy króliki. Widziano nawet, jak kilka ptaków otoczyło kiedyś dorosłego gronostaja! Nieszczęśnik wielokrotnie szybował w górę i spadał na ziemię, zanim w ostatniej chwili uszedł z życiem w wysokie turzyce. Owszem, gdy tylko ma to sens, bociany polują zespołowo. Stąd na łąkach i polach widujemy czasami zorganizowane tyraliery biało-czarnych ptaków. Tak samo kroczą wzdłuż linii ognia, który regularnie pojawia się na ich afrykańskich zimowiskach i napędza im pod dzioby spanikowaną zwierzęcą drobnicę. W jaki sposób boćki dowiadują się o takich okazjach? Właśnie się okazało, że oprócz wzroku kierują się zapachami, których cząstki wiatr może nieść setki kilometrów. I nawet jak masz chwilowo zatkany nos, to wystarczy, że zobaczysz na niebie zwiększony ruch w tym samym kierunku, który przecież nie może być przypadkowy. Dlatego na świeżo orane pola pełne soczystych pędraków w krótkim czasie przylatują ptaki z odległości dziesiątków kilometrów. Jak zaradne są boćki, niech świadczy przykład jednego, który pewnego suchego lata zaczął odwiedzać podwórko mojego wuja, gdzie ten trzymał stadko tłuściutkich kurczaków. Zdesperowany ptak mógł pozwolić swoim dzieciom umrzeć z głodu albo zdobyć jedzenie w mniej konwencjonalny sposób. Raz mu się udało. Przy następnej wizycie skończyło się na bieganiu po podwórku z brojlerem w dziobie.

Wujek nie chciał podarować bocianowi, a bocian kurczakowi, który okazał się za ciężki, żeby z nim odlecieć.

Bociany to straszne żarłoki. Dorosłe zjadają średnio 80 dekagramów mięsa dziennie, przy wadze własnej 3,4 kilograma. Dorastające młodziki jedzą jeszcze więcej. Przy bardzo teoretycznym założeniu, że pisklęta do wylotu z gniazda (dwa miesiące od wyklucia) byłyby na jednorodnej diecie, każde z nich opędzluje dwa duże wiadra dżdżownic – jakieś 37 kilogramów, albo 27 kilogramów żab, albo 18,5 kilograma kretów i drobnych gryzoni[106]. Przy okazji widać, co jest bardziej pożywne – albo jak mawia znajoma pani Irena, co lepiej trzyma. I na co bardziej opłaca się polować. Łatwo sobie wyobrazić, jaką pracę mają do wykonania rodzice trójki czy piątki dzieci oraz jak ważna jest dla nich tzw. zasobność siedlisk. W tych mniej urodzajnych z gniazd wylatuje dużo mniej młodzieży. W suche, chude lata rodzice sami wyrzucają jajo lub dwa, a nawet podrośnięte już pisklęta, jeśli uznają, że nie mają szans na wykarmienie większej gromadki. Co ciekawe, los ten spotyka tylko samczyki! Tego typu planowanie rodziny może wydawać się okrutne, ale młode ptaki niedługo będą musiały polecieć do Afryki. Nawet 12 tysięcy kilometrów w jedną stronę, a po drodze wszystko może się wydarzyć. Boćki wolą mieć mniej dzieci, za to silnych i sprawnych, niż więcej, ale słabych i bez gwarancji, że którekolwiek z nich zamknie wielką pętlę.

Czy to w Afryce, czy nad Wisłą, bociany polują na otwartych przestrzeniach. Otwarta przestrzeń to taka, która uniemożliwia wrogom ukrycie się w zasadzce, a boćkom zapewnia rozbieg przy starcie do lotu i bezkolizyjne nabieranie wysokości. Dlatego nie spotkamy ich w lasach, zakrzewieniach, trzcinowiskach lub choćby w łanach przerastającej je trawy. I to prawdopodobnie dlatego stada wojtków od najdawniejszych czasów tak chętnie osiedlały się po sąsiedzku z nami, specjalistami od wypalania, karczowania i orania. Co więcej, duże i pewne siebie ptaki potrafią się bronić i nie muszą ukrywać swoich gniazd. Ważniejsze są dla nich solidne oparcie, dobra widoczność, bezpieczny start i lądowanie. Ma to szczególne znaczenie dla młodych, które zanim wylecą z domu, całymi tygodniami ćwiczą skrzydła i lepiej, żeby ich sobie nie połamały w zderzeniach z gałęziami lub innymi przeszkodami. Naturalnie samo gniazdo musi być odpowiednio duże i mocne, żeby trenująca młodzież nie spadła razem z nim. Z punktu widzenia bocianów wiele naszych budowli to idealne miejsca na ich nadbudówki. Jeszcze niedawno najchętniej zasiedlały kominy i dachy, ale te współczesne to nie to samo co strzechy rodem z Chełmońskiego. Do tego ich właściciele nie wierzą już, że gniazdo bocianów na dachu chroni przed zarazą, ogniem i piorunem ani że przynosi szczęście – i coraz mniej chętnym okiem patrzą na białe guano rozlewające się po blachodachówce. Rezolutne ptaki w połowie lat 70. ubiegłego wieku zaczęły przenosić się na słupy trakcyjne. Zaskoczeni

energetycy zlitowali się w końcu nad bocianami i zamiast zrzucać ich domostwa, zaczęli zakładać na słupy specjalne platformy, po raz kolejny dowodząc, że dla chcącego nie ma nic trudnego. Chociaż taka lokalizacja niesie ze sobą duże ryzyko i wiele ptaków, szczególnie młodych i nieświadomych niebezpieczeństwa, ginie porażonych prądem, platform szybko przybywało. To dlatego, że kolejne pokolenia na swoje gniazda wybierają najchętniej miejsca podobne do tych, w których same przyszły na świat. Innymi słowy te, które wylęgły się w gnieździe na słupie, na słupie będą chciały założyć własną rodzinę[107].

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą…
Tęskno mi, Panie…

– napisał Cyprian Kamil Norwid w *Mojej piosnce II*. Od siebie mogę dodać, że mi też… Przez całe wieki bocianom nie najgorszej żyło się w naszych wsiach i miasteczkach. To się jednak zaczęło szybko zmieniać wraz z krajobrazem. Według ostatniego krajowego liczenia bocianów, którego wyniki opublikowano w 2015 roku, mieliśmy jeszcze 42–43 tysiące par, ale ich liczba zmniejszyła się o blisko jedną czwartą w porównaniu z cenzusem sprzed 10 lat. Zmniejszył się też ich sukces lęgowy, czyli uśredniona liczba młodych ptaków opuszczających gniazdo.

Może z wdzięczności za trzymanie w ryzach żarłocznych *robaków*, a może ze współczucia dla Wojtka albo przez sąsiedzkie zasiedzenie – ludzie w całej Europie, a także na Bliskim Wschodzie ukochali bociany jak chyba żadne inne ptaki. Tak bardzo, że 31 maja obchodzimy Międzynarodowy Dzień Bociana. (Choć są i tacy, co najchętniej świętują go, strzelając do boćków, a im więcej ich zabiją, tym bardziej się cieszą). Bocian biały to jedyny tak duży ptak, który osiedla się pośród naszych domów, a nawet na nich. Sam kilka lat temu miałem okazję poznać jedynaka, który wychował się w gnieździe na posesji mojego brata. Godzinami spacerował po podwórzu, nie obawiając się ani psów, ani kotów, z którymi świetnie ułożył sobie relacje. Oczywiście na swoich warunkach. Gospodarzy dopuszczał na odległość metra z wąsikiem. Naiwni goście próbowali go czasami przekupić kawałkiem chleba… Musielibyście zobaczyć jego minę.

Hebrajskie חסידה (*chasidah*) oznacza bociana oraz kogoś życzliwego i miłosiernego. Grecy i Rzymianie widzieli w bocianach i wzorowych rodziców (najwyraźniej notorycznie przegapiali widok martwych piskląt pod gniazdami), i idealne dzieci. Jedni i drudzy mieli specjalne prawo, które nakładało na dorosłych potomków obowiązek troszczenia się o starszych rodziców, a które nazywali bocianim – *Lex ciconiarum* w Rzymie oraz dźwięczne *Pelargonia* w Atenach. Odpowiednio od *ciconia* i *pelargos* – bocian. Elian Klaudiusz (ok. 175–235), rzymski pisarz i

nauczyciel, twierdził, że sędziwe bociany (najstarszy, o jakim wiemy, przeżył 34 lata) odlatują na dalekie wyspy, gdzie w nagrodę za opiekę, którą otaczały swoich rodziców, zamieniają się w ludzi, a wszystko to dokładnie opisał w przepastnym dziele *De natura animalium*, *O właściwościach zwierząt*. My, Słowianie, wierzyliśmy, że wiosną i latem bociany przynosiły dusze z Wyraju i składały je na łonach brzemiennych kobiet, otwierając w ten sposób nowy cykl życia i zapowiadając zbliżające się narodziny. Przekonanie o związku bocianów z wędrówką dusz, reinkarnacją i przede wszystkim narodzinami dzieci było rozpowszechnione na całym kontynencie. Stare jak świat wierzenia przewijały się w wielu baśniach i legendach, i to spisana przez Hansa Christiana Andersena bajka o bocianie prawdopodobnie uczyniła ze wszędobylskich kiedyś ptaków międzykulturowy fenomen znany dzisiaj ludziom na całym świecie[108]. Ale boćki oprócz dusz przynosiły też zwykłą radość i szczęście. Nic dziwnego, że zabicie któregoś z nich w wielu kulturach, w tym u Słowian, obłożone było klątwą. W antycznej Grecji groziła za to nawet kara śmierci.

Gdzie patrzeć?

Na szczyty wiejskich dachów i kominy, na wierzchołki słupów energetycznych oraz stojące na uboczu martwe drzewa. Na pola, łąki i podmokłości w dolinach rzek. W ciepłe, letnie dni warto też spoglądać w niebo, gdzie bociany szybują czasami dla relaksu lub treningu.

Czego wyglądać?

Na wypadek gdyby ktoś zapomniał: dość dużego, białego ptaka z czarnymi końcami skrzydeł, długim czerwonym dziobem i nogami.

Czego nasłuchiwać?

Wiadomo, klekotania, ale z bliska, na przykład stojąc pod gniazdem, usłyszymy też stłumione gwizdy, chrapanie, chrząkanie i rzężenie. Gdybyście wybierali się na takie słuchowisko, lepiej weźcie ze sobą parasol.

Kiedy?

W Polsce bociany białe pojawiają się w marcu i kwietniu i zostają do sierpnia, najdalej września. Coraz częściej zdarzają się ryzykanci lub szaleńcy, którzy próbują przezimować.

---

[106] Co jedzą bociany, wiemy nie tylko z obserwacji, ale i z wypluwek. A wypluwka prawdę ci powie. (Przeważnie). Ponieważ ptaki nie mają zębów (żeby lepiej latać, zamieniły ciężkie szczęki na lekkie dzioby), nie są w stanie rozdrobnić swojego jedzenia. Połykają je w całości, a to, czego nie strawią we wstępnej obróbce, wydalają tą samą drogą w postaci zbitych w owalne kształty resztek kości, zębów, sierści, piór i innych pozostałości swoich ofiar. Wypluwki produkują wszystkie ptaki, które zjadają inne zwierzęta – od przeważnie owadożernych strzyżyków czy sikorek, przez bociany, aż po sowy i orły. Wystarczy zajrzeć do wypluwki i już wiemy, co ostatnio jadł ten, kto ją wypluł.

[107] Również hiszpańskie i portugalskie bociany chętnie zasiedlają tamtejsze gigantyczne pylony wysokiego napięcia, zwykle po kilka, kilkanaście par na jednym. Wygląda to jak malownicze połączenie technologicznego modernizmu z naturą, ale wymaga od ptaków szczególnej ostrożności. Z drugiej strony być może ptaki, wybierając takie miejsca na gniazdo (zamiast tradycyjnych w tamtym regionie skał i płaskich dachów), kierują się względami

bezpieczeństwa właśnie i próbują się odgrodzić od naturalnych rabusiów gniazd przewodami pod napięciem.

[108] Bajka zatytułowana jest po prostu *Bocian*. W druku ukazała się 19 października 1839 roku.

Drop.
Szukaj wiatru w polu

Co jakiś czas ptasiarskie, a nawet krajowe media elektryzuje wiadomość o dropiu, którego ktoś zobaczył na polu lub łące. Ostatnio miało to miejsce w sierpniu 2020 roku. Dlaczego? Bo to

drop! Rekordzista ważył 21 kilogramów (tyle co dorodna sarna) i był oficjalnie najcięższą latającą istotą na świecie[109]. Do tego metr i więcej wysokości oraz nierzadko nawet dwa i pół metra rozpiętości skrzydeł. Tak prezentują się barokowe koguty. Kury są o jedną trzecią mniejsze i co najmniej dwa razy lżejsze.

Tokujące samce robią wszystko, aby ukryć pręgowane, czarno-rude pióra i pokazać te białe i lśniące, trzymane na specjalne okazje. Stroszą się, zarzucają na plecy ogony, wywijają skrzydła. Są jak gigantyczne orchidee albo latarnie morskie w środku pola. Zapalają się i gasną. Zapalają i gasną… Widoczne z odległości wielu kilometrów, przyciągają dużo skromniejsze samice. Te na miejscu usłyszą szelest rozedrganych piór, buczenie rezonujących worków na szyi, które wypełnione powietrzem, wyglądają jak kołnierz z lisa, i… bicie serca, które w szczytowym

momencie uderza 900 razy na minutę! Przy czym u dropi ów moment następuje w kulminacyjnej pozie tańca godowego wykonywanego solo.

Jedna z najbardziej niezwykłych inscenizacji, jakie możemy podziwiać na naszej planecie. U nas już nie do zobaczenia. W drugiej połowie XX wieku, gdy wiadomo było, że liczba dropi w Polsce spadała od wielu dekad (w latach 30. było ich 600–700, w 1958 – 432, w 1963 – 305, w 1972 – 159, a w 1980 – 16), prominentni myśliwi wciąż do nich strzelali. Takie tempo

zanikania powinno było dać do myślenia, bo dropie dość długo żyją (rekordzista doczekał 28 wiosen), a ultraczujne dorosłe ptaki, magicy kamuflażu, w naszych warunkach właściwie nie miały wrogów naturalnych. Kłusownictwo i szybko postępujące uprzemysłowienie rolnictwa przypieczętowały ich los. W 1974 roku w Siemianicach Wielkopolskich otwarto stację hodowli dropi, gdzie przywożono i wylęgano jaja ze zniszczonych lub zagrożonych gniazd. Wychowane z nich ptaki miały dać początek krajowemu programowi ratunkowemu. Przy okazji uważane za głęboko antropofobiczne dropie pokazały się z nieznanej do tamtej pory strony: szybko przywiązywały się do opiekunów, szukały z nimi bliskości i rozpoznawały ich z daleka nawet w dużej grupie ludzi – po głosie, sylwetce, szczegółach ubrania. Gdy dorosły, wciąż traktowały ich jak swoich przyjaciół. Chętnie spędzały z nimi czas, bawiły się, a po każdej rozłące przybiegały się przywitać. Aż do 13 grudnia 1980 roku, gdy ktoś wszedł do woliery i z trzynastu nocujących w niej ptaków zabił dziewięć. Zatłukł je pałką. Śledztwo umorzono z powodu „znikomej szkodliwości społecznej czynu". W roku 1982 ktoś ponownie dostał się do woliery i uśmiercił dwa kolejne – z takim samym skutkiem prawnym. Dwa pozostałe przy życiu koguty przewieziono do ośrodka w Stobnicy, gdzie w 1988 zmarł pierwszy z nich, a w 1989 drugi. Tymczasem w 1986 roku po raz ostatni usiadła na gnieździe nasza ostatnia wolno żyjąca kura, ale z jedynego jaja nic się nie wylęgło. Spekulowano, że mógł to być efekt katastrofy w Czarnobylu.

Jakby to miało jakiekolwiek znaczenie. Kilka miesięcy później słuch po niej zaginął. Tak samo jak po ostatnim kogucie, który tamtej wiosny tokował już tylko dla niej.

„Pod koniec pobytu w Paryżu Chełmoński coraz silniej odczuwa tęsknotę za krajem. Próbuje szukać «materiału pejzażowego» polskiego na miejscu. Wtedy pierwsze powstały nad ranem podpatrzone *Dropie* w oziminie operlonej rosą […]" – pisze w biografii artysty Maciej Masłowski, powołując się na wspomnienia córki artysty, Wandy. Uwagę w tej historii zwracają dwa fakty: dropie jako oczywisty symbol nadwiślańskich krajobrazów oraz data, 1886 rok[110]. Wielkie ptaki pod koniec XIX wieku wciąż były u nas dość częste. W literaturze fachowej nazywano je nawet dropiami pospolitymi. Prawdopodobnie dla odróżnienia od ich kuzynów strepetów, które eksterminowaliśmy jeszcze szybciej, bo około roku 1910. W powszechnym użyciu było słowo „dropiowy" dla określenia koloru lub charakterystycznego pręgowanego wzoru. Każdy z łatwością mógł wówczas zobaczyć, co to za kolor i wzór – wystarczyło wyjrzeć przez okno albo wyjść za miasto. Dropie traktowano jako zwierzynę grubą, oficjalnie więc jedynie ziemiaństwo i rządzący mogli na nie polować. Tylko w Prusach (dzisiejsza Warmia i Mazury) i tylko w 1900 roku zapisano w księgach 820 zabitych ptaków. Podczas gdy władze ceniły dropie ze względu na walory łowieckie, chłopi narzekali, że ptaki wchodziły im w szkodę. Wszystko przez ich onieśmielające

rozmiary, bo w rzeczywistości dropie były raczej sprzymierzeńcami rolników niż ich konkurencją. Ale jeszcze na początku XX wieku w niektórych powiatach dzieci szkolne miały za zadanie zbierać z pól dropiowe jaja.

Dropie żyły w grupach. Każda płeć we własnej, przy czym młodzież trzymała się z matkami. Każda grupa miała swoją strukturę i rządziła się swoimi prawami. Czasami, w srogie zimy albo tam, gdzie mieszkało mniej ptaków, koła gospodyń łączyły się z klubami wiecznych kawalerów. Te na wiosnę zawieszały działalność, a wystrojone po rzęsy koguty udawały się na tokowiska. Towarzyskie wydarzenie roku, podczas którego klubowe maniery ustępowały miejsca zrytualizowanej, nierzadko brutalnej rywalizacji. Znane ze swojego konserwatyzmu i panicznej niechęci do zmian ptaki co sezon powracały na te same, używane od pokoleń areny. Naturalnie samice też tam zaglądały, ale obywały się bez napędzanej majowymi hormonami agresji. Miały ważniejsze rzeczy na głowie – znalezienie bezpiecznego miejsca na gniazdo (najchętniej w słońcu i po sąsiedzku z dziewczynami z własnej grupy), znoszenie jaj, ich wysiadywanie, wychowywanie dzieci. Te, tak jak małe kaczki czy kuropatwy, były zagniazdownikami – przychodziły na świat z szeroko otwartymi, ciekawskimi oczkami i już po kilku godzinach nie mogły się doczekać, żeby podreptać za rodzicami w świat. W teorii, bo w praktyce małe dropie wymagały ciągłej uwagi i opieki. Nawet

chodzić musiały się nauczyć, a o samodzielnym jedzeniu nie było mowy. Na początek karmione były drobnymi, miękkimi owadami. Ich dostępność i różnorodność przesądzała o tym, czy maluchy w ogóle miały szanse przeżyć, a jedno pisklę przez pierwsze dwa tygodnie potrzebowało ich ponad 10 tysięcy, mniej więcej kilograma! Po tym czasie mama zaczynała zrywać im świeże zioła, pączki i kwiatki. Gdy jeszcze trochę podrosły, podawała im pierwsze ziarna, czasem jakąś żabkę, myszkę lub nornicę. Wychowanie dropiąt to była ciężka praca – wolno rosły, wszystkiego trzeba było je uczyć, do samodzielności się nie spieszyły, a za każdym rogiem czaił się ktoś gotowy je pożreć. Synowie już przerastali swoje matki, a te ciągle podsuwały im co smaczniejsze kąski. Mimo to tam, gdzie okolica była zasobna i bezpieczna, niektóre decydowały się na trójkę dzieci. Prawdziwy heroizm, biorąc pod uwagę, że w dropiowym świecie wszystkie matki były samotne.

Urobione po skrzydła dropice z mniej lub bardziej ogarniętymi podrostkami u boku wracały pod koniec lata do swoich sióstr, matek, babek i sąsiadek. Grupa dawała im poczucie sensu i bezpieczeństwa. Bez niej dropie były zestresowane i nieszczęśliwe. Tutaj od krewnych i starszyzny młodzież uczyła się, jak być wielkim ptakiem. Dziewczyny osiągały pełnoletność w wieku dwóch, trzech lat, chłopaki – czterech, pięciu. Choć biologicznie dojrzali, pełni dorosłości zasmakować mogli dopiero za kolejny rok

lub trzy, bo wtedy zwykle pojawiała się szansa na zdobycie i utrzymanie własnej sceny. Pod warunkiem że wcześniej uważali na lekcjach i nauczyli się również tego, jak najlepiej zaprezentować się w czasie toków oraz jak zdobyć i na krótką chwilę posiąść wybredną samicę. Z doświadczeniem przychodził czas względnego spokoju i stabilizacji. Gdy młodzież bawiła się w berka, dorośli spędzali czas na podjadaniu ziół i robaków, spacerach i sjestach. Ponieważ dropie były takie duże i miały tylko trzy palce, nie mogły drzemać, stojąc na jednej nodze, jak robi to wiele innych ptaków, kładły się więc na brzuchu albo na boku. Oczywiście ktoś w grupie trzymał wartę. W razie niebezpieczeństwa roztapiały się w krajobrazie. Zdemaskowane, zamiast zrywać się do lotu, raczej odchodziły lub odbiegały. Niechętnie i z niedowierzaniem. Arystokratycznie flegmatyczne, sprawiały wrażenie, jakby brzydziły się pospolitym zgiełkiem i pośpiechem. Stąd pewnie drugi człon w ich łacińskiej nazwie *Otis tarda*, oznaczający kogoś rozważnego, ostrożnego, niespiesznego… Dropia.

Legendarne były czujność i coś jakby szósty zmysł ptaków znanych z tego, że bez obaw spacerowały w odległości kilkudziesięciu metrów od pracujących w polu chłopów, ale na widok myśliwych zrywały się z odległości ponad pół kilometra! Oczywiście myśliwi wpadali na pomysł, żeby przebrać się za chłopów albo podjechać do dropi w stercie siana, te jednak umiały

rozpoznać taką zasadzkę. Jak?! Ich spirytystyczne zdolności obróciły się w końcu przeciwko nim. Zastrzelenie dropia dowodziło wyjątkowych umiejętności, toteż każdy ambitny myśliwy stawiał sobie za punkt honoru zdobycie cennego trofeum. Im więcej ich miał, tym bardziej oczywiste było, że to nie przypadek. Łowców dropiowych skalpów przybywało. O ile wcześniej ptaki mogły mieć jakieś szanse na wojnie, którą im wytoczyliśmy, o tyle technologia XX wieku tych szans je pozbawiła. No bo jak ustrzec się wroga, który trzyma w ręku broń zdalnego zabijania z lunetą celowniczą?! Myśliwi wiedzieli też, kiedy ich ofiary były najbardziej bezbronne – w okresie godowym. Kiedy indziej najważniejsze były dyskrecja i dobre ukrycie się, ale na tokowisku każdy kogut zrobiłby wszystko, żeby być lepiej widocznym. Najokazalsze trofea zapewniały najokazalsze, zwykle najbardziej doświadczone i najcenniejsze dla przetrwania gatunku samce. Takie, od których uczyły się kolejne pokolenia kogutów i których samice najczęściej wybierały na ojców swoich dzieci. Ich też najbardziej pożądali trawieni kompleksem Edypa myśliwi[111]. Bo jak inaczej wytłumaczyć pragnienie zabijania innych samców akurat w czasie, gdy ci zajęci są rywalizacją o seks, a potem otaczanie się ich odciętymi atrybutami męskości albo i całymi wypchanymi ciałami?

Dzisiaj, aby zobaczyć żywe ptaki kwiaty, najlepiej pojechać do Brandenburgii – 150 kilometrów od granicy z Polską, niedaleko

Berlina, żyje blisko 300 dropi. W 1997 było ich zaledwie 57, niewiele więcej niż jeden procent populacji, która istniała w Niemczech 60 lat wcześniej. Gatunek udało się uratować w ostatniej chwili, dzięki wspólnym staraniom niemieckich przyrodników, rolników i rządu oraz Komisji Europejskiej. Pod koniec lat 90., gdy projekt nabierał rozmachu, pojawiły się wokół niego liczne kontrowersje, a niezbyt przychylne media okrzyknęły dropia najdroższym ptakiem świata – głównie z powodu przebudowy trasy kolejowej Berlin–Hanower na odcinku biegnącym przez sam środek obszaru ochrony dropia w Havelländisches Luch. Technologie, które do tej pory osłaniały wsie i miasta, tym razem miały służyć ptakom. Z myślą o nich ustawiono między innymi kilometry ekranów dźwiękoszczelnych, a po obu stronach torów kolejowych usypano wielki wał zapobiegający zderzeniom dropi z trakcją i z pociągami. Stworzono całą sieć niewielkich, ale kipiących życiem łąk, które moglibyśmy nazwać kwietnymi lub zielnymi. Ponieważ pełna kontrola drapieżników zagrażających jajom i pisklętom nie była możliwa, część łąk zabezpieczono przed lisami oraz innymi czworonożnymi rabusiami. Dropice szybko rozpoznały sytuację i teraz tylko tam zakładają gniazda, podobnie jak wiele innych ptaków po sąsiedzku z nimi. Na całym terenie obowiązują specjalne zasady tzw. użytkowania rolniczego, regulujące m.in. terminy wiosennych prac polowych, stosowanie pestycydów i nawozów sztucznych. Poziom bioróżnorodności w regionie wzrasta

w zaskakującym tempie, przyciągając kolejne rzadkie gatunki i jeszcze więcej tych, które zwykle nazywamy pospolitymi. Synergia Przyrody. Korzystają z niej lokalny krajobraz, mikroklimat, rolnictwo organiczne, agroturystyka, biznes. Pomysłodawcy projektu są przekonani, że któregoś dnia populacja dropi wzrośnie na tyle, że będzie samowystarczalna (próg, jaki sobie wyznaczyli, to tysiąc ptaków), wówczas specjalna opieka nie będzie już konieczna, na razie jednak niczego nie pozostawiają przypadkowi.

Swojego nieoficjalnie herbowego ptaka z bardzo dobrym skutkiem ratują Węgrzy, a także Austriacy, Portugalczycy oraz Hiszpanie, którzy mają u siebie grubo ponad połowę całej światowej populacji szacowanej na około 50 tysięcy ptaków. Wystarczyło, że na mocy moratorium z 1980 roku przestali do nich strzelać. Klimat i przyjazne rolnictwo powodują, że wrażliwe i wymagające dropie wciąż znajdują tam dla siebie dostatecznie dużo miejsca. W innych krajach albo dropi już nie ma, albo zostały niedobitki i w wielu miejscach zapaleńcy, organizacje pozarządowe oraz władze robią wszystko, aby je uratować lub przywrócić. Każdy u siebie i wszyscy razem. Od Hiszpanii po Mongolię. Najważniejsze są (dobra) wola i chęć współpracy. Pewnie dlatego do Polski dropie, jak do tej pory, nie wróciły.

Są za to w Anglii. 23 lipca 2007 roku wszystkie brytyjskie media donosiły, że pewna dropica zniosła tam jajo, po raz pierwszy od 175 lat. Trzeba było poczekać kolejne dwa lata, aby 2 czerwca

2009 te same media informowały o pierwszych od 1832 roku szczęśliwych narodzinach trzech małych dropi. Dwa z nich dorosły i powiększyły niewielką grupę zamieszkującą od 2004 roku Salisbury Plain, dawny poligon, który brytyjska armia oddała dropiom. Dzisiaj żyje tam 100 ptaków. Wszystko za sprawą piskląt, które wykluły się w inkubatorach z jaj uratowanych z zaorywanych rosyjskich gniazd, oraz kilku pasjonatów, którzy postanowili przywrócić Anglii wielkie ptaki. Wspierani przez rząd, licznych wolontariuszy i coraz liczniejszych darczyńców, dokonali niemożliwego. W Anglii, podobnie jak w Niemczech i pozostałych krajach, dropie nie tylko same na siebie zarabiają, ale i napędzają lokalny biznes. Kto nie chciałby spojrzeć legendzie w oczy? Ciągnący z daleka ptasiarze potrzebują noclegów, chcą się napić i coś zjeść, robią zakupy. Hrabstwo Wiltshire umieściło dropia w swoim herbie, a miejscowy pułk na mundurach i sztandarze. Ich imieniem nazwano już niejeden pub oraz lokalną markę piwa. Zagrożony wyginięciem w skali globu drop znowu jest lęgowym ptakiem Zjednoczonego Królestwa, powodem do dumy. *How about us?*

Gdzie patrzeć?

Oprócz Wiltshire na odludne łąki i pola w Brandenburgii, Austrii, na Węgrzech, w Hiszpanii, Portugalii, na Ukrainie, w Rosji i w Turcji. Podróżujący dalej na południe lub wschód mogą się jeszcze rozejrzeć w północnym Maroku, w Iranie, Kazachstanie, Mongolii i Chinach. U nas – już nigdzie.

Czego wyglądać?

Wiatru w polu.

Czego nasłuchiwać?

Co wiatr przyniesie…

Kiedy?

Cały rok.

[109] Cięższy był pewien łabędź, o którym więcej w rozdziale *Łabędź niemy*. Historycznie najcięższe latające ptaki, o jakich wiemy, to wymarłe *Argentavis magnificens* z Ameryki Południowej, kuzyni tamtejszych kondorów. Ważyły pond 70 kilogramów przy rozpiętości skrzydeł do 6,5 metra, długości ciała około 3,5 metra i wysokości do 1,8 metra. Większą o blisko metr rozpiętość skrzydeł osiągały genealogicznie dużo starsze *Pelagornis sandersi*, ale ważyły w najlepszym razie 40 kilogramów.

[110] Chełmoński wpadł na stadko dropi pod Meudon, w połowie drogi między dzisiejszym centrum Paryża a Wersalem, a owocem tamtego spotkania jest przepiękny obraz o niebywałej sile przyciągania, a nawet dwa. Jedna wersja jest do zobaczenia w Muzeum Nardowym w Warszawie, druga w muzeum malarza w Radziejowicach.

[111] Jeden z kluczowych elementów freudowskiej psychoanalizy, którego bazą jest nieuświadomiona zazdrość o członek prowadząca m.in. do pragnienia wykastrowania rywala. Koncepcja ta ujrzała światło dzienne wraz z publikacją przełomowego *Die Traumdeutung*, *Objaśniania marzeń sennych*, 4 listopada 1899 roku w Wiedniu.

Komu zależy na osobnikach juwenilnych żerujących w siedliskach ruderalnych?

Pisząc swoją pierwszą książkę, *Jej Wysokość Gęś*, postanowiłem, że ani razu nie użyję w niej słowa „osobnik". Okazało się to nie aż takie trudne, jak myślałem, ale na jej pierwszym redaktorze, skądinąd uznanym w swojej dziedzinie specjaliście, moje starania nie zrobiły większego wrażenia. Wyrzucił zamienniki i powstawiał osobniki wszędzie tam, gdzie to było możliwe. Na pytanie dlaczego, odpowiedział, że chciał nadać książce profesjonalnego sznytu[112] Ciekawe, że to samo, nieszczególnie wyróżniające się słowo opisowi zwierząt przydaje profesjonalizmu, natomiast użyte w odniesieniu do ludzi zdradza demonstracyjny brak szacunku i poczucie wyższości.

Z jakiegoś powodu robimy wszystko, żeby odróżnić się od zwierząt i oddzielić od Przyrody. Jeśli chcemy, aby podziały i różnice były trwałe i odbierane jako część naturalnego porządku, najlepiej przemycić je do codziennego języka[113]. Trzeba przyznać, że udało się to nam wyśmienicie. My żyjemy, jemy, mamy twarz – atrybut

naszej godności, dzieci. Zwierzęta zaledwie występują, a jak wiadomo, każdy występ musi się kiedyś skończyć. To tak, jakbyśmy ich eksterminację wpisali w naszą językową podświadomość i była ona tylko kwestią czasu. Zwierzęta żrą, a gdy mówią o tym zawodowcy – żerują. Zamiast twarzy mają ryj, mordę, pysk, dziób. Zamiast dzieci – młode. My myślimy, czujemy i mamy długą listę praw. O tym, że one mogłyby myśleć, czuć i nie daj Boże mieć prawa – ot, choćby to najbardziej podstawowe, do miejsca i życia na Ziemi – lepiej nawet głośno nie mówić. Powszechnie przecież wiadomo, że zwierzęta w najlepszym razie mają tylko odruchy, hormony i instynkt. Kiedy ludzie zabijają innych ludzi, są za to uroczyście sądzeni i karani. No chyba że uznamy to za akt bohaterstwa usprawiedliwiony którąś z naszych świętych wojen, wówczas stawiamy im pomniki. Zwierzęta się redukuje lub pozyskuje. Często planowo, zgodnie z wytycznymi ważnych, państwowych instytucji, w sposób zorganizowany i zrytualizowany. My umieramy, one zdychają. I lepiej się tego trzymać, inaczej zgromią cię, że grzeszysz. Z definicji i tzw. naturalnego porządku, który sami wymyśliliśmy, twierdząc, że pochodzi od bogów, jesteśmy najważniejsi, pod żadnym pozorem równi[114]. Ci, którzy odważą się mówić inaczej, szybko zostają naznaczeni jako bluźniercy! Za to każdy poczuje się słusznie urażony, poniżony lub sprowokowany, jeśli nazwiesz go psem, świnią albo bydlakiem. Powiesz mu, że jest głupi jak gęś, rusza

się jak słoń, gapi się jak sroka w gnat. Tylko wielkanocnym kurczaczkom i króliczkom się… upiekło.

Są jeszcze między innymi żerowiska, siedliska, dymorfizm płciowy, sukces lęgowy, osobniki juwenilne, zagęszczenia, kontrola populacji i zarządzanie nią, biomy, klimaksy, elementy bio- albo abiotyczne czy migranty – to o ptakach, które migrowały na długo przed nami, ale odmówiliśmy im podmiotowości. Tym samym językiem pisane są podręczniki naszych dzieci. Nic dziwnego, że nie rozumieją i nie lubią Przyrody. Zgodnie z podstawą programową każą im zakuwać dekarboksylację oksydacyjną pirogronianu albo jak działają mikrotrychy[115], ale nigdzie nie tłumaczą, skąd się bierze i jak pracuje woda, co dają drzewa ani jak się nazywają i co robią zaglądające do naszych ogrodów ptaki. Ich nauczyciele przeważnie też nie wiedzą, przecież uczyli się z tak samo napisanych podręczników… Takim językiem mówią i myślą potem decydenci i urzędnicy, którzy wyrastają z naszych ekologicznie zdeprawowanych dzieci. Nic dziwnego, że nie mają żadnych problemów z tym, żeby zalać betonem hektary miejskich trawników albo wydać wyrok na kolejną pomnikową aleję. Przecież to tylko „ożywione elementy krajobrazu”. Pozbawić gałęzi ostatni 200-letni dąb na osiedlu, skazać go na pewną śmierć, a przedtem sadystycznie oszpecić? Nie ma sprawy. Przyciąć drzewa w parku o dwie trzecie i usunąć z niego wszystkie krzewy? Proszę bardzo! Macie państwo rację, one nic nie robią, tylko śmiecą. I ani

mieszkańcy, ani dbający o ich sprawy urzędnicy nie widzą związku ze smogiem w mieście, potrzebą ochrony przed hałasem, coraz bardziej niebezpiecznymi upałami albo zagrożeniem powodziowym. Przeważnie nie mają pojęcia, że taki związek w ogóle istnieje.

Niestety, tak samo *abiotycznym* i hermetycznym językiem mówią o Przyrodzie jej aktywiści. Dopóki rozmawiają ze sobą – nie ma sprawy. Ale słyszałem już, jak przyrodnicy na otwartych forach (nieskierowanych do branży) opowiadali o ancestorach[116]. *Really, guys?!* Powiększając i tak już ogromny dystans społeczny, nieliczne zawiązujące się w Polsce stowarzyszenia ciągle nazywają się według tego samego schematu, co garstka już istniejących – TOP, WTOP, RTOP… Jeśli nie jesteś częścią takiej organizacji lub tym bardziej nie było cię, gdy powstawała, nie masz szans wiedzieć, co się kryje za tymi literami. Może poza obowiązkowymi TO albo SO – Towarzystwo/Stowarzyszenie Ochrony (Przyrody, Lasu…). Rozumiem, że tego typu skróty mają u nas długą tradycję, ale wątpię, żeby w przewidywalnej przyszłości któraś z organizacji miała szanse na taką samą rozpoznawalność co PKP, PZU czy SMS[117]. Jeden z największych projektów, jakie wdrażaliśmy w Ptakach Polskich, na etapie aplikowania został zatytułowany *Aktywna ochrona ptaków wodnych i błotnych na terenie Polderu Północnego w Parku Narodowym „Ujście Warty" poprzez poprawę warunków wodnych siedlisk lęgowych oraz miejsc*

żerowania i odpoczynku w czasie migracji i zimowania. Oczywiście nie mogliśmy wyjść z tym do ludzi, więc sprowadziliśmy wszystkie te słowa do bardziej przyjaznego, a jednocześnie pojemnego tytułu *Bagna są dobre!*, który w zależności od sytuacji miał występować samodzielnie lub poprzedzać tytuł techniczny. Kilka miesięcy zajęło nam przekonywanie naszych partnerów do takiego rozwiązania.

Przyroda i zwierzęta nigdy nie były u nas priorytetem, ale w pisaniu i opowiadaniu o nich mieliśmy nie najgorsze tradycje – Jan Sokołowski (1899–1982), Włodzimierz Puchalski (1909–1979), *Z kamerą wśród zwierząt*, *Zwierzyniec*… Czasami mam wrażenie, że te stare dobre wzorce ostatecznie pokonał nowiusieńki snobizm. Pojawił się Adam Wajrak – do niedawna chyba jedyne ogniwo szerzej łączące tzw. normalnych ludzi z Przyrodą – ale jeden Adam na 38 milionów to zdecydowanie za mało! Potrzebujemy więcej Wajraków, Charów, Kłosowskich, Kostrzyńskich, Kruszewiczów (kiedy dzielą się swoją fantastyczną wiedzą o zwierzętach, a nie próbują dowieść, że musimy je zjadać i do nich strzelać), Książków, Łubieńskich, Łuczajów, Łukasików, Piórów, Robińskich, Saratów, Sumińskich (mam na myśli panią Dorotę), Tryjanowskich, Wilczków, Zbyrytów oraz takich postaci jak nieodżałowana Simona Kossak. Tym bardziej, że różne grupy interesu, politycy i urzędnicy też się komunikują ze społeczeństwem, i chociaż często mówią o tych samych rzeczach,

używają zupełnie innego języka. Weźmy na przykład takie ocieplanie klimatu. Prawda, że brzmi zachęcająco i przytulnie – któż nie chciałby żyć w cieplejszym klimacie? Zdecydowanie lepsze to niż kryzys klimatyczny. Wspieranie przemysłu węglowego, który stale zaczadza już i tak najbardziej trujące powietrze na kontynencie (co najmniej 500 ofiar śmiertelnych rocznie), prezentowane jest jako obrona narodowych interesów i polskiej racji stanu. Albo taka pielęgnacja. Tym pełnym troski terminem opisuje się decyzje urzędników oraz zwykłych obywateli polegające na okaleczaniu zdrowych drzew i skazywaniu ich na pewną, choć odroczoną w czasie śmierć. Rewitalizacja to dzisiaj dewastacja miejskich parków i terenów zielonych oraz zamienianie ich w martwe, antyklimatyczne i antyspołeczne, betonowe klepiska. Odnawianie lasu – tak mówią o wycince choćby najstarszej i najbardziej wyjątkowej puszczy. Selekcja sanitarna – jeszcze jeden eufemizm, który w praktyce może oznaczać na przykład polowanie w parku narodowym. Masowe zabijanie zwierząt lub pozbawianie ich przestrzeni życiowej, choćby przez wycięcie wspomnianej puszczy lub zabetonowanie płynącej od tysięcy lat rzeki, nazywa się powszechnie postępem. Dla porównania, podniesienie ręki ze sprayem na elewację jakiegoś muru lub budynku – wandalizmem, w którego ściganie natychmiast angażują się służby państwowe. Rozwój – przebojowy termin zaklęcie, którym ostatnio opowiada się m.in. o planie budowy drogi przez jeden z najważniejszych parków narodowych

na kontynencie czy o programie regulacji rzek w całym kraju. Ten drugi, szokująco archaiczny pomysł, zwiększający ryzyko i suszy, i powodzi, szybko doprowadzi do katastrofy, ale podany jako rozwój przekona niejednego. Szczególnie gdy towarzyszyć mu będzie „zrównoważony" – jeszcze jedno słowo wytrych, które nic już nie znaczy[118]. W tej narracji słyszymy też o trosce, obronie, odpowiedzialności, szkodach, szkodnikach, zasobach, racjonalnej gospodarce, zarządzaniu, bezpieczeństwie, strategiach (najlepiej narodowych) oraz – a jakże! – prawie, wartościach i tradycji. Prawdziwych i świętych, ma się rozumieć. Nie szkodzi, że większość z tych tradycji nie ma już żadnego sensu, bo wszystko dookoła się zmieniło i przeważnie *tego* nie ma. Tradycyjnie na przykład zimą lepiliśmy bałwany, a przez cały rok strzelaliśmy do turów, dropi i soboli. Ale już nie możemy, bo wszystkie eksterminowaliśmy. Dzisiaj kolejne piękne zwierzęta są na granicy istnienia, ale określenie „gatunek zagrożony" stało się normą i na nikim nie robi już wrażenia. Wymieranie brzmi niemal godnie, za to gatunki obce i inwazyjne jak wezwanie do zrywu patriotycznego!

Tymczasem po naszej stronie, ludzi zajmujących się ochroną i popularyzacją Przyrody, wciąż najbardziej wstydliwe i profesjonalnie ryzykowne słowa to bliskość, pasja, miłość, energia, bogactwo, różnorodność, piękno, życie, to nas łączy, też tak mam, podoba mi się, lubię to, zależy mi, pomogę ci, nie wiem, co o tym

sądzisz?, myślę inaczej, zobaczmy, jak robią to inni, zróbmy to razem… No i słowo, którego w branży boimy się jak ognia – antropomorfizacja. Największy zarzut wobec tych, którzy tłumacząc świat Przyrody, kierują się empatią, co może skazać ich na środowiskowe wykluczenie.

Mówiąc o Przyrodzie, mówimy o fundamentach naszego życia, źródle tlenu, wody, jedzenia, zdrowia i piękna. Wspólnym dziedzictwie i ważnej części tożsamości narodowej. Chociaż bardzo bym chciał, jej przetrwanie nie zależy od garstki świadomych i oddanych aktywistów, ale od całego społeczeństwa – wszystkich razem i każdego z osobna. W takim samym stopniu, w jakim wszyscy zależymy od niej. Dlaczego więc mówimy o naszej Przyrodzie jak o jakimś obcym, całkowicie sztucznym i odrażająco zinstytucjonalizowanym (nowo)tworze? Mieszanka terminologii akademickiej, gwary myśliwskiej oraz typowego dla biznesu i rolnictwa utylitaryzmu, na którą nałożył się nasz silny ideologiczno-religijny doktrynizm, wszechobecna anglofonizacja i urzędowa, brukselsko-powiatowa nowomowa. Już nawet rolnicy nie mówią „siano”, tylko „biomasa”!

Odizolowani w zamku z warownych słów przeżyliśmy wojnę, ale ją przegraliśmy. Najgorsze jest to, że przegrywamy kolejne bitwy. O Puszczę Białowieską, o Bukową i Podkarpacką, o Mierzeję Wiślaną i Odrę. Przegraliśmy niezliczone aleje, miejskie i wiejskie parki, śródpolne dęby, grusze i jabłonie – miliony drzew.

Przegrywamy przydomowe ogrody, krajobraz, klimat, własne zdrowie oraz istnienie wielu wspaniałych stworzeń. Przegraliśmy uważność i wrażliwość ludzi. Większości wydajemy się obcy, bo mówimy w jakimś dziwnym języku. To na nim opiera się kryzys wiedzy, wartości i wzorców, który w dużej mierze sami przepowiedzieliśmy. Dlaczego ktoś miałby troszczyć się o przeżywalność osobników juwenilnych w siedliskach ruderalnych gatunku, którego (nowej) nazwy z niczym już nawet nie kojarzy? Może to jakiś robak albo co gorsza jeden z tych obcych i inwazyjnych, o których ostatnio tyle się mówi?

Ludzie nie zawsze mówią, co myślą, ale prędzej czy później zaczynają myśleć tak, jak mówią. Zmiana zaczyna się od języka, a przyszłość rozstrzyga się teraz. Jeśli nam na niej zależy, to ostatni moment, żeby zacząć mówić o Przyrodzie ludzkim językiem. Jak mawiał poeta, pióro jest mocniejsze od miecza[119].

---

[112] Z tego samego powodu usunął też wszystkie fragmenty, które „nie były o ptakach". Ostatecznie książkę zredagowała Ola Deskur, a wydało Wydawnictwo Poznańskie.

[113] Dobrze wiedzieli o tym mistrzowie manipulacji i propagandy, m.in. Hitler i Stalin. Wie o tym Putin i różni, naśladujący go faszyzujący przywódcy, których nazywa się narodowcami lub populistami. Po tym, co stało się w

Europie zaledwie kilkadziesiąt lat temu, mało kto odważa się w przestrzeni publicznej używać słowa na f w odniesieniu do takiego czy innego ruchu lub partii. Jedni się boją lub nie dowierzają, innym – szczególnie tym o skłonnościach do f – jest to na rękę.

[114] Choć oczywiście różni.

[115] Ten pierwszy termin oznacza jeden z etapów oddychania komórkowego, a drugi wypustki na skórze tasiemca. Obydwa zaczerpnięte z arkusza maturalnego 2021 (biologia), metodą na chybił trafił. Wśród zadań nie było ani słowa o zagadnieniach ekologicznych czy przyrodniczych.

[116] Kalka z angielskiego, gdzie *ancestor* oznacza przodka.

[117] W 2010 roku Ptaki Polskie przeprowadziły ogólnopolskie badanie wiedzy i postaw wobec Przyrody, pytając m.in. o rozpoznawalność organizacji ochrony przyrody. Najlepszy wynik miał Greenpeace, który kojarzyło ponad 20 procent badanych (najpewniej efekt niedawnej, głośnej batalii o Rospudę), daleko za nim był WWF. Wyniki najlepiej rozpoznawalnych krajowych stowarzyszeń mieściły się w granicach błędu statystycznego, czyli można przyjąć, że w społecznej świadomości nie istniały. Inna bardzo wyraźna zależność łączyła wiek respondentów z ich wiedzą – im młodsi, tym mniej wiedzieli i tym mniej byli zainteresowani.

[118] Ekoterroryści, ekologiści, libertyni, lewacy, bolszewicy, LGBT+, antypolacy, polakożercy, antypatrioci, ideologia… Tak z kolei ostatnio mówi się o tych, którzy się temu i podobnym inwestycjom sprzeciwiają. To oczywiście obok epitetów bardziej tradycyjnych oraz wielu co najmniej zaskakujących konstatacji płynących z wysokich urzędów i ambon na temat tzw. ekologizmu –

na przykład: „totalna erotyzacja wszystkich sfer kultury”, „kult żądzy i popędu seksualnego”, które są „centralnym wymogiem neokomunistycznej ideologii ekologizmu jako jednego z najniebezpieczniejszych przejawów bytu Antychrysta”, „odłam ideologii neomarksizmu”, „ateistyczny, materialistyczny i nihilistyczny neokomunizm”, „nowa forma totalitaryzmu”, „odmiana zielonego nazizmu”, „substancjalna wrogość względem człowieka jako osoby”, „humanizacja zwierząt, drzew i roślin”, „oczywiście biznes” [bo] „jak się odpowiednio wzbudzi histerię, to da się wcisnąć nowe produkty”, „antyludzki”, „antyboski […] spod diabelskiego znaku Antychrysta”, „zideologizowana forma walki z człowiekiem”, na którą „nie może być zgody polskiego rządu i polskich polityków”. Swoją drogą według słowników terrorysta to „zwolennik terroru, organizator, uczestnik aktów terrorystycznych”, „człowiek dokonujący aktu terrorystycznego, siejący terror, terroryzujący”. I kto tutaj jest (eko)terrorystą…?

[119] Autorem tych słów jest XIX-wieczny pisarz i polityk, Edward Bulwer-Lytton.

Żuraw.
Zatańczymy?

Tajemnicze i nieuchwytne, głos zapomnianych moczarów i pogańskich bogów, symbol dalekich podróży oraz tego, co niedostępne. Najlepszy dowód, że szary jest piękny. Ruszają się, jakby tańczyły. Odzywają, jakby grały na trąbce, a ich sejmiki brzmią jak koncert orkiestry dętej. Gdy jesteś blisko – ciarki chodzą ci po plecach. Gdy jesteś daleko – pragniesz być bliżej.

Jeszcze 40 lat temu wydawało się, że nic ich nie uratuje i znikną z naszego krajobrazu tak, jak zniknęły bagienne uroczyska, które były ich domem. Stał się jednak cud. Żurawie się zmieniły. Przystosowały. Gdy osuszyliśmy mokradła, puszcze zamieniliśmy w sosnowe plantacje, a miasta i osiedla zaczęły pochłaniać coraz to nowe przestrzenie – one z typową dla siebie godnością wyszły na pola. Dzisiaj wystarcza im tylko trochę wilgoci i już nie trwoży ich nasz widok. Z kilkuset par w latach 80. ich populacja urosła do 23–30 tysięcy, a niektóre z nich zakładają gniazda choćby na łączce za stodołą[120]. Lądują tam już w lutym albo w marcu. To najbardziej okazałe i na pewno najgłośniejsze zwiastuny naszej wiosny. Ich hejnałom, które z dobrym wiatrem niosą się na odległość wielu kilometrów, towarzyszą rytualne przechadzki, ukłony, podskoki – przede wszystkim tańce.

Żurawie są u nas nie tylko jednymi z pierwszych, ale i jednymi z ostatnich, do tego daty ich przylotów i odlotów ciągle się od siebie oddalają. One nie dyskutują o tym, czy klimat się zmienia – dobrze to wiedzą i starają się możliwie najlepiej to wykorzystać. Jesienne sejmiki przeciągają do listopada, a na zachodzie kraju regularnie zimują. To, co jeszcze nie tak dawno uważano by za anomalię, dzisiaj jest normą. W sezonie zimowym 2019/2020 być może po raz pierwszy w znanej nam historii żurawie trąbiły nawet na Podlasiu i Mazurach. Żurawie w ciągu dnia chętnie zatrzymują się na polach, ale bez obaw – zbierają to, co się wysypało w czasie

żniw i co dobrze widać. Jeśli chodzą po oziminie, to też żadna strata. Zboża to trawy, a każda trawa, zanim się wykłosi, lubi zgryzanie i walcowanie. *Przycinane* przez ptaki oziminy lepiej się ukorzeniają, dzięki czemu wiosną rosną mocniejsze i wydają większe plony. Dobrze im też zrobi dodatkowa porcja zdrowego nawozu, który zostawiają za sobą goście. Wszystko przebadane i udowodnione naukowo. Nie wierzycie? Sami sprawdźcie, jak wyglądają wasze zboża w miejscach, gdzie jesienią albo wczesną wiosną zlatywały się żurawie lub gęsi. Założyłem się kiedyś z jednym rolnikiem – i wygrałem.

Jeszcze na początku poprzedniego stulecia nierzadkie było przekonanie, że małe ptaki migrowały do ciepłych krajów ukryte w piórach tych dużych. Najchętniej pomocą służyć im miały szlachetne żurawie. Kolejne autorytety i ważne osoby publiczne zeznawały, że na własne oczy widziały, jak na ich plecach podróżowały skowronki, pliszki i im podobni. Czy to dlatego nasz narodowy przewoźnik, LOT, ma w logo żurawia? Podobnie jak Lufthansa i co najmniej cztery inne linie lotnicze? Być może jeszcze dłużej utrzymywało się sięgające starożytności wyobrażenie, jakoby nocni wartownicy w stadach żurawi trzymali kamień w uniesionej pod brzuchem nodze. Gdy znużony ptak przysypiał, kamień spadał na nogę, na której stał, budząc go i przypominając o obowiązkach. Stąd na średniowiecznych oraz renesansowych herbach i obrazach można zobaczyć żurawie z

kamieniem w nodze i podpisem *Ut alii dormant* – Aby inni mogli odpocząć. I to dlatego żuraw stał się symbolem troski i odpowiedzialności. A także wiedzy oraz dążenia do niej, mądrości, otwartości, harmonii, doskonałości, jakości… Różne żurawie to po orłach najczęstsze emblematy herbowe. Nie mogło być inaczej. Długowieczne, dumne, symfonicznie głośne i poruszające się jak zawodowi tancerze ptaki znane były z przywiązania do swojej ojczyzny, rodziny i wspólnoty. Bez względu na gatunek i lokalną kulturę żurawie robiły piorunujące wrażenie, gdziekolwiek się pojawiały. Tym większe, że same są takie duże. Indyjskie antygony, *Antigone antigone*, przy rozpiętości skrzydeł 2,5 metra mogą mieć 1,8 metra wzrostu, co czyni je najwyższymi latającymi ptakami na Ziemi. Ciut mniejsze są afrykańskie żurawie koralowe, *Grus carunculata*, a trzeci na podium jest żuraw mandżurski, *Grus japonensis*. Wszystkie żurawie, obojętnie jak potężne i czym strojne, od zawsze i w oczywisty sposób wpisywały się w nasze kanony piękna. Ponadczasowe, uniwersalne ikony sztuki i stylu. Europejskie żurawie są tylko popielate (tak zresztą do niedawna je nazywaliśmy) i mają najwyżej 1,3 metra, ale nie przeszkodziło im to ucieleśniać starożytnej miłości i *joie de vivre* (radości życia). One też związane były z Apollem, który najwyraźniej lubił otaczać się stworzeniami w piórach, a może był po prostu pierwszym w dziejach birdwatcherem…? Gdy jego żurawie piły z bogami wino na górze Olimp, nasze prowadziły przez świat obłoki wędrownych ptaków oraz ludzkie dusze, które

uchwycone ich nóg i skrzydeł, podróżowały tam i z powrotem do Wyraju, słowiańskiej krainy wiecznego szczęścia, położonej hen na końcu Drogi Żurawi. Trąbiące ptaki na całym świecie służyły za przewodników – zmarłym, żywym, tym, co dopiero mieli się urodzić, oraz różnym zwierzętom w potrzebie.

„Niech Twoje (Wasze) życie będzie równie długie i szczęśliwe, co życie żurawia!" Tak od tysiącleci w różnych językach Dalekiego Wschodu brzmią urodzinowe i ślubne toasty. Ludzie wierzyli tam, że żurawie mogły żyć nawet tysiąc lat, a że były mądre, dobre i pogodne, umiały znaleźć równowagę i szczęście. Dlatego tak dużo jest ich we wschodniej sztuce i dlatego tak chętnie były trzymane na cesarskich dworach i w książęcych pałacach – jako mentorzy, nauczyciele i osoby (!) do towarzystwa. Niektórzy władcy nawet podróżowali ze swoimi ptakami, a te czy to w drodze, czy na miejscu pławiły się w bizantyjskich luksusach. Gdy Chińczycy w 2004 roku wybierali w narodowym referendum swojego herbowego ptaka, wygrał żuraw mandżurski. Wtedy dopiero organizatorzy wydarzenia przypomnieli sobie, że ich totemiczny ptak w wielu językach, w tym po łacinie, nazywany jest żurawiem japońskim. Ostatecznie dumni potomkowie mandarynów nigdy go na swoje państwowe sztandary nie wciągnęli, a wybory anulowano. W Japonii „głos żurawia", *tsuru no hitokoe*, to głos, któremu nikt nie powinien się sprzeciwiać. Takim głosem cesarz Japonii przemówił w 1945 roku do swojego parlamentu, wzywając

do natychmiastowej kapitulacji. Od tamtej chwili japońskie żurawie symbolizują jednocześnie i pokój, i hiroszimską apokalipsę. Gdy jesteś chory lub w potrzebie, przyjaciele przychodzą do ciebie nie z kwiatami, nie z czekoladkami, lecz z papierowym żurawiem origami.

Grecy wierzyli, że żurawie odlatujące na zimę do źródeł Nilu spędzały czas na bitwach z mitycznymi Pigmejami, maleńkimi ludźmi, którzy galopowali na odpowiednich do ich wzrostu konikach. Dość szczegółowo opisał to sam Arystoteles, a echa tych egzotycznych wojen znajdziemy m.in. w Homerowskiej *Iliadzie*[121]. Ja jednak myślę, że to wszystko starożytne plotki, a żurawie już w mitycznej Erytrei robiły to, co robią dzisiaj i co lubią najbardziej – tańczyły! O ich *pas de deux* mówi się, że to taniec godowy, ale żurawie tańczą, kiedy tylko mają na to czas i ochotę, choćby samemu. Wiosną wokół gniazd, latem na łące nad rzeką, pośród mgieł na jesiennych sejmikach, po drodze na zimowiska i na zimowiskach. O wschodzie słońca, w samo południe albo wieczorem. Pora dnia ani roku nie ma znaczenia. Liczy się impuls chwili. Kroki są trudne, więc młode ptaki dużo ćwiczą. W pojedynkę, w dwójkach, trójkach i zespołach. Tanecznym krokiem najlepiej też zdobyć partnerkę i utrzymać partnera. Żurawie łączą się w pary, gdy mają dwa, trzy lata. Pierwsze dzieci często pojawią się za drugie tyle. Mają więc dużo czasu na synchronizację swoich kroków i hejnałów – i tak nawet przez 20 i

kilka lat. Pary z długim stażem doprowadzają swoje choreografie do perfekcji. Nasi przodkowie wierzyli, że gdy mężczyźni pierwszy raz zatańczyli z kobietami, naśladowali żurawie. Od australijskiego buszu, przez afrykańskie sawanny i azjatyckie stepy, aż po Wersal – ludzie wszędzie tańczyli układy, które były wzorowane na figurach żurawi, często nazywali je po prostu tańcem żurawi. Te potrafiły wzniecić „płomień pragnień" choćby w głowie chronicznie zblazowanego młodego Wertera[122]. Ulubione ptaki wielu europejskich poetów i artystów doczekały się nawet swojego muzeum w Hessenburgu.

Żurawie wywodzą się z bardzo starego rodu, którego pamięć genetyczna sięga prawdziwego parku jurajskiego, a który swój początek mógł mieć już na bezkresnych mokradłach Laurazji, ogromnego lądu utworzonego przez kilka zespolonych wtedy kontynentów – Laurencję (część dzisiejszej Ameryki Północnej i Grenlandii), Bałtykę, Kazachstanię, Syberię, Chiny i Tarymię[123]. Przodkowie naszych żurawi tańczyli z praduchami Ziemi co najmniej 20 milionów lat temu. Kiedy ktoś jest spadkobiercą takiego dziedzictwa, to może sobie pozwolić na to, żeby już tylko grać, tańczyć i dobrze wyglądać. Uczyć i inspirować.

O żurawie na niebie krwawym!
O kluczu lekki i złoty,
który otwierasz tęsknotę
za nieskończonym odlotem!

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Żurawie

PS Być może ktoś z Was czytał *Jej Wysokość Gęś* i pamięta moją bratanicę Sylwię, która pojawia się w ostatnim akapicie książki. Sylwia w sierpniu wychodziła za mąż i po hucznym weselu przyszedł czas na huczne poprawiny. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, nad Strzelęcino wpłynęła głośna, falująca wstęga żurawi. Jakieś 40 ptaków leciało jeden za drugim, na tyle blisko, że z weselnego podwórka widać było każdy szczegół ich szarych sukni, a nawet czerwone tiary na głowach. Kilkadziesiąt osób, tak samo dzieci, jak ich nie mniej rozbawieni rodzice, wszyscy przerwali, cokolwiek robili, i w milczeniu przyglądali się przelatującym ptakom. Dopiero chwilę po tym, jak ostatni z nich zniknął za laskiem, który wszyscy tutaj nazywamy Lasem Kędziorów, zaczął wracać wesoły harmider.

Gdzie patrzeć?

Na pola i łąki, na śródleśne mokradła i torfowiska, w niebo…

Czego wyglądać?

Długonogich, długoszyich, dystyngowanych ptaków z okazałym pióropuszem w miejscu ogona. Ów pióropusz tworzą pióra w skrzydłach, a rzeczywisty ogon jest całkiem zwyczajny. Szaropopielate, z wyjątkiem czerwonego zwieńczenia czarno-białej głowy oraz grafitowoczarnego wykończenia pióropusza i lotek. Młode ptaki są szaropłowe, pozbawione ozdób i kontrastów. Wiosną i jesienią wypatrujmy głośnych kluczy ciągnących po niebie. Od gęsich odróżnimy je po większych, smuklejszych sylwetkach lecących w nich ptaków, wolniejszej pracy skrzydeł z przerwami na szybowanie – i oczywiście po klangorze.

Czego nasłuchiwać?

Fanfar wśród mokradeł, łąk i pól wzmacnianych ścianą lasu i echem. Kiedy indziej nastrojowego wołania z nieba. „Gru! Gru! Gru!". Popiskiwania, które czasami przebija się przez klangor jesiennych stad, to nie słowiki ani skowronki łapiące stopa do Afryki, lecz głosy młodych ptaków przed mutacją.

Kiedy?

Co najmniej od przedwiośnia do wczesnej zimy, przy czym najłatwiej obserwować żurawie wczesną wiosną i w czasie jesiennych sejmików, kiedy do naszych ptaków dołączają goście z Rosji, Skandynawii i krajów nadbałtyckich, a na niektórych noclegowiskach zapadają tysiące ptaków. Najlepsze miejsca to m.in. Bagna Biebrzańskie, Bagno Nietlickie na Mazurach, Bielawskie Błota, Bagna Izbickie i okolice jeziora Gardno w Słowińskim Parku Narodowym, dolina Noteci, Park Narodowy „Ujście Warty", jezioro Gopło w Wielkopolsce, Stawy Milickie na Dolnym Śląsku, okolice zbiornika Jeziorsko oraz mokradła Poleskiego Parku Narodowego. Ale nie myślcie, że łatwo będzie się wam zbliżyć do legendarnie czujnych ptaków. Najlepiej więc nie udawać, że nas tam nie ma. Zamiast tego zaopatrzmy się w dobry sprzęt optyczny i ustawmy w akceptowalnej dla nich odległości. Największy zarejestrowany do tej pory sejmik miał miejsce 3 listopada 2019 na jeziorze Lac du Der we Francji. Tamtego wieczoru spotkało się 268 tysięcy żurawi popielatych. To musiał być bal!

---

[120] W całej Europie żyje dzisiaj około 200 tysięcy par żurawi (popielatych), a na świecie półtora raza tyle. To też gatunek o największym zasięgu (cała umiarkowana i chłodna część Euroazji) oraz jeden z czterech tylko spośród 15, które nie są zagrożone wyginięciem. Pozostali szczęśliwcy to najmniejszy w

rodzinie, wyjątkowo urodziwy żuraw stepowy oraz kanadyjski i australijski, odpowiednio *Grus virgo*, *Antigone canadensis*, *Antigone rubicunda*.

[121] Ciekawe, że podobne historie pochodzą m.in. z Egiptu oraz z miejsc tak odległych jak Chiny czy Ameryka Północna (podania indiańskie).

[122] Tytułowego bohatera książki *Cierpienia młodego Wertera* Johanna Wolfganga Goethego.

[123] Laurazja przez jakiś czas tworzyła północną części Pangei – Wszechziemi. Na część południową, Gondwanę, składały się dzisiejsze Ameryka Południowa, Afryka, Madagaskar, Arabia, Indie, Australia i Antarktyda. Superkontynent zaczął rozpadać się jakieś 175 milionów lat temu.

Czajka,
czajka, czajka, ach to ty

Dzisiaj rano niespodzianie zapukała do mych drzwi,
Wcześniej, niż oczekiwałem, przyszły te cieplejsze dni.
Zdjąłem z niej zmoknięte palto, posadziłem vis-à-vis,
Zapachniało, zajaśniało, wiosna, ach to ty,
Czajka, czajka, czajka, ach to ty,
Czajka, czajka, czajka, ach to ty,
Czajka, czajka, czajka, ach to ty,

Czajka, czajka, czajka, ach to ty.

Kto z nas tego nie zna? Autorem słów i muzyki jest oczywiście Marek Grechuta (rok premiery 1986), ja ośmieliłem się wpleść do kultowego songu osobiste wersy, bo czajka jest dla mnie ptakiem osobistym. Jednym z kilku, na których widok uśmiecham się tak jak wtedy, gdy wpadam na dawno niewidzianych przyjaciół. Mam ochotę podbiec, uściskać, pogadać, polatać. Znacie to uczucie… Czajki wypełniają mnie wewnętrznym ciepłem i radością. Uskrzydlają. Przenoszą do lepszego świata i zabierają w podróż w czasie: w marcową drogę do szkoły, kiedy na mijanych łąkach zalegały jeszcze skorupy śniegu i lodu, a one już kręciły beczki nad nimi, połyskując na zmianę srebrem i bielą. Wiosna!

Ciekawe, ilu ludzi, widząc czajki, czuje podobnie? Ciekawe, jak je nazywają? My wołaliśmy nasze między innymi kiwutką, kiwutą i kiwitą. Prawie tak samo, jak ciągle wołają je Estończycy – *kiivitaja*, Łotysze *kīvīte*, Holendrzy *kievit*, Niemcy *Kiebitz*, a Anglicy *Peewit* (obok *Lapwing*). We fryzyjskim czajka to *ijip*, po węgiersku *bíbic*, po serbsku *vivak*, po irlandzku *pilibín*, a po szwedzku *vipa* (pełna nazwa to *tofsvipa* – czubata vipa). Przyzwyczajeni do porozumiewania się w wielu językach Szwajcarzy mówią *kievitz* albo między innymi *kiwit*, *ziefitz*, *giritz*, *fifiz*, *gibiz*. Jest wiele krajów, gdzie w każdym regionie nazywają lub nazywali czajkę inaczej – i jednocześnie podobnie. Wszystko zależy od tego, jak mieszkający tam ludzie zapisują to, co słyszą,

bo wszystkie te nazwy są dźwiękonaśladowcze. Nasza i czeska *čejka chocholatá* też. Francuzi, którzy oficjalnie nazywają czajkę *le vanneau huppé*, znaleźli zabawny, a do tego całkiem akuratny onomatopeiczny zamiennik – 18, *dix-huit* (czytaj: „dizłit").

Chyba żaden inny europejski ptak nie miał tak wielu regionalnych i lokalnych imion, co czajka. Ale mało który był tak pospolity jak ona. Każdy ją spotykał, każdy słyszał – i każdy po swojemu. Czajek i jej różnych kuzynów, przede wszystkim siewek złotych, na naszym podmokłym kiedyś kontynencie było tak dużo, że Mathurin Jacques Brisson, pracujący w XVIII wieku nad ich systematyką, nazwał je *Pluvialis*, powinowate z deszczem[124]. Z dwóch powodów. Pierwszy – ich wielkie jak chmury stada zapowiadały wiosenne i jesienne deszcze, drugi – jak deszcz, gęsto i obficie, opadały na ziemię. Może stąd też nasze siewki, siewkowce, siewkowate? Ich przyloty i przeloty dla wielu były jak manna z nieba, do tego wszędzie zajadano się czajczymi jajami. Na miejskich i wiejskich targach XIX-wiecznej Europy sprzedawano je w milionach, najwięcej w Anglii i Holandii. U nas wiosną całe wsie ruszały na łąki z koszami. Na delikatesowych jajach najlepiej można było zarobić, gdy na przełomie wieków czajek zaczęło szybko ubywać. Do wyszukiwania cennych gniazd posyłano układane specjalnie w tym celu psy. Dzisiaj znowu dobrze płacą za piękne jak wielkanocne pisanki jajka, ale tylko tym, którzy zadbają o to, żeby czajki mogły je znieść na ich łące

lub polu. Czajka jest gatunkiem kwalifikującym do unijnych dopłat rolnośrodowiskowych. W niektórych krajach życzliwi, świadomi rolnicy mogą też korzystać ze specjalnych programów rządowych oraz wsparcia organizacji pozarządowych. A tam, gdzie osiedlają się czajki (zwykle w małych, kilkurodzinnych koloniach), chętnie zakładają gniazda inne, bardziej nieśmiałe ptaki – pliszki żółte, świergotki, skowronki, niektóre kaczki i siewkowe, na przykład krwawodzioby. Ale kto by nie chciał mieć czajek za sąsiadów?! Nawet nocą trudno je zaskoczyć. Ich wielkie, ciemne oczy lśnią nie tylko dla urody. Do tego nie ma dla nich za dużego przeciwnika – kot, pies, lis, koń czy krowa. Robią im takie awantury, że nawet najbardziej niewzruszone przeżuwacze w końcu ustępują. Z kolei na uparte czworonożne drapieżniki dobrym sposobem jest udawanie rannej lub szalonej – tak długo, aż uda się je odciągnąć na bezpieczną odległość od gniazda lub znieruchomiałych w trawie piskląt.

Jeszcze nie tak dawno odważna kiwuta kiwitka koziołek była na niemal każdej polskiej łące i pastwisku. Dzisiaj to jeden z naszych najszybciej zanikających ptaków i coraz bardziej niewidoczny symbol półmartwych krajobrazów, jakie po sobie zostawiamy. W roku 2002 liczebność naszych czajek szacowano na 100–150 tysięcy par lęgowych, w 2018 już tylko na 64–87 tysięcy. Od co najmniej trzech dekad statystyki stale dołują i nic nie wskazuje, żeby miało się to zmienić. Ile par w sprawozdawczym Excelu

zobaczymy na koniec roku 2028, kiedy opublikowane zostaną wyniki kolejnego cenzusu? Czajka to też jeden z najszybciej zanikających ptaków w całej Europie, mimo to ciągle wolno do niej strzelać m.in. w Grecji, na Malcie, we Włoszech, w Hiszpanii i przede wszystkim we Francji, gdzie jeszcze na początku lat 80. ginęło półtora miliona ptaków rocznie. Według danych sprzed sześciu lat całą europejską populację czajek szacowano na 1,6–2,6 miliona par, a roczne „pozyskanie" na blisko pół miliona. Do tej ostatniej cyfry należałoby dodać liczne, ale nigdzie nierejestrowane trupy z Bałkanów, Rosji, Azji i Bliskiego Wschodu. Liczebność czajki nie przestaje spadać, jednak zagrożenie, jakie polowania niosą dla gatunku, unijni urzędnicy niezmiennie oceniają jako „średnie".

Gdzie patrzeć?

Na wilgotne pola, łąki i pastwiska, płytkie rozlewiska, grząskie wyspy, łachy i muliska.

Czego wyglądać?

Eleganckiego ptaka w czarnym płaszczu, z białym spodem i polikami oraz zalotnym czubkiem na głowie – wielkości dużego gołębia, na dość wysokich, ciemnoczerwonych nogach. Z bliska czerń okazuje się butelkową zielenią, połyskującą złotem i purpurą. Pomimo tych kontrastowych barw czajki świetnie się kamuflują i na tle nagiej ziemi zdradzić je może tylko ruch. Za to czajkę w ruchu rozpoznamy, nawet nie wiedząc, jak wygląda. To ten najbardziej zajęty i zabiegany ptak, przy tym łąkowa miss gracji. Chodzi, jakby tańczyła, lata, jakby świeciła – najchętniej w towarzystwie innych czajek oraz synchronicznie, kiedy to w kontraście z niebem całe stado pulsuje na przemian srebrzystą bielą i satynową czernią.

Czego nasłuchiwać?

Jak wyżej – oraz wibrującego dudnienia, które wydobywa się spod skrzydeł tokujących w górze samczyków albo wygłupiających się na wietrze ptaków obojga płci. W jednej chwili dudnienie się wzmaga, w drugiej gaśnie, a w kolejnej znowu jest – to efekt powietrznych akrobacji i ciągłych zmian położenia oblatywaczy.

Kiedy?

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni, szczególnie na zachodzie kraju czajki coraz częściej zimują.

---

[124] Obecnie *Pluvialis* to rodzaj w podrodzinie siewek, *Pluvialinae*, do której należą siewka złota, złotawa, szara (albo amerykańska) i siewnica (posiewnica), odpowiednio: *Pluvialis apricaria*, *P. fulva*, *P. dominica i P. squatarola*. Czajka, ich bliska krewna, która ciągle wielu z nich towarzyszy na zimowiskach i w czasie podróży (z wyjątkiem siewki amerykańskiej), zaklasyfikowana została do własnej, choć systematycznie niejasnej i wciąż dyskutowanej podrodziny *Vanellinae*. I czajki, i siewki należą do rodziny sieweczkowatych, *Charadriidae*, w rzędzie siewkowych, *Charadriiformes*.

Kto, jeśli nie my?

Jeden z artykułów, które ukazały się w 35. rocznicę katastrofy w Czarnobylu, donosił w nagłówku, że w zakazanym mieście hasają tabuny dzikich koni. „Czy to dowód, że świat bez ludzi doskonale sobie poradzi…?" – wcale nie retorycznie dopytywali autorzy dużym, wytłuszczonym drukiem. Tak się przyzwyczailiśmy do rządzenia i zarządzania, że niektórzy chyba naprawdę uwierzyli, że Ziemia nas potrzebuje. Wiemy, jaką bieliznę ma na sobie Kim Kardashian, ale nie wiemy, jaki ptak wylądował na parapecie. Zamiast Davida Attenborough wolimy słuchać … (wypełnij wedle uznania). Urzędnicy i rolnicy wiedzą, co to jest biomasa i subsydia, ale nie mają pojęcia, jak wygląda mazurek ani co daje im dojrzały dąb lub cała aleja. Zapatrzeni w siebie i zakochani we władzy oraz jej oznakach – jeszcze większych maszynach, rautach, kościołach, grobowcach – szanujemy tylko to, co sami zrobimy. Naturalne zamieniamy w swoje, a swoje w święte. Witamy na planecie.pl.

Piłkę nożną wymyślili Anglicy (podobnie jak wiele innych rzeczy, które są bazą naszej oraz globalnej kultury). Nasza religia pochodzi z Bliskiego Wschodu, choinka z Tallina, kartofle z

Ameryki, pierogi z Rosji. Kiszoną kapustę najpewniej przywieźli do nas z Chin Tatarzy. Stamtąd przywędrowały też kiszone ogórki – a może z Mezopotamii, skąd pochodzi kiełbasa, którą oswoili dla nas Germanie. Nawet disco polo to przerobiona na swojską nutę i przesunięta poza granice tradycyjnie pojmowanej estetyki wersja italo disco z elementami Modern Talking. Nasz język aż się roi od zapożyczeń, o które było tym łatwiej, że jak większość języków na kontynencie nasz również należy do wielkiej indoeuropejskiej rodziny. Obojętnie jak głośno mówimy o polskiej tradycji, wszystko, na czym dziś opieramy narodową tożsamość, to kulturowy import. Jedyne, co mamy naprawdę swojego, to krajobraz – polne drogi, drzewa, kwiaty i zioła przy nich, lasy, gaje, rzeki, jeziora, góry, oraz ci wszyscy, dla których są one domem. Nasza Przyroda. Jak to się stało, że nadajemy jej taką małą, to znaczy żadną wartość…?

Nie wszystkie lasy muszą być zamienione w pozbawione życia sosnowe plantacje. W puszczy rosną nie tylko okna, meble i panele podłogowe. Naprawdę nie ma sensu zalewać betonem brzegów przylegającego do miasta jeziora, bez względu na to, jak atrakcyjne są możliwe dotacje lub lokalne powiązania biznesowe[125]. Zbrodnią przeciwko krajobrazowi i klimatowi będzie wycięcie kolejnej alei albo okaleczenie parkowego starodrzewu… Dzisiaj każdy skrawek Natury jest na wagę złota, bo zależy od niego niejedno życie, a nierzadko przetrwanie całego

gatunku. Panie i Panowie Rolnicy, Biznesmeni, Urzędnicy, Właściciele i Decydenci, to jest też nasz kraj. Moniki, Joli, Agnieszki, Krzyśka, Agaty, Justyny, Pauliny, Michała, Dawida… Mieszkają w nim Modraszki, Słowiki, Orliki, Cyranki, Czajki, Kuropatwy, Zające i Pazie Królowej. Rosną Dzikie Czereśnie, Lipy, Przebiśniegi, Lebiody, Przylaszczki i Zawilce… My też mamy do niego prawo.

Spośród 88 100 zarejestrowanych i działających w Polsce stowarzyszeń i fundacji (dane GUS na koniec 2018 roku) około 40 zajmuje się ochroną przyrody. Jedna na prawie milion obywateli. Nasze organizacje ochrony przyrody są też najmniej dotowane, tak przez państwo, jak i przez samorządy. Ogranicza je niski poziom szacunku i zaufania społecznego. O ile wszystkie krajowe stowarzyszenia i fundacje zrzeszają łącznie 8,9 miliona członków, o tyle organizacje przyrodnicze najwyżej kilkanaście setek. Prawie wszystkie nasze rezerwaty oraz (poza jednym wyjątkiem) wszystkie parki powstały albo w czasach PRL-u, albo przed wojną. Ów wyjątek to ustanowiony w 2001 Park Narodowy „Ujście Warty". Białowieski i Pieniński powołano w 1932… Zróbmy to sami, każdy z osobna i wszyscy razem. Otwórzmy się na Przyrodę i bądźmy dla niej dobrzy. Świadomi i czuli. Żyjemy w systemie naczyń połączonych i wszystko, co na Ziemi robimy, ma wpływ na nią oraz na każdego, kto na niej żyje lub żyć będzie. Szczególnie gdy pomnożymy to przez 38 milionów (albo osiem miliardów).

Jeśli zarządzacie zielenią w mieście, dzielnicy lub w parku, decydujecie o jakiejś wodzie, lesie lub polu albo macie kawałek łąki, ogród czy sad – możecie dokonać cudów! Kto, jeśli nie my?

---

[125] Na Przyrodzie i w synergii z nią też można zarobić – nawet więcej. Według najnowszego raportu opracowanego przez ponad stu naukowców i ekonomistów z całego świata poszerzenie obszarów chronionych do 30 procent powierzchni planety, w zależności od przyjętych parametrów, zwiększyłoby średni roczny dochód globalny o 250 lub blisko 500 miliardów dolarów!

W LESIE

Kapturka.
Całe życie w krzakach

Malutkie, zwarte ciałko, duże oczy, mocny dziób i jeszcze mocniejsze nogi pozwalają jej z ptasią precyzją przeciskać się przez gąszcz najbardziej kolczastych krzewów. Pióra ma twarde, bez ozdób, podkręconych wzorów i kolorów. Skoro żyje w krzakach, to nie po to, żeby w nich świecić. Wystarczająco

ryzykowne jest to, że ciągle się rusza. Jest ich więcej: gajówka, cierniówka, piegża, jarzębatka. Pokrzewki. *Sylvia*, *Sylviidae* – leśne duszki. Być może najbardziej leśna, a ostatnio też miejska jest właśnie kapturka, pokrzewka prototypowa, od której mistrz Linneusz rozpoczął systematyzowanie całej rodziny. Ją też najłatwiej zobaczyć. Zanim wiosna pokryje wszystko niecierpliwymi listkami, kapturki siadają czasami w koronach drzew – ba, na wierzchołkach! – i stamtąd koncertują.

Gdy inni śpiewają walce, tanga i jazz, pokrzewki grają polki. I nie ma tam żadnego raz, dwa, trzy. Zaczyna się od trzęsienia ziemi, a potem jest jeszcze szybciej i jeszcze mocniej. Muzyczny Hitchcock. W pierwszej części przebijają się lekko zgrzytliwe skrzypce, drugą roznoszą krystalicznie czyste flety i klarnety. Atomowa wersja *Polki Dziadek* z Lata z Radiem. Muzyk też cały chodzi, a najbardziej jego czarny, koncertowo nastroszony kapturek. Najlepsi mogą grać swoje *crescendo* nawet dwie i pół minuty – krótka przerwa i znowu. Żeby tak śpiewać, kapturki dużo ćwiczą i robią to niemal przez cały czas, ale po cichu. Przed dłuższymi występami się rozśpiewują, ale żeby to wszystko usłyszeć, musielibyśmy zaszyć się w krzakach razem z nimi. Ich mentorzy i nauczyciele to starsi koledzy, a przede wszystkim ojcowie. Chętnie też sięgają do repertuaru innych muzyków. Nie bez powodu o kapturkach mówiono kiedyś, że to marcowe słowiki. W ich wokalizach nie usłyszymy jednak dramatycznego pauzowania,

głębokich treli czy kląskania. Kapturki nie kopiują cudzych nut, raczej wykorzystują je, żeby tworzyć własne aranżacje, i każdy, choćby najbardziej melancholijny motyw muzyczny w ich interpretacji nabiera tego nieokiełznanego, krzaczastego tempa i energii, które uwiodły już niejednego. Olivier Messiaen oparł na nich swoją operę *Święty Franciszek z Asyżu*.

Większość ptaków zatrzymuje się, żeby zaśpiewać, ale nie pokrzewki. Kolejne frazy mogą wybrzmieć między jedną gałązką, drugim komarem i trzecią gąsienicą. Ptasie ADHD, a może syndrom Beau Geste, czyli budowanie wrażenia, jakby w ich kępie krzaków wszystkie gałęzie były już zajęte i nikt nowy się nie zmieści[126]. Parze kapturek wystarczy zaledwie jeden duży ogród (1500–2000 metrów kwadratowych), żeby wychować kolejne pokolenie szalonych muzyków. Pod warunkiem oczywiście, że będzie tam dostatecznie gęsto. Kapturki przeważnie mają tylko jeden lęg w sezonie, więc nic dziwnego, że rodzice tak odważnie go bronią. Gdy ryzyko otwartej konfrontacji jest zbyt duże, udają rannych albo dziwnie się zachowują, żeby ściągnąć uwagę na siebie i odwieść wroga możliwie najdalej od gniazda. Chyba nie zawsze się to dobrze kończy, bo średnia roczna przeżywalność dorosłych kapturek to zaledwie 43 procent. 46 dla samczyków i 26 (!) dla samiczek. Ten sam współczynnik u młodzieży wynosi 36 procent. Mimo to najstarsza schwytana przez obrączkarzy

kapturka, Czeszka, przeżyła 13 lat i 10 miesięcy – i poleciała dalej!

Takich długo żyjących musiało być ostatnio dużo więcej, bo kapturki mają teraz swoje pięć minut. Na przestrzeni ostatniej dekady stały się u nas czwartym najliczniejszym ptakiem (po skowronku, ziębie i wróblu), z populacją szacowaną na 4,8–5,3 miliona par. Ich liczebność rośnie w całej Europie. Są coraz częstsze w miastach i powoli przesuwają się na północ. Zaglądają już nawet na niektóre wyspy, np. na Islandię. Ptaki z nowo skolonizowanych rejonów są trochę lżejsze i mają dłuższe skrzydła, bo każdej wiosny i jesieni muszą pokonywać większe odległości. Za to część niemieckich kapturek zamiast spędzać zimę w południowej Europie i Afryce, zaczęła latać do Anglii. Tam zamiast owadów zjadają przede wszystkim zimowe jagody oraz co sobie wybiorą z suto zastawionych karmników. A że latają na dużo krótszych dystansach, skracają się ich skrzydła. Kiedy pod koniec lat 60. zaobserwowano na Wyspach pierwsze zimowe kapturki, przyjęto, że to miejscowe. Dopiero później się okazało, że to ptaki z głębi kontynentu, podczas gdy brytyjskie pokrzewki tradycyjnie odlatywały na południe.

Gdzie patrzeć?

Po skrajach lasów, na polanach i w zagajnikach z bujnym podszytem. Coraz częściej w naturalistycznych parkach i ogrodach. Kapturce do szczęścia wystarczy kępa gęstych krzewów i drzewo albo dwa.

Czego wyglądać?

Ciemnoszarego ptaszka z czarnym berecikiem na głowie. To chłopaki. Dziewczyny (oraz młodzież) mają rudy. I już. Żadnych ozdób.

Czego nasłuchiwać?

Wybuchowych, żywiołowych, ale precyzyjnie zaśpiewanych melodii na skrzypce, flety i klarnety. Kapturki zaczynają swoje koncerty zaraz po przylocie (w marcu i kwietniu), a kończą późnym latem. Zdenerwowane odzywają się, jakby strzelały z języka albo uderzały kamieniem o kamień. Oczywiście szybko i głośno. Uwaga, podobnie śpiewają gajówki (pokrzewki ogrodowe), jednak ich

piosenka brzmi bardziej zgrzytliwie, w porównaniu z perfekcjonistką kapturką – niemal chaotycznie.

Kiedy?

Od marca i kwietnia do października, a nawet listopada.

---

[126] ADHD – zespół nadpobudliwości psychoruchowej z trudnościami w koncentracji uwagi (z angielskiego *Attention Deficit Hyperactivity Disorder*). Patrząc na pokrzewki i inne drobne ptaki, możemy odnieść wrażenie, jakby one wszystkie cierpiały na jakąś nadpobudliwość ruchową, ale przy tych rozmiarach i trybie życia to najlepsza strategia. Gdybyśmy byli tacy malutcy, nie żyli pod ziemią ani w nocy, ale na drzewie lub łące w środku dnia i co drugi większy od nas chciałby nas zjeść, na wszelki wypadek też cały czas bylibyśmy w ruchu. Za to ostatnia rzecz, którą moglibyśmy powiedzieć o ptakach, to to, że mają kłopoty z koncentracją. Nazwa syndromu Beau Geste pochodzi od tytułowego bohatera powieści i hollywoodzkiego klasyka z 1939 roku, znanych u nas pod tytułem *Braterstwo krwi*.

Il Gardellino

Johann Strauss II skomponował niemałą kolekcję oper, operetek i baletów, ale nieśmiertelnym uczyniło go ponad 500 polek, marszów i walców. Rozsławił nimi swój klan, Austrię oraz Dunaj, najbardziej taneczną rzekę świata. Ciekawe, jak i czy w ogóle brzmiałyby *Nad pięknym modrym Dunajem*, *Odgłosy wiosny* albo *Opowieści lasku wiedeńskiego*, gdyby nie tamtejsze ptasie chóry oraz ich soliści – słowiki, kosy, drozdy śpiewaki, kapturki… Dlaczego akurat one? Ich piosenki są chyba milsze dla naszych uszu i w przeciwieństwie do zgrzytliwych, wybuchowych rytmów cierniówek, rokitniczek czy trzcinniczków łatwiej przełożyć je na orkiestrę. Kompozycje Straussa pełne są eleganckich powtórzeń, wezbrań i pauzowań – i trzeba dużo złej woli, żeby nie usłyszeć w nich ptasich nut. Dlaczego Johann nigdy się do tego nie przyznał…? Być może w czasach Nietzschego, rozpędzającej się rewolucji przemysłowej oraz niepohamowanej wiary w ludzki geniusz zapięty pod szyję wiedeński dżentelmen, a tym bardziej ambitny kompozytor i syn przemocowego ojca, nie mógł się przyznać, że wzorem dla niego były małe ptaszki.

Vivaldi jeden ze swoich koncertów na flet i smyczki nieprzypadkowo zatytułował *Il Gardellino*, *Szczygieł*. Otwarcie mówił o tym, że pomysłów szukał w Naturze, i wiedział, co robi, bo *Cztery pory roku* to jedna z najbardziej rozpoznawalnych kompozycji wszech czasów. Również Beethoven czerpał z Natury pełną batutą, co chyba najwyraźniej wybrzmiało w VI symfonii, Pastoralnej. Czego tu nie ma! Słowiki na fletach, przepiórki na obojach, kukułki na klarnetach. Skowronki, świergotki, ortolany – chóry, smyczki i klawisze… Pastoralna jest zaskakująco podobna do *Czterech pór roku*, a te do Mozartowskiej *Eine kleine Nachtmusik*. Przypadek? Plagiat? Nie, wszyscy ci kompozytorzy inspirowali się tymi samymi źródłami. Tak samo jak m.in. Joseph Haydn, Michaił Glinka, Felix Mendelssohn, Ferenz Liszt, Maurice Ravel, Frederick Delius, Georg Friedrich Händel, Nikołaj Rimski-Korsakow, Anton Bruckner, Antonín Dvořák, Piotr Czajkowski, Siergiej Rachmaninow, Gustav Mahler, Peter Warlock. W niektórych dziełach pobrzmiewają pieśniarze tak subtelni jak makolągwy (m.in. u Haydna i Rachmaninowa) czy rudziki (u Warlocka), w innych potoczyste dymówki, a nawet podwórkowe wróble (u Dvořáka i Czajkowskiego).

Największym ptasiarzem wśród kompozytorów był Olivier Messiaen, w którego płytotece fruwa ponad sto gatunków. Zafascynowany muzykalnością ptaków, tropił ich głosy po całym świecie, ale i tak najszczęśliwszy był, gdy wędrował po

francuskich lasach, łąkach i parkach. To, co słyszał, nagrywał, studiował i rozpisywał na nuty. Czy to możliwe? Tak, bo chociaż ptaki śpiewają w innej skali, ich muzyka ma te same cechy kompozycyjne co nasza – strukturę, harmonię, rytm, pauzy, powtórzenia. Messiaen robił z ptasimi nutami to, co robi każdy kompozytor – także szpaki, drozdy śpiewaki czy wspomniane trzcinniczki, które pasjami kopiują i miksują zasłyszane dźwięki i melodie. Owocem ornitomuzycznych poszukiwań Messiaena były ptasie wariacje wplatane w taką czy inną kompozycję – jak w słynnym *Quatuor pour la fin du temps* (*Kwartet na koniec czasu*). Kiedy indziej artysta starał się możliwie wiernie cytować swoich mentorów, czego najlepsze przykłady usłyszymy w *Le réveil des oiseaux* (*Przebudzenie ptaków*), *Oiseaux exotiques* (*Ptaki egzotyczne*), *Fauvette des jardins* (*Pokrzewka ogrodowa*) czy w *Le merle noir* (*Kos*) – słynnej miniaturze na flet i fortepian, która jest częścią całego cyklu zatytułowanego *Catalogue d'oiseaux* (*Katalog ptaków*).

Dzisiaj być może najlepszym miejscem, żeby posłuchać ptaków, jest duży pokój z telewizorem. I wcale nie mam na myśli kultowego Hitchcocka czy fantastycznej ścieżki z przebojowego *Makrokosmosu*, ani nawet produkcji Davida Attenborough… Ptaki odzywają się z każdego filmu fabularnego, gdy tylko jego akcja wychodzi na zewnątrz. Bo ptaki w każdym miejscu i w każdym plenerze – miejskim, wiejskim czy tym bardziej dzikim –

zapewniają naturalną muzykę tła i tworzą lokalny, często niepowtarzalny krajobraz dźwiękowy. Dźwiękoobraz. W dobrze zrobionym filmie możemy wyłączyć wizję, możemy nie zwracać uwagi na język dialogów – wystarczą głosy ptaków w tle, żeby wiedzieć, gdzie toczy się akcja. Jeśli filmowcy się pomylą i podłożą nie takie głosy pod zdjęcia, prędzej czy później wyczujemy, że coś jest nie tak. Czy zdajemy sobie z tego sprawę, czy nie, ptaki – Przyroda w ogóle – są częścią naszej tożsamości, ważnym elementem harmonii z miejscem i przynależności do niego. Ale głosy ptaków oprócz tego, że definiują krajobraz, porę dnia i roku, budują też symbolikę oraz nastrój pojedynczych scen lub całego filmu. Wyobraźmy sobie Bogumiła Niechcica wychodzącego wiosną na serbinowskie pola, a tam zamiast skowronków odzywają się kruki albo kukabury! Zdezorientowany biegnie do domu, żeby o wszystkim opowiedzieć Baśce, a na wiejskiej chałupie, gdzie zwykle klekotały bociany, siedzi sześć nieruchomych jak posągi puszczyków…

Gil.
Bombki na jesionie

Trzy kolory. Czerwony. Właściwie malinowoczerwony. Dawniej obszczypane mrozem policzki i przeziębione, czerwone nosy

nazywano gilem, stąd polska nazwa. Łacińskie *Pyrrhula* oznacza z kolei ptaka w kolorze płomieni. Do tego lśniąco czarna, nasunięta na lśniąco czarne oczy czapeczka. Czarne są też pękaty dziób, lotki i sterówki. Plecy – stalowoszare, a kuper i pokazujące się w locie półksiężyce na skrzydłach – śnieżnobiałe. Tak wyglądają puchate chłopaki. Dziewczyny są tak samo okrągłe, ale zamiast owocowej czerwieni otulają się szaropłowymi różami. Delikatnymi jak rumieniec. I oni, i one pogwizdują melancholijne „Fju Fju", które wiosną przeplatają delikatnymi, metalicznymi ćwierknięciami. Ot i cała gilów piosenka. Brzmi, jakby ktoś jechał przez las na starym, cichutko poskrzypującym rowerze. Gile nie utrzymują żadnych terytoriów, nie muszą ich oznaczać ani o nie rywalizować, a do tego są zdeklarowanymi monogamistami, nie mają więc potrzeby przekrzykiwać ani prześpiewywać sąsiadów czy konkurentów. Przeciwnie, na czas godów i lęgów zachowują się, jakby zapadły się pod ziemię i jeśli śpiewają, to tylko dla siebie. Zresztą cokolwiek gile robią, nie ma w tym źdźbła ostentacji i nikt chyba jeszcze nie widział dwóch walczących ze sobą gilów ani nawet jednego grożącego jakiemukolwiek innemu ptakowi.

Pomimo kiepskiej piosenki gile były kiedyś chętnie trzymane w domach, i to nie byle jakich. Swojego gila mieli między innymi car Mikołaj II i królowa Wiktoria. W XIX-wiecznej Europie mogło to znaczyć tylko jedno: każdy chciał mieć gilów! Ale nie każdy mógł

sobie na niego pozwolić… Układanie gilów stało się specjalnością niemieckiego regionu przypadkowo zwanego Vogelsberg, Ptasia Góra. Chłopcy wykradali z gniazd podrośnięte pisklęta, ich ojcowie i wujkowie uczyli je ludowych lub modnych klasycznych kawałków (przygrywając na skrzypcach, fletach i fujarkach albo tylko pogwizdując), a obrotni pośrednicy dostarczali dorosłe i rozśpiewane już ptaki do bogatych domów w całej Europie. Ptaki, które miały trafić do niemieckich kupców, śpiewały niemieckie melodie, do holenderskich – holenderskie i tak dalej. Najbardziej opłacało się uczyć je angielskich przebojów, bo najlepszy rynek był w Londynie, skąd niektóre ptaki wysyłano za morza i oceany, między innymi do Australii, Indii i Ameryki. I nawet jeśli nauczyciel muzyki był kiepski, znane z idealnego słuchu gile jakimś cudem wiedziały, jak powinny być rozłożone klucze na muzycznej pięciolinii, i ćwiczyły tak długo, aż poprawiły fałszywe tony.

Oprócz urody i talentu muzycznego gile słynęły z łagodnego charakteru oraz czułości, jaką darzyły swoich opiekunów, których potrafiły rozpoznać choćby w tłumie ludzi i których powrót do domu przeczuwały jakimś szóstym zmysłem. Po każdej rozłące (nawet jeśli trwała tylko godziny) przylatywały z powitalnym prezentem – czymś do zjedzenia – i piosenką, zachowując się tak, jak zachowywałyby się wobec swoich partnerów. Co ciekawe, uczyły się tym szybciej i tym chętniej, im bardziej kochały swojego

opiekuna. Handlarze starali się więc, aby ptaki trafiały pod docelowe adresy, zanim ukończyły pierwszy rok życia i zanim zdążyły się przywiązać do swoich wychowawców. Niestety w całym tym biznesie większość odłowionych ptaków umierała, między innymi stąd ich wysokie ceny. Każdy większy stres przypłacały udarem lub zawałem. Wrażliwi perfekcjoniści. Co to był większy stres? Dla jednego mogła to być podróż do innego kraju, dla drugiego przeniesienie do innego pokoju, głośna wizyta obcego towarzystwa lub dłuższe rozstanie z opiekunem. Nawet obrączkarze unikają znakowania gilów, bo te zbyt często umierają w sieciach albo w ich dłoniach…

Gdy jedni wzbogacali się na urodzie i talencie gilów, inni – na ich odpłatnym zabijaniu. Wszystko dlatego, że ptaki te na przednówku chętnie zjadają zawiązki pączków drzew liściastych, w tym owocowych – tych dzikich i tych sadowniczych. W rzeczywistości nie mogły wyrządzić żadnej realnej szkody, bo po pierwsze nigdy nie były na tyle liczne, żeby zagrozić naszym zbiorom czy jakimkolwiek drzewom (czy widział ktoś kiedyś klon lub gruszę, które na wiosnę nie wypuściły żadnego liścia, bo ich pączki zjadły gile?!), a po drugie zjadały zaledwie ułamek tego, co właściciele sadów i tak usuwali z drzew, żeby zapewnić sobie lepsze owoce (praktyka ciągle powszechnie stosowana). Gdy tylko przekwitną pierwsze mniszki, gile wracają do swojego ulubionego

jedzenia – nasion. I trzeba przyznać, że buszujące wśród dmuchawców malinowe ptaki wyglądają niezwykle powabnie.

Gile swoją subtelną obecnością ozdabiają kawał świata – od zachodnich wybrzeży Europy po Japonię i Kamczatkę. I mają jeszcze jedną niezwykłą cechę: wcale nie tak rzadko zdarzają się wśród nich hermafrodyci. Po jednej stronie mają jajnik, po drugiej jądro. (Dalej jest już prościej, bo czy to komórki jajowe, czy nasienie – wszystko uchodzi do tego samego organu, tak zwanej kloaki). Z jednej strony wyglądają jak malinowoczerwony samczyk, a z drugiej jak płoworóżowa samiczka.

Gdzie patrzeć?

Najłatwiej obserwować gile zimą, kiedy najpierw zjadają pozostałe na drzewach nasiona klonów i jesionów (ich ulubione), a potem uśpione pączki. Zatrzymują się w lasach, w śródpolnych zadrzewieniach, na drzewach rosnących wzdłuż polnych lub mało uczęszczanych dróg, po wsiach i w większych miejskich parkach. W poszukiwaniu nasion przeczesują też ziołorośla porastające miedze i przydroża. Czasami zaglądają do karmników.

Czego wyglądać?

Niewielkich grup uroczych, czerwonoróżowych ptaków nieco większych od wróbla i zdecydowanie bardziej okrągłych. Nieszczególnie ruchliwe, na bezlistnych, zimowych drzewach wyglądają jak bombki, które zamiast na choince ktoś zawiesił na klonie lub jesionie.

Czego nasłuchiwać?

Delikatnego, melancholijnego, lekko metalicznego „Fju, Fju”.

Kiedy?

Gile są z nami przez cały rok, ale obserwować je możemy tylko jesienią i zimą. Kiedy indziej mało płochliwe ptaki w sezonie lęgowym zaszywają się w podszytych świerczyną lasach i laskach i stają się niewidoczne.

Grubodziób.
Pan Japa

Po czym poznać grubodzioba? Żaden z naszych ptaków nie ma tak grubego dzioba (w porównaniu z resztą ciała), a przy tym tak wielkiej i umięśnionej głowy. Coś przecież musi ten dziób kontrolować i utrzymywać. Lepiej nie wkładać palca w *szczęki* grubodzioba, bo te zaciskają się z siłą do 48 kilogramów! Mniejsze

od szpaków ptaszki, dawniej nazywane również pestkojadami, bez problemu otwierają leszczynowe orzechy albo twarde jak kamień pestki dzikich czereśni i tarniny. Słodkie owoce ich nie interesują. Wolą wytrawną, ale pożywną zawartość pestki, która z trzaskiem pęka pod naporem żywego imadła. Dziób grubodzioba jest tyleż silny, co czuły. Karbowania na krawędziach i od wewnątrz oraz ruchliwy język ułatwiają odpowiednie ułożenie i przytrzymanie zgniatanych nasion. Jeszcze kilka ruchów i łupiny zostaną odrzucone, a dokładnie oczyszczona zawartość połknięta. Gdzieś tam w tropikalnych dżunglach mają ary, my mamy grubodzioby. I nie brakuje im ani charakteru, ani kolorów.

Suknia grubodzioba to nieczęste połączenie brązów, ochry, beżów, zgaszonych różów i szarości z połyskującą fioletem i granatem czernią oraz bielą, która układając się w charakterystyczne pręgi na skrzydłach i ogonie, uwalnia się dopiero w locie lub w… tańcu. Z bliska uwagę zwracają zagadkowe plisy widoczne na złożonych lotkach, czarne *okulary przeciwsłoneczne* i niewielki, tak samo czarny żabot. Nietrudno będzie dostrzec te szczegóły tym, którzy mają karmnik w ogrodzie, a tym bardziej tuż za oknem. Grubodzioby chętnie zaglądają zimą do ptasich stołówek i pozwalają się wówczas podejść na odległość centymetrów! Pod warunkiem że dzieli nas od nich szyba. Wtedy też możemy się przekonać, jakie są odważne i zaborcze. Do mojego karmnika przylatywał kiedyś taki jeden i przesiadywał w nim całymi

godzinami. Kiedy podchodziłem do okna albo pukałem na niego, pokazując mu, żeby sobie poleciał i zrobił miejsce innym, on tylko wlepiał we mnie swoje wkurzone brązowe oczka i groźnie rozdziawiał wielką japę. Zabierał się dopiero przy otwieraniu okna, z ociąganiem i – mógłbym przysiąc – fochem. Dopóki siedział w karmniku, nie było tam żadnych innych ptaków. Nikt nie chciał ryzykować starcia z zakapiorem z taaakim dziobem! Dziób ten, zimą jasny, na wiosnę ciemnieje, a właściwie niebieszczeje. W tym czasie cała sukienka nabiera głębi i kontrastów, które najmocniej zaznaczają się u samczyków.

Im więcej liści na drzewach, tym trudniej wypatrzyć charakterne ptaszki. Szkoda, bo grubodzioby pokazują się tam z bardziej majowej strony, a samczyki mają do tego całkiem widowiskową choreografię. Być może kompensują sobie skromną piosenkę. Przy okazji jasne się staje, po co im te ekstrawaganckie plisy na skrzydłach. Jeśli ptaki mają jakieś oryginalne i pozornie nieprzystające ozdoby, to zawsze chodzi o seks. No dobrze, o dobór naturalny. A czasami jeszcze o komunikację. Młoda para sporo czasu spędza, stojąc lub siedząc naprzeciwko siebie i dotykając się dziobami, co w przypadku grubodziobów jest chyba nieuniknione. On wkrótce zaczyna wić gdzieś w rozwidleniu gałęzi gniazdko, którego wykończeniem zajmie się ona. Gdy ona wysiaduje, on donosi jedzenie, a czasami ją zastępuje. Dzieci karmione są typowym, wysokobiałkowym ptasim *bebiko* – mieszanką

rozdrobnionych nasion, gąsienic, mszyc i innych miękkich owadów. Początkowo ojciec podaje pokarm swojej partnerce, a ta pisklętom. Jak trochę podrosną, on też będzie mógł je karmić. I jeszcze dwie ciekawostki: inaczej niż u innych drobnych ptaków, grubodzioby mają tylko jeden lęg w roku, a ich gniazdka zawsze są wypucowane jak na święta. Rodzice sprzątają po pisklętach dopóty, dopóki te nie wylecą z domu. I tak, wysoko w koronach drzew, upływają grubodziobom wiosna, lato i jesień. Trzymają się w parach, rodzinach albo wielorodzinnych grupach. O tym, że tam w ogóle są, przypominają głośnym, jednosylabowym pstrykaniem. Na ziemię zlatują dopiero późną jesienią, gdy buki, klony, graby i inne drzewa zrzucą wszystkie swoje *orzeszki*. Stąd jeszcze jedno, choć już zapomniane imię – grabołusk. Najstarszy grubodziób, o jakim wiemy, samiczka, przeżył 12 lat i 7 miesięcy.

Gdzie i kiedy patrzeć?

Zimą i wczesną wiosną w lasach, parkach oraz przy karmnikach wystawianych po wsiach lub w zielonych dzielnicach miast. Kiedy na drzewach pojawią się liście, grubodzioby zaszywają się w nich na dobre.

Czego wyglądać?

Niewielkiego, cynamonowobrązowego ciałka z ogromną głową i dziobem. W szybkim, falistym locie uwagę zwracają białe pręgi na skrzydłach i ogonie, za to z bliska coś jakby bandycki wyraz twarzy…

Czego nasłuchiwać?

Dynamicznego i metalicznego, choć niezbyt głośnego „Pstryk” („Piks” lub „Tiks”), dochodzącego z wysokich drzew albo wyrzucanego w locie.

Zięba.
Jest gdzieś, lecz nie wiadomo gdzie...

Świat, w którym baśń ta dzieje się,
Malutka pszczółka mieszka w nim,
Co wieść chce wśród owadów prym…

Jak tylko Zbigniew Wodecki kończył śpiewać o „śmiałej, sprytnej, rezolutnej" pszczółce Mai, na scenę przeważnie wkraczały zięby: „zi-zi-zi-Fiu-Fiu-Fiu-CO-JA-TUTAJ-ROBIĘ?!" Nie wiem, jak wy, ale ja już zawsze będę ich piosenkę kojarzyć z przebojową dobranocką.

Rosyjscy badacze twierdzą, że śpiew zięb leczy arytmię i palpitacje serca. Takie wibracje. Być może nie bez powodu agresywnym i zamkniętym w sobie dzieciom, dzisiaj powiedzielibyśmy: z zaburzeniami nastroju, kupowano kiedyś zięby. Jeszcze bardziej leczniczo wibrują piosenki rudzików – są dobre na bóle serca, głowy i stawów, łagodzą skurcze żołądka i wątroby oraz napięcia naczyń krwionośnych. Według tych samych badań słodki szczebiot szczygłów i kulczyków pomaga w leczeniu neuroz oraz aktywuje i wzmacnia funkcjonowanie całego organizmu. Co najmniej do początków drugiej połowy XIX wieku ptaki zapewniały nam nie tylko wsparcie terapeutyczne, ale i rozrywkę. Na wystawne rauty i bankiety dostawcy tego typu usług przywozili całe chóry. Te chóry, wybrane sekcje lub tylko soliści witali też gości honorowych. Wystarczyło przytrzymać artystów pod ciemnymi zasłonami do chwili przybycia VIP-ów w perukach. My słuchamy muzyki z radia lub różnych urządzeń

przenośnych, w tamtych czasach muzykę tła zapewniały trzymane w domach ptaki. I wcale by mnie nie zdziwiło, gdybym na głębokim południu Europy jeszcze dzisiaj zobaczył kogoś na ulicy z podśpiewującą ziębą lub szczygłem na ramieniu. Zwyczaj wychodzenia ze swoim ptakiem jak z walkmanem jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku miał się tam bardzo dobrze.

Najbardziej popularne były uzdolnione muzycznie i kolorowe ziarnojady (łuszczaki), a ulubionymi ziarnojadami były zięby. Oprócz tego, że były tanie w utrzymaniu, bez oporów rozmnażały się w niewoli i można było je nauczyć różnych sztuczek, to jeszcze samczyki kolorów miały za trzech. Stąd może w ich łacińskiej nazwie *coelebs*, kawaler. Zięby miały też pogodne usposobienie, przywiązywały się do swoich opiekunów, długo żyły (najstarsza, o jakiej wiemy, doczekała w swoim domu 29 lat, a dzika 16 lat i 4 miesięcy) i chętnie śpiewały. Ponieważ powszechny był pogląd, że niewidome ptaki robiły to lepiej, wielu z nich wypalano oczy rozgrzaną do czerwoności igłą. Czy raniło to czyjeś uczucia lub rozum? Raczej nie. Uważano, że Bóg stworzył ptaki tylko po to, aby zapewnić nam rozrywkę. One i cała reszta ziemskiego istnienia kręciły się wokół nas, żeby zaspokajać nasze potrzeby, tak jak Słońce i reszta wszechświata kręciły się wokół oddanej nam we władanie Ziemi. Takie wytłumaczenie „naturalnego porządku" podane było w Księdze Rodzaju i takie obowiązywało, wynosząc na ołtarze nasze okrucieństwo i bezduszną

megalomanię. Żeby dać szansę innemu myśleniu, trzeba było poczekać na Darwina i jego *On the Origin of Species*, *O powstawaniu gatunków*, które ukazało się 24 listopada 1859 roku. (Chociaż od tamtego wydarzenia minęły prawie dwa stulecia, trudno oprzeć się wrażeniu, że wciąż nie wszyscy się doczekali).

Zięby przez całe wieki służyły pracującym pod ziemią górnikom za system wczesnego ostrzegania. Ich konwulsje, omdlenia, a często śmierć oznaczały, że w powietrzu pojawił się któryś z niewyczuwalnych, ale trujących gazów – dwutlenek węgla, tlenek węgla (inaczej czad) lub metan. One umierały, a ludzie mieli czas na ewakuację. Do powszechnej świadomości trafiły ostatecznie kanarki, bo od drugiej połowy XIX wieku to one zaczęły zastępować kuzynów – najpierw w kopalniach, a potem w domach. Wcześniej europejscy pionierzy zdążyli zabrać swoje ulubione ptaki m.in. na Nową Zelandię i do południowej Afryki. Zięby wciąż są chętnie trzymane w wielu krajach Europy, a najchętniej i najwięcej we Flandrii, gdzie ich hodowcy, *vinkeniers* – ziębiarze, od 1593 roku ścigają się na regionalnych i krajowych zawodach m.in. o to, czyj samczyk zaśpiewa najwięcej razy w ciągu godziny. Nazywają to *vinkenzetting* albo *vinkensport*. Rekordzista wszech czasów powtórzył swoją zwrotkę 1278 razy, ale potem się okazało, że był na testosteronie i zdyskwalifikowano go za doping. Od 1920 roku nie wolno też wypalać zawodnikom oczu ani okaleczać ich w inny sposób. Żeby zapisać to w prawie, potrzeba było wielu lat

protestów, poruszających listów, wierszy i piosenek, a moment przełomowy nadszedł dopiero wtedy, gdy po stronie ptaków stanęli weterani I wojny światowej, którzy stracili wzrok na froncie.

Kolorowe samczyki pięknie śpiewają, a ich wizualnie powściągliwe partnerki wiją piękne gniazdka. Jak malowane. Z czego będą zbudowane i jak wykończone, zależy przede wszystkim od tła, na jakim zostaną osadzone. Gdy one zbierają kolejne kawałki kory, mchu i paproci, zastanawiając się, gdzie je zatknąć, żeby gniazdko było jeszcze piękniejsze – a może tylko lepiej zamaskowane – oni koncertują, pilnując i gniazdka, i samiczek. Chcą mieć pewność, że nie będą wychowywać cudzych dzieci. Uroczy, zespolony pajęczynami i owadzią przędzą, miękki jak puchowa poduszka dom będzie rósł razem z nimi. Aż pewnego dnia, zwykle po jakichś dwóch tygodniach od wyklucia, nastoletnie zięby będą na tyle duże, żeby polecieć w korony drzew.

Gdzie patrzeć?

W lasach, przydrożnych zadrzewieniach i zagajnikach, w przyjaznych sadach, parkach i ogrodach. Zięba to drugi po

skowronku najliczniejszy z naszych ptaków, z populacją szacowaną na ponad 8,6–8,9 miliona par.

Czego wyglądać?

Samiczkę na pierwszy rzut oka łatwo pomylić z wróblicą, od której odróżniają ją smuklejsza sylwetka i dwa białe paski na skrzydłach, najlepiej widoczne w locie. Chłopaki też takie mają – ale na tym podobieństwa się kończą. Samczyk zięby to bez wątpienia jeden z naszych najbarwniejszych ptaków. Niestety przy jego wzroście łatwo to przegapić, a i on się zachowuje, jakby nic sobie z tej szczodrej urody nie robił… Oto, co zobaczymy, gdy przyjrzymy mu się w dobrym świetle i w szacie godowej: stalowoniebieski kaptur pod kolor dzioba i górnej części (złożonych) skrzydeł, cynamonowe poliki, cynamonoworóżową pierś i brzuszek, białe paski na skrzydłach przedzielone czarnymi, krawędzie lotek okraszone żółtą zielenią, kasztanoworude plecy przechodzące w złoconą zieleń, która zwykle trzymana jest w tajemnicy aż do momentu, kiedy pan zięba otworzy skrzydła albo poderwie się do lotu. W upierzeniu spoczynkowym, od jesieni do późnej zimy, wibrujące kolory kolorowych kawalerów gasną i się chowają.

Czego nasłuchiwać?

Piosenka to głośne, często powtarzane, szybko narastające i nagle urwane „zi-zi-zi-Fiu-Fiu-Fiu-CO-JA-TUTAJ-ROBIĘ?!”, które słyszano kiedyś jako „Myślisz, żem cię na śliwkach nie widział?!”. Końcowe Ę (albo Ł) przechodzi czasami w krótkie, wibrujące R, a niektórzy soliści na zakończenie zwrotki wrzucają jakiś jednosylabowy, ale cichszy już akcent. Duże jest indywidualne zróżnicowanie pozornie tej samej melodii, o czym się przekonamy, słuchając różnych wykonawców. Poza tym między innymi trochę monotonne, często powtarzane i prawdopodobnie terytorialne „Zirrr, Zirrr…”. Zdenerwowane ptaki pokrzykują „Fincz! Fincz!” (podobne do bogatkowego „Pink! Pink!”). Zięby śpiewają i wołają do siebie w regionalnych dialektach. Im dalej na mapie, tym różnice mogą być większe, a ptaki z bardzo odległych miejsc w ogóle się nie rozumieją.

Kiedy?

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Im dalej na zachód, tym dłużej. W łagodne zimy coraz więcej ptaków w ogóle nie odlatuje.

Myślę, więc nie czuję?

Wyraj, słowiańską krainę wiecznego szczęścia, nasi przodkowie wyobrażali sobie jako magiczny ogród (jakżeby inaczej!). Była to część zaświatów, dokąd na zimę odlatywały ptaki i skąd przychodziła wiosna. Leżała hen za morzami, w koronie Kosmicznego Drzewa, które było centrum wszechświata, a rosło na końcu Drogi Mlecznej. W jego gałęziach gniazda wiły ptaki, ucieleśnienie ludzkich dusz. Prowadzącej do Wyraju bramy strzegł sam Weles, jeden z najważniejszych słowiańskich bogów – pan zaświatów, opiekun magii, sztuki, rzemiosła, dobrobytu i gospodarskich stad. Weles często przybierał postać Złotego Kura lub Raroga, trzymającego w szponach klucze do Wyraju. Poza bogami dostęp miały tam tylko ptaki regularnie wędrujące między Ziemią i zaświatami. Po drodze przynosiły dusze tym wszystkim, którzy schowani w brzuchach swoich mam szykowali się do przyjścia na świat. Gdy nasze życie dobiegło końca, uchodząca z dymem stosu pogrzebowego dusza chwytała się ptaka lub wcielała w niego i wracała do Wyraju, żeby za jakiś czas cały cykl powtórzyć w nowym istnieniu.

Na początku byliśmy jednym. My i zwierzęta. Dlatego tak dużo jest ich w naszych baśniach, mitach i religiach. Zwierzęta towarzyszyły bogom, którzy powierzali im rozmaite misje, a nierzadko sami przybywali pod ich postacią. Miały moce. Dusze. Myślały, czuły i mówiły tak jak my. Stąd w dawnych czasach tyle chimer – magicznych istot pochodzących ze skrzyżowania zwierząt z bogami lub zwykłymi ludźmi. Dzieci różnych bogów najczęściej wylęgały się z jaj. Avia, jedno z najstarszych imion w naszym kręgu kulturowym, znaczy tyle co „Bóg jest moim ojcem". Bez trudu rozpoznamy je w łacińskich *Avialae* i *Aves* oznaczających ptaki, a także w rzymskim pozdrowieniu *Ave*, „bądź zdrów, niech ci szczęście sprzyja". Sprawy zaczęły się zmieniać wraz z postępem technologicznym. Im bardziej zaawansowana była nasza cywilizacja, tym bardziej ludzcy stawali się nasi bogowie i tym mniej boskości dostrzegaliśmy w żyjących obok nas zwierzętach[127]. Dzisiaj, na początku antropocenu, większość ludzi jest przekonana, że jesteśmy koroną stworzenia, a zwierzęta istnieją tylko po to, aby zaspokajać nasze potrzeby. Zamiast mocy mają mięso, skórę, futro i pióra, na których można zarobić. Na pewno nie mają duszy i nie myślą, a jeśli coś czują, to i tak nie ma to żadnej wartości. Sami ogłosiliśmy się bogami. Została jeszcze delikatna kwestia nieśmiertelności, ale różne religie już dawno skutecznie ją zagospodarowały. Takie postawy i myślenie nie pojawiły się z dnia na dzień. Napędzane tymi samymi siłami co globalna, oparta na władzy i pieniądzach cywilizacja, umacniały

się razem z nią. Co jakiś czas dochodziło też do zdarzeń, które wybijały naszą megalomanię i opartą na „boskim planie" przewagę na nowy, nieznany wcześniej poziom.

Fundamenty pod nowe, coraz bardziej antropocentryczne widzenie świata położyły wielkie monoteistyczne religie – judaizm, chrześcijaństwo, islam. Przede wszystkim odrzuciły uniwersalną, spajającą wszystkie istoty więź życia i przerwały odwieczny obieg duchowej energii. Po śmierci nikt już nie mógł powrócić na Ziemię jako ptak lub drzewo, więc nie trzeba było ich szanować. W nowym porządku cały szacunek, a także miłość i lęk skupili przejmujący rząd dusz kapłani. Ale nawet im zabrało całe wieki, zanim na dobre odcięli się od pierwotnych, animistycznych, a przede wszystkim animalistycznych korzeni. Te być może najsilniej były reprezentowane i najdłużej przetrwały w chrześcijaństwie. W świętych księgach i nauczaniu Kościoła aż roiło się od dobrych lub złych zwierząt, które szczegółowo opisywały bardzo popularne w średniowieczu bestiariusze[128]. Jedne służyły Bogu, i było wśród nich wyjątkowo dużo ptaków, którym z racji pięknych głosów lub wyglądu, a przede wszystkim skrzydeł, najbliżej było do nieba, inne, tak się składa, że przeważnie te duże, silne lub sprytne, a już na pewno czarne i nocne – Lucyferowi oraz jego zastępom. Realne czy całkowicie zmyślone, niektóre „bestie" do dziś podsycają religijny zapał wielu z nas. Europejczykom zajęło kilkanaście wieków, zanim przestali

wierzyć w bazyliszki, smoki czy wilkołaki, oraz kilka kolejnych, zanim przestali się bać złowróżbnych kruków albo niosących pomór i pożogę sów. Nie oznacza to jednak, że z lęku przed czarownicami w przebraniu albo by zwalczyć tego, którego imienia się nie wymawia, nikt już ich nie zabija…[129]

Kolejne krytyczne zdarzenie dla naszych relacji ze zwierzętami miało miejsce w roku 1637, kiedy to René Descartes napisał *Je pense, donc je suis*. Myślę, więc jestem. Prawda, że brzmi obiecująco…? Jednak w żaden sposób nie poprawiło to losu kruków, sów ani nawet (przeważnie) kobiet posądzanych o czary. Wszyscy tak samo kończyli na stosach. Za to *Rozprawa o metodzie*, skąd pochodzi ta deklaracja, stała się kamieniem węgielnym nowej epoki, oświecenia, które do dziś kształtuje nasze myślenie i kulturę. Nieustający w poszukiwaniach Kartezjusz swoją mantrę sprowadził wkrótce do zdania *Je parle, donc je suis*. Mówię, więc jestem. Ci, co nie mówią, nie myślą, więc ich nie ma… Dzieci i ryby – pierwotnie było: zwierzęta – głosu nie mają! Z tą myślą oświeceni, bogobojni i zapatrzeni w siebie Europejczycy podbili wkrótce cały świat. Kto nie myślał i nie mówił tak jak oni, albo stawał się ich niewolnikiem – przeważnie ludzie, albo ginął – przeważnie zwierzęta. Kolonializm, rasizm oraz grabież Przyrody zaczęły pustoszyć Ziemię niczym jeźdźcy Apokalipsy. Nasz Bóg wyglądem i moralnością coraz bardziej przypominał białego, bogatego i starszego pana z brodą, który

troszczy się tylko o własną rodzinę i nie lubi obcych ani zwierząt. No chyba że może sobie do nich postrzelać albo na nich zarobić. Ma też wyraźny problem m.in. z kobietami, mimo że z wiadomych powodów są mu potrzebne.

Bez względu na to, co mówiliśmy i w co wierzyliśmy, w tle trwał wielki wyścig zbrojeń, a ludzie nie ustawali w doskonaleniu narzędzi wzajemnego zabijania. (Nic zresztą w tej kwestii się nie zmieniło). Więcej niż rewolucyjny postęp przyniosło wynalezienie broni palnej. W Naturze żeby cię zjeść, najpierw muszą cię złapać. Zaczaić się, zaskoczyć i z-ł-a-p-a-ć! Zabijanie z odległości kilkuset metrów w kulturze zwierząt czy plemion pierwotnych było (i jest) czymś niemożliwym, dlatego ci bez doświadczenia z uzbrojonymi w sztucery myśliwymi padali jak muchy. Już łukiem albo dobrze przemyślaną trucizną można było zadać śmierć z daleka, ale było to niczym w porównaniu z możliwościami, jakie dawał wyrzucany z hukiem proch. Pierwsze, proste lance strzelnicze powstały w X wieku w Chinach. Kiedy Kartezjusz głosił swoje prawdy, w Europie popularne były już różne muszkiety, fuzje i pistolety. Odpowiednio unowocześnione, w kolejnym stuleciu stały się elementem standardowego wyposażenia armii. Oczywiście narzędzie, które miało służyć do zabijania ludzi, mogło z powodzeniem zabijać zwierzęta i około połowy XIX wieku polowania z bronią były normą. Jej upowszechnienie chyba najmocniej przełożyło się na nasze relacje z ptakami. Z natury

ulotne, najdłużej wymykały się naszej władzy. Oczywiście łowiliśmy je od dawna, ale z chwilą, kiedy unosiły się do nieba, stawały się nieosiągalne. Mieliśmy strzały, orły i sokoły, ale one też nie dawały nam pełnej władzy nad ptakami. To się zmieniło, kiedy ruszyliśmy na nie z armatami, jak w przypadku kormoranów czy amerykańskich gołębi wędrownych. Broń palna nie tylko pozwoliła nam zabijać ptaki na niespotykaną wcześniej skalę, ale i odarła je z resztek boskości. No bo cóż boskiego jest w niewielkim, zbroczonym krwią i poszarpanym eksplozją ciele z połamanymi skrzydłami…?

Kiedy wydawało się, że gorzej już być nie może, po drugiej stronie oceanu w 1913 roku John B. Watson opublikował *Psychology as the Behaviorist Views It*, co możemy przetłumaczyć jako „Psychologia okiem behawiorysty". Zaledwie 17-stronicowy artykuł przeszedł do historii jako manifest behawiorystów[130]. Autor napisał w nim, że psychologia, dopiero co uznana za samodzielną dyscyplinę i zdefiniowana jako nauka o ludzkich zachowaniach, jak wszystkie nauki przyrodnicze powinna opierać się na mierzalnych rezultatach, a jedyną obiektywną zmienną jest zachowanie. Nie ma uczuć ani empatii, są odruchy i metody. Nie ma introspekcji lub samoświadomości, są tylko metodologicznie poprawne, mierzalne rezultaty zwane faktami naukowymi. Jeśli czegoś nie można udowodnić, czytaj: zmierzyć, znaczy, że nie istnieje. My, ludzie, zdaniem behawiorystów mamy podstawową i

wrodzoną zdolność uczenia się, ale całe nasze życie i doświadczenie sprowadza się do prostego równania S-R (*stimulus* – *response*), bodziec – reakcja. Miały tego dowodzić psy Pawłowa i stada innych laboratoryjnych zwierząt. Oraz ludzi. Szczególnie te pierwsze – zwierzęta – traktowano już tylko utylitarnie. I tak to, co początkowo mogło się wydawać szokująco postępowe, jedynie wzmocniło stary porządek nowymi „argumentami". Wkrótce w amerykańskich zakładach przemysłowych pojawiły się nikomu wcześniej nieznane taśmy produkcyjne, a tradycyjne farmy zaczęła zastępować masowa produkcja żywca. Fabryki mięsa. Zaczęto od szybko przyrastających w masę kurczaków, wyhodowanych specjalnie na tę okazję brojlerów. To tam pierwszy raz padło określenie „ptasi móżdżek". Żeby kogoś traktować tak, jak my zaczęliśmy traktować kurczaki, trzeba było go pozbawić mózgu i prawa do odczuwania czegokolwiek, w przeciwnym razie musielibyśmy źle pomyśleć o sobie. Kiedy w Ameryce raczkował nastawiony na zysk za wszelką cenę korporacyjny kapitalizm, który na naszych oczach rozleje się po całym świecie, prowadząc go na skraj przepaści demograficznej (przeludnienie i nierówności społeczne), ekologicznej (eksterminacja gatunków, dewastacja siedlisk oraz rabunkowa eksploatacja dóbr naturalnych) i klimatycznej, w Europie dojrzewały faszystowskie i komunistyczne totalitaryzmy, które doprowadziły do zorganizowanego ludobójstwa na nieznaną w historii skalę.

Charakterystyczne dla nich fabryki śmierci, jakimi były obozy koncentracyjne i łagry, testowano na zwierzętach.

Że nie powinienem w taki sposób mieszać świata ludzi i zwierząt? Ale my te światy już dawno brutalnie zmieszaliśmy. Z drugiej strony od początków życia na Ziemi wszyscy jesteśmy elementami tego samego systemu. Tak samo my, mazurki, tygrysy czy pazie królowej. Nieszczęście polega na tym, że tym systemem rządzą dzisiaj nie mazurki, tygrysy czy pazie królowej, ale my, ludzie.

---

[127] Im dłużej przyglądam się różnym religiom oraz budowanym wokół nich prawom i obrządkom, tym bardziej jasne się dla mnie staje, że to nie Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo własne, ale człowiek Boga, a właściwie bogów, stąd taka ich różnorodność w różnych kulturach i religiach. Przeważnie po to, aby chronili interesy tych uprzywilejowanych i u władzy.

[128] Od łacińskiego *bestiarium* – bogato zdobione, często złocone, pisane wierszem lub prozą średniowieczne księgi dydaktyczne lub cały gatunek literacki. Ich główna treść to opisy zwierząt podawane w taki sposób, aby służyły krzewieniu oraz objaśnianiu podstawowych dogmatów wiary oraz zasad etyki chrześcijańskiej. Autorzy bestiariuszy z wielką starannością i jeszcze większą wyobraźnią opisywali zarówno zwierzęta faktycznie istniejące, jak i takie, które znano jedynie z literatury antycznej, Biblii czy najróżniejszych legend. W księgach pełno było więc smoków, bazyliszków, jednorożców,

pegazów, gryfów (ciało lwa z głową i skrzydłami orła) oraz innych chimer. Rzeczywiste, ale rzadkie lub egzotyczne zwierzęta, znane głównie z podróżniczych opowieści, często obdarzane były fantastycznym wyglądem lub niezwykłymi cechami. Wiele stworzeń opisywanych w bestiariuszach trafiało potem na godła i herby.

[129] Stale i masowo z tych samych powodów giną m.in. sowy w Afryce. Tutaj chrześcijańskie, moralizatorskie postrzeganie Przyrody padło na wyjątkowo podatny grunt lokalnych wierzeń i prześladowania na tle religijnym zagrażają istnieniu wielu gatunków. Tylko Malijczycy każdego roku zabijają co najmniej 80 procent *swoich* sów.

[130] Szybko zyskująca na popularności teoria, a wkrótce cały nurt filozofii społecznej miał trzech ojców – poza wspomnianym Watsonem byli to Burrhus F. Skinner oraz Clark L. Hull.

Kowalik.
Do góry nogami

Niewielki ptak w stalowoniebieskim płaszczu i czarnej przepasce na oczach, pewnie poruszający się po drzewie w pozycji do góry

nogami? To musi być kowalik. Nikt inny tego u nas nie robi. I nikt inny nie wygląda jak złodziej z kreskówki retro. Jego bliscy kuzyni, ultrarzadkie wysokogórskie pomurniki, udające myszy maleńkie pełzacze i przede wszystkim dzięcioły – wszystkie one czują się jak u siebie na pionowych pniach i skałach, ale żaden nie chodzi po nich dziobem do dołu. Dlaczego kowalik woli do góry nogami? Być może odwrócona perspektywa pozwala mu dostrzec ukrywające się w zakamarkach kory żyjątka, które przegapiają jego bardziej tradycyjnie poruszający się sąsiedzi. W przeciwieństwie do nich kowalik nie używa też ogona jako trzeciej nogi. W całości polega na swoich palcach oraz mocnych jak chirurgiczna stal haczykach, które z nich wyrastają. Kowalik nie tylko może biegać po zlanej deszczem śliskiej korze buków – on może schować się przed ulewą przyczepiony pod jakimś poziomo rosnącym konarem. Naturalnie może się też po nich – czytaj: pod nimi – swobodnie poruszać. A poruszy się na pewno, bo to jeden z tych, co kilku sekund w jednym miejscu nie usiedzą! Z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo. Szybko, zdecydowanie i do rzeczy. Ale trudno mu się dziwić. Statystyczny kowalik żyje niewiele ponad dwa lata, a z roku na rok przeżywa tylko połowa dorosłych. Mimo to jeden z nich, Brytyjczyk, doczekał pięknego wieku 12 lat i 10 miesięcy.

Kowaliki to dziuplaki, ale tak jak większość z nich same dziupli nie kują, tylko zajmują te powstałe naturalnie albo wykute przez

dzięcioły. O ile nie przeszkadzają im przestronne wnętrza, o tyle nie lubią dużych wejść. I słusznie. Duże wejście oznacza, że ktoś może splądrować gniazdo, a nawet przejąć dziuplę. Kowaliki znalazły na to sposób, po swojemu niepowtarzalny. Zamurowują wejście tak, że same ledwo się przez nie przeciskają. Czym? Gliną wymieszaną z własną śliną. Tynkują nawet wewnętrzne ściany, jeśli te wydają się im zbyt chropowate. Większość murarki robi samiczka, a prace mogą potrwać nawet miesiąc. Nic dziwnego, że po takim remoncie para zajmuje tę samą dziuplę przez kolejne sezony. Czasami kowaliki całkowicie zamykają wejścia do dziupli, a to po to, żeby pozbyć się z lasu sóweczki, śmiertelnego wroga tak samo ich, jak i innych drobnych ptaków. Sóweczka ze swoim zagiętym dziobem mięsożercy betonu nie rozkruszy, a dziupli potrzebuje jak kania dżdżu – i to niejednej. Murarskie zapędy bynajmniej nie wyczerpują listy kowalikowych osobliwości. Warto na przykład przyjrzeć się, czym kowaliki wyścielają swoje wygładzone gniazda – najchętniej płatkami sosnowej kory i świerkowych szyszek.

Kowaliki to pewni siebie indywidualiści i introwertycy. Łączą się w pary na całe życie i jeśli nikt nie wytnie im drzew, spędzą je na kilku hektarach terytorium, które on znalazł, kiedy jeszcze był kawalerem. Swoją partnerkę uwiódł prostą piosenką albo szalonymi przelotami z wysoko uniesioną głową i rozłożonym w wachlarz ogonem. (Mnie one zawsze bawią do łez, ale co ja tam

wiem o erotycznym życiu kowalików). A może w którymś z drzew była już pięknie wykończona dziupla? To by było coś! Czy kowalikowa była mu wierna? Statystycznie 10 procent piskląt w gniazdach to dzieci sąsiadów. Zimą pary, częściej single, przyłączają się do mieszanych taborów sikorek, raniuszków, mysikrólików i kogo tam jeszcze. Wspólnie ostrzegają się przed niebezpieczeństwem, szukają czegoś do zjedzenia i bezpiecznego noclegu. Z racji gabarytów i temperamentu kowaliki zdecydowanie, a nawet komicznie odstają od większości swoich współtowarzyszy. Być może najbardziej rzuca się to w oczy, gdy kolorowa kawalkada przylatuje do jakiegoś karmnika. Niebieski lorbas w masce bezceremonialnie rozpędza biesiadników, kiedy tylko ma na to ochotę. Wystarczy, że machnie swoim mocnym jak dłuto dziobem, i wszyscy mu ustępują. Potem zapamiętale rozrzuca ziarno, jakby chciał sprawdzić, czy pod spodem nie ma czegoś lepszego. Nadwyżki ukrywa w szczelinach kory pobliskich drzew. Wbija je tak głęboko, że nikt poza dzięciołami i może jakąś wyjątkowo zawziętą bogatką nie jest w stanie się do nich dobrać. Tym bardziej że schowane są do góry nogami.

Gdzie patrzeć?

Na grube, dojrzałe pnie i konary w lasach, drzewiastych parkach i ogrodach. Zimą kowaliki chętnie zaglądają do karmników.

Czego wyglądać?

Niebieskiego ptaszka pewnie i żwawo przesuwającego się po pniu drzewa głową w dół. Od spodu pomarańczoworóżowawy – im dalej ku tyłowi, tym bardziej. Białe poliki i charakterystyczna, czarna opaska na oczach sprawiają, że kowalik wygląda jak złodziej ze starej dobranocki. Szpieg z krainy deszczowców. Wrażenie to potęgują zdecydowane ruchy, pośpiech i przyczajona, spłaszczona od góry sylwetka z czujnie uniesioną głową i zadartym dziobem.

Czego nasłuchiwać?

Głośnych, wyrzucanych seriami, jedno- albo dwusylabowych zawołań: „Tłit! Tłit! Tłit!" albo „Tłitłit! Tłitłit! Tłitłit!". Jego piosenka ma te same cechy i niesie się jako „Wi!-Wi!-Wi!-Wi!-Wi!". Kowaliki są bardzo wokalne, odzywają się często i na wiele sposobów. Jeśli traficie w lesie na jakiś niezidentyfikowany dźwięk

z grubsza spełniający powyższe warunki, w dziewięciu przypadkach na dziesięć będzie to kowalik.

Kiedy?

Cały rok.

Mysikrólik i strzyżyk. Kruszyna i troglodyta

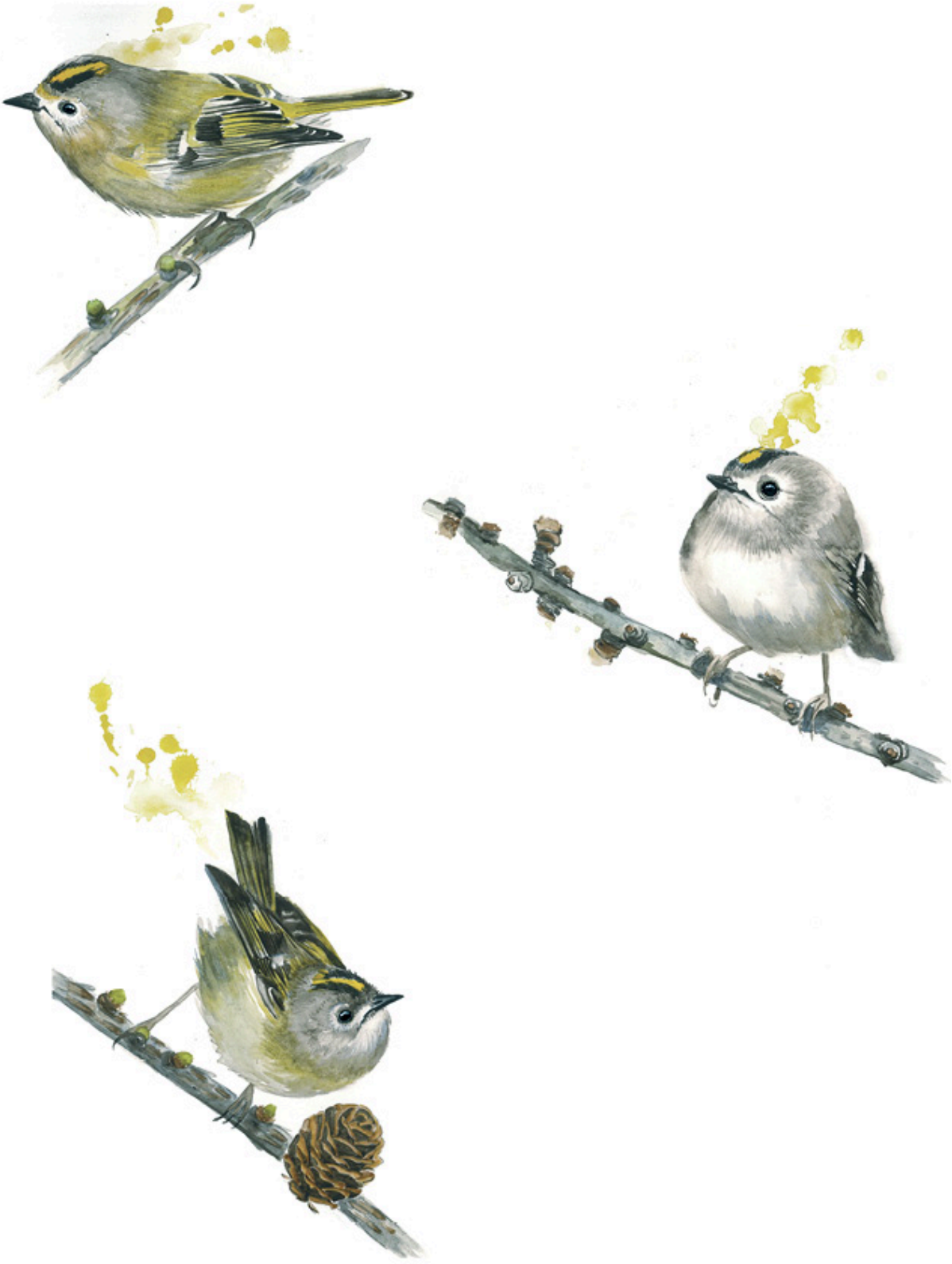

Dawno, dawno temu (jakieś kilka milionów lat, bo wtedy wyewoluowały mysikróliki), zebrały się wszystkie ptaki, żeby wybrać swojego króla. Orły, sokoły, bażanty i kogo tylko chcecie – oraz pewien bezimienny ptaszek, z nich wszystkich najmniejszy. Postanowiły, że królem zostanie ten, kto najwyżej poleci. Tak opisali to, co się tam potem wydarzyło, bracia Grimm w baśni *Mysikrólik*: „Na umówiony znak cała zgraja uniosła się w górę. Z pola podniósł się kurz i powstał potężny świst i gwizd, i zaczęło się trzepotanie skrzydeł, i wydawało się, że przechodzi tamtędy czarna chmura. Ale małe ptaszki szybko zostały z tyłu, nie mogły lecieć wyżej i opadły na ziemię. Większe wytrzymały dłużej, ale żaden z nich nie potrafił dorównać orłu, który wzniósł się tak wysoko, że mógłby wydziobać oczy słońcu". I kiedy wydawało się, że wszystko jest już przesądzone, a zdyszany orzeł nie był w stanie wznieść się ani o centymetr, z jego piór wystrzelił w górę ów bezimienny ptaszek i zawołał: „Królem jestem ja! Królem jestem ja!". Nie spodobało się to zebranym ptakom, które zarzuciły mu nieuczciwą grę i postanowiły, że królem zostanie ten, kto poleci najniżej. Tym razem największe szanse mógł mieć zaprawiony w grzebaniu w ziemi kogut, ale maleńki, bezimienny ptaszek wleciał do mysiej dziury i po chwili zawołał stamtąd: „Królem jestem ja! Królem jestem ja!"[131]. Tamtego dnia dostał i złotą koronę, do dziś połyskującą na jego głowie, i stosowne imię, które chyba najjaśniej brzmi po szwedzku – *kungsfågel*, król ptaków. Po łacinie nazywają go *Regulus regulus*, po francusku

roitelet huppé, po czesku *králíček*, po hiszpańsku *reyezuelo*, po angielsku *goldcrest* (kiedyś *kinglet*)… I wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze: mysikrólik nie jest królem myszy (bo proklamował się z mysiej dziury), lecz królem bardzo malutkiej postury, a o kimś takim w dawnej polszczyźnie mówiono „mysi”[132].

Zwykle nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak małe są małe ptaki, aż któregoś dnia jeden z nich ląduje na ławce obok i daje nam 12 sekund, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Kilka z nich jest tak maleńkich, że stale wymykają się naszym oczom i mało kto wie o ich istnieniu. Mysikrólik, jego bliźniak zniczek oraz strzyżyk to najmniejsze ptaki Europy. Mierzą najwyżej 9–10 centymetrów, z czego dziób i ogon zajmują więcej niż jedną czwartą. Opasły strzyżyk może ważyć 12 gramów, prawie tyle co trzy mysikróliki, których typowa waga to cztery i pół grama! Tyle co dwie nieduże oliwki bez pestek i nadzienia. I to mysikrólikowi przypadł tytuł najmniejszego ptaka Europy. Jesienią mysikróliki, które wybierają się na południe, zaczynają się opychać, aż ważą o jedną oliwkę więcej, jakieś siedem gramów. To wystarczy niektórym skandynawskim ptakom, żeby przelecieć nad Bałtykiem. Wiatr nie zawsze wieje tam w ogon, nawet na chwilę nie można się zatrzymać (no chyba że trafi się jakiś prom albo statek), a po niebie grasują wielkie mewy, dla których mysikrólik jest tym, czym dla nas małe prince polo. Żeby ruszyć w taką drogę, potrzeba nie tylko superpaliwa, ale i odwagi godnej

najdzielniejszych królów. A przecież mysikróliki, które czasami ledwo żywe lądują na Helu lub pod Kołobrzegiem, nie rozpoczęły swojej podróży na południowych krańcach Szwecji, lecz tysiąc lub dwa tysiące kilometrów na północ. Nasze mysikróliki przeważnie zostają na miejscu, a w mroźne noce tulą się do siebie w gąszczu igliwia. Jeśli to nie wystarczy, poszukają jakiejś dziupli albo nawet mysiej nory.

Zwarte i zawsze zielone igły świerków, jodeł i sosen to królestwo mysikrólików. Osłaniają zielone ptaszki przed niepogodą i zapewniają im doskonały kamuflaż. Tam też ukrywają one swoje zielone gniazdka. Robią to tak dobrze, że nawet najwytrawniejszym terenowcom trudno je wytropić. Są bardzo ciepłe, miękkie i głębokie. Mają chronić przed wychłodzeniem pisklęta, a przedtem maleńkie jajeczka i wysiadującą je, unieruchomioną na co najmniej dwa tygodnie samiczkę. Gdy zielone podrostki opuszczą dom, najpierw zaszywają się w igliwiu. Siadają w rzędzie ciasno i ciepło, jeden obok drugiego, i czekają na tatę z robaczkami. Takich rzędów może być więcej, bo zaprzyjaźnione ze sobą pary chętnie gniazdują obok siebie. Wiele mam zaczyna w tym czasie składać jajka do drugiego gniazdka, które ich partnerzy zbudowali, kiedy one zajęte były inkubacją w pierwszym. Mysikrólowe składają około 10 jajeczek, o masie 0,8 grama każde! Większe zniesienia ważą czasami dwa razy tyle co kruszyna, która je wyczarowała. Żaden z naszych ptaków nie

ponosi tak wysokich kosztów reprodukcji. Może dlatego wysiadujące samiczki można czasami zdjąć z drzewa razem z gniazdem, ale broń Boże nigdy tego nie róbcie! Żaden inny ptak nie ma też tak niskiej oczekiwanej długości życia – zaledwie osiem miesięcy. To przez wysoką śmiertelność dorosłych. Statystycznie tylko dwa mysikróliki na dziesięć dożywają kolejnego roku. Zdarzył się jednak i taki, którego zaobrączkowano w angielskim Winchester w roku 1989, a siedem lat i siedem miesięcy później odnaleziono w Maroku.

O ile ptaszki w koronach na głowie uwijają się wysoko w koronach drzew, podczepione pod najcieńsze gałązki albo zawisając w powietrzu jak kolibry, o tyle strzyżyk trzyma się dna lasu. Pod warunkiem że jest ono dostatecznie rosochate. Szaro-brązowy i nakrapiany jak opadłe liście, cały czas się ukrywa. A to w stercie chrustu, a to pod wykrotem, w gąszczu z mchu i paproci, albo w kolczastej kopule jeżyn nad ruczajem. Przy tych rozmiarach może schować się tam, gdzie inni się nie zmieszczą, na przykład w mysiej dziurze. Być może stąd jego łacińska nazwa: *Troglodytes troglodytes*. Dla strzyżyków również poważnym wyzwaniem jest utrzymanie odpowiedniej ciepłoty ciała. Przez większą część roku zadziorni indywidualiści, zimą szukają towarzystwa, z którym mogliby spędzić noc. Oczywiście w jakiejś dziupli, norze albo krasnoludkowej grocie. Z jednej takiej wyleciało pewnego ranka 61 lekko zaspanych, ale za to cieplutkich *jaskiniowców*. Strzyżyka

trudno wypatrzyć, za to łatwo usłyszeć. Jego wiosenna pieśń zaskakuje tak samo urodą, co siłą, z jaką ten skrzat komunikuje światu swoją maleńką obecność. Gdyby nasi wykonawcy mieli proporcjonalnie taką siłę głosu jak strzyżyki, nie potrzebowaliby mikrofonów na koncertach, a ich piosenki byłoby słychać z odległości 25 kilometrów.

Gdzie patrzeć?

Za mysikrólikami wysoko w korony drzew, najlepiej w borach i lasach z dużą domieszką drzew iglastych. Zimą schodzą niżej, zaglądają do przyjaznych parków i ogrodów oraz wystawianych tam karmników.

Za strzyżykami – nisko. W zakrzaczenia, zagęstwienia, w lasach z bujnym runem i podszytem, w naturalistycznych parkach i ogrodach. Lubią miejsca wilgotne, bo tam też jest najbujniej i najgęściej.

Czego wyglądać?

Co najmniej kilku maleńkich, oliwkowozielonych ptaszków z biało-czarnym paskiem na skrzydłach, dużymi, biało podbitymi oczami oraz złotożółtą, czarno oprawioną i ruchliwą grzywką na szczycie głowy – to mysikrólik. Strzyżyk to maleńki, brązowy ptaszek z krótkim, zadartym ogonkiem i lekko opuszczonymi skrzydełkami. Przemyka w pojedynkę z miejsca na miejsce, pochylając całą sylwetkę do przodu, w każdej sekundzie gotowy, żeby zanurkować w mszysty gąszcz.

Czego nasłuchiwać?

Mysich smyczkowych dźwięków dochodzących z wierzchołków drzew. Tonacja jest tak wysoka, a wykonywana w ruchu piosenka tak cicha, że łatwo ją przegapić, za to często powtarzana i śpiewana w najróżniejszych porach roku, może z wyjątkiem okresu wychowywania piskląt. Głosy kontaktowe mysikrólików to równie delikatne i ulotne „Si-Si-Si". Śpiew strzyżyka jest z kolei mocny i stanowczy. Piosenka składa się co najmniej z czterech lub pięciu zwrotek, z których każda to seria szybkich powtórzeń w różnych tonacjach. Śpiewanie to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy strzyżyk się zatrzymuje, a wyrzucając z siebie co najmniej kilkanaście nut na sekundę, wibruje razem ze swoją muzyką. Oczywiście śpiewa z

dna lasu, krzaczowiska, paprociowiska, parku lub ogrodu, gdzie znajduje sobie jakieś podium, a najlepiej kilka na zmianę. W zaniepokojeniu lub zdenerwowaniu terkocze głośne „TRRRRR!" albo pstryka jak spięcie w gniazdku elektrycznym. Nie widać go, ale słychać.

Kiedy?

Przez cały rok.

[131] Cytaty z baśni *Mysikrólik* w tłumaczeniu Elizy Pieciul-Karmińskiej.

[132] Czasami za bohatera tej legendy, o której pisali już Arystoteles i Pliniusz, mylnie uważany jest strzyżyk. Źródłem tego zamieszania była prawdopodobnie bliskoznaczność greckich słów oznaczających strzyżyka i mysikrólika (i najpewniej zniczka) – βασιλεύς (*basileus*) oraz βασιλισκος

(*basiliskos*). Pierwsze oznaczało króla, a drugie było jego zdrobnieniem – królek, króleczek?

AAA, PTASZKI DWA

Zastanawialiście się kiedyś, co ptaki robią w nocy? Ale nie sowy czy lelki, co drzemią cały dzień, a o zachodzie słońca zaczynają się przeciągać, planując, dokąd polecą po zmroku. Co robią sroki, wróble albo sikorki, które od brzasku kolorowo uwijają się w gałęziach, a przed wieczorem znikają, jakby się pod ziemię zapadły? Otóż, poza myciem zębów i oglądaniem Netflixa, ptaki przeważnie robią to, co my – idą spać. Tak jak my stroszą pióra w swoich kołderkach, a łapiąc w nie powietrze, poprawiają ich właściwości termiczne oraz miękkość i komfort. Chowają w nich nagi, szybko wychładzający się dziób i nogi – i zasypiają. Wkładanie dzioba w pióra dodatkowo pozwala ptakom oddychać ogrzanym powietrzem. My, wskakując do łóżka w zimnym pokoju, też najchętniej w całości pakujemy się pod pierzynę. To dużo ważniejsze, niż może się wydawać, szczególnie w niskich temperaturach i w przypadku małych ptaków. Wciągnięte przez modraszkę minus 10 stopni musi zostać ogrzane, zanim wniknie do płuc, ukrytych w jej ciele worków powietrznych, a nawet kości – a przecież od dzioba dzieli je zaledwie kilka centymetrów. Ruchliwe w ciągu dnia ptaki wytwarzają tyle dodatkowego ciepła, że natychmiastowe ogrzanie wdychanego powietrza nie jest

problemem, ale senny bezruch zimą to poważne wyzwanie. Nic dziwnego, że wiele ptaków poszukuje na noc zacisznych dziupli albo różnych zakamarków, które mogłyby je zastąpić. Mazurki budują sobie nawet w takich miejscach specjalne zimowe gniazda. Popularnymi noclegowiskami są też najeżone kolcami zakrzaczenia, gęste dzikie wina i bluszcze. Im zimniej, tym większa skłonność do wspólnych noclegów nawet u tych, którzy normalnie tego nie robią. Dodatkowo mniejsze ptaki potrafią na noc znacznie obniżyć temperaturę swojego ciała, co spowalnia ich metabolizm i pozwala zaoszczędzić sporo energii[133]. Dobre noclegowiska są w cenie, co m.in. tłumaczy, dlaczego ptaki tak wcześnie chodzą spać. Nakłonienie kogoś do opuszczenia ciepłej dziupli albo gęstego jałowca nie jest takie proste.

Oprócz tego, że ptaki nie mają centralnego ogrzewania, nie mają też pewności, czy w środku nocy ktoś nie wtargnie do sypialni i ich stamtąd nie wywlecze. Dach nad głową i przytulne towarzystwo to najlepszy sposób, żeby zabezpieczyć się przed chłodem i zobaczyć kolejny dzień. Na wszelki wypadek wiele ptaków (wszystkie?) śpi tylko jednym okiem i tylko jedną połową mózgu – to jednopółkulowy sen wolnofalowy albo USWS, z angielskiego *unihemispheric slow-wave sleep*. Co jakiś czas zmieniają oko i połowę, częściej chyba jednak czuwa oko lewe, bo jest ono połączone z prawą półkulą, gdzie znajduje się główny ośrodek analiz zagrożenia. Tak przynajmniej jest u

prawonożnych. Pewnie byśmy na to nie wpadli, ale nasi pierzaści koledzy są zlateralizowani tak jak my, tyle że wyraźniej przekłada się to na pracę ich nóg niż skrzydeł – a przynajmniej tak nam się wydaje. Umiejętność pełnej kontroli snu i spania jednym okiem pozwala ptakom w porę namierzyć zbliżającego się wroga i natychmiast zareagować – przeważnie ucieczką. Doskonale sprawdza się w czasie dziennej sjesty, ale nocą, w warunkach ograniczonej widoczności, udający się na spoczynek szukają dodatkowych zabezpieczeń. Wybierają miejsca, które zapewnią im dyskretny, ale skuteczny alarm. No bo wyobraźcie sobie, że kładziecie się spać na środku ogromnego materaca wodnego. Nie ma mowy, żeby ktokolwiek się do was zbliżył, nie wywołując fali, i żeby ta was nie obudziła. I to właśnie robią kaczki, gęsi czy łabędzie – chodzą spać na wodę. I wcale nie muszą się na niej unosić, płytkie rozlewiska tak samo skutecznie zapewniają plusk i falowanie. Długonogie czaple i żurawie też najchętniej spędzają noc w wodzie, nawet jeśli zakrywa im tylko palce. Z tego samego powodu tak wiele ptaków z wodą niezwiązanych w czasie długich, wyczerpujących wędrówek najchętniej chodzi spać na różne wyspy i wysepki. Równie niezawodny jest szelest i *falowanie* wysokich trzcin – ulubionego miejsca sejmików i noclegów jaskółek, szpaków czy pliszek – a nawet niskich traw, w których zaszywają się m.in. kuropatwy, przepiórki i derkacze. Kolejna lokalizacja z wbudowanym alarmem to gałęzie drzew. Udające się na nocleg ptaki najchętniej sadowią się wysoko w koronie, tuż przy głównym

pniu, który nie tylko osłania przed wiatrem, ale też niczym piecyk akumulacyjny oddaje zaabsorbowane w ciągu dnia ciepło. Do tego, tak jak woda i zielone łodygi, świetnie przewodzi wibracje, na przykład wspinającej się po nim kuny. Gorzej, jeśli kuna skoczy na śpiących z drzewa obok albo kiedy ma na nich oko polujący ze skrzydeł puszczyk. Noc to ryzykowny czas w życiu wszystkich dziennych zwierząt, bo wtedy z kryjówek wychodzą różni cichociemni łowcy, którzy mają nad nimi przewagę.

Być może drapieżniki są jednym z powodów, dla których spanie u tak wielu ptaków stało się wydarzeniem towarzyskim, szczególnie poza sezonem lęgowym i w czasie migracji. Szpaki na przykład nierzadko gromadzą się na noclegowiskach w setkach tysięcy, a nawet milionach. Taka liczba musi dawać nie tylko ciepło, ale i poczucie bezpieczeństwa. Z jednej strony wszyscy nawzajem ostrzegają się przed zagrożeniem, z drugiej prawdopodobieństwo, że to akurat ciebie zje jakiś myśliwy, rozkłada się na twoich kompanów i spada do jednej setnej czy jeszcze bardziej optymistycznej tysięcznej. W większej grupie mniejsze jest też obciążenie obowiązkami, takimi jak trzymanie warty. Tymczasem im bardziej bezpieczny i zrelaksowany czuje się ptak, tym głębiej zasypia, aż wreszcie śpi tak jak my – obojgiem oczu i całym mózgiem. Oraz tak długo, jak ma na to ochotę, czyli do momentu, kiedy o świcie zbudzi się głodny jak wilk. Zdaje się, że głęboko śpiące ptaki mają marzenia senne, bo obserwuje się u nich

szybkie ruchy gałek ocznych, charakterystyczne dla fazy REM (z angielskiego *rapid eye movement*). U zeberek zarejestrowano w tym momencie zwiększoną aktywność w części mózgu odpowiedzialnej za komunikację i *wokal*. Może śniło im się, że śpiewają jak słowiki…?

Tak jak my, dzienne ptaki też czasami robią różne *dziwne* rzeczy w nocy. Czajki na przykład w świetle księżyca opychają się dżdżownicami, które wtedy chętniej wyglądają na powierzchnię. Wielu, nie tylko słowiki, lubi sobie pośpiewać. Miejskie rudziki częściej sączą swoje urocze melodie po zmroku niż za dnia. Słusznie – po co się przekrzykiwać z samochodami. Poza miastami w ciemnościach śpiewają m.in. brzęczki, świerszczaki, rokitniczki, derkacze czy przepiórki. Akustycznie rzecz biorąc, noc jest idealna do wokalnych popisów. Konkurencja śpi, prawie żadnych szumów i zakłóceń w tle, trzeba tylko nastawić alarm i mieć oko na drapieżniki – najlepiej jedno i drugie. Noc to też dla wielu ptaków ulubiona pora migracji. Wszystkie orły i sokoły śpią i jest dużo chłodniej, a jak się lata w kurtce puchowej, to nie sposób się nie zgrzać.

I już na koniec: oprócz wyjątków takich jak płomykówki czy kowaliki, ptaki poza sezonem lęgowym nie sypiają w swoich gniazdach. Te, nawet jeśli nie zostały zdemolowane przez dorastające w nich pisklęta, przeważnie pełne są resztek jedzenia, odchodów, łupieżu, roztoczy oraz innych mniej lub bardziej

niewidocznych żyjątek, które teraz mają w nich używanie i stwarzają poważne ryzyko zdrowotne. Nawet budki lęgowe i dziuple używane są na noclegowiska tylko wtedy, gdy zostały wyczyszczone, nie było w nich gniazda albo było tak dawno, że zdążyło się rozłożyć, a cała przestrzeń odkazić.

---

[133] Zdolność tę do ekstremum opanowały maleńkie kolibry znane z szaleńczego tempa życia i przemiany materii, które każdej nocy wpadają w stupor przypominający sen zimowy. Niektórym zdarza się zawisać z gałązek do góry nogami jak nietoperze.

Jastrząb.
Gołębiarz, wroniarz, wiewiórkarz

Właściwie wroniarz, gołębiarz, wiewiórkarz. Ale zacznijmy od początku. Jastrzębie najprawdopodobniej wykluły się gdzieś w naszej części świata, kto wie, może na jakimś prastarym dębie miedzy Odrą i Bugiem, i stąd zaczęły rozlatywać się na wszystkie strony. Te, które ruszyły na północ, zachód i południe, wkrótce zatrzymały okalające Europę morza i gorąca Afryka. Te, które poleciały na wschód, dotarły w końcu do miejsc znanych nam jako Wyspy Japońskie i Kamczatka, a pomostem Beringa (dzisiaj cieśniną) przedostały się do Ameryki Północnej. Spośród ptaków drapieżnych (co najmniej 262 gatunki, bez sów i sokołów) jastrząb ma dzisiaj drugi największy zasięg po orle przednim i razem z nim oraz myszołowem włochatym jest jednym z trzech tylko gatunków, które żyją i w Eurazji, i w Ameryce. Jastrząb jest wszędzie tam, gdzie są drzewa. Nieważne jakie, liczy się ich kompozycja. Muszą być i dojrzałe, i młode, i w towarzystwie gęstego podszytu. I musi ich być dużo. Gdzieś przecież trzeba się schować w zasiadce albo szukając świętego spokoju. Prześwity, łąki i mokradła po sąsiedzku też są mile widziane – przecież tam też można coś złowić.

Jastrząb poluje bardziej jak koty niż ptaki. Zamiast wypatrywać zdobyczy ze skrzydeł, trzyma się gęstych światłocieni, które kryją go lepiej niż najlepsze moro. Przyczajony tygrys, ukryty smok. Na wpół złożonych skrzydłach bezgłośnie prześlizguje się z gałęzi na gałąź i sprawdza, czy nie ma tam kogoś do zjedzenia. Jeśli jest –

krótka zasiadka i uderzenie. Z bliska, szybko i mocno. Najważniejsze jest zaskoczenie. Za ptakami w powietrzu ustawia się tak, żeby znaleźć się w ich martwym punkcie. Nawet nie wiedzą, że śmierć usiadła im na ogonie, aż lecący na podkurczonych skrzydłach jastrząb w ostatniej chwili zniża lot, robi pół przewrotu do tyłu i chwyta je od dołu swoimi pazurami jak ze stali! Atletyczna sylwetka, krótkie, szerokie skrzydła i długi, szeroki ogon – to typowa kombinacja dla takich jak on. Zapewnia szybkość i zwrotność konieczną do polowania w labiryncie drzew i gałęzi.

Jastrzębie znane są nie tylko ze swoich umiejętności i techniki, ale i ambicji. Nieraz się zdarzyło, że w pościgu za gołębiem któryś wpadł komuś przez otwarte okno do kuchni albo w sam środek miejskiego tłumu. Za szczurami czy królikami jastrzębie wciskają się w najeżoną kolcami plątaninę krzaków i zarośli, w której tylko gryzonie wiedzą, jak się poruszać. Ich prześladowca na zmianę biegnie, leci i próbuje zajść im drogę. Pokrzykuje i skrzeczy! Może z emocji, a może chce jeszcze bardziej przerazić swoje ofiary i pozbawić je woli walki. Taki pościg może trwać kilkanaście minut, a jedynym pewnym ratunkiem dla uciekających jest odpowiednio ciasna i głęboka nora. Z taką samą brawurą rączy łowcy ścigają wiewiórki w koronach drzew. Bo musimy wiedzieć, że jastrzębie są bardzo wszechstronne. Żeby rozejrzeć się wśród miejskich gołębi i zaplanować atak, wzlatują wysoko nad miasto i w zależności od

warunków uderzenie następuje z góry, z głębokiego cienia jakiegoś budynku albo zza rogu sąsiedniej ulicy. Sukces łowiecki większości drapieżników to około 30 procent. Ten sam współczynnik u niektórych jastrzębi wyspecjalizowanych w krukowatych albo królikach sięga 60 procent.

Jastrzębie polują tam, gdzie jest zdobycz, i jak wszystkie drapieżniki generaliści, zjadają tych, których jest najwięcej. Na swojej wspólnej liście łowieckiej mają ponad 500 różnych gatunków. Pomijając okazjonalne ryby, żaby, węże, a nawet dżdżownice i owady, jastrzębie łowią głównie małe ssaki i średniej wielkości ptaki. Wśród najczęściej zjadanych są kolejno: krukowate, gołębie, kuraki, drozdy i dzięcioły. Po stronie ssaków – króliki, zające, a przede wszystkim wiewiórki. Jastrzębie to obok kuny leśnej główni regulatorzy ich liczebności. Wiewiórka jest szósta na liście najczęściej łowionych zwierząt w Europie, a lokalnie nawet pierwsza – na przykład w Białowieży. W Berlinie i Hamburgu, znanych z dużych populacji jastrzębi, miejskie gołębie wypełniają aż 45 procent ich diety. Najbardziej uważać muszą te nietypowo ubarwione, bo to na nich najczęściej zatrzymuje się pomarańczowy wzrok ich największego wroga. W lasach czujne powinny być grzywacze i siniaki. I już wiadomo, dlaczego jastrzębia nazywaliśmy kiedyś gołębiarzem.

Dzienne zapotrzebowanie jastrzębia to 120–150 gramów mięsa. Nawet średniej wielkości zdobycz wystarcza mu na dwa, trzy dni.

Nie objada się na zapas, raczej chowa na później. Miejsca, w których biesiaduje, łatwo rozpoznamy po dużej ilości piór i sierści, zwisających z gałęzi strzępach skóry, obnażonych czaszkach, żebrach, nogach, kręgosłupach. Scenografia jak z leśnej masakry piłą mechaniczną. W branży nazywają to oskubem. Tylko jastrzębie tak jedzą[134]. Ale im też zdarza się pójść spać z pustym żołądkiem, a śmierć z wygłodzenia nie jest w ich świecie niczym wyjątkowym. Do tego konkurenci i prześladowcy gotowi rozbić ich jaja, zabić dzieci, a nawet dorosłych. Robią to jeszcze większe i silniejsze drapieżniki dzienne (choć takich akurat jest niewielu) oraz nocne puszczyki i puchacze. Ci ostatni to tradycyjnie najwięksi pogromcy jastrzębi. Gołębiarze prowokują czasami wrony, sójki i sroki, po to tylko, żeby którąś z nich złapać i zjeść, ale jest też co najmniej jeden udokumentowany przypadek zabicia jastrzębia przez gang rozwścieczonych wron. Najwięcej jastrzębi ginie z naszych rąk. Za gołębie, za kury, za koty, dzieci i wszystko, co jakiś jastrząb zrobił albo i nie. Za to, że są. Śmiertelność dorosłych sięga 21 procent, młodych przed ukończeniem drugiego roku życia – dwa razy tyle. Najstarszy dziki ptak przeżył 22 lata, w niewoli – 27 lat.

Jastrzębie nauczyły się przemykać poza zasięgiem naszych radarów. Mistrzowie zasadzki, a przede wszystkim dyskrecji. Ich europejska populacja szacowana jest na 166–220 tysięcy par, światowa na cztery razy tyle. Gołębiarz jest na naszym

kontynencie najliczniejszym drapieżnikiem po myszołowie (około 1,1 miliona par) oraz krogulcu i pustułce (po 400–600 tysięcy par). Największe zagęszczenia zalicza w Hamburgu i Berlinie, które zamieszkuje po około 100 par. W całej Polsce – 4900–6300. Nieźle, jak na kogoś tak bardzo prześladowanego.

Jastrzębie są wyjątkowo kochliwe. Podglądani rekordziści zrobili to co najmniej 520 razy w ciągu sezonu, czyli przez kilka tygodni przed i w czasie składania jaj. Może to taki temperament, a może on chce w ten sposób zapewnić sobie zwycięstwo w wyścigu plemników i mieć pewność, że w gnieździe nie zasiądzie dziecko innego ojca. W końcu dużo czasu spędza z dala od domu, polując dla wysiadującej i pilnującej gniazda partnerki. Jego plan chyba działa, bo genetycy potwierdzają, że nieślubne dzieci u jastrzębi zdarzają się rzadko. Wygląda na to, że jastrząb partner i ojciec najtrudniejsze ma już za sobą – zaloty. Jastrzębice są średnio o jedną trzecią większe, poważnie uzbrojone i temperamentne. Nieraz bywało, że zalotnik skończył martwy pod drzewem. Dobrym rozwiązaniem jest przylatywać w konkury z czyimiś zwłokami w prezencie, a w kolejnym sezonie wrócić do tej samej partnerki. Ale jak śpiewał pewien artysta, „z dziewczynami nigdy nie wie, oj, nie wie się”.

Jastrzębi wzrok, odwaga i waleczność. Powszechnie podziwiane, silne i dumne gołębiarze były kiedyś popularnymi ptakami herbowymi. Łacińskie *Accipiter* w ich nazwie oznacza jastrzębia i

pochodzi od *accipere*, „chwytać”, epitet *gentilis* – szlachetnego, dobrze urodzonego lub wychowanego. Jastrzębia nazwano tak również dlatego, że w średniowieczu i renesansie tylko szlachta miała prawo z nimi polować.

Gdzie patrzeć?

W lasach i w większych zadrzewieniach oraz na łąkach i mokradłach w ich pobliżu.

Czego wyglądać?

Cienia przemykającego wśród gałęzi drzew. Gdyby jakimś cudem się zatrzymał, zobaczylibyśmy jego płomienne, zachodzące czerwienią oczy. Ciemna przepaska i szeroka biała brew nad nimi tylko potęgują mrożące krew w żyłach spojrzenie. Uwagę zwracają jaskrawożółte, muskularne stopy, zakończone ostrymi jak kuchenne noże szponami. Płaszcz stalowoniebieski, spód ciała biały, prążkowany. Młode ptaki są brunatne, od spodu białopłowe, podłużnie kreskowane.

Czego nasłuchiwać?

Jastrzębie odzywają się rzadko i jeśli w ogóle, to głównie w porze godowej. Przeważnie są to lekko gdaczące, wysokie i donośne „Kaj! Kaj! Kaj!" oraz różne wariacje na ten temat, czasami zawodzące gwizdy samicy i młodych. Łatwo je pomylić m.in. z głosem myszołowa.

Kiedy?

Cały rok.

---

[134] Właściwie podobnie przy stole zachowują się też krogulce, ale ich ofiary są tak małe, że resztek prawie nie ma, a ślady po uczcie niemal natychmiast znikają.

ŹRÓDŁA I LITERATURA

Attar Farid ud-Din, *The Conference of Birds*, Penguin Books, London 1984.

Barnes Simon, *A bad birdwatcher's companion*, Short Books, London 2005.

Barnes Simon, *The meaning of birds*, Head of Zeus, London 2016.

Bircham Peter, *A history of ornithology*, Collins, London 2013.

Birkhead Tim, *Bird sense. What it's like to be a bird*, Bloomsbury, London 2007.

Birkhead Tim, *Wisdom of birds. An illustrated History of Ornithology*, Bloomsbury, London 2008.

Bralczyk Jerzy, *Zwierzyniec*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2019.

Callahan David, *A history of birdwatching in 100 objects*, Bloomsbury, London 2014.

Chadd Rachel W., Taylor Marianne, *Birds. Myth, lore & legend*, Bloomsbury, London 2016.

Chaline Eric, *Fifty animals that changed the course of history*, David & Charles, Newton Abbot 2011.

Chodkiewicz Tomasz, Chylarecki Przemysław, Sikora Arkadiusz, Wardecki Łukasz, Bobrek Rafał, Neubauer Grzegorz, Marchowski Dominik, Dmoch Adam, Kuczyński Lechosław, *Raport z wdrażania art. 12 Dyrektywy Ptasiej w Polsce w latach 2013–2018: stan, zmiany, zagrożenia*, „Biuletyn Monitoringu Przyrody" 2019/20, s. 1–80.

Chodkiewicz Tomasz, Kuczyński Lechosław, Sikora Arkadiusz, Chylarecki Przemysław, Neubauer Grzegorz, Ławicki Łukasz, Stawarczyk Tadeusz, *Ocena liczebności populacji ptaków lęgowych w Polsce w latach 2008–2012*, „Ornis Polonica" 2015/56, s. 149–189.

Cocker Mark, Tipling David, *Birds and People*, Jonathan Cape, London 2013.

Couzens Dominic, *Songs of Love and War. The darkest heart of bird behaviour*, Bloomsbury, London 2017.

Deutsche Alleenstraße, https://tinyurl.com/2xvbhfab [dostęp: 30.09.2021].

Dzimira-Zarzycka Karolina, *Ptaki w śnieżnej bieli. „Kuropatwy" Józefa Chełmońskiego z Muzeum Narodowego w Warszawie*, *Historia: Poszukaj. Portal edukacyjny*, https://tinyurl.com/2jebms2p [dostęp: 16.08.2021].

Edworthy Niall, *Bald coot and screaming loon. A handbook for the curious bird lover*, Eden Project Books, London 2009.

de Rijake Victoria, *Duck*, Reaktion Books, London 2008.

European Union Management Plan 2009–2011 Lapwing Vanellus vanellus, Office for Official Publications of the European Communities, Luxembourg 2009.

Fisher Celia, *The magic of birds*, The British Library, London 2014.

Fraza, w: *Ilustrowany słownik muzyczny*, https://tinyurl.com/6nhput3p [dostęp: 19.09.2021].

Gibson Graeme, *The bedside book of birds*, Bloomsbury, London 2005.

Głowaciński Zbigniew (red.), *Polska czerwona księga zwierząt. Kręgowce*, Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, Warszawa 2001.

Gombrich Ernst Hans, *A little history of the world*, Yale University Press, New Haven and London 2005.

Gorman Gerard, *Woodpeckers of Europe*, Bruce Coleman, Chalfont St Peter 2004.

Grimm Wilhelm i Jakub, *Mysikrólik*, w: *Baśnie dla dzieci i dla domu*, t. 2, przeł. Eliza Pieciul-Karmińska, Wydawnictwo Media Rodzina, Poznań 2010.

Harrap Simon, Quinn David, *Tits, nuthatches & treecreepers*, Christopher Helm, London 1996.

Haupt Lyanda Lynn, *Crow planet. Essential wisdom from the urban wilderness*, Little, Brown and Company, New York 2009.

Jameson Conor M., *Silent spring revisited*, Bloomsbury, London 2012.

Kear Janet, *Ducks, geese and swans*, Oxford University Press, Oxford 2005.

Kear Janet, *Man and wildfowl*, T&AD Poyser, London 1990.

Kluk Krzysztof, *Zwierząt domowych i dzikich, osobliwie krajowych, historyi naturalney początki i gospodarstwo, potrzebnych i pożytecznych domowych, chowanie, rozmnożenie, chorób leczenie, dzikich łowienie, oswoienie, zażycie, szkodliwych zaś wygubienie*, t. 2, *O ptastwie*, Warszawa 1797, https://tinyurl.com/u5wbyuf8 [dostęp: 24.09.2020].

Kłosiewicz Stefan, *Ptaki święte, przeklęte i inne*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.

Kofta Jonasz, *Pamiętajcie o ogrodach*, w: *Pamiętajcie o ogrodach*, wybór i opracowanie Jadwiga Kofta, Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa 1991, s. 205–206.

Lederer Roger J., *Beaks, bones, and bird songs*, Timber Press, London 2016.

Lederer Roger J., Burr Carol, *Latin for birds lovers*, Timber Press, Portland–London 2014.

Lever Christopher, *Naturalised birds of the world*, T&AD Poyser, London 2005.

Martin Graham, *Birds by night*, T&AD Poyser, London 1990.

Marzluff John M., *Welcome to subirdia*, Yale University Press, New Haven 2014.

Marzluff John M., Angell Tony, *In the company of crows and ravens*, Yale University Press, New Haven and London 2005.

Micińska-Bojarek Magdalena, Łowiectwo a ochrona środowiska: kontrowersje prawne i humanitarne, „Studia z Zakresu Nauk Prawnoustrojowych. Miscellanea" 2014/4, s. 93–105.

Moss Stephen, Cottridge David, *Attracting birds to your garden*, Hew Holland, London 1998.

Mynott Jeremy, *Birdscapes. Birds in our imagination and experience*, Princeton University Press, New Jersey 2009.

Nervous System: Brain & Senses, https://tinyurl.com/tbs9j6zs [dostęp: 30.09.2021].

Newton Ian, *Bird Populations*, William Collins New Naturalist Library, London 2013.

Newton Ian, *Farming and birds*, William Collins, London 2017.

Newton Ian, *Population limitation in birds*, Academic Press, San Diego 1998.

Norwid Cyprian Kamil, *Wiersze wybrane*, wyd. 1, wybór, wstęp i przypisy Mieczysław Inglot, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław – Warszawa – Kraków 1991.

Nozader Adele, *The secret language of birds. A treasury of myths, folklore & inspirational true stories*, Harper Element, London 2006.

Pawlikowska-Jasnorzewska Maria, *Żurawie*, w: tejże, *Pocałunki*, Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, Warszawa 1985.

Pearce Fred, *The new wild*, Icon Books Ltd, Duxford 2015.

Przybysz Jerzy, *Kormoran*, Wydawnictwo Lubuskiego Klubu Przyrodników, Świebodzin 1977.

Rothenberg David, *Why birds sing*, Basic Books, New York 2006.

Rozporządzenie Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) nr 1143/2014 z dnia 22 października 2014 r. w sprawie działań zapobiegawczych i zaradczych w odniesieniu do wprowadzania i rozprzestrzeniania inwazyjnych gatunków obcych, https://tinyurl.com/4ffs8bha [dostęp: 25.09.2021].

Ramatowska Małgorzata, *Samorząd rolniczy wnioskuje o ograniczenie ochrony ptaków krukowatych*, https://tinyurl.com/sk4zdhpd [dostęp: 30.09.2021].

Sax Boria, *Crow*, Reaktion Books, London 2003.

Shrubb Michael, *Feasting, fowling and feathers. A history of the exploitation of wild birds*, T&AD Poyser, London 2013.

Shrubb Michael, *The Lapwing*, T&AD Poyser, London 2010.

Skutch Alexander F., *The minds of birds*, Texas A&M University Press, 1996.

Smyth Richard, *A sweet, wild note. What we hear when the birds sing*, Elliot and Thompson, London 2017.

Strycker Noah, *The magic & mystery of birds*, Souvenir Press, London 2014.

Summers-Smith Denis J., *On sparrows and man*, Thersby Group, Guisborough 2005.

Svensson Lars, Mullarney Killian, Zeterström Dan, *Collins Bird Guide second edition*, HarperCollins Publishers, London 2009.

Sztaudynger Jan, *Piórka*, wybór Anna Sztaudynger-Kaliszewiczowa, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998.

Taczanowski Władysław, *Ptaki krajowe*, Kraków 1882, t. 1–2, https://tinyurl.com/svvurcpv, https://tinyurl.com/2pbrs4fx [dostęp: 6.09.2021].

Tate Peter, *Flights of fancy*, Random House Books, London 2007.

The Birds of the Western Palearctic. BWPi2.0, BirdGuides Ltd & Oxford University Press, Oxford 2008.

Thomas Adrian, *Gardening for wildlife. A complete guide to nature-friendly gardening*, RSPB A&C Black, London 2010.

Toft Ron, *National birds of the world*, Bloomsbury, London 2014.

Tomiałojć Ludwik, Stawarczyk Tadeusz, *Awifauna Polski. Rozmieszczenie, liczebność, zmiany*, PTPP „pro Natura", Wrocław 2003.

Toms Mike, *Garden birds*, William Collins, London 2019.

von Treuenfels Carl Albrecht, *The magic of cranes*, Abrams, New York 2006.

Tudge Colin, *Consider the Birds. Who they are and what they do*, Penguin Books, London 2008.

Turner Angela, *Swallow*, Reaktion Books, London 2015.

Turner David, *Was Beethoven a birdwatcher?*, Summersadle, Chichister 2011.

Ustawa o gatunkach obcych uchwalona przez Sejm, https://tinyurl.com/ccezxava [dostęp: 25.09.2021].

Ustawa z dnia 11 sierpnia 2021 r. o gatunkach obcych, https://tinyurl.com/w2ttnw4k [dostęp: 25.09.2021].

Walters Michael, *A concise history of ornithology*, Yale University Press, New Haven and London 2005.

Wilk Tomasz, Chodkiewicz Tomasz, Sikora Arkadiusz, Chylarecki Przemysław, Kuczyński Lechosław, *Czerwona lista ptaków Polski*, OTOP, Marki 2020.

Wright John, *The naming of the shrew. A curious history of Latin names*, Bloomsbury, London 2014.

Wright Ronald, *A short history of progress*, Canongate, Edinburgh 2006.

Woolfson Esther, *Corvus. A life with birds*, Granta, London 2008.

Young Jon, *What the robin knows. How birds reveal the secrets of the natural world*, Mariner Books, Boston, New York 2013.

www.arkive.org

www.audubon.org

www.birdlife.org

www.birds.cornell.edu

www.britishbirds.co.uk

www.bto.org

www.dana.org
www.discoverwildlife.com
www.en.wikipedia.org
www.euring.org
www.genome.cshlp.org
www.jestemnaptak.pl
www.listaptakow.eko.uj.edu.pl
www.ourworldindata.org
www.panas.org
www.poezja.org
www.rspb.org.uk
www.sjp.pwn.pl/doroszewski
www.tekstowo.pl
www.scientificamerican.com
www.theguardian.com/environment
www.pl.wiktionary.org
www.wolnelektury.pl
www.worldbirdnames.org
www.wwt.org.uk

W rozdziałach *Sroka. Czaka! Czaka! Cza!* i *Jerzyk. Latam, więc jestem* wykorzystałem fragmenty poświęconych tym gatunkom odcinków mojego cyklu *Wakacje z ptakami*, publikowanego w 2020 roku w „Przekroju”.

Więcej opowieści o wróblu, szpaku, śmieszce oraz innych mewach, gęgawie, bernikli kanadyjskiej, łabędziu niemym, dymówce i czajce znajdziecie w książce *Jej Wysokość Gęś. Opowieści o ptakach*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2019.

JESTEM NA pTAK!

Partnerem książki *Zobacz ptaka. Opowieści po drodze* jest stowarzyszenie Jestem na pTAK, organizator ogólnopolskiego, cyklicznego wydarzenia *Noc Sów*, znane między innymi z oryginalnych kampanii społecznych, takich jak Bądź na pTAK!, *Nie będzie ptaków, nie będzie śpiewania!*, akcji *Ogród na pTAK!* oraz ważnych projektów przyrodniczych, takich jak *Bagna są dobre!* czy *Orlik ptak jakich mało!*

www.jestemnaptak.pl

www.nocsow.pl

Partnerem książki *Zobacz ptaka. Opowieści po drodze* jest stowarzyszenie Jestem na pTAK, organizator ogólnopolskiego, cyklicznego wydarzenia *Noc Sów*, znane między innymi z oryginalnych kampanii społecznych, takich jak Bądź na pTAK!, *Nie będzie ptaków, nie będzie śpiewania!*, akcji *Ogród na pTAK!* oraz ważnych projektów przyrodniczych, takich jak *Bagna są dobre!* czy *Orlik ptak jakich mało!*

www.jestemnaptak.pl

www.nocsow.pl